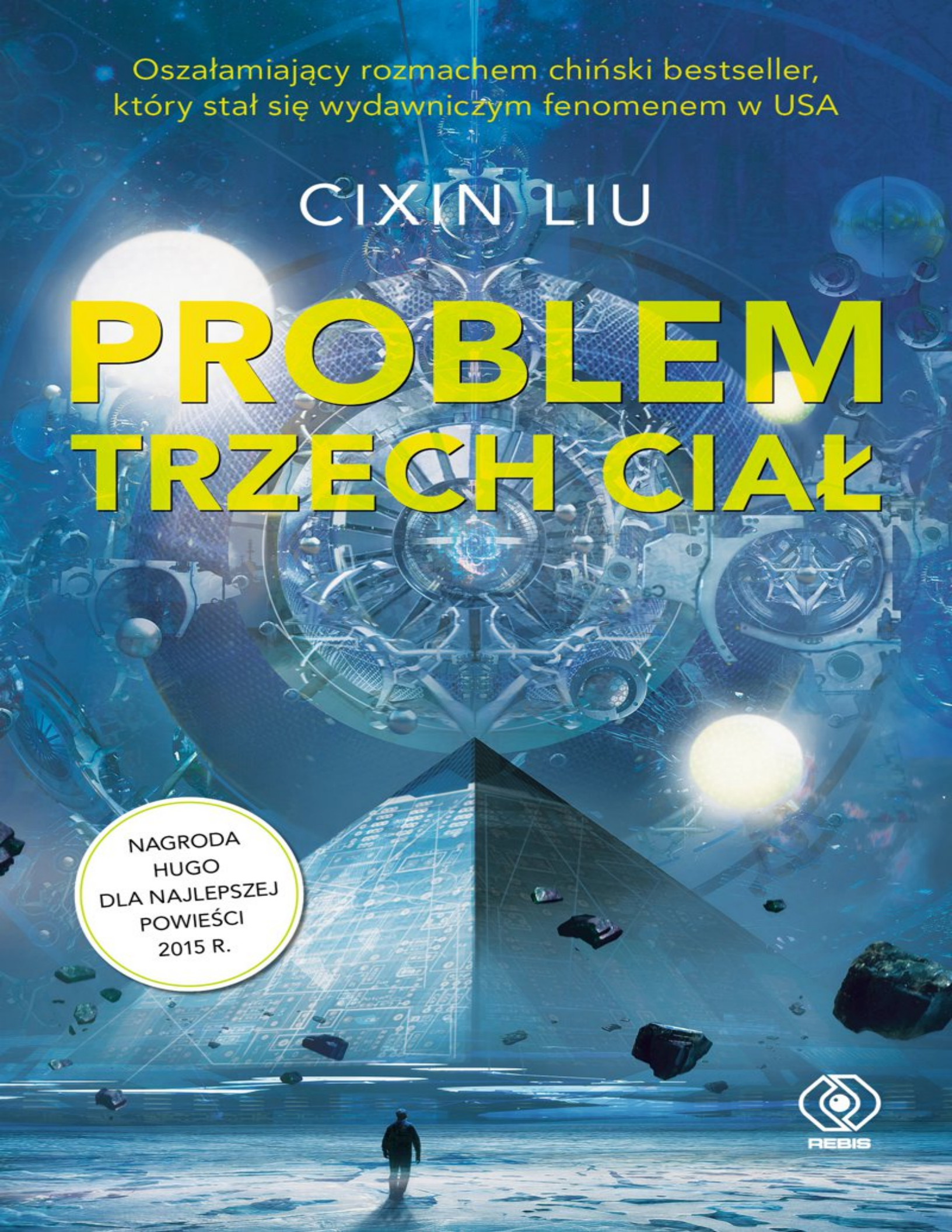
Oszałamiający rozmachem chiński bestseller,
który stał się wydawniczym fenomenem w USA
CIXIN LIU
PROBLEM
TRZECH CIAŁ
NAGRODA
HUGO
DLA NAJLEPSZEJ
POWIEŚCI
2015 R.
REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PROBLEM TRZECH CIAŁ

Cixin Liu

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Jankowski

REBIS
Dom Wydawniczy REBIS

Główne osoby występujące w książce

(Zgodnie z chińskimi zasadami najpierw podaje się nazwisko)
(Pełen spis osób znajduje się na końcu książki)

Rodzina Ye

Ye Zhetai – fizyk, profesor Uniwersytetu Tsinghua

Shao Lin – fizyczka, żona Ye Zhetaia

Ye Wenjie – astrofizyczka, córka Ye Zhetaia

Ye Wenxue – siostra Ye Wenjie, czerwonogwardzistka

Baza Czerwony Brzeg

Lei Zhicheng – komisarz polityczny bazy

Yang Weining – główny inżynier bazy, były student Ye Zhetaia

Czasy obecne

Yang Dong – fizyczka zajmująca się teorią strun, córka Ye Wenjie i Yang Weininga

Ding Yi – fizyk teoretyk, chłopak Yang Dong

Wang Miao – specjalista z zakresu nanomateriałów

Shi Qiang – policyjny detektyw o przydomku Da Shi

Chang Weisi – generał brygady Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej

Wei Cheng – geniusz matematyczny i odludek

Shen Yufei – fizyczka japońska, żona Wei Chenga

Pan Han – biolog, przyjaciel Shen Yufei i Wei Chenga

Sha Ruishan – astronom, student Ye Wenjie

Mike Evans – syn potentata naftowego

Część I

Milcząca wiosna

1

Lata szaleństwa

Chiny, 1967

Czerwony Związek od dwóch dni atakował kwaterę główną Brygady 28 Kwietnia. Jego czerwone flagi łopotały nieustannie wokół budynku niczym płomienie łaknące drewna.

Dowódca Czerwonego Związku czuł strach, ale nie przed zaciekle broniącymi się czerwonogwardzistami z Brygady 28 Kwietnia. W porównaniu z weteranami Czerwonego Związku, utworzonego w 1966 roku, na początku wielkiej proletariackiej rewolucji kulturalnej, ponad dwustu członków brygady było żółtodziobami. Ci pierwsi zahartowali się w starciach na terenie całego kraju i wielkich wiecach na placu Tiananmen, zwoływanych przez przewodniczącego Mao.

Bał się około tuzina żelaznych pieców w budynku, wypełnionych materiałami wybuchowymi i połączonych ze sobą elektrycznymi detonatorami. Nie widział ich, ale czuł ich obecność, jak metalowy opiłek przyciąganie znajdującego się w jego pobliżu magnesu. Gdyby któryś z obrońców wcisnął przełącznik, zarówno rewolucjoniści, jak i kontrrewolucjoniści zginęliby w rozbłysku gigantycznej ognistej kuli.

A młodzi czerwonogwardziści z Brygady 28 Kwietnia zdolni byli do takiego aktu szaleństwa. W odróżnieniu od doświadczonych mężczyzn i kobiet z pierwszego pokolenia Czerwonej Gwardii nowi buntownicy byli watahą wściekłych wilków.

Na dachu budynku ukazała się piękna szczupła dziewczyna, wymachująca wielkim czerwonym sztandarem Brygady 28 Kwietnia. Jej pojawienie się powitała kanonada strzałów. Broń atakujących była przedziwną mieszaniną starych amerykańskich karabinów, czeskich pistoletów maszynowych, japońskich karabinów wzór 38 i nowszych rodzajów broni, takich jak przydziałowe karabiny i pistolety maszynowe żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, zrabowane z jej magazynów po publikacji „sierpniowego artykułu wstępnego”[1], a nawet paru chińskich mieczy dadao i włóczni. Razem wzięte tworzyły skondensowaną wersję współczesnej historii.

Członkowie Brygady 28 Kwietnia już wcześniej dawali podobne pokazy. Stawali na dachu budynku, machali sztandarem, wykrzykiwali hasła przez megafony i zrzucali na atakujących ulotki. Za każdym razem śmiałkowi udawało się uciec przed gradem kul i zyskać uznanie towarzyszy za męstwo.

Dziewczyna najwyraźniej myślała, że jej też dopisze szczęście. Wywijała chorągwią, jakby była przekonana, że jej gorejąca młodość spali w płomieniu rewolucji wroga na popiół, jakby wyobrażała sobie, że jutro z krążącego w jej żyłach zapału wyłoni się idealny świat… Upajała się tym wspaniałym, szkarłatnym marzeniem, aż jej klatkę piersiową przeszył pocisk.

Jej piętnastoletnie ciało było tak delikatne, że kula prawie nie zwolniła, przechodząc przez nie, i poleciała dalej ze świstem. Czerwonogwardzistka osunęła się razem ze sztandarem, ale była tak lekka, że spadła z dachu

wolniej niż płat czerwonej tkaniny, jak mały ptaszek, który nie chce sfrunąć na dół z nieba.

Z gardeł wojowników Czerwonego Związku wydobył się okrzyk radości. Kilku z nich podbiegło do podnóża budynku, podniosło sztandar Brygady 28 Kwietnia i chwyciło drobne, martwe ciało. Unieśli trofeum w górę i cisnęli je na górną krawędź metalowej bramy w płocie ogradzającym kwaterę główną wroga.

Większość metalowych, ostro zakończonych prętów została wyrwana na początku walk między frakcjami i użyta jako włócznie, ale dwa pozostały. Gdy szpikulce te wbiły się w ciało dziewczyny, przez chwilę wydawało się, że ożyła.

Wojownicy cofnęli się i zaczęli do niej strzelać jak do tarczy. Dla dziewczyny grad kul nie różnił się od łagodnego deszczu, bo przecież nic już nie czuła. Od czasu do czasu jej cienkie jak gałązki ręce drgały, jakby strzepywała z siebie krople.

Potem pocisk oderwał jej pół głowy i w błękitne niebo wpatrywało się już tylko jedno śliczne oko. W jej spojrzeniu nie było bólu, a jedynie zastygłe poświęcenie i wiara w ideał.

A jednak w porównaniu z innymi miała szczęście – kiedy zginęła, przynajmniej szczerze wierzyła w słuszność sprawy.

Podobne walki wrzały w Pekinie niczym wiele pracujących równolegle procesorów centralnych, a ich wspólnym wynikiem była rewolucja kulturalna. Miasto zalała fala szaleństwa, która przeniknęła do jego wszystkich zakamarków.

Na jego skraju, na terenach sportowych Uniwersytetu Tsinghua, od dwóch godzin trwał „wiec walki klas”, w którym uczestniczyły tysiące

osób. Była to forma publicznego upokarzania i łamania wrogów rewolucji poprzez lżenie i fizyczne znęcanie się nad nimi, dopóki nie przyznali się do zarzucanych im przestępstw.

Wśród rewolucjonistów powstawały coraz to nowe przeciwstawne frakcje, które zawzięcie ze sobą rywalizowały. Na uniwersytecie dochodziło do gwałtownych konfliktów między czerwonogwardzistami, Grupą Roboczą Rewolucji Kulturalnej, Robotniczym Zespołem Propagandy i Wojskowym Zespołem Propagandy. Każda z tych frakcji dzieliła się od czasu do czasu na nowe zbuntowane grupy, które miały odmienne poglądy i zamiary, co prowadziło do jeszcze bardziej bezlitosnych zmagań.

Ale podczas obecnego wiecu ofiarami byli reakcyjni akademicy burżuazyjni. Każda frakcja traktowała ich jako wrogów, narażeni więc byli na brutalne ataki ze wszystkich stron.

Wśród „potworów i demonów”[2] reakcyjni nauczyciele akademiccy stanowili szczególną grupę – podczas pierwszych wieców walki klas byli często aroganccy i butni. W tym okresie zginęła ich największa liczba. Tylko w Pekinie w ciągu czterdziestu dni pobito na śmierć ponad 1700 ofiar wieców. Wielu innych wybrało łatwiejszy sposób uniknięcia tego szaleństwa – Lao She, Wu Han, Jian Bozan, Fu Lei, Zhao Jiuzhang, Yi Qun, Wen Jie, Hai Mo i inni poważani niegdyś intelektualiści odebrali sobie życie[3].

Ci, którzy przetrwali ten początkowy okres, potem stopniowo wpadali w odrętwienie. Zamknięcie się w tej ochronnej skorupie pomogło im uniknąć całkowitego załamania. Podczas wieców walki klasowej często sprawiali wrażenie, jakby pogrążeni byli w półśnie, i budzili się, dopiero kiedy ktoś krzyknął im prosto w twarz, a wtedy recytowali jak automaty swoje przyznanie się do win, powtarzane wcześniej niezliczoną liczbę razy.

Niektórzy z nich weszli w trzecie stadium. Stale powtarzające się wiece wtłaczały w ich świadomość żywe jak rtęć obrazy polityczne, aż w końcu ich umysły, nawykłe niegdyś do racjonalnego, opartego na wiedzy myślenia, uginały się pod tym naporem i zaczynali oni naprawdę wierzyć, że są winni, i dostrzegać, jak bardzo zaszkodzili wielkiej sprawie rewolucji. Płakali, a ich skrucha była większa i szczersza niż u tych potworów i demonów, które nie były intelektualistami.

Walka z ofiarami znajdującymi się w dwóch ostatnich stadiach psychicznych była dla czerwonogwardzistów skrajnie nudnym zajęciem. W ich nadmiernie pobudzonych mózgach upragniony dreszczyk emocji wywoływały tylko potwory i demony w stadium początkowym, które działały na nich jak czerwona płachta na byka. Ale takie pożądane ofiary stały się rzadkością. Na Uniwersytecie Tsinghua została prawdopodobnie tylko jedna, a ponieważ była tak wielkim rarytasem, zachowano ją na deser.

Ye Zhetaiowi udawało się dotąd przetrwać, mimo że pozostawał w stadium początkowym. Nie chciał okazać skruchy, zabić się ani popaść w odrętwienie. Kiedy ten profesor fizyki wszedł na scenę przed tłumem, jego wyraz twarzy mówił: „Niech krzyż, który dźwigam, będzie jeszcze cięższy”.

Czerwonogwardziści rzeczywiście zmusili go do dźwigania wielkiego ciężaru, ale nie był to krzyż. Podczas gdy inne ofiary nosiły wysokie czapki hańby zrobione z bambusa, jemu włożono na głowę czapkę z zespawanych grubych stalowych prętów. A tablica, którą zawieszono mu na szyi, też nie była drewniana jak u innych, lecz przerobiona z żelaznych drzwiczek pieca z jego laboratorium. Wypisano na niej jego nazwisko, przekreślone dwiema krzyżującymi się i układającymi w duży znak X liniami.

Na scenę wprowadziło Ye dwa razy tyle czerwonogwardzistów, co inne ofiary: dwóch mężczyzn i cztery kobiety. Mężczyźni szli dumnie

wyprostowani, z ogniem w oczach – żywe obrazy młodych bolszewików. Obaj byli studentami czwartego roku[4] fizyki teoretycznej, a Ye był ich nauczycielem. Kobiety, a właściwie jeszcze dziewczęta, były uczennicami drugiej klasy gimnazjum afiliowanego przy uniwersytecie[5]. W wojskowych mundurach, z pasami na naboje, promieniowały dziewczęcym wigorem i otaczały Ye Zhetaia jak cztery zielone płomienie.

Jego pojawienie się podekscytowało tłum. Wykrzykiwanie haseł, które nieco osłabło, znowu przybrało na sile i stłumiło wszystkie inne dźwięki niczym powracająca fala.

Odczekawszy cierpliwie, aż wrzawa opadnie, jeden z eskortujących Ye czerwonogwardzistów zwrócił się do niego:

– Ye Zhetai, jesteś ekspertem w zakresie mechaniki. Powinieneś widzieć, jak wielkie są zjednoczone siły, którym się opierasz. Trwanie w uporze doprowadzi cię tylko do śmierci! Będziemy dzisiaj kontynuować to, na czym skończyliśmy ostatnim razem, i nie ma potrzeby marnować słów. Odpowiedz bez typowych dla ciebie oszustw i krętactw na następujące pytanie: Czy w latach 1962–1965 nie postanowiłeś włączyć teorii względności do kursu wprowadzającego do fizyki?

– Teoria względności jest jedną z fundamentalnych teorii fizycznych – odparł Ye. – Jak można jej nie przedstawić podczas podstawowego kursu?

– Łżesz! – krzyknęła stojąca obok niego czerwonogwardzistka. – Einstein jest reakcyjnym naukowcem. Służyłby każdemu, kto by mu pomachał przed nosem pieniędzmi. Pojechał nawet do amerykańskich imperialistów i pomógł im zbudować bombę atomową! Żeby rozwinąć rewolucyjną naukę, musimy zerwać czarną flagę kapitalistycznych teorii, które reprezentuje teoria względności!

Ye zachował milczenie. Cierpiąc z powodu bólu, który sprawiała mu ciężka żelazna czapka i zawieszona na szyi żelazna tablica, nie miał sił, by

odpowiadać na kwestie, które na to nie zasługiwały. Jeden ze stojących za nim studentów zmarszczył brwi. Dziewczyna, która zarzuciła profesorowi kłamstwo, była najbardziej inteligentna z nich czworga i wyraźnie dobrze przygotowana, bo przed wejściem na scenę wykuła na pamięć zapis przebiegu poprzedniego wiecu walki, ale w konfrontacji z kimś takim jak Ye nie wystarczała znajomość kilku haseł. Czerwonogwardziści zdecydowali się wytoczyć przeciw swojemu nauczycielowi przygotowane zawczasu nowe działa. Jeden z nich skinął ręką na kogoś przed sceną.

Z pierwszego rzędu widzów podniosła się żona Ye, również profesor fizyki, Shao Lin. Weszła na scenę. Ubrana była w niedopasowany zielony strój, który najwyraźniej miał być kopią wojskowego munduru czerwonogwardzisty, ale ci, którzy ją znali, pamiętali, że często przychodziła na zajęcia w eleganckim qipao. W przyodziewku, który teraz miała na sobie, wyglądała dziwnie i czuło się, że została zmuszona do jego włożenia.

– Ye Zhetai! – Widać było, że nie jest przyzwyczajona do takich teatralnych widowisk i chociaż starała się mówić głośno, wysiłek, jaki w to wkładała, zwiększał też drżenie jej głosu. – Nie myślałeś, że cię zdemaskuję, co? Owszem, w przeszłości dałam ci się oszukać. Zaślepiłeś mnie swoim reakcyjnym, naukowym światopoglądem, ale teraz przejrzałam na oczy! Jestem czujna! Z pomocą tej zbuntowanej młodzieży chcę stać po stronie rewolucji, po stronie ludu!

Odwróciła się twarzą do tłumu.

– Towarzysze pracownicy naukowi, przepełniona duchem rewolucji młodzieży, musimy wyraźnie dostrzec reakcyjny charakter Einsteinowskiej teorii względności! W ogólnej teorii względności wybija się na plan pierwszy to, że jako statyczny model Wszechświata neguje ona dynamiczny

charakter materii. Jest antydialektyczna! Traktuje Wszechświat jako ograniczony, co jest bezwzględnie formą reakcyjnego idealizmu…

Słuchając wykładu żony, Ye pozwolił sobie na cierpki uśmiech.

„Oszukałem cię, Lin? – pomyślał. – Prawdę mówiąc, zawsze byłaś dla mnie zagadką. Kiedy wychwalałem przed twym ojcem – miał szczęście, że wcześnie umarł i dzięki temu uniknął tej katastrofy – twój geniusz, potrząsnął tylko głową i powiedział, że nie sądzi, by jego córka kiedykolwiek osiągnęła wiele w nauce. To, co rzekł potem, okazało się ważne w drugiej połowie mego życia: «Lin Lin jest na to za mądra. Żeby zajmować się podstawowymi teoriami, trzeba być głupim».

W późniejszych latach zacząłem coraz lepiej rozumieć jego słowa. Ty naprawdę jesteś za mądra, Lin. Już kilka lat temu wyczułaś, że na uniwersytecie zmienia się kierunek politycznego wiatru, i przygotowałaś się na to. Na przykład zmieniłaś na swoich wykładach nazwy wielu praw i stałych fizyki: prawo Ohma nazwałaś prawem natężenia, równania Maxwella równaniami elektromagnetycznymi, stałą Plancka stałą kwantową… Wyjaśniałaś studentom, że wszystkie osiągnięcia naukowe są wynikiem mądrości mas pracujących, a ci kapitalistyczni uczeni po prostu ukradli owoce ich trudu i opatrzyli swoimi nazwiskami.

Ale mimo to nie mogłaś zostać zaakceptowana przez główny nurt rewolucji. Popatrz teraz na siebie: nie wolno ci nosić na ramieniu opaski «rewolucyjnego wydziału», musiałaś tu przyjść z pustymi rękami, bo nie masz prawa nosić czerwonej książeczki… Nie możesz pozbyć się winy z powodu tego, że urodziłaś się w rodzinie prominentów w przedrewolucyjnych Chinach i że twoimi rodzicami byli tacy słynni uczeni.

A skoro mowa o Einsteinie, masz trochę więcej do wyznania niż ja. Zimą 1922 roku Einstein odwiedził Szanghaj. Twój ojciec znał niemiecki, więc

poproszono go, by mu towarzyszył. Mówiłaś mi wiele razy, że twój ojciec zajął się fizyką, bo zachęcił go do tego Einstein, a ty sama wybrałaś tę dziedzinę pod wpływem ojca. A zatem można powiedzieć, że w pewnym sensie twoim nauczycielem był Einstein. I kiedyś byłaś z tego bardzo dumna i szczęśliwa, że łączy cię z nim taki związek.

Potem dowiedziałem się, że twój ojciec trochę to podkoloryzował. W rzeczywistości rozmawiał z Einsteinem tylko raz, i to bardzo krótko. Rankiem 13 listopada 1922 roku towarzyszył mu podczas spaceru po ulicy Nankińskiej. Byli też tam inni: Yu Youren, rektor Uniwersytetu w Szanghaju, i Cao Gubing, redaktor naczelny gazety «Ta Kung Pao». Kiedy przechodzili obok miejsca, gdzie naprawiano koryto drogi, Einstein zatrzymał się przy robotniku, który rozbijał kamienie, i w milczeniu przyjrzał się temu chłopcu w dziurawym ubraniu, z brudną twarzą i rękami. Zapytał twojego ojca, ile zarabia dziennie ten chłopak. Ojciec zapytał o to chłopaka i odpowiedział Einsteinowi: pięć centów.

Była to jedyna rozmowa twojego ojca z wielkim uczonym, który zmienił świat. Nie było dyskusji o fizyce, o teorii względności, a jedynie twarda rzeczywistość. Według twojego ojca, kiedy Einstein usłyszał odpowiedź, długo tam stał, przyglądając się automatycznym ruchom chłopca, nie zadając sobie nawet trudu, by ponownie zapalić fajkę, która zgasła. Opowiedziawszy mi o tym, twój ojciec westchnął i rzekł: «W Chinach każda myśl, która ośmieli się bujać w obłokach, spadnie z powrotem na ziemię. Zbyt mocna jest siła przyciągania rzeczywistości»”.

– Pochyl głowę! – krzyknął jeden z czerwonogwardzistów.

Być może był to odruch litości ze strony jego byłego studenta. Gdyby Ye to zrobił, żelazna czapka spadłaby, a gdyby potem się nie wyprostował, nie byłoby powodu, żeby wkładać mu ją z powrotem. Jednak Ye nie posłuchał i stał z uniesioną głową, utrzymując na cienkiej szyi wielki ciężar.

– Pochyl głowę, uparty reakcjonisto! – Jedna z dziewczyn zdjęła pasek i smagnęła nim Ye.

Miedziana klamra trafiła go w czoło i zostawiła wyraźne wgłębienie, ale szybko przesłoniła je cieknąca krew. Profesor przez parę chwil się chwiał, ale potem znowu stanął sztywno wyprostowany.

Jeden z czerwonogwardzistów powiedział:

– Do mechaniki kwantowej, której nas uczyłeś, też wmieszałeś wiele reakcyjnych idei!

Potem dał znak Shao Lin, żeby kontynuowała.

Shao chętnie spełniła jego polecenie. Musiała mówić, bo w przeciwnym razie jej umysł, który i tak już ledwie działał, zupełnie by się zmącił.

– Ye Zhetai, nie możesz zaprzeczyć temu oskarżeniu! Często prowadziłeś wykłady o reakcyjnej interpretacji kopenhaskiej!

– Przecież jest to wyjaśnienie, które najbardziej zgadza się z wynikami eksperymentów – odparł jej mąż.

Jego spokojny i zrównoważony ton zdumiał i przeraził Shao Lin.

– To wyjaśnienie zakłada, że obserwacja z zewnątrz prowadzi do załamania się funkcji falowej. To kolejny przejaw reakcyjnego idealizmu, i to przejaw najbardziej bezczelny!

– Czy eksperymenty powinny się kierować filozofią, czy filozofia eksperymentami?

Nagły kontratak Ye zszokował osoby prowadzące wiec. Przez chwilę nie wiedziały, co mają robić.

– Oczywiście to eksperymenty naukowe powinny kierować się filozofią, słuszną filozofią marksistowską! – powiedział w końcu jeden z czerwonogwardzistów.

– Równie dobrze można by powiedzieć, że słuszna filozofia spada z nieba. Jest to sprzeczne z tezą, że prawda wyłania się z doświadczenia. To

wbrew zasadom marksistowskiego rozumienia przyrody.

Shao Lin i dwaj studenci nie mieli na to odpowiedzi. W odróżnieniu od czerwonogwardzistek, które były jeszcze gimnazjalistkami, nie mogli całkowicie ignorować logiki.

Natomiast owe cztery gimnazjalistki miały własne, ich zdaniem skuteczne, metody. Dziewczyna, która wcześniej uderzyła Ye paskiem, znowu go nim smagnęła. Pozostałe trzy również zdjęły pasy i zaczęły go okładać. Skoro ich towarzyszka wykazała się takim rewolucyjnym żarem, musiały pokazać, że mają go jeszcze więcej, a co najmniej tyle samo, co ona. Studenci nie próbowali ich powstrzymać, żeby nie posądzono ich o brak dostatecznego rewolucyjnego zapału.

– Uczyłeś nas też o Wielkim Wybuchu – powiedział jeden z nich, starając się zmienić temat. – To najbardziej reakcyjna ze wszystkich teorii naukowych!

– Może w przyszłości zostanie ona obalona. Na razie jednak dwa wielkie odkrycia, których dokonano w tym wieku w kosmologii, prawo Hubble’a, potwierdzone przez przesunięcie ku czerwieni, oraz zaobserwowane promieniowanie tła, dowodzą, że teoria Wielkiego Wybuchu jest najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem początków Wszechświata.

– To kłamstwo! – krzyknęła Shao Lin, po czym zaczęła długi wykład o teorii Wielkiego Wybuchu, pamiętając o tym, by wtrącić wnikliwe uwagi krytyczne o jej niezwykle reakcyjnym charakterze.

Świeżość tej teorii rozbudziła jednak zainteresowanie najbardziej inteligentnej z gimnazjalistek, która nie mogła się powstrzymać od zadania pytania:

– Nawet czas zaczyna się od osobliwości? To co było przed tą osobliwością?

– Nic – rzekł Ye w taki sam sposób, w jaki odpowiedziałby na pytanie każdej innej ciekawej młodej osoby. Obrócił głowę i spojrzał na nią życzliwie. Z powodu obrażeń, których doznał, i żelaznej czapki przyszło mu to z dużym trudem.

– N…nic? To reakcyjne! Całkowicie reakcyjne! – krzyknęła przestraszona dziewczyna.

Odwróciła się do Shao Lin, która chętnie przyszła jej z pomocą.

– Ta teoria otwiera miejsce dla Boga – powiedziała, kiwając do niej głową.

Młoda czerwonogwardzistka, zdezorientowana tymi nowymi poglądami, znalazła wreszcie punkt zaczepienia. Podniosła rękę, w której nadal trzymała pas, i skierowała ją w stronę Ye.

– Próbujesz powiedzieć, że Bóg istnieje?

– Nie wiem.

– Co?

– Mówię, że nie wiem. Jeśli przez Boga rozumiesz jakiegoś rodzaju najwyższą świadomość, która jest poza Wszechświatem, to nie wiem, czy ona istnieje, czy nie. Nauka nie dostarcza dowodów ani na jedno, ani na drugie przypuszczenie.

Prawdę mówiąc, w tej koszmarnej chwili Ye skłaniał się ku wierze w to, że Boga nie ma.

To niezwykle reakcyjne stwierdzenie wywołało wielkie poruszenie w tłumie. Pod przewodem jednego czerwonogwardzistów na scenie popłynęła kolejna fala haseł.

– Precz z reakcyjnym akademikiem Ye Zhetaiem!

– Precz ze wszystkimi reakcyjnymi akademikami!

– Precz ze wszystkimi reakcyjnymi doktrynami!

Kiedy tłum ucichł, dziewczyna krzyknęła:

– Bóg nie istnieje! Wszystkie religie są narzędziami wymyślonymi przez klasę rządzącą w celu sparaliżowania ducha ludu!

– To bardzo jednostronny pogląd – rzekł spokojnie Ye.

Młoda czerwonogwardzistka, zakłopotana i zła, doszła do wniosku, że jakakolwiek rozmowa z tym groźnym wrogiem nie ma sensu. Podniosła pas i skoczyła na profesora, a koleżanki poszły za jej przykładem. Ye był wysoki, więc by dosięgnąć jego nadal uniesionej głowy, cztery czternastolatki musiały machać pasami w górę. Po kilku uderzeniach spadła jego wysoka czapka, która nieco chroniła go przed razami. Po gradzie ciosów zadawanych klamrami w końcu upadł.

Zachęcone tym sukcesem gimnazjalistki kontynuowały chłostę z jeszcze większym zapamiętaniem. Walczyły w obronie swojej wiary, swoich ideałów. Były odurzone ostrym światłem, które rzucała na nie historia, dumne ze swego męstwa…

W końcu dwaj byli studenci Ye mieli już tego dosyć.

– Przewodniczący pouczył nas, by „polegać raczej na sile przekonywania niż na przemocy”!

Odciągnęli wpółoszalałe dziewczyny od Ye. Ale było już za późno. Fizyk leżał nieruchomo. Nadal miał otwarte oczy, z jego głowy ciekła krew. Rozgorączkowany tłum zamarł. Jedyną poruszającą się rzeczą była wąska strużka krwi. Płynęła powoli przez scenę, wijąc się jak wąż, dotarła do jej skraju i zaczęła skapywać do pustej skrzynki pod nią. Rytmiczny odgłos spadających kropel brzmiał jak kroki odchodzącego człowieka.

Ciszę rozdarł rechoczący śmiech. Wydobywał się on z ust Shao Lin, która w końcu postradała zmysły. Wystraszył uczestników wiecu, którzy zaczęli opuszczać zgromadzenie, najpierw pojedynczo, a potem hurmem. Pola ćwiczebne wkrótce opustoszały, została tylko młoda kobieta pod sceną.

Była to Ye Wenjie, córka Ye Zhetaia.

Gdy cztery gimnazjalistki odebrały życie jej ojcu, próbowała wbiec na scenę, ale powstrzymali ją dwaj starzy uniwersyteccy woźni i szepnęli jej do ucha, że jeśli tam wskoczy, sama straci życie. Masowy wiec walki klas zmienił się w scenę zbiorowego szaleństwa i jej pojawienie się pobudziłoby tylko zebranych do kolejnego aktu przemocy. Krzyczała wniebogłosy, ale zagłuszyła ją wzburzona fala haseł i wiwatów.

Kiedy w końcu znowu zapadła cisza, nie była już w stanie wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na martwe ciało ojca i myśli, których nie mogła wyrazić, rozpuściły się w jej krwi, gdzie miały pozostać do końca życia. Po rozejściu się tłumu stała tam jak kamienny posąg, z uniesionymi rękami, w pozycji, w której się znajdowała, gdy przytrzymali ją woźni.

Po długim czasie opuściła ręce, weszła powoli na scenę, usiadła obok ciała ojca i ujęła jego zimną już dłoń, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. Gdy przyszli ludzie, żeby zabrać zwłoki, wyjęła coś z kieszeni i włożyła ojcu do ręki. Była to jego fajka.

Opuściła w milczeniu boisko zasłane pozostawionymi przez tłum śmieciami i poszła do domu. Znalazłszy się przed budynkiem, w którym mieszkali pracownicy wydziału, usłyszała dochodzące z okna na pierwszym piętrze salwy szalonego śmiechu. To była kobieta, którą kiedyś nazywała matką.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, nie dbając o to, gdzie poniosą ją nogi.

Znalazła się przed drzwiami profesor Ruan Wen. Przez cztery lata studiów była ona jej doradczynią i najbliższą przyjaciółką. Przez następne dwa lata, kiedy Wenjie była magistrantką na Wydziale Astrofizyki, i w chaosie rewolucji kulturalnej, która potem wybuchła, pozostawała, jeśli nie liczyć ojca, jej najbardziej zaufaną powierniczką.

Ruan ukończyła studia na Uniwersytecie w Cambridge i jej dom fascynował kiedyś Wenjie: wysmakowane książki, obrazy i płyty przywiezione z Europy, pianino, zestaw fajek w europejskim stylu na delikatnej drewnianej podstawce (ten, który należał do ojca Wenjie, był podarunkiem od Ruan). Niektóre z nich były wykonane z rosnącego w basenie Morza Śródziemnego wrzośca, inne z tureckiej pianki morskiej. Każda wydawała się przepełniona mądrością mężczyzny, który kiedyś trzymał jej cybuch w dłoni albo ustnik w zębach, chociaż Ruan nigdy o nim nie wspomniała.

Ten gustownie urządzony, ciepły dom był niegdyś bezpieczną przystanią dla Wenjie, kiedy chciała uciec przed burzami szalejącymi na świecie, ale skończyło się to z chwilą, gdy przeszukali go czerwonogwardziści i zabrali Ruan jej dobytek. Podobnie jak ojciec Wenjie, wiele wycierpiała podczas rewolucji kulturalnej. Na wiecach walki klas wieszano jej na szyi parę butów na wysokich obcasach, a twarz smarowano szminką, by pokazać, że wiodła zepsute życie kapitalistki.

Wenjie pchnęła drzwi do jej mieszkania i zobaczyła, że bałagan, który zostawili po swojej wizycie czerwonogwardziści, został uprzątnięty – podarte obrazy olejne sklejono i z powrotem powieszono na ścianach, przewrócone pianino postawiono i wyczyszczono, chociaż było zepsute i nie można już było na nim grać, parę ocalałych książek postawiono porządnie na półce… Ruan siedziała z zamkniętymi oczami w fotelu za biurkiem.

Wenjie podeszła do niej i łagodnie pogładziła ją po czole, twarzy i rękach. Ciało jej mentorki było zimne. Prawdę mówiąc, Wenjie już wcześniej zauważyła stojącą na stole pustą buteleczkę po tabletkach nasennych. Przez chwilę stała w milczeniu. Potem odwróciła się i wyszła.

Nie czuła już smutku. Była jak licznik Geigera wystawiony tak długo na zbyt silne promieniowanie, że jego strzałka pokazywała bezgłośnie zero.

Zanim jednak opuściła mieszkanie Ruan, spojrzała na nią jeszcze raz. Zauważyła, że profesor Ruan nałożyła makijaż, cienką warstwę szminki i buty na wysokich obcasach.

1 Określenie to odnosi się do artykułu wstępnego, który ukazał się w „Czerwonym Sztandarze” (ważnym narzędziu propagandy podczas rewolucji kulturalnej) z sierpnia 1967 roku. Artykuł ten nawoływał do „usunięcia garstki [kontrrewolucjonistów] z armii”. Zachęcił on czerwonogwardzistów do ataków na arsenały wojskowe i rabunku broni oraz stał się zarzewiem lokalnych wojen miedzy różnymi frakcjami Czerwonej Gwardii [jeśli nie wskazano inaczej, przypisy są pióra autora amerykańskiego przekładu powieści, Kena Liu].

2 Pochodzącego z buddyzmu terminu „potwory i demony” używano podczas rewolucji kulturalnej na określenie wszystkich jej wrogów.

3 To tylko niektórzy z najsławniejszych ludzi sztuki i nauki, którzy popełnili samobójstwo podczas rewolucji kulturalnej. Lao She był pisarzem, Wu Han i Jian Bozan historykami, Fu Lei tłumaczem i krytykiem literackim, Zhao Jiuzhang meteorologiem i geofizykiem, Yi Qun pisarzem, Wen Jie poetą, Hai Mo scenarzystą i powieściopisarzem.

4 Do rewolucji kulturalnej często zmieniał się na chińskich uczelniach (a w szczególności na Uniwersytecie Tsinghua) układ stopni studiów. Bywały szczeble pięcioletnie, czteroletnie i trzyletnie. Autor przekładu angielskiego wyjaśnia w przypisie, że starał się unikać używania terminów przyjętych w amerykańskim systemie szkolnictwa wyższego. Z tego względu również w przekładzie polskim nie ma określeń „licencjat”, „uzupełniające studia magisterskie” itd. [przyp. tłum.].

5 W chińskim systemie edukacji po sześciu latach nauki w szkole podstawowej idzie się do trzyletniego gimnazjum, a potem do także trzyletniego liceum. Podczas rewolucji kulturalnej ten dwunastoletni okres skrócono, w zależności od prowincji lub miasta, do dziewięciu lub dziesięciu lat. W tym przypadku czerwonogwardzistki mają czternaście lat.

2

Milcząca wiosna

Dwa lata później, góry Wielki Chingan

– Drzeeewooo…

Po tym głośnym, przeciągłym okrzyku przewrócił się z hukiem potężny modrzew dahurski, gruby jak kolumny Partenonu, i Ye Wenjie poczuła, że ziemia zadrżała.

Podniosła siekierę i piłę i zaczęła oczyszczać pień z gałęzi. Za każdym razem kiedy to robiła, miała wrażenie, że oczyszcza cielsko olbrzyma. Czasami wyobrażała sobie nawet, że tym olbrzymem jest jej ojciec. Wracały wspomnienia tego strasznego wieczoru sprzed dwóch lat, kiedy obmywała w kostnicy zwłoki ojca, a pęknięcia i szczeliny w korze modrzewia wydawały się zamieniać w stare blizny i świeże rany pokrywające jego ciało.

W rozległych lasach i na stepach Mongolii Wewnętrznej rozmieszczono ponad sto tysięcy ludzi z sześciu dywizji i czterdziestu jeden pułków Korpusu Produkcji i Budowy. Kiedy „wykształcona młodzież” – studenci, których uczelnie przestały istnieć – opuściła miasta i przybyła w te puszcze, wielu z nich żywiło romantyczne marzenia, że gdy przez granicę chińsko-mongolską przetoczą się kolumny czołgów radzieckich rewizjonistów

imperialistów, chwycą za broń i uczynią ze swych ciał pierwszą linię obrony republiki. I faktycznie takie oczekiwania stały za strategiczną decyzją o utworzeniu Korpusu.

Ale wojna, której pragnęli, była niczym góra na drugim końcu stepu – wyraźnie widoczna, lecz odległa jak miraż. Musieli więc zadowolić się oczyszczaniem pól, pasieniem zwierząt i wycinką drzew.

Wkrótce młodzi mężczyźni i kobiety, którzy wcześniej wyładowywali rozpierającą ich energię, pielgrzymując do świętych miejsc rewolucji, odkryli, że w porównaniu z otwartą przestrzenią i przestworem nieba tutaj największe chińskie miasta w głębi kraju były tylko zagrodami dla owiec. Pośród zimnych, bezkresnych lasów i stepów ich zapał był daremny. Gdyby ktoś z nich miał przelać krew, zastygłaby szybciej niż krowi nawóz i byłaby mniej niż on pożyteczna. Ale ich los został przypieczętowany – byli pokoleniem, które miał pochłonąć ogień. Tak więc pod naporem ich pił łańcuchowych rozległe leśne morza zamieniały się w ogołocone z drzew góry i wzgórza. Ich traktory i kombajny przekształcały trawiaste równiny w pola uprawne, a potem w pustynie.

Ye Wenjie mogła opisać wylesianie, którego była świadkiem, tylko jednym słowem: szaleństwo. Jak daleko sięgnęła okiem, wysokie modrzewie dahurskie, wiecznie zielone sosny zwyczajne, wysmukłe i proste brzozy białe, sięgające chmur osiki koreańskie, rozsiewające aromatyczny zapach jodły syberyjskie, brzozy czarne, wiązy górskie, jesiony mandżurskie, *Chosenia arbutifolia*, dęby szypułkowe i mongolskie padały pod ciosami siekier. Jej kompania z setkami pił łańcuchowych posuwała się niczym chmara stalowej szarańczy, a po jej przejściu zostawały tylko pniaki.

Powalony modrzew dahurski, pozbawiony już gałęzi, był gotowy do odciągnięcia przez traktor. Ye delikatnie pogładziła świeży przekrój jego

pnia. Często to robiła, jakby te powierzchnie były rozległymi ranami, jakby mogła wyczuć ból drzewa. Nagle zobaczyła inną rękę głaszczącą takie samo miejsce na pniaku. Drżenie tej dłoni świadczyło o sercu, które biło identycznym rytmem jak jej. Chociaż była biała, Ye widziała, że należy do mężczyzny.

Podniosła głowę. To był Bai Mulin. Szczupły, delikatny, w okularach, był reporterem „Wiadomości Wielkiej Produkcji", gazety Korpusu. Przyjechał poprzedniego dnia zebrać informacje o jej kompanii. Ye czytała jego artykuły, pisane pięknym stylem, świadczące o wrażliwości niepasującej do surowego otoczenia.

– Ma Gang, chodź tutaj – krzyknął Bai do stojącego trochę dalej młodego mężczyzny.

Ma, o wydatnym torsie, muskularny, był potężny jak niedawno ścięty modrzew. Podszedł do Baia, który zapytał:

– Wiesz, ile lat miało to drzewo?

– Można policzyć słoje – odparł Ma, wskazując pniak.

– Policzyłem. Ponad trzysta trzydzieści. Pamiętasz, ile czasu zajęło ci ścięcie go?

– Nie więcej niż dziesięć minut. Musisz wiedzieć, że jestem najszybszym pilarzem w kompanii. Do każdego oddziału, do którego mnie przydzielą, zabieram ze sobą czerwony proporczyk przodownika pracy.

Podniecenie w tonie Ma Ganga było typowe dla wszystkich, na których Bai zwrócił uwagę. Zostać przedstawionym w „Wiadomościach Wielkiej Produkcji" było wielkim zaszczytem.

– Ponad trzysta lat! Tuzin pokoleń. Kiedy to drzewo było zaledwie krzewiną, rządziła jeszcze dynastia Ming. Wyobrażasz sobie, ile przetrwało burz, ilu wydarzeń było świadkiem? A ty ściąłeś je w parę minut. Naprawdę nic nie czułeś?

– A co niby miałbym czuć? – Ma Gang spojrzał na niego pustym wzrokiem. – To tylko drzewo. Drzewa są jedyną rzeczą, której nam tutaj nie brakuje. Jest mnóstwo starszych od tego.

– Dobrze. Wracaj do pracy.

Bai potrząsnął głową, usiadł na pniaku i westchnął.

Ma Gang również potrząsnął głową, niezadowolony, że reporter nie jest zainteresowany przeprowadzeniem z nim wywiadu.

– Inteligenci zawsze robią hałas o nic – mruknął. Spojrzał przy tym na Ye Wenjie, jakby ją też zaliczał do tej kategorii.

Pień modrzewia odciągnięto. Kamienie i pniaki tkwiące w ziemi zerwały korę w wielu innych miejscach, zadając kolejne rany ogromnemu cielsku. Kiedy je ściągano, wyżłobiło głęboki kanał w nagromadzonych przez lata warstwach butwiejących liści. Szybko wypełniła go woda. Rozkładające się liście nadały jej szkarłatny kolor, przez co wyglądała jak krew.

– Wenjie, chodź, odpocznij.

Bai wskazał wolną połowę pniaka, na którym siedział. Ye faktycznie czuła się zmęczona. Odłożyła narzędzia, podeszła do pniaka i usiadła plecami do Baia.

Po długim milczeniu Bai rzucił:

– Domyślam się, jak się czujesz. Tylko my dwoje tutaj tak się czujemy.

Ye milczała. Bai wiedział, że pewnie mu nie odpowie. Zawsze była małomówna i rzadko z kimś rozmawiała. Niektórzy z nowo przybyłych brali ją nawet za niemowę.

– Byłem w tym rejonie kilka lat temu – ciągnął niezrażony Bai. – Pamiętam, że przyjechałem koło południa i moi gospodarze powiedzieli, że na obiad będziemy mieli rybę. Rozejrzałem się po chacie i zobaczyłem tylko garnek gotującej się wody. Żadnej ryby. Jak tylko woda zaczęła wrzeć, kucharz wyszedł z wałkiem do ciasta na dwór. Stanął na brzegu

strumienia płynącego przed chatą, parę razy uderzył wałkiem w wodę i udało mu się wyciągnąć wielką rybę… Cóż za żyzne miejsce! Ale dzisiaj jest to martwy rów z błotnistą wodą. Zastanawiam się, czy Korpus zajmuje się produkcją czy destrukcją.

– Skąd przychodzą ci do głowy takie myśli? – zapytała cicho Ye.

Nie powiedziała, że się z nim zgadza ani że się nie zgadza, ale Bai był jej wdzięczny za to, że się w ogóle odezwała.

– Przeczytałem właśnie książkę, która mnie naprawdę poruszyła. Potrafisz czytać po angielsku?

Ye skinęła głową.

Bai wyjął z plecaka książkę w niebieskiej okładce. Rozejrzał się, by się upewnić, czy nikt na nich nie patrzy, i podał jej.

– Została wydana w 1962 roku i wywarła wielkie wrażenie na Zachodzie.

Wenjie odwróciła się na pniaku i wzięła książkę. „Rachel Carson, *Silent Spring*” przeczytała na okładce.

– Skąd ją masz?

– Zwróciła na nią uwagę góra, która chce ją rozprowadzić wśród wybranych członków kadry do użytku wewnętrznego. Przetłumaczyłem część o lasach.

Wenjie otworzyła książkę. Wciągnęły ją już pierwsze strony. W krótkim początkowym rozdziale autorka opisywała ciche amerykańskie miasteczko powoli umierające wskutek używania pestycydów. Proste zdania przepełnione były głęboką troską.

– Chcę napisać do kierownictwa w Pekinie i powiadomić je o nieodpowiedzialnym zachowaniu Korpusu Budowy – powiedział Bai.

Ye podniosła oczy znad książki. Trwało dobrą chwilę, zanim przetrawiła jego słowa. Nic nie powiedziała i z powrotem przeniosła wzrok na stronę.

– Zatrzymaj ją na razie, jeśli chcesz przeczytać. Ale lepiej zachowaj ostrożność i postaraj się, żeby nikt jej nie zobaczył.

Bai wstał, znowu uważnie się rozejrzał i odszedł.

Trzydzieści osiem lat później Ye Wenjie miała wspominać w swych ostatnich chwilach wpływ, jaki wywarła na nią *Milcząca wiosna*.

Książka zajmowała się tylko jednym tematem: negatywnym oddziaływaniem pestycydów na środowisko, ale przyjęty przez autorkę punkt widzenia wstrząsnął Ye do głębi. Przedtem używanie DDT wydawało się Ye czymś normalnym (a przynajmniej neutralnym), ale dzieło Carson pozwoliło jej dostrzec, że z punktu widzenia przyrody działanie to nie różniło się od rewolucji kulturalnej i było tak samo niszczycielskie dla świata. A skoro tak, to jak wiele innych ludzkich działań, które wydawały się jej normalne, a nawet słuszne, było w rzeczywistości złe?

Z tych rozmyślań wyłonił się wniosek, który sprawił, że zadrżała. „Czy to możliwe, że między ludzkością i złem istnieje taki związek jak między oceanem i górą lodową pływającą po jego powierzchni? Zarówno ocean, jak i góra lodowa są z tego samego materiału. To, że góra lodowa wydaje się czymś odmiennym, wynika tylko stąd, że ma inny kształt. W rzeczywistości jest tylko drobną częścią ogromnego oceanu…

Nie można oczekiwać od ludzkości moralnego przebudzenia, tak jak nie można się spodziewać, że ludzie uniosą się nad ziemię, ciągnąc się za włosy. Moralne przebudzenie wymaga interwencji siły spoza rodzaju ludzkiego”.

Ta myśl wytyczyła kierunek dalszego życia Ye.

Cztery dni po pożyczeniu tej książki Ye poszła do jedynego w całej kompanii domu dla gości, gdzie zatrzymał się Bai, by ją zwrócić. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że Bai leży na łóżku, wyczerpany, zabłocony i obsypany trocinami. Na jej widok z trudem się podniósł.

– Pracowałeś dzisiaj? – zapytała Ye.

– Jestem tutaj już tak długo, że nie mogę tylko chodzić cały dzień i nic nie robić. Muszę przyłączyć się do pracy. To duch rewolucji, prawda? Pracowałem koło Radarowego Szczytu. Las jest tam bardzo gęsty. Przez cały czas brodziłem po kolana w butwiejących liściach. Obawiam się, że się rozchoruję od wdychania tych miazmatów.

– Koło Radarowego Szczytu?

Ye była zaszokowana.

– Tak. Pułk dostał pilne zadanie: oczyścić z drzew strefę ostrzegawczą wokół tego szczytu.

Radarowy Szczyt był tajemniczym miejscem. Stroma góra, która niegdyś nie miała żadnej nazwy, otrzymała ten przydomek od dużej parabolicznej anteny na szczycie. W rzeczywistości każdy, kto miał choć odrobinę rozsądku, wiedział, że nie jest to antena radaru – mimo że codziennie zmieniało się jej ustawienie, nigdy nie poruszała się w stały sposób. Kiedy dął obok niej wiatr, wydawała podobny do wycia dźwięk, który słychać było z daleka.

Ludzie z kompanii Ye wiedzieli tylko tyle, że Radarowy Szczyt jest bazą wojskową. Według miejscowych, kiedy przed trzema laty zakładano tę bazę, wojsko zmobilizowało mnóstwo ludzi do budowy drogi prowadzącej na szczyt i do przeciągnięcia tam linii elektroenergetycznej. Wwieziono na górę tony zaopatrzenia. Ale po ukończeniu bazy drogę rozebrano i zostawiono tylko trudny szlak, który wił się między drzewami. Często

widywano helikoptery lądujące albo startujące ze szczytu. Antena nie zawsze była widoczna. Kiedy wiał silny wiatr, chowano ją.

Gdy jednak ją rozpościerano, na obszarze wokół góry działy się dziwne rzeczy: leśne zwierzęta stawały się niespokojne i głośne, z drzew zrywały się stada ptaków, a ludzie mieli nudności i zawroty głowy. Poza tym ci, którzy żyli blisko Radarowego Szczytu, tracili włosy. Według miejscowych zjawiska te zaczęły występować po wzniesieniu anteny.

Z Radarowym Szczytem wiązało się wiele niesamowitych opowieści. Pewnego razu wysunięto antenę, kiedy padał śnieg, i natychmiast przeszedł on w deszcz. Jako że temperatura przy gruncie była nadal poniżej zera, woda ściekająca z drzew zamarzała i zwisały z nich ogromne sople, zmieniając las w kryształowy pałac. Od czasu do czasu pod ciężarem lodu łamały się gałęzie i sople spadały z głuchym łoskotem na ziemię. Niekiedy po wysunięciu anteny w pogodny dzień zaczynało grzmieć i błyskać się, a nocą na niebie pojawiały się dziwne światła.

Zaraz po przybyciu w tamten rejon kompanii Korpusu Budowy dowódca powiedział wszystkim, żeby starali się nie zbliżać do pilnie strzeżonego Radarowego Szczytu, ponieważ patrole miały prawo strzelać bez ostrzeżenia.

W ostatnim tygodniu dwóch mężczyzn wybrało się na polowanie i nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie się znaleźli, tropiło jelenia aż do podnóża góry. Wartownicy na posterunku znajdującym się w połowie drogi na szczyt zaczęli do nich strzelać. Na szczęście las był tam tak gęsty, że obu udało się uciec cało, ale jeden z nich zsikał się w spodnie. Następnego dnia otrzymali naganę na zbiórce kompanii. Może właśnie z powodu tego incydentu baza postanowiła utworzyć strefę ostrzegawczą. Również fakt, że baza mogła wydawać Korpusowi Budowy polecenie wykonywania robót, wskazywał, jak potężne ma wpływy polityczne.

Bai Mulin wziął książkę od Ye i starannie schował pod poduszką. Z tego samego miejsca wyjął kilka kartek gęsto zapisanych pismem ręcznym i podał jej.

– To brudnopis mojego listu. Zdołasz go odczytać?

– Listu?

– Jak ci już mówiłem, chcę napisać do centralnego kierownictwa w Pekinie.

Pismo było bardzo niechlujne, więc Ye musiała odczytywać je bardzo wolno. Ale list zawierał dużo informacji, był spójny i dobrze uargumentowany. Zaczynał się od opisu tego, jak w wyniku wylesienia żyzne niegdyś góry Taihang zamieniły się w jałowe pustkowia. Potem następował opis szybkiego wzrostu osadów w Żółtej Rzece w ostatnich czasach. Całość kończyła się wnioskiem, że działania prowadzone przez Korpus Produkcji i Budowy w Mongolii Wewnętrznej będą miały poważne konsekwencje ekologiczne.

Ye zauważyła, że styl Baia jest podobny do tego, w jakim napisana została *Milcząca wiosna*, prosty i precyzyjny, ale jednocześnie poetycki. Chociaż miała wykształcenie techniczne, lubiła prozę poetycką.

– Jest piękny – powiedziała szczerze.

Bai kiwnął głową.

– Zatem go wyślę.

Wziął kilka kartek papieru, by przepisać list na czysto, ale tak mu drżały ręce, że nie mógł nakreślić żadnego znaku. Była to powszechna reakcja osób, które po raz pierwszy używały piły łańcuchowej. Nie mogły utrzymać nieruchomo miski z ryżem, a co dopiero mówić o pisaniu.

– Może przepiszę to za ciebie? – zaproponowała Ye i wzięła od niego pióro.

– Masz taki piękny charakter pisma – powiedział Bai, patrząc na pierwszą linijkę.

Podał Ye szklankę wody. Ręce wciąż tak mu się trzęsły, że trochę rozlał. Ye odsunęła list, żeby nie zamókł.

– Studiowałaś fizykę? – zapytał.

– Astrofizykę. Teraz bezużyteczną – odparła, nawet nie podnosząc głowy.

– Badasz gwiazdy. Czy to może być bezużyteczne? Niedawno ponownie otworzono uczelnie, ale nie przyjmują magistrantów. Żeby tak wykształcone i uzdolnione osoby jak ty wysyłać w takie miejsca…

Ye nic na to nie rzekła, tylko pisała dalej. Nie chciała mówić Baiowi, że dla kogoś takiego jak ona przydział do Korpusu Budowy był w rzeczywistości szczęśliwym zrządzeniem losu. Nie chciała komentować biegu spraw – szkoda było strzępić sobie język.

W chacie zapanowała cisza, przerywana tylko skrzypieniem pióra na papierze. Ye czuła zapach trocin na ciele Baia. Po raz pierwszy od śmierci ojca zrobiło się jej ciepło w sercu i pozwoliła sobie na odprężenie, opuszczając na chwilę gardę i pozbywając się podejrzeń wobec świata.

Po upływie godziny skończyła pracę. Na kopercie napisała adres, który podyktował jej Bai, i wstała, by wyjść. W drzwiach się odwróciła.

– Daj mi swoją kurtkę – powiedziała. – Upiorę ją.

Sama była zaskoczona swoją śmiałością.

– Nie! Jak mógłbym to zrobić? – Bai potrząsnął głową. – Wojowniczki z Korpusu Budowy pracują codziennie tak samo ciężko jak mężczyźni. Powinnaś trochę odpocząć. Jutro musisz wstać o szóstej i iść do pracy w górach. Aha, Wenjie, pojutrze wracam do dowództwa dywizji. Wyjaśnię moim przełożonym, w jakiej jesteś sytuacji. Może to pomoże.

– Dziękuję, ale podoba mi się tutaj. Jest tu spokój.

Spojrzała na widoczny w świetle księżyca niewyraźny zarys ciemnych lasów na zboczach Wielkiego Chinganu.

– Próbujesz przed czymś uciec?

– Pójdę już – odparła i wyszła.

Bai przyglądał się, jak jej szczupła postać znika w mroku. Potem przeniósł spojrzenie na ciemne lasy, na które chwilę wcześniej patrzyła Ye.

W oddali, na Radarowym Szczycie, ponownie podniosła się z zimnym metalicznym błyskiem olbrzymia antena.

Pewnego popołudnia trzy tygodnie później Ye została wezwana z obozu drwali do dowództwa kompanii. Gdy tylko weszła do biura, wyczuła, że panuje tam zły nastrój. W gabinecie siedzieli dowódca kompanii i jej instruktor polityczny, a także nieznajomy mężczyzna o surowym wyrazie twarzy. Na biurku przed nieznajomym leżała czarna teczka, a obok niej koperta i książka. Koperta była otwarta, a książka okazała się egzemplarzem *Milczącej wiosny*, który przeczytała.

W tamtych latach każdy wyczuwał szóstym zmysłem, jak przedstawia się jego sytuacja polityczna. Ten zmysł był szczególnie rozwinięty u Ye Wenjie. Poczuła, że świat zamyka się wokół niej jak zawiązywany worek i ze wszystkich stron napiera na nią.

– Ye Wenjie, to kierownik Zhang z wydziału politycznego dywizji. Przyjechał tu, by przeprowadzić śledztwo. – Instruktor polityczny wskazał nieznajomego. – Mamy nadzieję, że będziesz z nami w pełni współpracować i powiesz prawdę.

– Ty napisałaś ten list? – zapytał kierownik Zhang i wyjął go z koperty.

Ye wyciągnęła rękę, ale Zhang nie dał go jej, lecz pokazywał strona po stronie, aż do ostatniej, która najbardziej ją interesowała.

Nie było tam żadnego podpisu oprócz: „Masy rewolucyjne”.

– Nie, ja tego nie napisałam. – Ye potrząsnęła ze strachem głową.

– Ale to twój charakter pisma.

– Tak, ale ja tylko przepisałam to na czysto dla kogoś innego.

– Dla kogo?

Normalnie, kiedy spotykała ją jakaś niesprawiedliwość ze strony kompanii, Ye nie protestowała. Znosiła wszystko w milczeniu i nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, żeby wplątać w to kogoś innego. Jednak tym razem było inaczej. Ye doskonale wiedziała, co to wszystko oznacza.

– Pomogłam reporterowi „Wiadomości Wielkiej Produkcji”. Był tutaj kilka tygodni temu. Nazywa się…

– Ye Wenjie! – Oczy kierownika Zhanga były na nią zwrócone jak lufy dwóch karabinów. – Ostrzegam cię: wrabianie innych tylko pogorszy twoją sytuację. Wyjaśniliśmy już tę sprawę z towarzyszem Bai Mulinem. Jego udział ograniczał się jedynie do wysłania na twoją prośbę tego listu z poczty w Hohhocie. Nie miał pojęcia o jego treści.

– On… on tak powiedział?

Ye pociemniało przed oczami.

Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, kierownik Zhang podniósł książkę.

– Najwyraźniej do napisania tego listu natchnęła cię ta książka. – Pokazał ją kierownikowi kompanii i instruktorowi politycznemu. – *Milcząca wiosna* została wydana w 1962 roku w Ameryce i wywarła wielki wpływ na świat kapitalistyczny.

Potem wyjął z teczki inną książkę.

– To jej chiński przekład. Odpowiednie władze rozprowadziły go wśród wybranych członków kadry do użytku wewnętrznego, żeby mogli ją skrytykować. Te władze wydały już jasny osąd: ta książka to reakcyjna propaganda. Jej autorka zajmuje stanowisko czystego historycznego

idealizmu i głosi teorię zagłady. Pod płaszczykiem omawiania problemów środowiska naturalnego stara się usprawiedliwić głębokie zepsucie świata kapitalistycznego. Treść książki jest w najwyższym stopniu reakcyjna.

– Ale ta książka… ona nie należy do mnie.

– Odpowiednie władze wyznaczyły towarzysza Baia na tłumacza, a więc mógł ją mieć całkowicie legalnie. Oczywiście jest odpowiedzialny za to, że jej nie upilnował i umożliwił ci jej kradzież podczas pobytu w Korpusie Budowy. Z tej książki wzięłaś broń intelektualną, której mogłaś użyć do ataku na socjalizm.

Ye Wenjie ugryzła się w język. Wiedziała, że już spadła na dno otchłani piekielnej. Dalsza walka była bezsensowna.

Wbrew pewnym zapiskom historycznym, które zostały później opublikowane, Bai Mulin początkowo nie zamierzał wrobić Ye Wenjie. List, który napisał do centralnego kierownictwa w Pekinie, był prawdopodobnie podyktowany jego poczuciem odpowiedzialności. W tamtych czasach do władz centralnych pisywało w różnych sprawach osobistych wiele osób. Autorzy większości tych listów nigdy nie doczekali się odpowiedzi, kariera polityczna niektórych poszybowała z dnia na dzień ostro w górę, inni sprowadzili na siebie katastrofę. Polityczne prądy w tamtych czasach były bardzo skomplikowane. Bai uważał, że jako reporter potrafi się w nich zorientować i uniknąć drażliwych, a przez to niebezpiecznych tematów, ale był zbyt pewny siebie, a pisząc ten list, wszedł na pole minowe, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Kiedy usłyszał, z jakim spotkał się przyjęciem, wszystko inne zagłuszył strach. Żeby się chronić, postanowił rzucić na pożarcie Ye Wenjie.

Pół wieku później wszyscy historycy się zgodzili, że to wydarzenie z 1969 roku stało się punktem zwrotnym w dziejach ludzkości.

Chociaż nie miał takiego zamiaru, Bai stał się postacią historyczną. Nigdy jednak nie dowiedział się o tym. Badacze stwierdzili z rozczarowaniem, że reszta jego życia upłynęła całkiem zwyczajnie. Pracował w „Wiadomościach Wielkiej Produkcji" do 1975 roku, kiedy rozwiązano Korpus Produkcji i Budowy w Mongolii Wewnętrznej. Potem wysłano go do pewnego miasta w Chinach Północno-Wschodnich, gdzie do początku lat osiemdziesiątych pracował w Stowarzyszeniu Naukowym. Później wyjechał do Kanady i uczył w chińskiej szkole w Ottawie do 1991 roku, kiedy zmarł na raka płuc. Przez resztę życia ani razu nie wspomniał o Ye Wenjie i nie wiemy, czy kiedykolwiek miał wyrzuty sumienia z powodu tego, co jej zrobił.

– Wenjie, w kompanii traktowano cię bardzo dobrze. – Dowódca kompanii wypuścił gęsty kłąb dymu z fajki nabitej tytoniem Mohe. Popatrzył na podłogę i ciągnął: – Ze względu na twoje pochodzenie jesteś politycznie podejrzana, a mimo to zawsze traktowaliśmy cię jak jedną z nas. Zarówno instruktor polityczny, jak i ja przeprowadziliśmy z tobą wiele rozmów w związku z twoją skłonnością do separowania się od innych i brakiem motywacji do doskonalenia się. Chcemy ci pomóc. Ale popatrz na siebie! Popełniłaś taki poważny błąd!

Instruktor polityczny podjął wątek:

– Zawsze mówiłem, że moim zdaniem ona ma głęboko zakorzenioną niechęć do rewolucji kulturalnej.

– Zabierzcie ją, razem z dowodami jej zbrodni, do dowództwa dywizji – rzekł kierownik Zhang z obojętną miną.

Pozostałe trzy więźniarki wyprowadzono jedną po drugiej i w końcu Ye została w celi sama. Mała kupka węgla w rogu została zużyta i nie przyszedł nikt, by uzupełnić opał. Ogień w piecu zgasł już jakiś czas temu. W celi było tak zimno, że Ye musiała zawinąć się w koc.

Przed zmrokiem przyszła do niej dwójka oficjeli. Starszą, aktywistkę, jej towarzysz przedstawił jako reprezentantkę wojska w średnim sądzie ludowym[1].

– Nazywam się Cheng Lihua – przedstawiła się sama aktywistka.

Miała czterdzieści kilka lat, łagodną twarz i widać było, że w młodości była bardzo ładna. Ubrana była w wojskową kurtkę i nosiła okulary w grubych oprawkach. Kiedy mówiła, uśmiechała się i od razu dawała się polubić. Ye Wenjie wiedziała, że wizyta aktywistki tak wysokiego szczebla u więźniarki, która czeka na proces, jest czymś niezwykłym. Skinęła powściągliwie głową do Cheng i przesunęła się nieco, by zrobić jej miejsce na wąskiej pryczy.

– Ależ tu zimno. Co się stało z piecem? – Cheng spojrzała z przyganą na stojącego w drzwiach celi dyrektora zakładu karnego. – Hmm, jesteś bardzo młoda. Młodsza, niż sobie wyobrażałam.

Usiadła na pryczy obok Ye i zaczęła grzebać w teczce, wciąż mrucząc:

– Wenjie, jesteś bardzo zdezorientowana. Wszyscy młodzi są tacy sami. Im więcej czytacie książek, tym bardziej stajecie się zdezorientowani. Ech, co tu mówić…

Znalazła to, czego szukała. Wyjęła mały plik papierów. Spojrzała na Ye wzrokiem pełnym dobroci i tkliwości.

– Ale to nic wielkiego. Kto nie popełnia błędów w młodości? Ja sama też nie byłam od nich wolna. Należałam wtedy do trupy artystycznej Czwartej

Armii Polowej i specjalizowałam się w śpiewaniu piosenek radzieckich. Pewnego razu oświadczyłam podczas wiecu politycznego, że Chiny powinny przestać być osobnym państwem i przyłączyć się do ZSRR jako jedna z republik. Dzięki temu zostałby umocniony międzynarodowy komunizm. Jaka byłam naiwna! Ale kto nie był naiwny? Co się stało, to się nie odstanie. Kiedy się popełni błąd, ważne jest, by potrafić się do tego przyznać i naprawić go. Potem można kontynuować rewolucję.

Słowa Cheng sprawiły, że Ye poczuła do niej pewną sympatię, ale po tylu ciężkich przejściach nauczyła się ostrożności. Nie śmiała wierzyć w taką dobroć, która była niemal luksusem.

Cheng położyła papiery na łóżku przed Ye i podała jej pióro.

– No więc podpisz to. Potem będziemy mogły porozmawiać szczerze i rozwiązać twoje problemy ideologiczne.

Mówiła tonem matki zachęcającej córkę do jedzenia.

Ye patrzyła w milczeniu na stos papierów. Nie wzięła pióra, nawet się nie poruszyła.

Cheng obdarzyła ją łagodnym uśmiechem.

– Możesz mi zaufać, Wenjie. Osobiście gwarantuję, że ten dokument nie ma nic wspólnego z twoją sprawą. No, dalej. Podpisz.

– Ye Wenjie, przedstawicielka Cheng stara się ci pomóc – dodał jej towarzysz, który stał z boku. – Ciężko pracowała dla twojego dobra.

Cheng uciszyła go machnięciem ręki.

– To zrozumiałe. Biedne dziecko! Jesteś taka przestraszona. Nie wszyscy towarzysze mają wystarczająco wysoką świadomość polityczną. Niektórzy członkowie Korpusu Budowy i sądu ludowego stosują nazbyt uproszczone metody i zachowują się tak niegrzecznie. To zupełnie niestosowne. No dobrze, Wenjie, może przeczytasz ten dokument? Czytaj uważnie.

Ye podniosła papiery i przekartkowała je w mdłym świetle celi. Przedstawicielka Cheng nie kłamała. Ten dokument rzeczywiście nie miał nic wspólnego z jej sprawą.

Dotyczył jej ojca. Był w nim zapis jego spotkań i rozmów z pewnymi osobami. Źródłem informacji była jej młodsza siostra, Wenxue. Jako jedna z najbardziej radykalnych czerwonogwardzistek zawsze aktywnie demaskowała ojca i tworzyła przeróżne doniesienia ujawniające jego rzekome winy. Niektóre z dostarczonych przez nią materiałów doprowadziły w końcu do jego śmierci.

Ale Ye widziała, że ten raport nie wyszedł spod ręki jej siostry. Wenxue miała emocjonalny, impulsywny styl. Kiedy czytało się jej doniesienia, każda linijka wybuchała jak seria ogni sztucznych. Natomiast dokument, który miała przed sobą, napisany został w chłodny, przemyślany sposób i był bardzo drobiazgowy. Kto z kim, kiedy i gdzie rozmawiał, co było przedmiotem rozmowy – podano każdy szczegół, wraz z dokładną datą. Ktoś, kto nie miał doświadczenia, mógł odnieść wrażenie, że jest to nudny dziennik, ale spoza jego treści wyzierały wyrachowanie i ukryty cel, bardzo różniący od dziecinnych wygłupów Wenxue.

Ye nie rozumiała dokładnie, o co chodzi w tym dokumencie, ale wyczuwała, że ma to coś wspólnego z ważnym projektem z zakresu obrony kraju. Jako córka fizyka domyślała się, że odnosi się on do rozpoczętego w 1964 roku programu budowy podwójnej bomby, który doprowadził Chiny do uzyskania pierwszej bomby atomowej i wodorowej, o czym wiadomość wstrząsnęła światem.

Jeśli ktoś chciał w tym okresie rewolucji kulturalnej doprowadzić do upadku osoby piastującej wysokie stanowisko, musiał zebrać dowody jej mankamentów w dziedzinie, za którą była odpowiedzialna. Ale program budowy podwójnej bomby stwarzał wielkie trudności w knuciu takich

intryg. Był mocno chroniony przez najwyższe szczeble rządowe, które nie chciały, by rewolucja kulturalna doprowadziła do zakłóceń w jego realizacji. Tym, którzy mieli nikczemne zamiary, ciężko było się dobrać do kogoś, kto w nim uczestniczył.

Z powodu pochodzenia jej ojciec nie spełniał politycznych wymogów, w związku z czym nie pracował nad budową bomb. Wykonywał tylko jakieś marginalne prace teoretyczne dla potrzeb tego projektu. Ale właśnie dlatego łatwiej go było wykorzystać w niecnym celu niż tych, którzy zatrudnieni byli w głównym zespole. Ye Wenjie nie miała pojęcia, czy to, o czym mówi dokument, jest prawdą czy fałszem, ale była pewna, że każdy znak i każdy przecinek jest bronią polityczną. Oprócz osób, w które ta broń wymierzona była w pierwszym rzędzie, mogły oberwać rykoszetem niezliczone inne.

Pod dokumentem widniał złożony dużymi znakami podpis jej siostry, a Wenjie miała się podpisać jako świadek. Zauważyła, że trzej inni świadkowie już się podpisali.

– Nic nie wiem o tych rozmowach – powiedziała cicho. Odłożyła dokument.

– Jak możesz nie wiedzieć? Wiele z tych rozmów odbyło się w twoim domu. Twoja siostra wiedziała o nich, więc ty też musisz wiedzieć.

– Naprawdę nie wiem.

– Ale te rozmowy rzeczywiście się odbyły. Musisz nam zaufać.

– Nie powiedziałam, że są nieprawdziwe. Ale naprawdę nie wiem o nich, więc nie mogę podpisać.

– Ye Wenjie!

Towarzysz Cheng zrobił krok do przodu, ale aktywistka znowu go powstrzymała. Przysunęła się jeszcze bliżej do Ye i ujęła jej zimną dłoń.

– Wenjie, wyłożę karty na stół. To, jak się potoczy twoja sprawa, zależy w dużym stopniu od prokuratury. Z jednej strony, możemy ją zbagatelizować jako przypadek wykształconej dziewczyny ogłupionej przez reakcyjną książkę. To nic wielkiego. Nie musimy nawet stosować procedury sądowej. Zostaniesz skierowana na kurs ideologiczny, napiszesz samokrytykę i będziesz mogła wrócić do Korpusu Budowy. Z drugiej strony, możemy przeprowadzić pełny proces. Wenjie, musisz wiedzieć, że możesz zostać uznana za aktywną kontrrewolucjonistkę. Otóż w sprawach politycznych, takich jak twoja, organy prokuratury i sądy są raczej zbyt surowe niż zbyt pobłażliwe. Jest tak dlatego, że potraktowanie cię zbyt surowo byłoby błędem w metodzie, natomiast zbyt łagodnie – błędem politycznym. Jednak ostateczna decyzja należy do wojskowej komisji kontrolnej. Oczywiście mówię ci o tym nieoficjalnie.

Jej towarzysz kiwnął głową.

– Przedstawicielka Cheng stara się cię uratować. Podpisało się już pod tym troje świadków. Twoja odmowa złożenia podpisu jest właściwie bez znaczenia. Ye Wenjie, nalegam, żebyś się dobrze zastanowiła.

– Tak – ciągnęła Cheng. – Serce mi się kraje na myśl, że taka wykształcona młoda osoba jak ty może zrujnować sobie życie z powodu czegoś takiego. Naprawdę staram się ciebie uratować. Proszę, żebyś zgodziła się z nami współpracować. Spójrz na mnie. Myślisz, że wyrządziłabym ci krzywdę?

Ale Ye nie patrzyła na przedstawicielkę Cheng. Zamiast niej widziała krew ojca.

– Przedstawicielko Cheng, nie mam żadnej wiedzy o wydarzeniach opisanych w tym dokumencie. Nie mogę go podpisać.

Cheng Lihua umilkła. Przez długą chwilę wpatrywała się w Ye, a zimne powietrze w celi zdawało się gęstnieć. Potem powoli włożyła dokument

z powrotem do teczki i wstała. Jej życzliwa mina nie zniknęła, ale wyglądała jak nałożona na twarz gipsowa maska. Podeszła do stojącego w rogu kubła z wodą do mycia. Podniosła go i poruszając się z metodycznym spokojem, wylała połowę zawartości na Ye, a drugą na jej koc. Potem postawiła kubeł i wyszła z celi, zatrzymawszy się tylko, by mruknąć:

– Ty uparta suko!

Za nią wyszedł dyrektor więzienia. Zanim to zrobił, popatrzył zimno na przemoczoną i ociekającą wodą Ye, po czym zamknął z łoskotem drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Ziąb mongolskiej zimy chwycił Ye przez mokre ubranie jak dłoń olbrzyma. Usłyszała szczękanie swoich zębów, ale w końcu i ten dźwięk zniknął. Zimno przenikało ją do kości, świat przed jej oczami stał się mlecznobiały. Miała wrażenie, że cały Wszechświat zmienił się w potężną bryłę lodu, a ona jest w nim jedyną iskierką życia. Nie miała nawet kilku zapałek, a jedynie złudzenia…

Bryła lodu, w której była uwięziona, stopniowo stała się przezroczysta. Ye widziała przed sobą wysoki budynek. Na jego szczycie młoda dziewczyna machała czerwonym sztandarem. Jej szczupła postać ostro kontrastowała z szerokim sztandarem. To była jej siostra, Wenxue. Odkąd Wenxue zerwała ze swą reakcyjną rodziną pracowników nauki, Wenjie nigdy o niej nie słyszała. Dopiero niedawno dowiedziała się, że jej młodsza siostra zginęła dwa lata temu w jednej z wojen między frakcjami Czerwonej Gwardii.

Po chwili postać powiewająca sztandarem przeistoczyła się w Bai Mulina, w którego okularach odbijały się płomienie szalejące pod budynkiem, potem w przedstawicielkę Cheng, później w Shao Lin, matkę Ye, a na koniec w jej ojca. Zmieniały się osoby dzierżące sztandar, ale on

sam poruszał się bez przerwy, niczym wieczne wahadło, odmierzając resztkę jej krótkiego życia.

Stopniowo sztandar zamazał się, wszystko się zamazało. Lód, który wypełnił Wszechświat, ponownie zamknął ją w środku. Ale tym razem był czarny.

1 W tej fazie rewolucji kulturalnej większość średnich i wyższych sądów ludowych oraz organów prokuratury znajdowała się pod kontrolą komisji wojskowych. Ostateczny głos należał do przedstawicieli wojska [przyp. autora].

3

Czerwony Brzeg I

Ye Wenjie słyszała stały głośny ryk. Nie wiedziała, ile czasu minęło.

Ryk dochodził ze wszystkich stron. W stanie zamglonej świadomości wydawało się jej, jakby jakaś ogromna maszyna przewiercała albo przecinała bryłę lodu, w której się znajdowała. Świat nadal spowijała ciemność, ale ten dźwięk stawał się coraz bardziej rzeczywisty. W końcu nabrała pewności, że jego źródłem nie jest ani niebo, ani piekło.

Zdała sobie sprawę, że wciąż ma zamknięte oczy. Z wysiłkiem podniosła ciężkie powieki. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była lampa osadzona głęboko w suficie. Osłonięta siatką ochronną, emitowała mdłe światło. Sufit wyglądał na zrobiony z metalu.

Usłyszała męski głos wymawiający cicho jej imię.

– Masz wysoką gorączkę – powiedział mężczyzna.

– Gdzie jestem? – Miała tak słaby głos, że nie była pewna, czy wydobywa się z jej ust.

– W helikopterze.

Czuła się słaba i z powrotem zasnęła. Podczas drzemki towarzyszył jej ten ryk. Niebawem znowu się obudziła. Zniknęło odrętwienie, ale nasilił się ból. Czuła łupanie w głowie i w stawach rąk i nóg, a oddech wydobywający

się z jej piersi był bardzo gorący. Gardło bolało ją tak, że kiedy przełykała ślinę, miała wrażenie, jakby łykała kawałki rozżarzonego węgla.

Obróciła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn w takich samych mundurach, jaki nosiła przedstawicielka Cheng. Jednak w odróżnieniu od niej obaj mieli bawełniane czapki Armii Ludowo-Wyzwoleńczej z naszytą z przodu czerwoną gwiazdą. Na kołnierzach ich rozpiętych kurtek widziała insygnia armii. Jeden z mężczyzn był w okularach.

Zobaczyła, że ona też przykryta jest wojskową kurtką. Jej ubranie było suche i ciepłe.

Usiłowała usiąść i ku jej zdumieniu udało się to. Wyjrzała przez okno po drugiej stronie – powoli przepływały za nim chmury, w których odbijało się oślepiające światło słońca. Cofnęła wzrok. Wąska kabina wypełniona była żelaznymi kuframi pomalowanymi na wojskową zieleń. Przez drugie okno zobaczyła migające cienie rzucane przez rotory. Rzeczywiście była w helikopterze.

– Lepiej się nie podnoś – powiedział ten w okularach.

Pomógł jej położyć się z powrotem i znowu przykrył kurtką.

– Ye Wenjie, to twój artykuł?

Drugi mężczyzna rozpostarł przed jej oczami otwarte angielskie pismo. Artykuł nosił tytuł *Możliwość istnienia granic fazowych w strefie promieniowania słonecznego i ich własność odbijania promieni*. Pokazał jej okładkę czasopisma – był to numer „The Journal of Astrophysics” z 1966 roku.

– Oczywiście, że tak. Czy to w ogóle potrzebuje potwierdzenia? – Mężczyzna w okularach odłożył pismo, a potem przedstawił siebie i towarzysza: – To komisarz polityczny Lei Zhicheng z bazy Czerwony Brzeg. Ja jestem Yang Weining, główny inżynier bazy. Mamy godzinę do lądowania. Możesz trochę odpocząć.

„Jesteś Yang Weining?” – pomyślała. Nic nie powiedziała, ale była oszołomiona. Widziała, że Yang ma spokojną minę i wyraźnie nie życzy sobie, żeby ktokolwiek się dowiedział, że się znają. Był jednym z dawnych studentów Ye Zhetaia. Kiedy uzyskał dyplom, Wenjie była na pierwszym roku studiów.

Dobrze pamiętała, jak Yang przyszedł po raz pierwszy do ich domu. Właśnie zaczął studia magisterskie i musiał omówić ze swym promotorem kierunek badań. Powiedział wtedy, że chce się skupić na fizyce eksperymentalnej i stosowanej i trzymać z dala od teorii.

Przypomniała sobie, co powiedział wtedy jej ojciec:

– Nie jestem temu przeciwny, ale przecież jesteśmy wydziałem fizyki teoretycznej. Dlaczego nie chcesz się zająć teorią?

– Chcę się poświęcić problemom naszych czasów, wnieść jakiś wkład do rzeczywistego świata – odparł Yang.

– Teoria jest podstawą nauki stosowanej – rzekł na to ojciec. – Czy największym wkładem w nasze czasy nie jest odkrywanie fundamentalnych praw?

Yang zawahał się i w końcu wyjawił prawdziwą przyczynę swej decyzji:

– W teorii łatwo jest popełnić błąd ideologiczny.

Ojciec nie miał na to co odrzec.

Yang był bardzo utalentowany, miał dobre przygotowanie matematyczne i bystry umysł. Ale podczas studiów magisterskich zawsze zachowywał pełen szacunku dystans wobec swego promotora. Ye Wenjie widziała go kilka razy, ale może pod wpływem ojca nie zwracała na niego zbytniej uwagi. Wkrótce po otrzymaniu dyplomu zerwał wszelkie kontakty z jej ojcem.

Poczuwszy się znowu słabo, Ye zamknęła oczy. Mężczyźni odeszli od niej, przykucnęli za rzędem kufrów i rozmawiali ściszonymi głosami.

Kabina jednak była tak zapchana, że słyszała ich mimo ryku silnika.

– Nadal uważam, że to nie jest dobry pomysł – powiedział komisarz Lei.

– Możesz znaleźć potrzebny mi personel normalnymi kanałami? – zapytał Yang.

– Robiłem, co mogłem. W wojsku nie ma nikogo z tą specjalizacją, a wyjście poza armię rodzi wiele pytań. Bardzo dobrze wiesz, że certyfikat bezpieczeństwa wymagany przy uczestnictwie w tym projekcie wydawany jest tylko tym, którzy gotowi są wstąpić do wojska. Ale jeszcze większym problemem jest zapisany w przepisach dotyczących bezpieczeństwa wymóg przebywania przez długi czas w odizolowanej od świata bazie. Co zrobić, jeśli taka osoba ma rodzinę? Ją też zamknąć w odizolowanej bazie? Nikt by się na to nie zgodził. Znalazłem dwóch potencjalnych kandydatów, ale obaj woleli pozostać w szkołach kadr siódmego maja, niż przybyć tutaj[1]. Oczywiście możemy sprowadzić ich tu siłą, ale ze względu na charakter naszej pracy nie możemy mieć ludzi, którzy nie chcą tu być.

– Wobec tego nie mamy wyboru. Musimy ją wziąć.

– Ale to niezgodne z przyjętymi zasadami.

– Cały ten projekt jest niezgodny z przyjętymi zasadami. Jeśli coś pójdzie nie tak, odpowiedzialność za to biorę na siebie.

– Naprawdę myślisz, że możesz wziąć za to odpowiedzialność? Jesteś specjalistą od spraw technicznych, ale Czerwony Brzeg nie jest w niczym podobny do innych projektów z zakresu obrony kraju. Stopień jego złożoności daleko wykracza poza kwestie techniczne.

– To prawda.

Kiedy wylądowali, był już zmierzch.

Ye nie chciała skorzystać z pomocy Yanga i Leia i wygramoliła się z helikoptera o własnych siłach. Omal nie przewrócił jej silny podmuch wiatru. Wciąż wirujące rotory cięły z głośnym świstem powietrze. Przyniesiony przez wiatr zapach lasu był jej dobrze znany, zresztą sam wiatr też. Był to wiatr gór Wielkiego Chinganu.

Wkrótce usłyszała inny dźwięk – niskie, silne, basowe wycie, które zdawało się tworzyć tło świata, odgłos wydawany pod wpływem uderzeń wiatru przez talerz parabolicznej anteny. Dopiero teraz, gdy znalazła się tak blisko niej, poczuła jej ogrom. Jej życie zatoczyło w tym miesiącu wielkie koło – teraz była na Radarowym Szczycie.

Nie mogła się powstrzymać przed popatrzeniem w stronę swojej kompanii Korpusu Budowy. Zobaczyła jednak tylko pogrążone w półmroku, zasnute mgłą morze drzew.

Helikoptera nie wysłano tylko po to, by ją przywiózł. Podeszło do niego wielu żołnierzy, którzy zaczęli wyładowywać kufry pomalowane na wojskową zieleń. Przechodzili obok niej, nawet na nią nie zerknąwszy. Idąc za Yangiem i Leiem, zauważyła, że na szczycie jest całkiem dużo miejsca. Pod gigantyczną anteną przycupnął niczym klocki do zabawy zespół białych budynków. Całą trójką, z dwoma żołnierzami po bokach, poszli ku bramie bazy. Zatrzymali się przed nią.

Lei odwrócił się do niej i powiedział poważnym tonem:

– Ye Wenjie, dowody na to, że popełniłaś przestępstwo przeciw rewolucji, są niepodważalne i sąd ukarałby cię tak, jak na to zasługujesz. Ale teraz masz szansę odkupienia swoich win przez ciężką pracę. Możesz ją przyjąć lub odrzucić. – Wskazał antenę. – To ośrodek badawczy resortu obrony. W prowadzonych tu badaniach potrzebna jest twoja specjalistyczna wiedza. Główny inżynier Yang może wyjaśnić ci szczegóły, które powinnaś dokładnie rozważyć.

Kiwnął głową do Yanga i przeszedł przez bramę za żołnierzami niosącymi kufry.

Yang zaczekał, aż pozostali się oddalą, i pokazał gestem Ye, by odeszła z nim trochę dalej od bramy, wyraźnie nie chcąc, by podsłuchali ich wartownicy.

Przestał udawać, że jej nie zna.

– Wenjie, pozwól, że postawię sprawę jasno. Nie jest to wspaniała szansa. Dowiedziałem się w wojskowej komisji kontroli, że chociaż Cheng Lihua opowiada się za surową karą dla ciebie, dostaniesz najwyżej dziesięć lat. Biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, odsiedzisz sześć, może siedem lat. Natomiast tutaj – wskazał kiwnięciem głowy bazę – realizujemy projekt badawczy o najwyższym stopniu tajności. Przy twoim statusie prawnym być może – zrobił przerwę, jakby chciał, by wagę jego słów podkreśliło basowe wycie anteny – nie wyjdziesz stąd do końca życia.

– Chcę wejść.

Zaskoczyła go jej szybka odpowiedź.

– Nie spiesz się. Wróć do helikoptera. Odlatuje za trzy godziny i jeśli odrzucisz naszą ofertę, zabierze cię z powrotem.

– Nie chcę wracać. Wejdźmy. – Ye nadal mówiła cicho, ale w jej głosie była determinacja twardsza niż stal. Poza nieodkrytą krainą za granicą śmierci, skąd nikt nigdy nie powrócił, miejscem, w którym najbardziej chciała być, był ten szczyt, odizolowany od reszty świata. Miała tutaj poczucie bezpieczeństwa, którego od dawna nie zaznała.

– Powinnaś być ostrożna. Pomyśl, co oznacza ta decyzja.

– Mogę zostać tutaj do końca życia.

Yang opuścił głowę i nic na to nie powiedział. Patrzył w dal, jakby chciał zmusić Ye do przemyślenia decyzji. Ona też milczała. Owinęła się ciasno kurtką i wpatrywała się w dal. Góry Wielkiego Chinganu znikały

w ciemnościach zapadającej nocy. Zrobiło się tak zimno, że nie można już było dłużej zostać na powietrzu.

Yang ruszył w stronę bramy. Szedł szybko, jakby chciał zostawić Ye samą. Ale ona trzymała się blisko niego. Po ich wejściu na teren bazy dwaj wartownicy zamknęli ciężkie wrota.

Po przejściu kilku kroków Yang zatrzymał się i wskazał antenę.

– To zakrojony na wielką skalę projekt stworzenia nowej broni. Jeśli się powiedzie, uzyskamy coś potężniejszego od bomby atomowej i wodorowej.

Doszli do największego budynku w bazie i Yang pchnął drzwi. Ye ujrzała nad nimi napis „Główny pokój kontroli transmisji”. W środku owionęło ją ciepłe powietrze przesycone zapachem oleju silnikowego. Przestronne pomieszczenie pełne było różnego rodzaju przyrządów i sprzętu. Migały światełka sygnałowe i oscyloskopowe wyświetlacze. Około tuzina operatorów w wojskowych mundurach tkwiło między rzędami instrumentów jak w transzejach na polu walki. Wskutek niekończącego się strumienia poleceń i odpowiedzi panowała tam napięta atmosfera chaosu.

– Tutaj jest cieplej – powiedział Yang. – Zaczekaj chwilę. Zajmę się twoimi sprawami bytowymi i wrócę po ciebie.

Wskazał krzesło i biurko obok drzwi. Ye zobaczyła, że przy biurku już ktoś siedzi – wartownik z pistoletem.

– Wolałabym zaczekać na zewnątrz – odparła.

Yang uśmiechnął się do niej życzliwie.

– Od tej chwili jesteś członkinią personelu. Poza kilkoma miejscami, do których dostęp mają tylko uprawnione osoby, możesz chodzić, gdzie chcesz.

Na jego twarzy pojawił się nagle wyraz skrępowania, kiedy uświadomił sobie znaczenie swoich słów: „Nie będziesz mogła stąd wyjść”.

– Wolę jednak zaczekać na zewnątrz – upierała się Ye.

– Dobrze. – Yang zerknął na wartownika przy biurku, który nie zwracał na nich uwagi. Zdawał się rozumieć niepokój Ye. Wyprowadził ją z głównego pokoju kontroli. – Stań gdzieś, gdzie będziesz miała osłonę przed wiatrem. Wrócę za kilka minut. Muszę tylko kazać komuś napalić w twoim pokoju – warunki w bazie nie są zbyt dobre, nie mamy centralnego ogrzewania.

Ye została tuż przy drzwiach. Ogromna antena znajdowała się za jej plecami i przesłaniała pół nieba. Z miejsca, gdzie stała, słyszała odgłosy dobiegające z sali kontroli. Nagle ustał chaotyczny strumień poleceń i odpowiedzi i zapanowała kompletna cisza. Do uszu Ye dochodził tylko niski buczący dźwięk, który od czasu do czasu wydawał jakiś instrument pomiarowy.

Ciszę przerwał donośny męski głos:

– Armia Ludowo-Wyzwoleńcza, Drugi Korpus Artylerii[2], Baza Czerwony Brzeg, transmisja sto czterdziesta siódma. Autoryzacja potwierdzona. Zaczynamy trzydziestosekundowe odliczanie.

– Klasyfikacja celu: A-3. Seryjny numer współrzędnych: BN20197F. Pozycja sprawdzona i potwierdzona. Dwadzieścia pięć sekund.

– Numer rejestru transmisji: 22. Uzupełnienia: brak. Kontynuacja: brak. Zapis w rejestrze transmisji wprowadzony. Dwadzieścia sekund.

– Sekcja energii melduje: wszystkie systemy uruchomione.

– Sekcja kodowania melduje: wszystkie systemy uruchomione.

– Sekcja wzmocnienia melduje: wszystkie systemy uruchomione.

– Sekcja śledzenia zakłóceń melduje: w zakresie możliwym do przyjęcia.

– Doszliśmy do punktu, z którego nie ma odwrotu. Piętnaście sekund.

Znowu wszystko ucichło. Po piętnastu sekundach zawył klakson i zaczęło szybko mrugać czerwone światło na szczycie anteny.

– Rozpocząć transmisję! Do wszystkich sekcji: kontynuować monitorowanie!

Ye poczuła lekkie swędzenie na twarzy. Wiedziała, że musiało się pojawić niezwykle silne pole elektryczne. Podniosła głowę, spojrzała w stronę, w którą skierowana była antena, i zobaczyła, że chmura na nocnym niebie jarzy się przyćmionym niebieskim blaskiem, tak mdłym, że początkowo pomyślała, iż to złudzenie. Ale kiedy chmura odpłynęła, światło zniknęło. Tę samą poświatę zaczęła rzucać inna chmura, która przesunęła się w to miejsce.

Usłyszała znowu krzyki z pokoju kontroli.

– Awaria w sekcji energii. Spalił się magnetron numer trzy.

– Sekcja wsparcia przystępuje do działania: wszystkie systemy sprawne.

– Osiągnęliśmy pierwszy punkt kontrolny. Wznawiamy transmisję.

Ye usłyszała trzepot. Mimo mgły widziała, jak z lasów pod szczytem podnoszą się cienie i wzbijają w czarne niebo. Nie miała pojęcia, że w środku zimy można wypłoszyć z lasu tyle ptaków. Potem ujrzała przerażającą scenę: stado ptaków wleciało w obszar, na który skierowana była antena, i – dobrze widoczne na tle świecącej bladym blaskiem chmury – spadło na ziemię.

Proces ten trwał około piętnastu minut. Potem czerwone światło na szczycie anteny zgasło, zniknęło też swędzenie twarzy. Z pokoju kontroli znowu zaczął dobiegać chaotyczny szmer rozkazów i odpowiedzi, a donośny męski głos kontynuował:

– Sto czterdziesta siódma transmisja z Czerwonego Brzegu zakończona. Zamykamy systemy transmisyjne. Czerwony Brzeg wchodzi w fazę monitorowania. Proszę przesłać dane z punktu kontrolnego. Wszystkie

sekcje wypełniają dzienniki transmisji. Zebranie szefów wszystkich sekcji w sali odpraw. Skończyliśmy.

Wszystko umilkło, tylko nadal zawodził wiatr omiatający antenę. Ye patrzyła, jak stada ptaków siadają z powrotem w lesie. Spojrzała na antenę i pomyślała, że wygląda ona jak obdarzona eteryczną siłą ogromna otwarta dłoń wyciągnięta ku niebu. Przyglądając się niebu, nie znalazła celu opatrzonego seryjnym numerem BN20197F. Za pasmami chmur widziała tylko gwiazdy. Była zimna noc 1969 roku.

1 Szkoły kadr siódmego maja były podczas rewolucji kulturalnej obozami pracy, w których poddawano „reedukacji” kadry partyjne i inteligencję.

2 Drugi Korpus Artylerii sprawuje kontrolę nad chińskimi pociskami nuklearnymi.

Część II

Trzy ciała

4

Granice Nauki

Trzydzieści osiem lat później

Wang Miao pomyślał, że czterej ludzie, którzy po niego przyszli, tworzyli dość dziwny zespół: dwóch gliniarzy i dwóch facetów w wojskowych mundurach. Gdyby ci drudzy byli umundurowanymi i uzbrojonymi policjantami, byłoby to w miarę zrozumiałe, ale byli to oficerowie Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Gdy tylko zobaczył policjantów, zirytował się. Młodszy był w porządku – przynajmniej był uprzejmy – natomiast drugi, w cywilnym ubraniu, z miejsca zaczął mu działać na nerwy. Był mocno zbudowany i miał mięsistą twarz. W brudnej skórzanej marynarce, śmierdzący papierosami i głośno mówiący, był typowym przykładem ludzi, którymi Wang gardził.

– Wang Miao?

Sposób, w jaki gliniarz się do niego zwrócił, tak bezpośrednio i nieuprzejmie, zdezorientował Wanga. Jakby tego było mało, jednocześnie zapalił papierosa, nawet nie podnosząc głowy, by pokazać twarz. Zanim Wang zdążył odpowiedzieć, kiwnął głową do młodszego, który pokazał mu swoją odznakę.

Zapaliwszy papierosa, starszy gliniarz ruszył, by wejść do mieszkania Wanga.

– Proszę nie palić w moim domu – rzekł Wang i zagrodził mu drogę.

– Och, przepraszam, profesorze Wang. – Młodszy funkcjonariusz uśmiechnął się. – To kapitan Shi Qiang.

Spojrzał błagalnie na Shi.

– Dobrze, możemy porozmawiać na korytarzu – powiedział Shi. Zaciągnął się głęboko. Prawie połowa papierosa zmieniła się w popiół, a on nie wydmuchnął dymu. Przechylił głowę w stronę młodszego policjanta. – Wobec tego ty go pytaj.

– Profesorze Wang, chcemy się dowiedzieć, czy miał pan ostatnio jakiś kontakt z członkami Granic Nauki – powiedział młodszy gliniarz.

– Granice Nauki to bardzo wpływowa organizacja, do której należy wielu sławnych uczonych. Dlaczego miałbym nie utrzymywać kontaktów z legalną międzynarodową grupą akademików?

– Niech pan sobie uświadomi, co pan mówi! – rzekł Shi. – Czy powiedzieliśmy choć słowem, że jest nielegalna? Powiedzieliśmy choć słowem, że nie wolno panu kontaktować się z nimi?

Na koniec dmuchnął mu dymem, który wcześniej wciągnął do płuc, prosto w twarz.

– Dobrze. To dotyczy moich spraw prywatnych. Nie muszę odpowiadać na wasze pytania.

– To sprawa *prywatna*? Jest pan sławnym naukowcem. Ma pan obowiązek dbać o interes publiczny.

Shi odrzucił niedopałek i wyjął z wymiętej paczki następnego papierosa.

– Mam prawo odmówić odpowiedzi. Proszę odejść.

Wang odwrócił się, żeby wrócić do mieszkania.

– Zaczekaj pan! – krzyknął za nim Shi. Skinął na młodego glinę, który stał obok niego. – Daj mu adres i numer telefonu. Może pan wpaść po południu.

– Czego chcecie? – zapytał Wang głosem, w którym teraz pobrzmiewała złość. Sprzeczka wywabiła na korytarz sąsiadów, ciekawych, co się dzieje.

– Kapitanie Shi! Powiedział pan, że…

Młodszy gliniarz odciągnął Shi na bok i dalej mówił do niego ściszonym, naglącym głosem. Widocznie nie tylko Wanga drażniło jego grubiaństwo.

– Profesorze Wang, niech nas pan nie zrozumie źle. – Jeden z oficerów, major, wysunął się do przodu. – Dziś po południu jest ważne spotkanie, na które ma przybyć kilku naukowców i specjalistów. Generał przysłał nas z zaproszeniem dla pana.

– Po południu jestem zajęty.

– Wiemy. Generał rozmawiał już z szefem Centrum Badawczego Nanotechnologii. To spotkanie nie może się odbyć bez pana. Jeśli nie może pan przyjść, będziemy musieli zmienić jego termin.

Shi i młody gliniarz nic nie powiedzieli. Obaj odwrócili się i zeszli po schodach. Wojskowi patrzyli, jak odchodzą, i wydawało się, że odetchnęli z ulgą.

– Co jest z tym facetem? – zapytał major szeptem drugiego oficera.

– Ma nieźle nabazgrane. Parę lat temu, w sytuacji, kiedy wzięto zakładników, zachował się lekkomyślnie, nie licząc się z ich życiem. Skończyło się na tym, że trzyosobowa rodzina zginęła z rąk bandytów. Chodzą plotki, że przyjaźni się też z niektórymi członkami grup zajmujących się przestępczością zorganizowaną i napuszcza jeden gang na drugi. W zeszłym roku wymusił zeznania torturami i doprowadził jednego z podejrzanych do trwałego kalectwa, wskutek czego został zawieszony…

– Jak taki człowiek może być członkiem centrum dowodzenia walką?

– Generał poprosił konkretnie o niego. Przypuszczam, że musi mieć jakieś szczególne umiejętności. W każdym razie jego obowiązki są dość ograniczone. Poza sprawami związanymi z bezpieczeństwem publicznym nie dopuszcza się do tego, by dużo wiedział.

„Centrum dowodzenia walką?” – pomyślał Wang i spojrzał ze zdumieniem na obu oficerów.

Samochód, który przysłano po Wang Miao, zatrzymał się przed dużym blokiem na przedmieściu. Nad drzwiami nie było żadnego napisu, tylko numer, więc Wang wywnioskował, że jest to raczej budynek wojskowy niż policyjny.

Kiedy wszedł do dużej sali konferencyjnej, zaskoczył go panujący tam chaos. Zobaczył wokół wiele komputerów w różnym stanie nieładu. Gdy zabrakło dla nich miejsca na stołach, położono kilka stacji roboczych na podłodze, gdzie wiła się plątanina kabli i przewodów łączących je z siecią. Zamiast ustawić je porządnie na półkach, umieszczono routery byle jak na serwerach. Wszędzie walał się papier do drukarek. W rogach stało pod dziwnymi kątami, jak namioty w obozie cygańskim, kilka ekranów. Pomieszczenie spowijały kłęby dymu papierosowego… Wang Miao nie był pewien, czy jest to centrum dowodzenia, ale jedno było dla niego oczywiste: bez względu na to, czym się tam zajmowano, było to ważniejsze od utrzymania pozorów.

Na stole konferencyjnym, utworzonym przez zestawienie kilku mniejszych stolików, piętrzyły się stosy dokumentów i przeróżnych drobiazgów. Uczestnicy spotkania byli w wymiętych ubraniach i wyglądali na wyczerpanych. Sprawiali wrażenie, jakby byli na nogach całą noc.

Zebraniu przewodniczył generał brygady nazwiskiem Chang Weisi, a połowa obecnych była oficerami wojska. Pozostali byli, podobnie jak Wang, nauczycielami akademickimi. Paru spośród nich było wybitnymi naukowcami zajmującymi się badaniami podstawowymi.

Zauważył też czterech obcokrajowców. Ich tożsamość zaszokowała go: pułkownik sił powietrznych Stanów Zjednoczonych i pułkownik armii brytyjskiej, obaj związani z NATO, oraz dwóch oficerów CIA. Najwyraźniej występowali tu jako obserwatorzy.

Z twarzy wszystkich siedzących przy stole Wang mógł wyczytać to samo: „Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Kończmy z tym już, do cholery".

Dostrzegł Shi Qianga. Teraz nie był on już tak gruboskórny jak wcześniej i witając się z nim, nazwał go profesorem. Ale Wanga zirytował uśmieszek na jego twarzy. Nie chciał usiąść koło Shi, ale nie miał wyboru, bo było to jedyne wolne miejsce. Gęsty już wcześniej obłok dymu zgęstniał jeszcze bardziej.

Kiedy uczestnikom spotkania rozdawano dokumenty, Shi przysunął się bliżej do Wanga.

– Panie profesorze, jak rozumiem, bada pan jaki… nowy materiał?

– Nanomateriał – odparł Wang.

– Słyszałem o tym. Jest naprawdę mocny, prawda? Uważa pan, że mógłby zostać użyty w celach przestępczych?

– Co ma pan na myśli?

– Ha! Słyszałem, że tego materiału można by użyć do podniesienia ciężarówki. Gdyby ukradli go przestępcy i zrobili z niego nóż, nie mogliby przekroić jednym cięciem samochodu?

– Nie ma nawet potrzeby robić z niego noża. Z materiału tego rodzaju można zrobić nić o grubości jednej setnej włosa. Gdyby rozciągnął ją pan

w poprzek drogi, jadący nią samochód zostałby rozkrojony na dwie części jak ser… ale czego nie można wykorzystać do popełnienia przestępstwa? Nawet nóż do skrobania ryb może się stać narzędziem zbrodni!

Shi wyciągnął do połowy dokument z leżącej przed nim koperty i z powrotem go wsunął, tracąc nagle zainteresowanie.

– Ma pan rację. Do popełnienia zbrodni można wykorzystać nawet rybę. Prowadziłem kiedyś sprawę morderstwa. Pewna suka odcięła mężowi klejnoty rodowe. Wie pan, czego użyła? Zamrożonej tilapii, którą wyjęła z lodówki. Płetwa na jej grzbiecie była ostra jak brzytwa…

– Nie interesuje mnie to. Zaprosił mnie pan na to spotkanie tylko po to, żeby o to zapytać?

– O rybę? O nanomateriały? Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Shi przytknął usta do jego ucha. – Niech pan nie będzie dla nich miły. Są do nas uprzedzeni. Chcą tylko uzyskać od nas informacje, ale nic nam nie powiedzą. Niech pan popatrzy na mnie. Uczestniczę w tym od miesiąca i nadal nic nie wiem, tak jak pan.

– Towarzysze – powiedział generał Chang – zaczynajmy. Ze wszystkich stref walk na Ziemi ta jest punktem centralnym. Musimy przedstawić wszystkim zebranym tu towarzyszom obecną sytuację.

Niezwykły termin „strefa walk” zdumiał Wanga. Profesor zwrócił też uwagę na to, że generał zdawał się nie chcieć wyjaśnić nowym uczestnikom, takim jak on, kontekstu tego, czym się tu zajmowano. Potwierdzało to tezę Shi. Poza tym podczas krótkiego otwarcia zebrania generał użył dwukrotnie słowa „towarzysze”. Wang spojrzał na siedzących naprzeciw niego oficerów NATO i CIA i pomyślał, że generał nie uznał za stosowne dodać „panowie”.

– Oni też są towarzyszami. W każdym razie wszyscy tutaj tak się do siebie odnoszą – szepnął Shi, wskazując papierosem czterech

cudzoziemców.

Chociaż Wang nadal nie mógł wyjść ze zdumienia, dar obserwacji Shi zrobił na nim wrażenie.

– Da Shi, niech pan zgasi papierosa. Dosyć jest już tutaj dymu – powiedział generał Chang, kartkując jakieś dokumenty. Nazwał Shi Qianga jego przydomkiem: Wielki Shi.

Shi rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie mógł znaleźć popielniczki. W końcu włożył papierosa do filiżanki z herbatą. Podniósł rękę i zanim Chang zdążył to zauważyć, powiedział głośno:

– Generale, mam prośbę, którą złożyłem już wcześniej – chcę równego dostępu do informacji.

Generał podniósł głowę.

– Nie było jeszcze takiej operacji wojskowej, w której wszyscy mieliby równy dostęp do informacji. Muszę przeprosić wszystkich obecnych tu naukowców, ale nie możemy przedstawić wam szerszego kontekstu tej sprawy.

– Ale my to co innego – rzekł Shi. – Policja jest od samego początku częścią centrum dowodzenia walką. Mimo to nadal nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Cały czas wypychacie policję. Dowiadujecie się od nas wszystkiego, co potrzebujecie, o naszych technikach operacyjnych, a potem odsyłacie nas jednego po drugim.

Kilku innych oficerów policji obecnych w sali zaczęło szeptać do Shi, żeby się uciszył. Wanga zdziwiło, że Shi ośmiela się mówić w taki sposób do człowieka w stopniu, jaki miał Chang. Ale jeszcze bardziej zdziwiła go odpowiedź generała.

– Da Shi, chyba wciąż masz ten sam problem, który miałeś jeszcze w armii. Uważasz, że możesz się wypowiadać w imieniu policji? Z powodu kiepskiej reputacji byłeś już na kilka miesięcy zawieszony i miałeś zostać

usunięty ze służby. Poprosiłem akurat o ciebie, bo cenię twoje doświadczenie w pilnowaniu porządku w mieście. Powinieneś się cieszyć z tej szansy.

– A więc mam pracować w nadziei, że się zrehabilituję dobrą służbą? – zapytał Shi tym samym co poprzednio szorstkim tonem. – Wydawało mi się, że określił pan wszystkie stosowane przeze mnie metody jako nieuczciwe i nieczyste.

– Ale skuteczne. – Chang kiwnął głową do Shi. – Zależy nam tylko na tym, by były skuteczne. Podczas wojny nie możemy pozwolić sobie na skrupuły.

– Nie możemy być zbyt uczciwi – powiedział jeden z oficerów CIA doskonałym standardowym językiem mandaryńskim. – Nie możemy już polegać na konwencjonalnym myśleniu.

Brytyjski pułkownik najwyraźniej też znał chiński. Pokiwał głową.

– To be, or not to be – dodał po angielsku.

– Co on mówi? – zapytał Shi Wanga.

– Nic – odparł machinalnie Wang.

Ludzie siedzący przed nim zdawali się przemawiać jak we śnie. „Podczas wojny? Gdzie się toczy ta wojna?” – pomyślał. Okręcił się na krześle i spojrzał przez jedno z sięgających od sufitu do podłogi okien. W oddali widział Pekin skąpany w blasku wiosennego słońca – samochody wypełniały ulice jak rzeka, na trawniku ktoś spacerował z psem, bawiły się dzieci…

„Co jest bardziej realne? Świat w tych murach czy za nimi?”

– Ostatnio nieprzyjaciel nasilił ataki – powiedział generał Chang. – Celami pozostaje elita naukowców. Proszę zacząć od przyjrzenia się liście nazwisk w dokumencie.

Wang podniósł pierwszą kartkę dokumentu, zadrukowaną dużą czcionką. Wydawała się zrobiona w pośpiechu, zawierała nazwiska chińskie i angielskie.

– Profesorze Wang, czy coś zwraca pańską uwagę, kiedy czyta pan tę listę? – zapytał generał Chang.

– Znam trzy z tych nazwisk. To słynni uczeni należący do awangardy fizyki.

Wang był trochę zdekoncentrowany. Jego spojrzenie padło na ostatnie nazwisko na liście. W jego oczach te dwa znaki nabrały innego zabarwienia niż nazwiska, które były nad nimi.

„Jak mogło się tu pojawić jej nazwisko? Co się z nią stało?”

– Zna ją pan? – Shi wskazał je grubym, żółtym od tytoniu palcem. Wang nie odpowiedział. – Ha. A więc nie. Ale *chce* pan ją poznać?

Teraz Wang Miao zrozumiał, dlaczego generał Chang poprosił o tego człowieka, który kiedyś służył pod jego dowództwem. Shi, który wydawał się taki wulgarny i niedbały, miał oczy ostre jak noże. Może nie był dobrym gliną, ale na pewno takim, którego trzeba się bać.

Przed rokiem Wang Miao kierował zespołem wytwarzającym części w skali nano do budowy Sinotrona II, akceleratora wysokiej częstotliwości w Liangxiangu. Pewnego popołudnia, podczas krótkiej przerwy, jego uwagę przykuła rozgrywająca się przed nim scena. Jako entuzjasta fotografowania krajobrazów Wang często patrzył na otaczające go widoki jak na kompozycje artystyczne.

Głównym elementem tej kompozycji był solenoid nadprzewodzącego magnesu. Wysoki na trzy i pół piętra, dopiero w połowie gotowy, wyglądał jak potwór składający się z ogromnych bloków metalu i splątanej sieci

kriogenicznych rur chłodzących. Konstrukcja ta, niczym kupa złomu z okresu rewolucji przemysłowej, emanowała nieludzką technologiczną surowością i zakutym w stal barbarzyństwem.

Przed tym metalowym monstrum stała szczupła młoda kobieta. Również oświetlenie tej kompozycji było fantastyczne – metalowy potwór pogrążony był w cieniu rusztowań, który podkreślał jego toporny, surowy kształt, ale przez otwór w środku rusztowania wpadał pojedynczy promień zachodzącego słońca i skupiał się na postaci tej kobiety. Rozjaśniał jej miękkie włosy i podkreślał biel szyi nad kołnierzem kombinezonu. Wyglądała jak kwiat, który zakwitł na metalowych ruinach po przejściu gwałtownej burzy…

– Na co się gapisz? Wracaj do pracy!

Wytrąciło to Wanga z zadumy, ale wtedy zdał sobie sprawę, że dyrektor Centrum Badawczego Nanotechnologii krzyczy nie do niego, lecz do młodego inżyniera, który też przyglądał się tej kobiecie. Powróciwszy ze sfery artystycznego rozmarzenia do rzeczywistości, Wang stwierdził, że nie była ona zwykłą pracownicą, bo obok niej stał główny inżynier i z szacunkiem coś jej wyjaśniał.

– Kto to jest? – zapytał dyrektora.

– Powinien pan ją znać – odparł tamten, zataczając ręką szeroki łuk. – Prawdopodobnie pierwszy eksperyment, który przeprowadzimy w tym wartym dwadzieścia miliardów juanów akceleratorze, będzie testem jej teorii superstrun. W fizyce teoretycznej normalnie liczy się starszeństwo, a ona nie ma tyle lat, żeby dać jej pierwszeństwo, ale starsi naukowcy, w obawie, że może się im nie udać i stracą twarz, nie odważyli się zrobić pierwszego kroku. Dlatego dostała szansę.

– Co? Yang Dong jest… kobietą?

– W rzeczy samej – odparł dyrektor. – Dowiedzieliśmy się o tym dopiero dwa dni temu, kiedy w końcu się z nią spotkaliśmy.

– Ma jakieś problemy psychiczne? – zapytał młodszy inżynier. – No bo jeśli nie, to dlaczego nigdy nie zgodziła się udzielić wywiadu? Może jest jak Qian Zhongshu[1], którego nikt do końca jego życia nie widział w telewizji.

– Ale przynajmniej wiedzieliśmy, jakiej Qian jest płci. Założę się, że ona w dzieciństwie musiała doznać jakichś traumatycznych przeżyć. Może dlatego jest nieco autystyczna.

Słowa Wanga były zabarwione lekką autoironią.

Yang podeszła bliżej z głównym inżynierem. Kiedy ich mijali, uśmiechnęła się do Wanga i do pozostałych, kiwnąwszy głową, ale nic nie powiedziała. Wang zapamiętał jej przejrzyste oczy.

Wieczorem usiadł w gabinecie i podziwiał kilka wiszących na ścianach zdjęć krajobrazu, z których był najbardziej dumny. Jego wzrok padł na scenę przedstawiającą odludną dolinę, a za nią górę ze szczytem pokrytym śniegiem. Na pierwszym planie znajdował się zajmujący jedną trzecią zdjęcia pień martwego drzewa zniszczonego kaprysami pogody. W wyobraźni umieścił na odległym końcu doliny postać, która trwała w jego pamięci. Nagle cała scena ożyła, jakby świat na fotografii rozpoznał tę drobną postać i zareagował wyłącznie na nią.

Potem wyobraził ją sobie na każdym z pozostałych zdjęć, czasami nakładając jej oczy na puste niebo nad krajobrazem. Również i te obrazy ożyły, zyskując piękno, jakiego wcześniej nie widział.

Zawsze myślał, że jego zdjęciom brak jest duszy. Teraz zrozumiał, że brakowało im jej.

– Wszyscy fizycy z tej listy popełnili w ostatnich dwóch miesiącach samobójstwo – oznajmił generał Chang.

Wang siedział jak rażony piorunem. Stopniowo jego czarno-białe krajobrazy zatarły się i w jego umyśle pojawiła się pustka. Na zdjęciach nie było już jej postaci, jej oczy zniknęły z nieba. Wszystkie te światy były martwe.

– Kiedy… to się stało? – zapytał machinalnie.

– W ostatnich dwóch miesiącach – powtórzył Chang.

– Chodzi panu o to ostatnie nazwisko, prawda? – rzekł z satysfakcją Shi. – Ona zabiła się dwa dni temu. Wzięła za dużo tabletek nasennych. Umarła bardzo spokojnie. Nie czuła żadnego bólu.

Przez chwilę Wang był mu wdzięczny.

– Dlaczego? – zapytał. Przez umysł nadal przebiegały mu martwe krajobrazy z jego zdjęć.

– Możemy być pewni tylko jednego – odparł generał Chang. – Wszyscy popełnili samobójstwo z tego samego powodu. Ale trudno jest to wyrazić słowami. Może nawet trudno jest nam, niespecjalistom, zrozumieć ten powód. Ten dokument zawiera fragmenty ich listów pożegnalnych i po spotkaniu każdy będzie mógł się z nimi zapoznać.

Wang przekartkował notatki – wszystkie wydawały się długimi esejami.

– Doktorze Ding, mógłby pan pokazać profesorowi Wangowi list Yang Dong? Jej jest najkrótszy i chyba najbardziej reprezentatywny.

Mężczyzna, do którego zwrócił się generał, dotychczas ani razu się nie odezwał. Po kolejnej chwili milczenia wyjął białą kopertę i podał ją Wangowi.

– On był chłopakiem Yang – szepnął Shi.

Wang przypomniał sobie, że widział już Dinga na budowie akceleratora cząstek w Liangxiangu. Był on teoretykiem i stał się sławny dzięki

odkryciu makroatomu podczas badań nad piorunem kulistym[2]. Wang wyjął z koperty wąski pasek o nieregularnych brzegach, który wydzielał słaby zapach – nie papier, lecz korę brzozy. Widniał na nim jeden rząd eleganckich znaków:

> „Wszystkie dowody prowadzą do jednego wniosku: fizyka nigdy nie istniała i nigdy nie będzie istnieć. Wiem, że to, co robię, jest nieodpowiedzialne, ale nie mam wyboru".

Pod znakami nie było nawet podpisu. Yang nie żyła.

– Fizyka… nie istnieje? – rzekł Wang. Nie wiedział, co myśleć.

Generał Chang zamknął teczkę.

– Są pewne konkretne informacje w związku z wynikami eksperymentów, uzyskanymi po zakończeniu budowy trzech najnowszych akceleratorów cząstek na świecie. To ściśle techniczne dane, więc nie będziemy ich tutaj omawiać. Nasze śledztwo skupia się przede wszystkim na Granicach Nauki. UNESCO ogłosiła rok 2005 światowym rokiem fizyki i z licznych konferencji naukowych i rozmów, które odbyły się wtedy między fizykami, wyłoniła się ta organizacja. Doktorze Ding, skoro jest pan fizykiem teoretycznym, może pan nam powiedzieć o niej coś więcej?

Ding skinął głową.

– Nie mam bezpośrednich kontaktów z Granicami Nauki, ale to organizacja słynna w środowisku naukowym. Jej głównym celem jest rozwiązanie następującego problemu. Od drugiej połowy dwudziestego wieku fizyka stopniowo traci zwięzłość i prostotę charakterystyczną dla jej klasycznych teorii. Współczesne modele teoretyczne stają się coraz bardziej skomplikowane, niejasne i niepewne. Także ich eksperymentalna weryfikacja jest coraz trudniejsza. To znak, że – jak się zdaje – fizyka doszła do ściany. Członkowie Granic Nauki postulują nowy sposób

myślenia. Ujmując to prosto, chcą wykorzystać metody nauki do odkrycia jej granic, spróbować stwierdzić, czy jest granica poznania przyrody przez naukę – granica, której nie jest ona w stanie przekroczyć. Rozwój fizyki w obecnych czasach zdaje się świadczyć, że dotarliśmy do tej granicy.

– Dobrze – powiedział generał Chang. – Z naszego dochodzenia wynika, że większość naukowców, którzy popełnili samobójstwo, miała jakieś powiązania z Granicami Nauki, a niektórzy byli nawet członkami tej organizacji. Nie znaleźliśmy jednak żadnych dowodów na używanie technik podobnych do manipulacji psychologicznych stosowanych przez kulty religijne ani narkotyków. Innymi słowy, jeśli Granice Nauki wpłynęły na nich, to tylko przez zgodną z prawem wymianę poglądów naukowych. Profesorze Wang, ponieważ ostatnio skontaktowali się z panem, chcielibyśmy, żeby zebrał pan trochę informacji.

Shi dodał szorstko:

– Włącznie z nazwiskami osób, z którymi będzie się pan kontaktował, czasem i miejscem spotkań, treścią waszych rozmów oraz wyjaśnieniem, czy wymieniliście listy albo maile…

– Zamknij się, Da Shi! – zgromił go generał.

Inny oficer policji nachylił się do Shi i rzekł szeptem:

– Myślisz, że zapomnimy, że masz usta, jeśli nie będziesz ich cały czas używał?

Shi podniósł filiżankę, zobaczył, że w herbacie zatopiony jest niedopałek, i odstawił.

Wypowiedź Shi ponownie zirytowała Wanga. Poczuł się jak ktoś, kto połknął muchę w zupie, i wdzięczność, którą odczuwał wobec niego wcześniej, zniknęła bez śladu. Opanował się jednak i odparł:

– Moje kontakty z Granicami Nauki zaczęły się poprzez Shen Yufei. To japońska fizyczka chińskiego pochodzenia, która obecnie pracuje

w japońskiej firmie w Pekinie. Kiedyś pracowała nad nanotechnologią w laboratorium Mitsubishi. Na początku tego roku poznałem ją na konferencji technicznej. Dzięki niej spotkałem się z kilkoma innymi fizykami, członkami Granic Nauki. Niektórzy są Chińczykami, inni nie. Kiedy z nimi rozmawiałem, wszystkie poruszane przez nich tematy były… sam nie wiem, jak to określić. Bardzo niezwykłe. Wszystkie dotyczyły pytania, które przytoczył doktor Ding: Gdzie jest granica nauki? Początkowo nie bardzo interesowały mnie te tematy. Uważałem, że to czcza rozrywka. Zajmuję się badaniami stosowanymi i niewiele wiem o tych teoretycznych kwestiach. Skupiałem się głównie na przysłuchiwaniu się ich dyskusjom i sporom. To byli ludzie głęboko myślący i mieli nowatorski punkt widzenia, więc czułem, że te rozmowy otwierają mi umysł. Stopniowo zaczęło mnie to wciągać. Ale cała nasza rozmowa ograniczała się do czystej teorii. W końcu zaproponowali, żebym się przyłączył do Granic Nauki. Ale gdybym to zrobił, uczestniczenie w dyskusjach stałoby się obowiązkiem. Mam ograniczony czas i siły, więc odmówiłem.

– Profesorze Wang – powiedział generał Chang – chcielibyśmy, żeby przyjął pan to zaproszenie i wstąpił do Granic Nauki. To główny powód, dla którego zaprosiliśmy tu pana dzisiaj. Przez pana chcielibyśmy dowiedzieć się więcej o wewnętrznym funkcjonowaniu tej organizacji.

– Chcecie, żebym został wtyczką? – Wang poczuł się nieswojo.

– Wtyczką! – rzekł ze śmiechem Shi.

Chang skarcił go wzrokiem. Odwrócił się z powrotem do Wanga.

– Chcemy tylko, żeby dostarczył nam pan trochę informacji. Nie mamy innej możliwości dotarcia do wnętrza tej organizacji.

Wang potrząsnął głową.

– Przykro mi, generale, ale nie mogę tego zrobić.

– Profesorze Wang, Granice Nauki skupiają naukowców ze światowej elity. Zbadanie tej organizacji jest sprawą bardzo złożoną i drażliwą. To jak chodzenie po kruchym lodzie. Bez pomocy kogoś ze świata nauki nie osiągniemy w tej sprawie żadnego postępu. Dlatego występujemy z tą prośbą. Ale szanujemy pana poglądy. Jeśli się pan nie zgodzi, zrozumiemy.

– Mam nawał pracy. Brakuje mi czasu.

Generał Chang skinął głową.

– W porządku. Profesorze Wang, nie będziemy dłużej pana zatrzymywać. Dziękuję za przybycie na to spotkanie.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do Wanga, że może odejść.

Generał Chang uprzejmie odprowadził go do drzwi. Usłyszeli za sobą donośny głos Shi:

– Tak będzie lepiej. Zresztą nie zgadzam się z tym planem. Zabiło się już tyle moli książkowych. Gdybyśmy go wysłali, byłby pierożkiem mięsnym rzuconym psom.

Wang odwrócił się i podszedł do niego. Tłumiąc złość, oznajmił:

– Dobrzy policjanci nie powinni się wypowiadać w taki sposób.

– A kto powiedział, że jestem dobrym gliną?

– Nie wiemy, dlaczego ci badacze się zabili, ale nie powinien pan mówić o nich z taką pogardą. Ich umysły wniosły trwały wkład do dobra ludzkości.

– Mówi pan, że są lepsi ode mnie? – Nadal siedząc, Shi podniósł głowę i spojrzał Wangowi w oczy. – Przynajmniej się nie zabiłem, bo ktoś naopowiadał mi jakichś bzdur.

– Myśli pan, że ja bym się zabił?

– Muszę się troszczyć o pańskie bezpieczeństwo.

Znowu ten ironiczny uśmieszek, który był znakiem firmowym Shi.

– Myślę, że w takich sytuacjach byłbym bezpieczniejszy niż pan. Na pewno pan wie, że zdolność jakiejś osoby do poznania prawdy jest wprost proporcjonalna do wiedzy tej osoby.

– Nie jestem tego pewien. Weźmy kogoś takiego jak pan…

– Ucisz się, Da Shi! – powiedział generał Chang. – Jeszcze jedno zdanie i wylecisz stąd!

– Nic się nie stało – rzekł Wang. – Niech pan pozwoli mu mówić. – Odwrócił się do generała. – Zmieniłem zdanie. Przyłączę się do Granic Nauki, jak pan sobie życzył.

– Znakomicie! – Shi energicznie kiwnął głową. – Niech pan zachowa czujność. Niech pan zbiera informacje, kiedy to tylko będzie możliwe. Może pan na przykład zerknąć na ekrany ich komputerów, zapamiętać adres poczty elektronicznej albo strony internetowej…

– Dość! Źle mnie pan zrozumiał. Nie chcę być szpiegiem. Chcę tylko udowodnić, że jest pan idiotą!

– Jeśli przez jakiś czas po wstąpieniu do nich pozostanie pan przy życiu, to będzie wystarczający dowód. Ale obawiam się…

Shi podniósł głowę i szyderczy uśmieszek zmienił się w drapieżny uśmiech.

– Oczywiście, że pozostanę przy życiu, ale nigdy więcej nie chcę już pana oglądać!

Generał Chang odprowadził Wanga po schodach i wezwał samochód, żeby go odwiózł.

– Niech się pan nie przejmuje Shi Qiangiem. Taką ma osobowość. W istocie jest bardzo dobrym oficerem i doświadczonym antyterrorystą. Dwadzieścia lat temu służył pod moim dowództwem.

Kiedy podeszli do samochodu, generał Chang powiedział:

– Profesorze Wang, musi pan mieć wiele pytań.

– Co to wszystko, o czym pan tam mówił, ma wspólnego z wojskiem?

– Wojna to wyłączna kwestia wojska.

Wang rozejrzał się zdumiony po otoczeniu skąpanym w promieniach wiosennego słońca.

– Ale gdzie jest ta wojna? Nigdzie na świecie nie toczą się teraz walki. Mamy chyba najbardziej pokojowy okres w dziejach.

Chang obdarzył go nieprzeniknionym uśmiechem.

– Wkrótce dowie się pan więcej. Wszyscy się dowiedzą. Profesorze Wang, czy kiedykolwiek przydarzyło się panu coś, co zupełnie zmieniło pańskie życie? Coś, co sprawiło, że potem świat stał się dla pana zupełnie innym miejscem?

– Nie.

– To miał pan szczęśliwe życie. Świat pełen jest nieprzewidywalnych czynników, a mimo to w pana życiu nie nastąpił żaden kryzys.

Wang obracał te słowa w myślach, nadal nic nie rozumiejąc.

– Myślę, że można to powiedzieć o życiu większości osób.

– Wobec tego większość ludzi prowadzi szczęśliwe życie.

– Ale… tak żyło wiele pokoleń.

– Wszystkie szczęśliwie.

Wang roześmiał się, potrząsając głową.

– Muszę przyznać, że dzisiaj nie grzeszę zbytnią bystrością. Sugeruje pan, że…

– Tak, cała historia ludzkości była szczęśliwa. Od epoki kamiennej do czasów dzisiejszych nie zdarzył się żaden prawdziwy kryzys. Mieliśmy szczęście. Ale jeśli to wszystko jest kwestią szczęścia, to pewnego dnia

musi się skończyć. Powiem panu: już się skończyło. Niech się pan przygotuje na najgorsze.

Wang chciał się dowiedzieć więcej, ale Chang pokręcił głową i pożegnał się z nim, ucinając dalsze pytania.

Kiedy Wang wsiadł do samochodu, kierowca zapytał go o adres. Wang podał mu go i zapytał:

– O, to pan mnie tutaj przywiózł? Myślałem, że to taki sam samochód.

– Nie, to nie byłem ja. Ja przywiozłem tutaj doktora Dinga.

Wangowi przyszedł do głowy nowy pomysł. Poprosił kierowcę o adres Dinga i dostał go.

1 Qian Zhongshu (1910–1998) był jednym z najsławniejszych chińskich literaturoznawców XX wieku. Dowcipny, ale trzymający się na uboczu erudyta konsekwentnie unikał mediów. Można powiedzieć, że był chińskim Thomasem Pynchonem.

2 Więcej o Ding Yi, zob. Liu Cixin, *The Ball Lightning*.

5

Partia bilarda

Gdy tylko Wang otworzył drzwi do nowiutkiego, mającego trzy sypialnie mieszkania Ding Yi, poczuł alkohol. Ding leżał na kanapie przed włączonym telewizorem, ale gapił się w sufit. Mieszkanie nie było jeszcze w pełni urządzone. Stało tam tylko kilka mebli i wisiało parę ozdób, ogromny salon wydawał się zupełnie pusty. Najbardziej przyciągał wzrok stół bilardowy w rogu.

Ding nie sprawiał wrażenia zirytowanego niezapowiedzianą wizytą. Był wyraźnie w nastroju do rozmowy.

– Kupiłem to mieszkanie trzy miesiące temu – powiedział. – Dlaczego? Czy naprawdę myślałem, że zainteresuje ją założenie rodziny?

Zaniósł się pijackim śmiechem.

– Wy dwoje… – Wang chciał poznać szczegóły życia Yang Dong, ale nie wiedział, jak ma zacząć o to pytać.

– Była jak gwiazda, zawsze taka odległa. Nawet światło, którym mnie opromieniała, było zawsze zimne.

Ding podszedł do jednego z okien i spojrzał na nocne niebo.

Wang nic nie powiedział. Nie chciał teraz niczego więcej, tylko usłyszeć jej głos. Przed rokiem, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, a ich

spojrzenia na chwilę się spotkały, nie odezwali się do siebie. Nigdy nie słyszał jej głosu.

Ding machnął ręką, jakby chciał coś odpędzić.

– Profesorze Wang, miał pan rację. Niech pan nie da się w to wciągnąć policji ani wojsku. To sami idioci. Zgony tych fizyków nie mają nic wspólnego z Granicami Nauki. Wyjaśniałem im to wiele razy, ale nie udało mi się przemówić im do rozsądku.

– Zdaje się, że prowadzą jakieś niezależne śledztwo.

– Tak, i to o zasięgu globalnym. Powinni już wiedzieć, że dwie osoby z tych zmarłych, w tym… Yang Dong, nigdy nie miały żadnych kontaktów z Granicami Nauki.

Wymówienie jej nazwiska zdawało się sprawiać mu kłopot.

– Ding Yi, wie pan, że jestem już w to wciągnięty. A więc… jeśli chodzi o to, dlaczego Yang dokonała wyboru, który… którego dokonała, chciałbym to wiedzieć.

– Jeśli dowie się pan więcej, wciągnie to pana jeszcze głębiej. Na razie ma pan o tym tylko powierzchowną wiedzę, ale kiedy zdobędzie pan większą, pogrąży się w tym pana duch, a wtedy pojawią się prawdziwe kłopoty.

– Zajmuję się badaniami stosowanymi. Nie jestem tak wrażliwy jak wasi teoretycy.

– A zatem dobrze. Gra pan w bilard?

Ding podszedł do stołu.

– W szkole trochę grałem.

– Ona i ja uwielbialiśmy tę grę. Przypominała nam cząstki zderzające się w akceleratorze. – Ding podniósł dwie bile, białą i czarną. Położył czarną obok jednej z łuz, a białą dziesięć centymetrów od niej. – Potrafi pan umieścić tę czarną w łuzie?

– Z takiej bliskiej odległości? Każdy to potrafi.

– Niech pan spróbuje.

Wang wziął kij, uderzył lekko białą bilę, która wepchnęła czarną do łuzy.

– Dobrze. A teraz przesuńmy stół w inne miejsce.

Ding polecił zdezorientowanemu Wangowi, żeby razem podnieśli stół i przenieśli go w inny róg salonu, koło okna. Potem Ding zgarnął czarną kulę, położył ją obok łuzy, a białą ustawił dwadzieścia centymetrów od niej.

– Myśli pan, że potrafi to zrobić jeszcze raz?

– Oczywiście.

– Niech pan spróbuje.

Wang znowu łatwo to zrobił.

Ding machnął ręką.

– Znowu go przesuńmy. – Unieśli stół i postawili go w trzecim rogu. Ding ustawił bile jak poprzednio. – Dalej.

– Niech pan posłucha, my…

– Dalej!

Wang wzruszył bezradnie ramionami. Udało mu się umieścić bilę w łuzie po raz trzeci.

Przesuwali stół jeszcze dwa razy: do drzwi salonu i na koniec z powrotem w miejsce, gdzie znajdował się pierwotnie. Ding jeszcze dwa razy ustawił bile i Wang jeszcze dwukrotnie w nie stuknął, ale oba uderzenia zeszły nieco z toru.

– Dobrze, na tym koniec eksperymentu. Przeanalizujmy rezultaty. – Ding zapalił papierosa, po czym ciągnął: – Przeprowadziliśmy pięciokrotnie ten sam eksperyment. Cztery razy w różnych miejscach i czasie. Dwa w tym samym miejscu, ale w różnym czasie. Nie zaszokowały pana wyniki? – Rozłożył przesadnie ręce. – Pięć razy! Każdy eksperyment ze zderzeniem bil dał dokładnie ten sam wynik!

– Co próbuje pan przez to powiedzieć? – zapytał Wang, dysząc.

– Może pan wyjaśnić ten niewiarygodny wynik? Niech pan użyje języka fizyki.

– Dobrze… Podczas tych pięciu eksperymentów ani razu nie zmieniła się masa dwóch bil. Jeśli chodzi o ich położenie, to dopóki układem odniesienia jest blat stołu, tu również nic się nie zmieniło. Prędkość białej bili uderzającej w czarną także zasadniczo pozostawała taka sama. A zatem przeniesienie pędu nie uległo zmianie. Dlatego we wszystkich pięciu eksperymentach rezultat był taki sam: wbicie czarnej bili przez białą do łuzy.

Ding podniósł z podłogi butelkę brandy i dwie brudne szklanki. Napełnił obie i jedną podał Wangowi. Ten odmówił.

– No, uczcijmy to! Odkryliśmy wielką zasadę natury – prawa fizyki są niezmienne w czasie i przestrzeni. Wszystkie prawa fizyki w ludzkich dziejach, od prawa Archimedesa po teorię strun, wszystkie odkrycia naukowe i owoce umysłowych wysiłków naszego gatunku są produktami ubocznymi tego wielkiego prawa. W porównaniu z nami dwoma, teoretykami, Einstein i Hawking są inżynierami uprawiającymi naukę stosowaną.

– Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Proszę sobie wyobrazić inny zbiór wyników. Za pierwszym razem biała bila wtrąca czarną do łuzy. Za drugim razem czarna odskakuje w bok. Za trzecim leci pod sufit. Za czwartym mknie wokół pokoju jak przestraszony wróbel i na koniec wpada panu do kieszeni. Za piątym pędzi prawie z prędkością światła, przebija barierkę wokół stołu, wystrzela przez ścianę i opuszcza Ziemię i Układ Słoneczny, jak opisał to kiedyś Asimov[1]. Co by pan wtedy pomyślał?

Ding przyglądał się Wangowi. Po długim milczeniu Wang powiedział:

– To się rzeczywiście stało. Zgadza się?

Ding wysuszył obie szklanki. Patrzył na stół bilardowy jak na demona.

– Tak. Stało się. W ostatnich kilku latach otrzymaliśmy w końcu sprzęt niezbędny do eksperymentalnego testowania fundamentalnych teorii. Skonstruowano trzy drogie „stoły bilardowe”: jeden w Ameryce Północnej, drugi w Europie i trzeci, znany panu, w Liangxiangu. Dzięki niemu pańskie Centrum Badawcze Nanotechnologii zarobiło mnóstwo pieniędzy. Te akceleratory wytwarzają ilość energii potrzebnej do zderzania cząstek o rząd wielkości przekraczającej tę, którą dysponowaliśmy dotąd. Takiego poziomu nie osiągnięto nigdy wcześniej w dziejach ludzkości. Ale na tym nowym sprzęcie, używając tych samych cząstek, tego samego poziomu energii i tych samych parametrów eksperymentów, otrzymuje się różne wyniki. I to nie tylko wtedy, kiedy korzysta się z różnych akceleratorów, ale nawet podczas eksperymentów przeprowadzanych w różnym czasie w tym samym akceleratorze. Fizycy wpadli w panikę. Powtarzali wciąż na nowo, w tych samych warunkach, eksperymenty ze zderzaniem cząstek, ale wynik był za każdym razem inny i nie mogli się w tym dopatrzeć żadnej prawidłowości.

– Co to znaczy? – zapytał Wang. Kiedy zobaczył, że Ding patrzy na niego bez słowa, dodał: – Och, jestem nanotechnologiem i też pracuję nad strukturami w mikroskali, ale są one o kilka poziomów oddalone od tego, nad czym pan pracuje. Proszę, niech mnie pan oświeci.

– To znaczy, że prawa fizyki nie są niezmienne w przestrzeni i czasie.

– Czyli?

– Myślę, że resztę może pan sam wywnioskować. Doszedł do tego nawet generał Chang. To naprawdę bystry człowiek.

Wang spojrzał z zadumą przez okno. Światła miasta były tak jasne, że przyćmiewały gwiazdy.

– To znaczy, że nie istnieją prawa fizyki, które obowiązywałyby w każdym miejscu we Wszechświecie, a zatem że fizyka… również nie istnieje.

Odwrócił się od okna.

– „Wiem, że to, co robię, jest nieodpowiedzialne, ale nie mam wyboru” – powiedział Ding. – Oto druga połowa jej listu. Poprzestał pan tylko na pierwszej. Teraz ją pan rozumie? Przynajmniej trochę?

Wang podniósł białą bilę. Przez chwilę ją gładził, potem odłożył.

– Dla kogoś, kto bada prawa fizyki, to rzeczywiście byłaby katastrofa.

– Żeby osiągnąć coś w fizyce, trzeba mieć niemal religijną wiarę. Łatwo jest dać się przywieść na brzeg przepaści.

Kiedy się żegnali, Ding dał Wangowi pewien adres.

– Jeśli będzie pan miał czas, niech pan odwiedzi, proszę, matkę Yang Dong. Mieszkały razem i Dong była dla niej wszystkim. Teraz staruszka jest samotna.

– Ding, pan wyraźnie wie więcej niż ja. Może mi pan powiedzieć coś jeszcze? Naprawdę wierzy pan, że prawa fizyki nie są niezmienne w przestrzeni i czasie?

– Nic nie wiem. – Ding długo patrzył mu w oczy. W końcu powiedział: – Oto jest pytanie.

Wang wiedział, że kończy to, co zaczął mówić na spotkaniu brytyjski pułkownik: „To be, or not to be, that is the question”.

1 Zob. opowiadanie Isaaca Asimova *The Billiard Ball*.

6

Strzelec i farmer

Następnego dnia zaczynał się weekend. Wang wstał wcześnie, wziął aparat fotograficzny i wyjechał rowerem. Ulubionym tematem jego zdjęć były pustkowia bez śladu ludzkiej obecności, ale ponieważ był już w średnim wieku i nie mógł sobie pozwalać na takie lekkomyślne wyprawy, fotografował sceny miejskie.

Świadomie lub nie, zwykle wybierał zakątki miasta, w których zachował się jakiś element środowiska naturalnego: wyschnięte koryto rzeki w parku, świeżo wykopana ziemia na miejscu jakiejś budowy, zielska wyrastające ze szpar w betonie i tak dalej. Żeby wyeliminować natrętne kolory miasta w tle, używał tylko filmów czarno-białych. Nieoczekiwanie wypracował sobie własny styl i zwrócił na siebie uwagę. Jego prace zostały wybrane na dwie wystawy, został też członkiem Stowarzyszenia Fotografików. Za każdym razem kiedy wybierał się na robienie zdjęć, wsiadał na rower i krążył po mieście w poszukiwaniu inspiracji i kompozycji, które mu się spodobają. Często włóczył się tak przez cały dzień.

Czuł się dziwnie. Jego styl bliski był klasycznemu, spokojny i dostojny. Dzisiaj jednak nie mógł wejść w nastrój niezbędny do takich kompozycji. Budzące się ze snu miasto zdawało się zbudowane na ruchomych piaskach.

Stabilność była złudna. Przez całą noc śniły mu się te dwa miliardy kul bilardowych. Krążyły bez żadnego ładu w ciemnej przestrzeni, czarna bila znikała na czarnym tle, tylko od czasu do czasu, kiedy przesłoniła białą, ujawniając swoje istnienie.

„Czyżby fundamentalną cechą materii było to, że nie rządzą nią żadne prawa? – zastanawiał się. – Czyżby stabilność i porządek świata były tylko tymczasową dynamiczną równowagą, którą osiągnął zakątek Wszechświata, krótkotrwałym zawirowaniem w chaotycznym strumieniu?”

Sam nie wiedział, jak znalazł się przed niedawno ukończoną siedzibą Centralnej Telewizji Chińskiej. Przystanął na skraju drogi, podniósł głowę i popatrzył na ogromny wieżowiec w kształcie litery A, starając się odzyskać poczucie stabilności. Sięgnął spojrzeniem do ostrego szczytu budynku, lśniącego w blasku porannego słońca, wskazującego błękitne, bezdenne głębiny nieba. W jego świadomości pojawiły się nagle dwa słowa: „strzelec” i „farmer”.

Podczas dyskusji o fizyce członkowie Granic Nauki używali często skrótu SF. Nie mieli na myśli „science fiction”, lecz właśnie te dwa słowa: „strzelec” i „farmer”. Odnosiły się one do dwóch hipotez na temat fundamentalnej natury praw Wszechświata.

Hipoteza strzelca: strzelec wyborowy strzela do tarczy i co dziesięć centymetrów robi w niej dziury. Załóżmy, że na jej powierzchni żyją inteligentne dwuwymiarowe istoty. Ich uczeni w wyniku obserwacji Wszechświata odkrywają rządzące nim podstawowe prawo: „We Wszechświecie co dziesięć centymetrów jest dziura”. Wzięli rezultat chwilowego kaprysu strzelca za niezmienne prawo Wszechświata.

Natomiast hipoteza farmera ma posmak horroru: właściciel fermy indyków każdego ranka przychodzi je nakarmić. Uczony indyk, zauważywszy tę powtarzającą się niezmiennie przez rok prawidłowość,

dokonuje odkrycia: „Każdego ranka o jedenastej pojawia się pokarm”. Rano w Święto Dziękczynienia powiadamia o tym odkryciu inne indyki. Ale o jedenastej nie pojawia się pokarm – przychodzi farmer i wybija całe stado.

Wang odniósł wrażenie, że droga pod jego stopami osuwa się jak ruchome piaski. Zdawało mu się, że budynek w kształcie litery A chwieje się i chybocze. Szybko przeniósł wzrok na ulicę.

Aby pozbyć się niepokoju, Wang zmusił się do skończenia rolki filmu i przed obiadem wrócił do domu. Żona wyszła z synem i przez jakiś czas miało jej nie być. Zazwyczaj Wang zabierał się spiesznie do wywołania zdjęć, ale dzisiaj nie był w nastroju. Po szybkim, prostym obiedzie uciął sobie drzemkę. Nie spał dobrze w nocy, więc kiedy się obudził, była prawie piąta. Przypomniawszy sobie o zdjęciach, wszedł do zagraconej, przerobionej ze schowka ciemni.

Wywołał film i zaczął przeglądać rolkę, by zobaczyć, czy są tam jakieś zdjęcia, z których warto zrobić odbitki, ale już na pierwszej klatce ujrzał coś dziwnego. Był na niej mały trawnik przed dużym centrum handlowym. W środku negatywu znajdował się ciąg drobnych białych znaków, które po dokładniejszym obejrzeniu okazały się cyframi: 1200:00:00.

Na drugiej klatce też były cyfry: 1199:49:33.

Były na wszystkich pozostałych zdjęciach.

Trzecia klatka: 1199:40:18, czwarta: 1199:32:07, piąta: 1199: 28:51, szósta: 1199:15:44, siódma: 1199:07:38, ósma: 1198:53:09… trzydziesta czwarta: 1194:50:49, trzydziesta szósta (i ostatnia): 1194:16:37.

Najpierw pomyślał, że coś jest nie tak z rolką. Używał aparatu Leica M2 z 1988 roku. Był on w całości mechaniczny, więc nie mógł dodać do

zdjęcia daty. Dzięki znakomitemu obiektywowi i perfekcyjnemu działaniu nawet w erze cyfrowej uważany był za wspaniały profesjonalny sprzęt.

Po ponownym dokładnym zbadaniu negatywów Wang odkrył jeszcze jedną dziwną rzecz – cyfry wydawały się dostosowywać do tła. Jeśli było czarne, one były białe, i odwrotnie. Ta zmiana zdawała się mieć na celu zwiększenie kontrastu dla lepszej widoczności cyfr. Kiedy zobaczył szesnasty negatyw, jego serce zaczęło bić szybciej, a po krzyżu przeszedł mu dreszcz.

To zdjęcie przedstawiało martwe drzewo pod starym murem. Mur był pokryty plamami, które na negatywie układały się we wzór naprzemiennych czarnych i białych pasów. Na tym tle powinno być trudno odczytać zarówno białe, jak i czarne cyfry. Jednak ułożyły się one pionowo wzdłuż krzywizny pnia, dzięki czemu białe wyglądały na jego ciemnym zabarwieniu jak pełznący wąż.

Wang zaczął analizować matematyczny wzór cyfr. Najpierw myślał, że są przyporządkowane zdjęciom, ale różnice między nimi nie były stałe. Potem doszedł do wniosku, że pokazują czas w godzinach, minutach i sekundach. Wyjął dziennik, w którym zapisywał co do minuty czas zrobienia każdego zdjęcia. Odkrył, że różnica między dwoma kolejnymi ciągami cyfr na zdjęciach odpowiadała różnicy w czasie ich pstryknięcia.

Odliczanie.

Odliczanie to zaczęło się od 1200 godzin. Teraz zostało ich około 1194.

„Teraz? Nie, w chwili kiedy robiłem ostatnie zdjęcie. Czy to odliczanie nadal trwa?”

Wyszedł z ciemni, włożył nową rolkę do leiki i zaczął pstrykać na chybił trafił. Wyszedł nawet na balkon, żeby zrobić kilka zdjęć na zewnątrz. Potem wyjął film i wrócił do ciemni. Na wywołanej rolce znowu, niczym duchy, pojawiły się liczby. Pierwszą było 1187:27:39. Różnica odpowiadała

upływowi czasu między pierwszym zdjęciem na nowej rolce i ostatnim na starej. Potem na każdej klatce liczba ta zmieniała się o trzy–cztery sekundy: 1187:27:35, 1187:27:31, 1187:27:27, 1187:27:24… jak przerwy między zdjęciami, które robił.

Odliczanie trwało.

Załadował nową rolkę. Szybko pstrykał zdjęcia, zrobił nawet kilka bez zdejmowania osłony z obiektywu. Kiedy wyjął film, wróciła jego żona z synem. Zanim wszedł do ciemni, włożył do aparatu jeszcze jedną rolkę i podał go żonie.

– Dokończ za mnie – powiedział.

– Co mam fotografować? – zapytała zdumiona.

Nigdy nie pozwalał jej nawet tknąć aparatu. Oczywiście ani jej, ani ich syna leica w ogóle nie interesowała. W ich oczach był to antyk, który kosztował ponad dwadzieścia tysięcy juanów.

– Obojętnie. Fotografuj, co chcesz.

Wang wcisnął jej aparat w ręce i wszedł do ciemni.

– Dobrze. Dou Dou, może zrobię ci parę zdjęć? – Wycelowała obiektyw w ich syna.

Wyobraźnię Wanga natychmiast wypełniły obrazy podobnych do zjaw cyfr pojawiających się na twarzy jego syna niczym stryczek zarzucany przez kata.

– Nie, nie rób tego. Fotografuj co innego.

Kliknęła migawka. Żona zrobiła pierwsze zdjęcie.

– Dlaczego nie daje się ponownie wcisnąć? – zapytała.

Wang pokazał jej, jak ma przewinąć film.

– Tak to się robi. Po każdym zdjęciu.

Potem z powrotem zanurkował w ciemni.

– Jakie to skomplikowane!

Jego żona, lekarka, nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś używa takiego drogiego, a przy tym starodawnego sprzętu, skoro powszechnie dostępne są cyfrowe aparaty o rozdzielczości dziesięciu, a nawet dwudziestu megapikseli. A do tego robi czarno-białe zdjęcia.

Po wywołaniu filmu Wang podniósł go pod czerwone światło. Odliczanie nadal trwało. Cyfry ukazywały się wyraźnie nawet na zdjęciach wykonanych na chybił trafił, w tym na tych kilku, które zrobił bez zdejmowania osłony z obiektywu: 1187:19:06, 1187:19:03, 1187:18:59, 1187:18:56…

Do drzwi ciemni zapukała żona i powiedziała, że skończyła rolkę. Otworzył i wziął od niej aparat. Kiedy wyjmował film, trzęsły mu się ręce. Nie zważając na zaniepokojone spojrzenie żony, wszedł z powrotem do ciemni. Pracował szybko i niezgrabnie, rozlewając wywoływacz i utrwalacz. Wkrótce film był wywołany. Zamknął oczy, modląc się cicho.

„Proszę, nie pojawiajcie się. Błagam. Niech to nie będzie moja kolej…”

Obejrzał mokry film przez lupę. Nie było na nim cyfr. Na klatkach widniały tylko zrobione przez jego żonę ujęcia wnętrza mieszkania. Użyła wolniejszej migawki, a ponieważ była zupełną nowicjuszką, wszystkie zdjęcia były zamazane. Ale Wang pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszych.

Wyszedł z ciemni i głęboko odetchnął. Był pokryty potem. Żona gotowała w kuchni, a syn bawił się w swoim pokoju. Wang usiadł na kanapie i zaczął się zastanawiać nad tą sprawą bardziej racjonalnie.

Przede wszystkim cyfry, które dokładnie zapisywały upływ czasu między zdjęciami i wykazywały oznaki inteligencji, nie mogły zostać wydrukowane na filmie podczas jego produkcji. *Coś* je tam wprowadziło. Ale co? Czyżby aparat się zepsuł? Czy zainstalowano w nim bez jego wiedzy jakiś mechanizm? Odkręcił obiektyw i rozebrał aparat. Zbadał za

pomocą szkła powiększającego jego wnętrze i sprawdził każdy nieskazitelnie czysty element. Nie znalazł nic, co by odbiegało od normy. Potem, biorąc pod uwagę, że cyfry pokazywały się nawet przy nałożonej osłonie obiektywu, doszedł do wniosku, iż ich najbardziej prawdopodobnym źródłem było jakieś promieniowanie. Ale jak było to możliwe z technicznego punktu widzenia? Skąd brały się te promienie? Jak można je było nakierować akurat na jego aparat?

Przy obecnym poziomie technologii musiałaby to być jakaś siła nadprzyrodzona.

Aby sprawdzić, czy upiorne odliczanie ustało, włożył do leiki kolejny film i znowu zaczął fotografować, co popadło. Po wywołaniu jego krótkotrwały spokój został zburzony. Ponownie poczuł się, jakby stał na skraju szaleństwa. Odliczanie powróciło. Sądząc z cyfr, nigdy nie ustało, tyle że nie pojawiło się na zdjęciach zrobionych przez jego żonę.

1186:34:13, 1186:34:02, 1186:33:66, 1186:33:35…

Wybiegł z ciemni i z mieszkania. Głośno zapukał do drzwi sąsiada, emerytowanego profesora Zhanga.

– Profesorze Zhang, ma pan aparat fotograficzny? Nie cyfrowy, ale taki, gdzie trzeba włożyć film?

– Profesjonalny fotograf, taki jak pan, chce pożyczyć ode mnie aparat? Co się stało z pańskim, tym drogim? Ja mam tylko cyfrowe. Dobrze się pan czuje? Jest pan taki blady.

– Proszę, niech mi pan pożyczy.

Zhang wrócił z cyfrowym kodakiem.

– Proszę. Może pan usunąć te kilka zdjęć, które już tam są.

– Dziękuję!

Wang chwycił aparat i pędem wrócił do siebie. Prawdę mówiąc, miał trzy własne aparaty i jeden cyfrowy, ale uznał, że lepiej będzie pożyczyć jakiś

od kogoś. Popatrzył na dwa aparaty i kilka rolek filmu leżących na kanapie, pomyślał chwilę i postanowił włożyć nowy film do leiki. Wręczył pożyczony aparat żonie, która stawiała na stół kolację.

– Szybko! Zrób parę zdjęć, tak jak przedtem.

– Co ty wyprawiasz? Spójrz na siebie! Co się z tobą dzieje?

– Nie przejmuj się tym! Pstrykaj!

Odstawiła talerze i podeszła do niego. W jej oczach malowały się zmartwienie i strach.

Wang wepchnął kodaka w ręce sześcioletniego syna, który miał się właśnie zabrać do jedzenia kolacji.

– Dou Dou, pomóż tacie. Naciśnij ten guzik. Dobrze, tak. To jedno zdjęcie. Naciśnij jeszcze raz. To drugie. Rób tak dalej. Możesz fotografować, co chcesz.

Chłopiec prędko się tego nauczył. Bardzo mu się spodobało i szybko robił zdjęcia. Wang odwrócił się, wziął z kanapy leicę i również zaczął pstrykać. Ojciec i syn naciskali na migawki jak szaleni. Żona Wanga, nie wiedząc, co robić, kiedy wokół migały flesze, zaczęła płakać.

– Miao, wiem, że ostatnio żyjesz w wielkim stresie, ale nie…

Wang skończył rolkę w leice i chwycił aparat cyfrowy z rąk syna. Przez chwilę myślał, po czym, żeby uniknąć skarg żony, wszedł do łazienki i zrobił jeszcze kilka zdjęć. Zamiast wyświetlacza użył wizjera optycznego, bo bał się zobaczyć rezultaty, chociaż i tak miał je wkrótce ujrzeć.

Wyjął film z leiki i wrócił do ciemni. Zamknął drzwi i wziął się do pracy. Po wywołaniu filmu uważnie zbadał zdjęcia. Drżały mu ręce, musiał więc trzymać lupę w obu dłoniach. Na negatywach trwało odliczanie.

Wybiegł z łazienki i zaczął gorączkowo przeglądać cyfrowe obrazy na kodaku. Na wyświetlaczu zobaczył, że zdjęcia, które zrobił jego syn, nie

miały cyfr, ale na tych, które wyszły spod jego ręki, wyraźnie widać było dalszy ciąg odliczania, zsynchronizowany z liczbami na filmie.

Używając różnych aparatów, chciał wyeliminować jako możliwe wyjaśnienie tego zjawiska usterkę swojego aparatu albo wadę filmu. Jednak pozwoliwszy żonie i synowi zrobić kilka zdjęć, odkrył coś jeszcze dziwniejszego: odliczanie pojawiło się tylko na tych, które sam zrobił!

Zdesperowany, podniósł stertę filmów jak gniazdo splątanych węży, jak zwój lin splecionych w węzeł nie do rozsupłania.

Wiedział, że w pojedynkę nie rozwikła tej tajemnicy. Do kogo mógł się zwrócić? Na pewno nie mogli mu w tym pomóc jego starzy koledzy z uczelni ani obecni z Centrum Badawczego. Podobnie jak on, mieli umysły techniczne, a Wang intuicyjnie czuł, że wykracza to poza problem techniczny. Najpierw przyszedł mu do głowy Ding Yi, ale człowiek ten sam przechodził kryzys duchowy. W końcu pomyślał o Granicach Nauki. Byli to poważni myśliciele i mieli otwarte umysły. Tak więc wybrał numer Shen Yufei.

– Doktor Shen, mam pewien problem. Muszę się z tobą zobaczyć.

– Przyjedź – powiedziała i zakończyła rozmowę.

Zaskoczyło to Wanga. Była wprawdzie kobietą małomówną, przez co niektórzy członkowie Granic Nauki nazywali ją żartobliwie żeńskim Hemingwayem, ale fakt, że nawet nie zapytała go, jakiej natury jest to problem, sprawił, że nie był pewny, czy to, co od niej usłyszy, pocieszy go czy jeszcze bardziej zaniepokoi.

Wepchnął filmy do torby, wziął aparat cyfrowy i wybiegł z domu, odprowadzany pełnym niepokoju spojrzeniem żony. Mógł pojechać swoim samochodem, ale chociaż w mieście było pełno świateł, wolał być z ludźmi. Zamówił taksówkę.

Shen mieszkała na luksusowym osiedlu, do którego można było dotrzeć jedną z nowszych linii kolei podmiejskiej. Światła były tutaj dużo słabsze. Domy zbudowano wokół małego sztucznego jeziora pełnego ryb dla rozrywki mieszkańców i w nocy miejsce to wyglądało jak wieś.

Shen wyraźnie była dobrze sytuowana, ale Wang nie był w stanie dociec, co jest źródłem jej bogactwa. Tak dużych dochodów nie mogło jej zapewnić ani zajmowane dawniej stanowisko naukowe, ani obecna praca w prywatnej firmie. Jednak we wnętrzu jej domu nie było żadnych oznak luksusu. Służył członkom Granic Nauki jako miejsce spotkań i Wang zawsze uważał, że przypomina małą bibliotekę z salką konferencyjną.

W salonie Wang zobaczył Wei Chenga, męża Shen. Wei miał około czterdziestu lat i sprawiał wrażenie statecznego, uczciwego intelektualisty. Wang znał jego nazwisko, ale poza tym mało o nim wiedział. Shen niewiele powiedziała, kiedy mu go przedstawiła. Wyglądało na to, że nigdzie nie pracuje i cały czas przesiaduje w domu. Nigdy nie wykazywał żadnego zainteresowania dyskusjami prowadzonymi przez członków Granic Nauki i zdawał się przyzwyczajony do widoku tak wielu przychodzących do nich naukowców.

Ale nie był próżniakiem. Zawsze był głęboko zamyślony i chyba prowadził w domu jakieś badania. Gdy odwiedzał ich gość, witał się z nim z roztargnieniem i wracał do swojego pokoju na górze. Tam spędzał większość czasu. Pewnego razu Wang zerknął przez na wpół otwarte drzwi do jego pokoju i zobaczył zdumiewający widok: stację roboczą HP. Był pewien, że to właśnie zobaczył, bo była taka sama, jakiej Wang używał w Centrum Badawczym – łupkowo szara obudowa, model RX8620, czteroletni. Posiadanie w domu sprzętu, który kosztował ponad milion juanów, było bardzo dziwne. Co Wei Chang robił na nim przez cały dzień?

– Yufei jest teraz trochę zajęta. Może pan chwilę poczekać? – powiedział Wei i poszedł na górę.

Wang chciał poczekać, ale nie mógł usiedzieć na miejscu, więc ruszył za nim. Wei Cheng miał już wejść do pokoju, w którym była stacja robocza, kiedy zobaczył go za sobą. Bynajmniej się nie zirytował. Wskazał pokój naprzeciwko swego.

– Ona jest tam.

Wang zapukał do drzwi. Nie były zamknięte na klucz i nieco się uchyliły. Siedziała przed komputerem i grała. Zdziwił się, że ma na sobie strój W.

Strój W był popularnym elementem wyposażenia uczestników gier komputerowych i składał się z hełmu z panoramiczną szybką i kombinezonu dotykowego. Pozwalał on uczestnikowi gry poczuć na własnej skórze to, czego doświadczało jego wirtualne wcielenie: cios zadany pięścią, pchnięcie nożem, palące płomienie i tak dalej. Mógł też wytwarzać doznania skrajnego upału i zimna, a nawet wrażenie, że gracz znalazł się w środku burzy śnieżnej.

Wang podszedł i stanął za nią. Ponieważ gra toczyła się tylko po wewnętrznej stronie hełmu, na ekranie komputera nie widać było żadnych kolorowych obrazów. Wang przypomniał sobie nagle uwagę Shi Qianga na temat zapamiętywania adresów sieciowych i adresów poczty elektronicznej. Zerknął na monitor. Jego uwagę zwrócił URL witryny z grą.

Shen zdjęła hełm i kombinezon. Włożyła okulary, które na jej szczupłej twarzy wydawały się za duże. Bez słowa, z miną bez wyrazu, skinęła Wangowi głową. Wang wyjął splątane filmy i zaczął opowiadać dziwną historię, która mu się przydarzyła. Słuchała go z uwagą, podnosząc rolki filmów i tylko pobieżnie rzucając na nie okiem. Zdziwiło go to, ale potwierdziło jego przypuszczenie, że Shen nie jest zupełnie nieświadoma

tego, przez co on przechodzi. O mało nie przerwał swej opowieści, ale skinęła głową, by mówił dalej.

Kiedy skończył, odezwała się po raz pierwszy:

– Jak postępują prace nad nanomateriałami, którymi kierujesz?

To niemające związku ze sprawą pytanie zbiło go z pantałyku.

– Prace nad nanomateriałami? A co one mają wspólnego z tym, o czym mówię?

Wskazał na rolki filmów.

Shen nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w niego i czekała na odpowiedź na swoje pytanie. Taki miała styl – zawsze była oszczędna w słowach.

– Przerwij te badania – rzekła w końcu.

– Co? – Wang nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – O czym ty mówisz?

Milczała.

– Mam je przerwać? To jeden z kluczowych projektów w naszym kraju!

Shen nic na to nie powiedziała, tylko nadal spokojnie na niego patrzyła.

– Musisz mi podać jakiś powód.

– Po prostu je przerwij. Spróbuj.

– Co o tym wiesz? Powiedz mi!

– Powiedziałam wszystko, co mogłam.

– Nie mogę przerwać tych badań. To niemożliwe!

– Po prostu je przerwij. Spróbuj.

Na tym zakończyła się rozmowa o odliczaniu. Na dalsze nalegania Wanga Shen powtarzała tylko:

– Przerwij je. Spróbuj.

– Teraz rozumiem – rzekł Wang. – Wbrew temu, co twierdzisz, Granice Nauki nie są jedynie grupą dyskutującą o fundamentalnej teorii. Ich

związek z rzeczywistością jest dużo bardziej złożony, niż sobie wyobrażałem.

– Nie. Wprost przeciwnie. Odnosisz takie wrażenie dlatego, że Granice Nauki zajmują się sprawami dużo bardziej fundamentalnymi, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Zdesperowany Wang wstał i bez pożegnania skierował się do wyjścia. Shen odprowadziła go w milczeniu do drzwi i patrzyła, jak wsiada do taksówki. Akurat wtedy przed domem Shen zatrzymał się inny samochód. Wysiadł z niego mężczyzna. W słabym świetle padającym z drzwi Wang natychmiast go rozpoznał.

Był to Pan Han, biolog, jeden z najbardziej prominentnych członków Granic Nauki. Zasłynął tym, że przewidział, iż w wyniku długotrwałego spożywania genetycznie zmodyfikowanej żywności będą się rodziły dzieci z wadami. Przewidział też katastrofy ekologiczne spowodowane uprawianiem genetycznie zmodyfikowanych roślin. W odróżnieniu od proroków, którzy regularnie wieszczyli kataklizmy bez zagłębiania się w drobiazgi, jego prognozy zawierały wiele konkretnych szczegółów, które później okazały się prawdziwe. Ich dokładność była tak duża, że krążyły plotki, iż przybył z przyszłości.

Inną przyczyną jego sławy było to, że stworzył pierwszą w Chinach eksperymentalną społeczność. W przeciwieństwie do „powrotu do natury”, który głosiły utopijne ugrupowania na Zachodzie, jego „sielankowe Chiny” znajdowały się nie w dziczy, lecz w największych miastach. Społeczność ta nie miała żadnych dóbr. Wszystko, co było potrzebne do życia, włącznie z żywnością, wygrzebywała z miejskich odpadków. Wbrew przewidywaniom wielu osób „sielankowe Chiny” nie tylko przetrwały, ale rozkwitały. Obecnie miały ponad trzy tysiące stałych członków

i niezliczone rzesze innych, którzy na krótko dołączali do nich, żeby zaznać takiego życia.

Wskutek tych dwóch sukcesów opinie Pan Hana w sprawach społecznych zyskiwały coraz większy rozgłos. Uważał on, że postęp techniczny jest chorobą ludzkości. Gwałtowny rozwój technologii był według niego czymś analogicznym do rozrostu komórek rakowych, a zatem i jego skutki miały być identyczne: wyczerpanie wszystkich źródeł pożywienia, zniszczenie narządów i w końcu śmierć całego ciała. Nawoływał do zarzucenia brutalnych technologii, takich jak wytwarzanie energii z paliw kopalnych i rozszczepiania atomów, i wprowadzenia łagodniejszych, opartych na wykorzystaniu energii słonecznej i wodnej z małych hydroelektrowni. Wierzył w stopniową dezurbanizację współczesnych metropolii, która doprowadzić miała do bardziej równomiernego rozmieszczenia ludności w samowystarczalnych małych miastach i wsiach. Opierając się na tych łagodniejszych technologiach, chciał stworzyć Nowe Społeczeństwo Agrarne.

– Jest w środku? – zwrócił się do Shen, wskazując dom.

Nie odpowiedziała, ale zagrodziła mu drogę.

– Muszę ostrzec i jego, i ciebie. Nie wywierajcie na nas presji – powiedział Pan Han zimnym głosem.

– Może pan jechać – krzyknęła Shen do taksówkarza.

Ten ruszył i Wang nie usłyszał już nic więcej z rozmowy między nią i Pan Hanem. Obejrzał się i zobaczył, że go nie wpuściła.

Dotarł do domu tuż przed północą. Gdy wysiadał z samochodu, zatrzymał się obok niego czarny volkswagen santana. Uchyliło się okno i ze środka

wydobył się obłok dymu. Siedzenie kierowcy wypełniało potężne ciało Shi Qianga.

– Profesorze Wang! Akademiku Wang![1]

– Śledzi mnie pan? Nie ma pan nic lepszego do roboty?

– Niech pan mnie źle nie zrozumie. Mogłem po prostu przejechać obok, ale postanowiłem zachować się uprzejmie, zatrzymać się i pozdrowić pana. – Shi skrzywił usta w swoim firmowym, szelmowskim uśmiechu. – No i jak? Zdobył pan tam jakieś użyteczne informacje?

– Już panu mówiłem – nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Od tej pory proszę dać mi spokój.

– Dobrze. – Shi uruchomił silnik. – Zachowuje się pan tak, jakby zależało mi na nadgodzinach, w których to robię. Wolałbym obejrzeć mecz mojej drużyny piłkarskiej.

Gdy Wang wszedł do mieszkania, jego żona już spała. Słyszał, jak przewraca się na łóżku i niespokojnie mamrocze. Na pewno dziwne zachowanie męża tego dnia sprawiło, że miała złe sny. Wang połknął kilka tabletek nasennych, położył się i po długim kręceniu się wreszcie zasnął.

Sny miał chaotyczne, ale stale przewijał się w nich ten sam wątek: odliczanie.

Jeszcze zanim zasnął, wiedział, że będzie go dręczył ten koszmar. W snach atakował cyfry z powietrza. Szarpał je jak oszalały, gryzł, ale żadna z tych prób nie zostawiała na nich nawet śladu. Wciąż wisiały, odliczając upływający czas. W końcu, kiedy frustracja stała się nie do zniesienia, obudził się.

Otworzywszy oczy, zobaczył niewyraźny sufit. Światła miasta za oknem rozjaśniały go słabo przez zasłony. Ale jedna rzecz przeszła z Wangiem ze

snu do rzeczywistości: odliczanie. Cyfry nadal unosiły się przed jego oczami. Były cienkie, ale bardzo jasne – płonęły białym blaskiem.

1180:05:00, 1180:04:59, 1180:04:58, 1180:04:57…

Wang rozejrzał się, zauważył zamazane cienie w sypialni. Był już pewien, że nie śpi, ale cyfry nie zniknęły. Zamknął oczy, lecz pozostały w ciemności pod powiekami. Wyglądały jak rtęć spływająca po piórach czarnego łabędzia. Ponownie otworzył oczy, potarł je, ale nic to nie dało. Bez względu na to, gdzie zwrócił wzrok, cyfry utrzymywały się w środku jego pola widzenia.

Opanowało go nieokreślone przerażenie, tak silne, że aż usiadł na łóżku. Te liczby przyczepiły się do niego. Wyskoczył z łóżka i otworzył okno. Pogrążone w głębokim śnie miasto było nadal jasno oświetlone. Na tym wspaniałym tle widniały cyfry jak napisy na ekranie w kinie.

Wang poczuł, że się dusi, i wydał stłumiony krzyk. Obudził tym żonę, która ze strachem zapytała go, co się stało. Siłą woli postarał się uspokoić i odpowiedział, że nic. Z powrotem się położył, zamknął oczy i resztę tej ciężkiej nocy spędził w stałym blasku cyfr.

Rano starał się zachowywać przed rodziną normalnie, ale nie udało mu się oszukać żony. Zapytała go, czy nie ma kłopotów z oczami, czy widzi wyraźnie.

Po śniadaniu zadzwonił do Centrum i poprosił o dzień wolnego. Pojechał do szpitala. Przez całą drogę cyfry bezlitośnie unosiły się przed realnym światem. Dostosowywały swoją jasność do otoczenia i bez względu na to, na jakim tle się pojawiały, widział je wyraźnie. Próbował choć na krótko przerwać ten pokaz, patrząc na wschodzące słońce, ale nic to nie dało. Piekielne cyfry przybrały czarną barwę i pokazały się na tle słonecznej kuli niczym rzutowane na nią cienie, co sprawiło, że były jeszcze bardziej przerażające.

W szpitalu Tongren panował duży ruch, ale udało mu się zobaczyć ze słynnym okulistą, który chodził do szkoły z jego żoną. Poprosił go, by zbadał mu wzrok, ale nie powiedział, co mu doskwiera. Po dokładnym zbadaniu obojga oczu lekarz orzekł, że funkcjonują normalnie i że nie widzi żadnych oznak choroby.

– Cały czas coś unosi mi się przed oczami. Bez względu na to, gdzie patrzę, to coś tam jest.

Kiedy Wang to mówił, w powietrzu przed twarzą doktora unosiły się cyfry.

1175:11:34, 1175:11:33, 1175:11:32, 1175:11:31…

– A, mówi pan o plamkach przed oczami. – Doktor wyjął bloczek i zaczął wypisywać mu receptę. – W naszym wieku to powszechne, skutek zmętnienia soczewek. Niełatwo to wyleczyć, ale to nic poważnego. Przepiszę panu krople jodynowe i witaminę D, może te plamki ustąpią, ale niech pan nie wiąże z tym wielkich nadziei. Naprawdę nie ma się czym martwić. Musi pan po prostu nauczyć się je ignorować, bo nie pogarszają panu widzenia.

– Plamki przed oczami… Może mi pan powiedzieć, jak wyglądają?

– Nie ma tu żadnego schematu. Różnie to wygląda u różnych osób. U niektórych mają one kształt malutkich czarnych kropek, u innych są podobne do kijanek.

– A jeśli ktoś widzi cyfry?

Pióro lekarza się zatrzymało.

– Widzi pan cyfry?

– Tak, pośrodku pola widzenia.

Doktor odłożył pióro i papier i spojrzał na niego ze współczuciem.

– Jak tylko pan tu wszedł, od razu zauważyłem, że za dużo pan pracuje. Na ostatnim spotkaniu naszej klasy Li Yao powiedziała mi, że w pracy jest

pan w ciągłym stresie. W naszym wieku musimy uważać. Nie dopisuje nam już takie zdrowie jak dawniej.

– Twierdzi pan, że to skutek działania czynników psychologicznych?

Doktor skinął głową.

– Gdyby to był ktoś inny, zasugerowałbym wizytę u psychiatry. Ale u pana to nic poważnego, tylko wyczerpanie. Może odpocznie pan kilka dni? Niech pan zrobi sobie wakacje, wyjedzie gdzieś z Yao i waszym synkiem – jakże on ma na imię… Dou Dou, tak? Żadnych zmartwień. To szybko przejdzie.

1175:10:02, 1175:10:01, 1175:10:00, 1175:09:59…

– Pozwoli pan, że powiem, co widzę. To odliczanie! Sekunda po sekundzie, tyka dokładnie. Mówi pan, że to wszystko dzieje się w mojej głowie?

Doktor uśmiechnął się tolerancyjnie.

– Wie pan, jak bardzo umysł może wpłynąć na widzenie? W ubiegłym miesiącu mieliśmy pacjentkę, piętnastoletnią, może szesnastoletnią dziewczynę. Była na lekcji, kiedy nagle straciła wzrok, całkowicie oślepła. Wszystkie badania pokazywały, że z fizjologicznego punktu widzenia z jej oczami nie dzieje się nic złego. W końcu ktoś z oddziału psychiatrycznego poddał ją psychoterapii. I nagle po miesiącu powrócił jej wzrok.

Wang doszedł do wniosku, że tylko traci tutaj czas. Wstał.

– Dobrze, nie mówmy już o moich oczach. Mam ostatnie pytanie: znane jest panu jakieś zjawisko fizyczne, które może oddziaływać na ludzi z daleka i sprawiać, że mają wizje albo przywidzenia?

Doktor myślał przez chwilę.

– Tak. Jakiś czas temu należałem do personelu medycznego zajmującego się członkami załóg statków kosmicznych Shenzhou 19. Niektórzy taikonauci donosili, że podczas prac poza statkiem widzą rozbłyski, które

w rzeczywistości nie istniały. O podobnych doznaniach informowali astronauci z międzynarodowej stacji kosmicznej. Było to skutkiem tego, że w okresach dużej aktywności Słońca w siatkówkę oka uderzały cząstki o wysokiej energii i wywoływały złudzenie rozbłysków. Ale pan mówi o cyfrach, nawet o odliczaniu. Tego nie może powodować aktywność Słońca.

Wang wyszedł ze szpitala oszołomiony. Przed jego oczami nadal przesuwały się cyfry ciągłego odliczania. Zdawał się iść za nimi, za zjawą, która nie chciała go opuścić. Kupił okulary słoneczne, by ludzie nie widzieli, że błądzi wzrokiem, jakby był lunatykiem. Przed wejściem do Centrum Badawczego Nanotechnologii zdjął je, ale koledzy i tak zauważyli, w jakim jest stanie psychicznym, i patrzyli na niego z zatroskaniem.

Zobaczył, że główna komora reakcji w laboratorium wciąż pracuje. Centralnym elementem ogromnego aparatu była kula, do której podłączonych było wiele rur.

Uzyskali dotąd niewielką ilość nowego, supermocnego nanomateriału, któremu nadano kryptonim „latające ostrze”. Na razie jednak wszystkie próbki robiono techniką składania molekularnego, to znaczy łączono cząsteczkę z cząsteczką za pomocą sondy, jakby budowano mur, kładąc cegłę po cegle. Była to bardzo pracochłonna metoda, a wyniki były może najcenniejszymi klejnotami na świecie.

W tej chwili laboratorium starało się opracować reakcję katalityczną, która zastąpiłaby składanie molekularne i dzięki której duże liczby cząsteczek wiązałyby się ze sobą we właściwy sposób. W głównej komorze można by szybko doprowadzić do ogromnej liczby reakcji z użyciem różnych kombinacji cząsteczek, których było tak wiele, że normalne, ręczne metody ich testowania potrwałyby ponad sto lat. Poza tym aparatura

uzupełniała rzeczywiste reakcje ich matematycznymi symulacjami. Kiedy reakcja osiągnęłaby pewne stadium, komputer stworzyłby w oparciu o produkty pośrednie jej matematyczny model i zrobiłby symulację dalszego przebiegu. To znacznie zwiększało efektywność eksperymentów.

Gdy kierownik laboratorium zobaczył Wanga, szybko do niego podszedł i zaczął – co ostatnio stało się rytuałem – wyrzucać z siebie litanię skarg na usterki głównej komory reakcji. Działała ona bez przerwy już od ponad roku i wiele czujników zatraciło wrażliwość, co prowadziło do błędów w pomiarach. Aparatura wymagała naprawy, a więc trzeba było ją wyłączyć. Jednak jako główny naukowiec w tym programie Wang nalegał, żeby jej nie wyłączać, dopóki nie skończą trzeciej serii eksperymentów. Technicy nie mieli wyboru, więc łatali maszynę naprędce, czym się dało. Teraz te prowizorki same wymagały innych prowizorek. Ten stan rzeczy doprowadzał personel do wyczerpania.

Ale kierownik laboratorium starannie unikał tematu wyłączenia maszyny i czasowego wstrzymania eksperymentów, ponieważ wiedział, że rozmowy o tym wywołują u Wanga furię. Wymienił tylko wszystkie kłopoty, chociaż jego niewypowiedziane pragnienie było jasne.

Patrząc na główną komorę reakcji, Wang pomyślał, że przypomina ona łono. Biegali wokół niej inżynierowie, starając się jeszcze trochę podtrzymać jej pracę. Przed całą tą sceną pojawiły się cyfry.

1174:21:11, 1174:21:10, 1174:21:09, 1174:21:08…

Wróciły do niego słowa Shen: „Przerwij je. Spróbuj”.

– Ile czasu zająłby remont czujników? – zapytał.

– Cztery–pięć dni. – Ujrzawszy promyk nadziei, kierownik laboratorium szybko dodał: – Jeśli się sprężymy, potrwa to tylko trzy dni, szefie. Gwarantuję.

„Nie poddaję się – pomyślał Wang. – Sprzęt naprawdę wymaga naprawy i trzeba na pewien czas przerwać eksperyment. Nie ma to nic wspólnego z niczym innym”.

Obrócił się do kierownika laboratorium i przez unoszące się w powietrzu cyfry skupił na nim wzrok.

– Wyłączcie maszynę i przystąpcie do naprawy. Niech pan to zrobi w terminie, który pan mi podał.

– Oczywiście. Zaraz dostarczę panu dokładny harmonogram prac. Możemy zatrzymać reakcję już dziś po południu!

– Możecie to zrobić już teraz.

Dyrektor popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale za moment znowu się rozemocjonował, jakby się bał, że straci okazję. Podniósł słuchawkę telefonu i nakazał zatrzymać reakcję. Jego ekscytacja udzieliła się wyczerpanym badaczom i technikom. Wciskając setkę przełączników, natychmiast rozpoczęli procedurę wyłączenia głównej komory. Jeden po drugim zaczęły gasnąć ekrany kontrolne, aż w końcu na ekranie głównym pojawiła się informacja, że praca komory została wstrzymana.

Niemal równocześnie z tym komunikatem zniknęły cyfry sprzed oczu Wanga. Odetchnął głęboko, jakby właśnie wydostał się spod wody. Wycieńczony, usiadł i zdał sobie sprawę, że pozostali nadal mu się przyglądają.

– Konserwacja systemu to zadanie sekcji sprzętu – zwrócił się do kierownika laboratorium. – Może grupa badawcza weźmie sobie parę dni wolnego? Wiem, że wszyscy ciężko pracowaliście.

– Pan też jest zmęczony, szefie. Wszystkim tutaj zajmie się główny inżynier Zhang. Może pan też wróci do domu i odpocznie?

– Tak, jestem zmęczony – odparł Wang.

Kiedy kierownik laboratorium wyszedł, podniósł słuchawkę i wybrał numer Shen Yufei. Odebrała po jednym sygnale.

– Kto za tobą stoi? – zapytał. Starał się mówić spokojnym głosem, ale mu się nie udało.

Cisza.

– Co się stanie, kiedy odliczanie dobiegnie końca?

Znowu cisza.

– Słuchasz mnie?

– Tak.

– Dlaczego akurat nanomateriały? To nie jest akcelerator cząstek. To badania stosowane. Czy to warte waszej uwagi?

– Nie nam decydować, czy coś jest warte uwagi.

– Dość tego! – krzyknął Wang do słuchawki. Przerażenie i desperacja z ostatnich kilku dni zamieniły się nagle w niekontrolowany wybuch wściekłości. – Myślicie, że dam się nabrać na te tanie sztuczki? Że zatrzymają one postęp technologiczny? Przyznaję, że na razie nie potrafię wyjaśnić, jak to robicie. Ale tylko dlatego, że nie udało mi się zajrzeć do kuchni waszego żenującego iluzjonisty.

– Mówisz, że chcesz zobaczyć to odliczanie w jeszcze większej skali?

Pytanie to oszołomiło na chwilę Wanga. Zmusił się do zachowania spokoju, by nie wpaść w pułapkę.

– Daruj sobie te sztuczki – powiedział. – No i co się stanie, jeśli pokażecie to w większej skali? I tak pozostanie to iluzją. Możecie wyświetlić hologram na niebie, jak NATO podczas ostatniej wojny. Możecie rzutować ten obraz za pomocą potężnego lasera na powierzchnię Księżyca! Strzelec i farmer powinni potrafić manipulować sprawami w skali, w jakiej ludzie nie są zdolni tego zrobić. Możecie na przykład sprawić, żeby wasze odliczanie pojawiło się na tarczy słonecznej?

Wanga tak zaszokowały jego własne słowa, że opadła mu szczęka. Nieświadomie wspomniał o dwóch hipotezach, o których nie powinien był się nawet zająknąć. Przynajmniej nie wypowiedział głośno pewnej myśli, która była jeszcze większym tabu.

Starając się przejąć inicjatywę, ciągnął:

– Nie potrafię przewidzieć wszystkich waszych sztuczek, ale być może wasz podły iluzjonista zdoła jakoś sprawić, że nawet na powierzchni Słońca to złudzenie będzie się wydawało rzeczywistością. Żeby dać pokaz, który będzie naprawdę przekonujący, musicie to zrobić w jeszcze większej skali.

– Pytanie tylko, czy zdołasz to znieść. Jesteśmy przyjaciółmi, Miao. Chcę pomóc ci uniknąć losu, jaki spotkał Yang Dong.

Wspomnienie nazwiska Yang przyprawiło Wanga o dreszcze, ale pod wpływem kolejnego przypływu złości powiedział zuchwale:

– Podejmiesz moje wyzwanie?

– Oczywiście.

– Co zamierzacie zrobić?

– Masz komputer podłączony do internetu? Dobrze, wprowadź następujący adres: http://www.qsl.net/bg3tt/zl/mesdm.htm. Otworzyłeś tę stronę? Teraz to wydrukuj i trzymaj przy sobie.

Wang stwierdził, że na monitorze nie ma nic poza alfabetem Morse’a.

– Nie rozumiem. To…

– W najbliższych dwóch dniach znajdź jakieś miejsce, skąd będziesz mógł obserwować promieniowanie tła kosmicznego. Szczegóły znajdziesz w e-mailu, który ci wyślę.

– Co… co zamierzacie zrobić?

– Wiem, że przerwano prace nad twoim projektem uzyskiwania nanomateriałów. Planujesz ich wznowienie?

– Oczywiście. Za trzy dni.

– Wobec tego odliczanie będzie trwało.

– W jakiej skali to zobaczę?

Po tym pytaniu nastąpiła długa cisza. Ta kobieta, która występowała jako rzeczniczka jakichś sił przekraczających ludzkie pojmowanie, zablokowała Wangowi wszystkie możliwości.

– Za trzy dni, licząc od dzisiaj – a mamy czternastego – między pierwszą w nocy i piątą rano zamigocze przed tobą cały Wszechświat.

1 Odnosi się to do członkostwa Wanga w Chińskiej Akademii Nauk.

7

Trzy ciała: Król Wen z dynastii Zhou i długa noc

Wang wystukał numer Ding Yi. Dopiero kiedy tamten odebrał telefon, Wang zdał sobie sprawę, że jest pierwsza w nocy.

– Tu Wang Miao. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze.

– Nie ma sprawy. I tak nie mogę spać.

– Widziałem… coś i chciałbym, żebyś mi pomógł. Nie wiesz, czy jest w Chinach jakiś ośrodek, który bada promieniowanie tła?

Wang czuł potrzebę porozmawiania z kimś, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli o tym odliczaniu, które widział tylko on, nie będzie wiedziało zbyt dużo osób.

– Promieniowanie tła? Co się stało, że się tym zainteresowałeś? Chyba naprawdę wpadłeś w jakieś kłopoty. Widziałeś się już z matką Yang Dong?

– Aaa… przepraszam. Zapomniałem.

– Żaden kłopot. Co do twojego pytania – wielu naukowców widziało już… coś, tak jak ty. Wszyscy są zdezorientowani. Ale myślę, że najlepiej by było, gdybyś ją odwiedził… Przybywa jej lat, ale nie chce zatrudnić

opiekunki. Jeśli będzie czegoś potrzebowała, pomóż jej, proszę… Aha, promieniowanie tła. Możesz zapytać o to właśnie ją. Przed przejściem na emeryturę była astrofizyczką. Dobrze zna wszystkie takie ośrodki w Chinach.

– Znakomicie! Pojadę do niej dzisiaj po pracy.

– No to z góry ci dziękuję. Nie jestem w stanie spotkać się z nikim, kto przypomina mi o Yang Dong.

Po odłożeniu słuchawki Wang usiadł przed komputerem i wydrukował sobie stronę z alfabetem Morse'a. Uspokoił się już i przestał myśleć o odliczaniu. Zastanawiał się nad Granicami Nauki, Shen Yufei i grą komputerową, w którą grała. Jedno wiedział na pewno: Shen nie należała do miłośników takich rozrywek. Zawsze wyrzucała z siebie zdania jak telegraf i wydawała się niezwykle zimna. Nie był to chłód, jakiego niektóre kobiety używają niczym maski – przenikał ją całą.

Podświadomie pomyślał o niej jako o przestarzałym dyskowym systemie operacyjnym: pusty czarny ekran, na nim tylko „C:\>" i migający kursor. Cokolwiek wprowadziłeś, odpowiadał ci tym samym. Ani jednej dodatkowej litery, żadnej zmiany. Ale teraz Wang wiedział, że za tym „C:\>" kryje się bezdenna przepaść.

„Naprawdę interesuje ją ta gra? Gra, która wymaga włożenia stroju W? Shen nie ma dzieci, co znaczy, że kupiła ten strój dla siebie. Sama myśl o tym jest niedorzeczna".

Wpisał do wyszukiwarki adres tej gry. Był łatwy do zapamiętania: www.3body.net. Na stronie widniała informacja, że udział w grze mogą brać tylko osoby, które mają strój W. Przypomniał sobie, że taki strój znajduje się w salonie Centrum Badawczego Nanotechnologii. Wyszedł

z pustego już głównego laboratorium i udał się po klucz do wartowni. W salonie minął stoły bilardowe oraz sprzęt do ćwiczeń i znalazł obok komputera strój W.

Po wejściu do gry znalazł się pośrodku pustej równiny. Świtało. Krajobraz był bury, zamazany, trudno było zobaczyć jakieś szczegóły. Zza horyzontu wyłaniało się białe światło. Resztę nieba pokrywały mrugające gwiazdy.

Rozległ się huk i w oddali zawaliły się dwie czerwono lśniące góry. Całą równinę zalało czerwone światło. Gdy opadł kurz, Wang zobaczył wypisane między niebem i ziemią dwa olbrzymie słowa: TRZY CIAŁA.

Potem pojawiła się strona logowania. Wang wpisał „Hairen” i kliknął[1].

Równina pozostała pusta, ale włączyły się kompresory w stroju W i Wang poczuł powiew zimnego powietrza. Pojawiły się przed nim dwie postaci. Ich sylwetki rysowały się ciemno na tle brzasku. Poszedł za nimi.

Obie osoby były mężczyznami. Odziani byli w długie, pełne dziur szaty i zarzucone na nie brudne skóry zwierzęce. Każdy z nich miał krótki brązowy miecz. Jeden z nich niósł wąską drewnianą skrzynkę o długości odpowiadającej połowie jego wzrostu. Odwrócił się i spojrzał na Wanga. Jego twarz była tak samo brudna i pomarszczona jak skóra na jego grzbiecie, ale oczy patrzyły przenikliwie, a źrenice lśniły w blasku poranka.

– Zimno – powiedział.

– Tak, bardzo zimno – odparł Wang.

– To Epoka Walczących Królestw – oznajmił mężczyzna. – Jestem król Wen z dynastii Zhou.

– Król Wen nie pochodził z Epoki Walczących Królestw – powiedział Wang[2].

– Dożył do naszych czasów – rzekł drugi mężczyzna, ten ze skrzynką. – Żyje też król Zhou z dynastii Shang[3]. Jestem zwolennikiem króla Wena. Zresztą mój login to: „Zwolennik króla Wena”. To geniusz, nie sądzi pan?

– Mój login to „Hairen”. Co pan niesie na plecach?

Król Wen postawił prostokątną skrzynkę pionowo na ziemi. Otworzył jeden z jej boków i ukazało się pięć przegródek. W słabym świetle Wang zobaczył, że w każdej z nich znajduje się kupka piasku. Wydawało się, że przesypuje się on przez małą dziurkę z każdej z wyższych przegródek do niższej.

– To coś w rodzaju klepsydry. Co osiem godzin cały piasek spada na dno. Jeśli obróci się skrzynkę trzy razy, można zmierzyć dzień. Ale często zapominam to zrobić i musi mi o tym przypominać Zwolennik.

– Wydaje się, że macie za sobą długą podróż. Czy koniecznie musicie dźwigać taki nieporęczny zegar?

– A jak inaczej moglibyśmy mierzyć czas?

– Wygodniejszy byłby przenośny zegar słoneczny. Moglibyście też spojrzeć na położenie słońca, żeby się zorientować, jaka jest pora.

Król Wen i Zwolennik popatrzyli na siebie, a potem spojrzeli na Wanga, jakby był idiotą.

– Na słońce? A w jaki sposób może nam ono pokazać czas? Jesteśmy w erze chaosu.

Wang miał już zapytać, co znaczy to dziwne określenie, gdy Zwolennik krzyknął żałośnie:

– Jest tak zimno! Umrę z zimna!

Wangowi też było bardzo zimno. Niestety w większości gier komputerowych zdjęcie stroju W oznaczało natychmiastowe usunięcie z systemu jego identyfikatora. Nie mógł tego zrobić. Powiedział:

– Kiedy wzejdzie słońce, zrobi się cieplej.

– Udajesz, że jesteś kimś w rodzaju wyroczni? Przyszłości nie potrafi przewidzieć nawet król Wen. – Zwolennik pokręcił pogardliwie głową.

– A co ma wspólnego z przyszłością to, co powiedziałem? Każdy widzi, że za godzinę albo dwie wzejdzie słońce. – Wang wskazał pasmo światła nad horyzontem.

– Jesteśmy w erze chaosu!

– Co to jest era chaosu?

– Poza erami stabilności istnieją ery chaosu – odparł król Wen, jakby tłumaczył coś oczywistego dziecku.

I rzeczywiście światło nad horyzontem zbladło i wkrótce zniknęło. Wszystko spowiła noc. Gwiazdy w górze zdawały się jaśniejsze.

– A więc to jest zmierzch, nie świt? – zapytał Wang.

– Jest ranek. Ale słońce nie zawsze wstaje o poranku. Tak to jest w erze chaosu.

Wangowi coraz bardziej doskwierało zimno.

– Wygląda na to, że słońce jeszcze długo nie wzejdzie. – Zadrżał i wskazał zamazany horyzont.

– Na jakiej podstawie tak mówisz? Nie można mieć pewności. Powiedziałem ci już, że to era chaosu. – Zwolennik zwrócił się do króla Wena: – Mogę wziąć trochę suszonej ryby?

– Absolutnie nie. – odparł stanowczo król Wen. – Starczy ledwo dla mnie. Muszę mieć gwarancję, że dotrę do Chao Ge[4], ty nie.

Kiedy rozmawiali, Wang dostrzegł, że niebo nad częścią horyzontu pojaśniało. Nie był pewien wskazań kompasu, ale zdawał sobie sprawę, że wskazywał on inaczej niż poprzednio. Niebo pojaśniało jeszcze bardziej i wkrótce wstało słońce tego świata. Było małe, niebieskawe i błękitnawe, jak bardzo jasny księżyc. Mimo to Wangowi zrobiło się nieco cieplej i trochę wyraźniej widział otaczający go krajobraz. Ale dzień nie trwał

długo. Słońce zatoczyło niski łuk nad horyzontem i zaraz zaszło. Wszystko znowu spowiła noc i powrócił przenikający do szpiku kości ziąb.

Trzej podróżnicy zatrzymali się pod uschniętym drzewem. Król Wen i Zwolennik porąbali je swymi brązowymi mieczami na opał, a Wang ułożył ze szczap ognisko. Zwolennik wyjął kawałek krzemienia i stukał nim w ostrze, aż iskry ogarnęły szczapy. Ogień wkrótce ogrzał przód stroju Wanga, ale z tyłu czuł on lodowate zimno.

– Powinniśmy spalić parę tych odwodnionych ciał – powiedział Zwolennik. – Wtedy ogień będzie huczał!

– Nawet o tym nie myśl. Na takie zachowanie stać tylko tego tyrana króla Zhou.

– Po drodze widzieliśmy tyle wysuszonych ciał rozrzuconych wzdłuż drogi. Będą porozrywane i nie da się ich wskrzesić, nawet gdy zostaną z powrotem nawodnione. Jeśli twoja teoria, panie, jest słuszna, to jakie znaczenie będzie miało to, że kilka z nich spalimy? Moglibyśmy nawet zjeść parę. Jakie znaczenie ma życie kilku osób w porównaniu z twoją teorią? Czy życie może się równać z wagą tej teorii?

– Skończ z tymi bzdurami! Jesteśmy naukowcami!

Gdy ognisko zgasło, ruszyli w dalszą drogę. Ponieważ niewiele rozmawiali, system przyspieszył tempo gry. Król Wen przerzucił szybko klepsydrę na swoich plecach, co wskazywało, że minęły dwa dni. Słońce już się nie pojawiło, nad horyzontem nie pokazał się nawet jego rąbek.

– Zdaje się, że słońce już nigdy nie wzejdzie – rzekł Wang. Przywołał menu gry i zerknął na kreskę wskazującą poziom jego zdrowia. Z powodu wielkiego chłodu stale się zmniejszała.

– Znowu udajesz wyrocznię – rzekł Zwolennik, ale tym razem Wang dokończył razem z nim: – To era chaosu.

Jednak zaraz potem zaczęło świtać. Niebo szybko pojaśniało i wyjrzało słońce. Wang zauważył, że tym razem jest ogromne.

Ukazało się ledwie do połowy, a zajęło jedną piątą widzialnego horyzontu. Ogarnęły ich fale gorąca i Wang poczuł, że odżywa. Kiedy jednak zerknął na króla Wena i Zwolennika, ujrzał na ich twarzach przerażenie, jakby zobaczyli demona.

– Szybko! Znajdź zacienione miejsce! – krzyknął Zwolennik.

Wang pobiegł za nimi. Wskoczyli za dużą skałę. Rzucany przez nią cień stopniowo coraz bardziej się kurczył. Ziemia wokół się żarzyła, jakby trawił ją ogień. Wkrótce stopiła się wieczna zmarzlina pod ich stopami, twarda jak stal powierzchnia zmieniła się w błoto wysuszane uderzeniami fal upału. Wang ociekał potem.

Gdy słońce znalazło się bezpośrednio nad nimi, przykryli głowy zwierzęcymi skórami, ale przez dziury w nich jego promienie raziły jak strzały. Uciekali przed nimi, przesuwając się wokół skały, i w końcu znaleźli się w cieniu, który pojawił się z jej drugiej strony…

Kiedy słońce zaszło, powietrze pozostało gorące i wilgotne. Trzej spoceni wędrowcy usiedli na skale.

– Wędrówka w erze chaosu jest jak podróż przez piekło – powiedział z przerażeniem Zwolennik. – Dłużej już tego nie wytrzymam. Poza tym nic nie miałem w ustach, bo nie chcesz podzielić się ze mną rybą i nie pozwalasz mi jeść odwodnionych ciał. Co…

– Jedynym wyjściem jest odwodnienie ciebie – rzekł król Wen, wachlując się rąbkiem skóry.

– Nie zostawisz mnie potem na pastwę losu, prawda, królu?

– Oczywiście, że nie. Obiecuję, że zaniosę cię do Chao Ge.

Zwolennik zdjął przepoconą szatę i położył się nago na błotnistej ziemi. W ostatnim blasku słońca, które było już pod horyzontem, Wang zobaczył,

jak z jego ciała wycieka woda. Wiedział, że to nie jest pot. Ze Zwolennika wypłynęła jak wyciśnięta z gąbki cała woda i utworzyła w błocie małe strumyki. Jego ciało skurczyło się i straciło kształt niczym topiąca się świeczka.

Dziesięć minut później Zwolennik był już wyciągniętym na ziemi kawałkiem skóry w kształcie człowieka. Rysy jego twarzy spłaszczyły się i zatarły.

– Umarł? – zapytał Wang.

Pamiętał, że widział takie skóry rozsiane wzdłuż drogi. Niektóre były podarte i niekompletne. Przypuszczał, że to właśnie o nich mówił Zwolennik jako o potencjalnej podpałce.

– Nie – odparł król Wen.

Podniósł skórę, strzepał z niej kurz i błoto, rozpostarł na skale i zwinął jak balon, z którego uszło powietrze.

– Dojdzie do siebie, jak tylko nasączymy go wodą. To tak, jakby namaczało się suszone grzyby.

– Jego kości też zmiękły?

– Cały szkielet wysechł na wiór. Będzie go lżej nieść.

– Każdy na tym świecie może zostać odwodniony i nawodniony?

– Oczywiście. Ty też. Inaczej nie przetrwalibyśmy ery chaosu.

Król Wen podał Wangowi zwiniętego Zwolennika.

– Nieś go. Jeśli zostawisz go na drodze, zostanie spalony albo zjedzony.

Wang wziął od niego zwiniętą w lekki rulon skórę. Włożył ją pod ramię. Nie wydawała się dziwna.

Wang ze zwojem pod pachą, a król Wen z klepsydrą kontynuowali podróż. Tak jak w poprzednich kilku dniach, słońce nie trzymało się żadnego rytmu. Po długiej mroźnej nocy, która trwała kilka dni, mógł nastąpić upalny dzień, i odwrotnie. Musieli się wspierać, żeby przetrwać.

Rozpalali ogniska, by odpędzić chłód, i zanurzali się w jeziorach, by uciec przed żarem.

Przynajmniej przyspieszyło tempo gry. Bywało, że miesiąc mijał w pół godziny. Dzięki temu Wang mógł jakoś znieść podróż w erze chaosu.

Pewnego dnia, po trwającej prawie tydzień (zgodnie z pomiarami klepsydry) nocy, król Wen krzyknął radośnie, wskazując na niebo:

– Latające gwiazdy! Dwie latające gwiazdy!

Faktycznie Wang zauważył dwa dziwne ciała niebieskie. Większe od gwiazd, wyglądały jak dyski wielkości piłeczek pingpongowych. Przesuwały się szybko po niebie w tempie uchwytnym gołym okiem. Ale po raz pierwszy pojawiły się razem.

– Kiedy pojawiają się dwie latające gwiazdy, znaczy to, zaraz zacznie się era stabilna.

– Już przedtem widzieliśmy latające gwiazdy.

– Tak, ale pojedyncze.

– Nie zobaczymy ich więcej niż dwie naraz?

– Nie. Czasami pokazują się trzy, ale nigdy więcej.

– Jeśli pokażą się trzy, to zwiastuje to jeszcze lepszą erę?

Król Wen obrzucił Wanga przerażonym spojrzeniem.

– O czym ty mówisz? Trzy latające gwiazdy… módlmy się, żeby znowu do czegoś takiego nie doszło.

Okazało się, że król Wen miał rację. Wkrótce zaczęła się upragniona era stabilności. Słońce zaczęło wschodzić i zachodzić w stałym rytmie. Cykl dnia i nocy ustabilizował się w granicach osiemnastu godzin. Dzięki regularnemu nastawaniu dnia po nocy zrobiło się ciepło i klimat stał się łagodny.

– Jak długo trwa era stabilności? – zapytał Wang.

– Może tylko jeden dzień, a może cały wiek. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak długo potrwa.

Król Wen usiadł na klepsydrze, podniósł głowę i popatrzył na południowe słońce.

– Z historycznych zapisów wynika, że Zachodnia Dynastia Zhou cieszyła się erą stabilności trwającą dwieście lat. Jakież szczęście mieli ci, którzy się urodzili w tamtych czasach!

– Wobec tego jak długo trwa era chaosu?

– Już ci powiedziałem. Poza erami stabilności cała reszta to ery chaosu. Każda z nich zabiera czas, który nie należy do innych.

– A więc w tym świecie nie ma żadnych prawidłowości?

– Nie ma. Cywilizacja może się rozwijać tylko w łagodnym klimacie er stabilności. Przez większość czasu ludzie muszą się zbiorowo odwadniać i trzeba ich potem przechowywać. Gdy następuje długa era stabilności, wracają do życia dzięki nawodnieniu. Wtedy zabierają się do budowy i produkcji.

– Jak możecie przewidzieć nadejście i trwanie ery stabilności?

– Nigdy się to nie udało. Gdy nastaje era stabilności, król, opierając się na intuicji, podejmuje decyzję, czy przystąpić do masowego nawodnienia. Często się zdarza, że ludzie zostają ożywieni, sadzi się uprawy, zaczyna budować miasta – i era stabilności się kończy. Wszystko niszczą ogromne zimno i upał. – Król Wen z błyszczącymi oczami wymierzył palec w Wanga. – Teraz wiesz, jaki jest cel tej gry: używając umysłu i zdolności rozumienia, mamy przeanalizować wszystkie zjawiska i poznać schemat ruchu słońca. Od tego zależy przetrwanie cywilizacji.

– Z moich obserwacji wynika, że ruch słońca nie podlega żadnym prawidłowościom.

– Jest tak dlatego, że nie rozumiesz natury tego świata.

– A ty rozumiesz?

– Tak. Dlatego idę do Chao Ge. Przedstawię królowi Zhou dokładny kalendarz.

– Ale podczas tej podróży nie widziałem żadnych dowodów na to, że potrafisz to zrobić.

– Przewidywanie ruchu słońca możliwe jest tylko w Chao Ge, bo tam stykają się yin i yang. Dokładne są tylko losy, które tam się ciągnie.

Szli dalej w trudnych warunkach kolejnej ery chaosu, na krótko przerwanych erą stabilności, i w końcu dotarli do Chao Ge.

Wang usłyszał hałas, który brzmiał jak nieustający grzmot. Wydawało go wiele ogromnych wahadeł ustawionych w całym Chao Ge, z których każde było wysokie na kilkadziesiąt metrów. Każde złożone było z ogromnego głazu zawieszonego na moście łączącym dwie smukłe kamienne wieże.

Wszystkie wahadła huśtały się, bo wprawiały je w ruch grupy żołnierzy w zbrojach. Skandując niezrozumiale, ciągnęli rytmicznie liny przymocowane do ciężarów wahadeł, dodając im pędu, gdy zaczynały zataczać mniejsze łuki. Wang zauważył, że wszystkie poruszają się w tym samym rytmie. Z daleka wyglądało to tak, jakby ustawiono na ziemi wiele ogromnych zegarów albo jakby z nieba spadły olbrzymie abstrakcyjne symbole.

Ogromne wahadła otaczały jeszcze potężniejszą piramidę sterczącą w mroku nocy jak góra. Był to pałac króla Zhou. Wang wszedł z królem Wen w niskie drzwi u podstawy piramidy, przy których pełniło wartę kilku żołnierzy poruszających się bezgłośnie niczym duchy. Drzwi prowadziły do długiego, wąskiego, ciemnego korytarza, oświetlonego kilkoma pochodniami.

Po drodze król Wen wyjaśniał Wangowi:

– Podczas ery chaosu cały kraj jest odwodniony. Ale król Zhou czuwa w tej pozbawionej życia krainie. Aby przetrwać erę chaosu, musisz pozostać w budynku o grubych murach, takim jak ten, jakbyś żył pod ziemią. Tylko tak możesz się uchronić przed przenikliwym chłodem i żarem.

Po przejściu przez długi tunel dotarli wreszcie do Wielkiej Sali w środku piramidy. Właściwie nie była tak ogromna i przypominała Wangowi jaskinię. Mężczyzną w wielobarwnej szacie, który siedział na podwyższeniu pośrodku, był niewątpliwie król Zhou. Ale uwagę Wanga przykuł pewien człowiek w czerni. Jego czarna szata wtapiała się w gęste cienie zasnuwające Wielką Salę, a blada twarz zdawała się unosić w powietrzu.

– To Fu Xi[5]. – Król Zhou przedstawił mężczyznę w czerni królowi Wenowi i Wangowi. Mówił tak, jakby król Wen i Wang przebywali tam od zawsze, natomiast mężczyzna w czerni był świeżym przybyszem. – Fu Xi uważa, że słońce jest kapryśnym bogiem. Kiedy nie śpi, ma zmienne nastroje i dlatego przeżywamy erę chaosu. Natomiast gdy śpi, jego oddech się wyrównuje i wtedy mamy erę stabilności. Fu Xi zaproponował, żebym zbudował te wahadła, które tam widzicie, i utrzymywał je w ciągłym ruchu. Twierdzi, że wywierają one na słońce hipnotyzujący efekt, dzięki czemu pogrąża się ono w długim śnie. Na razie jednak widzimy, że bóg słońce pozostaje rozbudzony, chociaż od czasu do czasu zdaje się zapadać w krótką drzemkę.

Król Zhou kiwnął ręką i słudzy przynieśli gliniany garnek. Postawili go na kamiennym stoliku przed Fu Xi. Później Wang odkrył, że był to przyprawiony rosół. Fu Xi westchnął, podniósł garnek i pił wielkimi łykami, a ich odgłosy brzmiały jak bicie wielkiego serca w ciemnościach. Po wypiciu połowy wylał resztę na swoje ciało. Potem odrzucił garnek

i podszedł do dużego brązowego kotła zawieszonego nad ogniem w rogu sali. Wdrapał się na jego brzeg i wskoczył do środka, wzbijając kłąb pary.

– Usiądź, Ji Chang[6] – powiedział król Zhou. – Za chwilę będziemy jeść.

Wskazał kocioł.

– Głupie czary – odparł król Wen, spoglądając pogardliwie na kocioł.

– Czego dowiedziałeś się o słońcu? – zapytał król Zhou. W jego oczach zamigotały ogniki.

– Słońce nie jest bogiem. Ono jest yang, a noc jest yin. Świat opiera się na równowadze między yin i yang. Chociaż nie potrafimy zapanować nad tym procesem, możemy go przewidzieć. – Król Wen wyciągnął brązowy miecz i narysował nim na podłodze słabo oświetlony przez ogień symbol yin-yang. Potem wyrył wokół niego sześćdziesiąt cztery heksagramy *I Ching*. Całość przypominała kalendarz kołowy. – Królu, to szyfr Wszechświata. Dzięki niemu mogę przedstawić twojej dynastii dokładny kalendarz.

– Ji Chang, muszę wiedzieć, kiedy zacznie się następna długa era stabilności.

– Zaraz ci to przepowiem – rzekł król Wen.

Usiadł pośrodku symbolu yin-yang z podwiniętymi pod siebie nogami. Podniósł głowę i popatrzył na sklepienie Wielkiej Sali. Jego spojrzenie zdawało się przenikać przez grube kamienie piramidy aż do gwiazd. Zaczął wykonywać palcami obu rąk szybkie, skomplikowane ruchy, jakby stukał w klawisze kalkulatora. W ciszy słychać było tylko wrzenie i bulgotanie zupy w kotle, jak gdyby szaman, który się w nim gotował, mówił przez sen.

Król Wen wstał. Ze wzniesioną ku sklepieniu twarzą powiedział:

– Nastąpi trwająca czterdzieści jeden dni era chaosu. Po niej nadejdzie pięciodniowa era stabilności. Później dwudziestotrzydniowa era chaosu i kolejna, osiemnastodniowa era stabilności. Potem będziemy mieli

ośmiodniową erę chaosu. Ale kiedy się skończy, zacznie się długa era stabilności, na którą czekasz, królu. Potrwa trzy lata i dziewięć miesięcy. Klimat będzie tak łagodny, że nazwiecie ją złotym wiekiem.

– Najpierw musimy zweryfikować twoje pierwotne prognozy – rzekł król Zhou z kamiennym wyrazem twarzy.

Wang usłyszał dobiegający z góry huk, jakby toczących się głazów. Przesunęła się kamienna płyta w sklepieniu i ukazał się kwadratowy otwór. Wang zmienił pozycję i zobaczył, że otwór prowadzi do innego tunelu przechodzącego przez środek piramidy. Na jego końcu widać było dwie migoczące gwiazdy.

Tempo gry przyspieszyło. Co kilka sekund w czasie rzeczywistym dwaj żołnierze odwracali klepsydrę przyniesioną przez króla Wena, pokazując, że w czasie gry minęło osiem godzin. W otworze w sklepieniu pojawiały się przypadkowe światła, a niekiedy do sali wpadał promień słońca ery chaosu. Niekiedy światło to było bardzo silne, a biały kwadrat, który rzucało na posadzkę, jarzył się takim blaskiem, że przyćmiewał pochodnie.

Wang liczył, ile razy odwracano klepsydrę. Kiedy doszedł do mniej więcej stu siedemdziesięciu, światło słoneczne wpadające przez otwór w sklepieniu zaczęło pojawiać się w stałych odstępach czasu. Nadeszła pierwsza z zapowiedzianych er stabilności.

Po kolejnych piętnastu odwróceniach klepsydry promienie migoczące w otworze znowu stały się nieregularne. Był to początek kolejnej ery chaosu. Po niej znowu nastąpiły era stabilności i era chaosu. Początek i przebieg każdej z nich nie były dokładnie takie, jak przepowiedział król Wen, ale bardzo temu bliskie. Po zakończeniu się jeszcze jednej ośmiodniowej ery chaosu rozpoczęła się zgodnie z jego wyliczeniem długa era stabilności.

Weng nie spuszczał oka z ciągle odwracanej klepsydry. Minęło dwadzieścia dni, a słońce wpadało do Wielkiej Sali w stałym rytmie. Czas gry zwolnił i upodobnił się do normalnego.

Król Zhou skinął głową do króla Wena.

– Powinienem wznieść ci pomnik większy niż ten pałac.

Król Wen złożył mu głęboki ukłon.

– Obudź swoją dynastię, królu, niech wzrasta jej potęga.

Król Zhou podniósł się z tronu i rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi cały świat. Zaintonował dziwnym, nieziemskim głosem:

– Na-wad-niać…

Zaledwie rozległ się ten rozkaz, wszyscy zgromadzeni w sali rzucili się do wyjścia. Wang trzymał się tuż za królem Wenem. Opuścili piramidę długim tunelem, którym do niej weszli. Gdy się z niej wyłonili, Wang ujrzał światło popołudniowego słońca, obmywające ziemię ciepłem. Przelotny powiew zdawał się nieść świeże zapachy wiosny. Król Wen i Wang podeszli do pobliskiego jeziora. Lód na jego powierzchni stopniał i wśród łagodnych fal tańczyły promienie słońca.

Kolumna żołnierzy, biegnąc w stronę dużego kamiennego budynku w kształcie spichlerza koło jeziora, krzyczała:

– Nawadniać! Nawadniać!

Po drodze do Chao Ge Wang widział wiele takich budynków. Król Wen wyjaśnił mu, że są to odwadnialnie, magazyny, w których przechowuje się ciała pozbawione wody. Żołnierze otworzyli ciężkie kamienne drzwi odwadnialni i wynieśli zwoje zakurzonych skór. Każdy z nich trzymał kilka takich zwojów. Podeszli do brzegu jeziora i wrzucili je do wody. Po zetknięciu się z wodą zaczęły się rozwijać i rozprostowywać. Powierzchnię jeziora pokryła wkrótce warstwa skór o ludzkich kształtach, które szybko wchłaniały wodę i się rozszerzały. Stopniowo wszystkie stały się

pełnowymiarowymi ciałami osób, które zaraz zaczęły przejawiać oznaki życia. Jedna po drugiej stawały w głębokiej po pas wodzie. Patrzyły szeroko rozwartymi oczami na zalany łagodnymi promieniami słońca świat i wyglądały, jakby obudziły się ze snu.

– Nawadniać! – krzyknął ktoś.

– Nawadniać! Nawadniać! – odpowiedziały mu głosy innych.

Wszyscy wygramolili się z jeziora i pobiegli do odwadnialni. Wynieśli stamtąd inne skóry, wrzucili je do wody i pojawili się następni wskrzeszeni… To samo działo się wokół innych jezior i sadzawek. Cały świat wracał do życia.

– Och, niebiosa! Mój palec!

Wang zobaczył mężczyznę, który stał pośrodku jeziora z uniesioną ręką i płakał. W jego dłoni brakowało serdecznego palca, a z rany ciekła do wody krew. Inni, też dopiero zmartwychwstali, brnęli radośnie do brzegu, nie zważając na jego lamenty.

– Uważaj się za szczęśliwca – powiedział jeden z tych, którzy go mijali. – Niektórzy stracili całe ręce albo nogi. Innym szczury odgryzły głowy. Gdyby nas w porę ponownie nie nawodniono, być może wszyscy zostalibyśmy przez nie pożarci.

– Jak długo byliśmy odwodnieni? – zapytał ktoś z ocalałych.

– Można się z grubsza zorientować po grubości warstwy kurzu na pałacu. Słyszałem, że panuje już inny król, ale nie wiem, czy jest synem czy wnukiem starego króla.

Ponowne nawodnienie mieszkańców zajęło osiem dni. Tchnięto życie w przechowane ciała i świat znowu się odrodził. Podczas tych ośmiu dni wszyscy radowali się regularnymi wschodami i zachodami słońca, a każdy cykl dnia i nocy wynosił dokładnie dwadzieścia godzin. Składali słońcu

i bogom, którzy kierowali biegiem spraw, serdeczne dzięki za to, że mogą żyć w wiosennej aurze.

Wieczorem dziewiątego dnia rozsiane po ziemi ogniska wydawały się liczniejsze i gęściejsze niż gwiazdy na niebie. Ruiny miast opuszczonych w erach chaosu znowu wypełniły światło i gwar. Tak jak bywało w przeszłości, ludzie chcieli świętować przez całe noce powrót do życia po każdym wschodzie słońca.

Ale następnego dnia słońce nie wzeszło.

Wszelkiego rodzaju chronometry wskazywały, że godzina wzejścia słońca minęła, a mimo to horyzont pozostawał ciemny. Dziesięć godzin później nadal nic nie zwiastowało pojawienia się słońca, nie pojawiła się najdrobniejsza oznaka nadejścia świtu. Noc trwała przez cały dzień, potem drugi. Na ziemię napierało niczym gigantyczna dłoń zimno z ciemności.

W piramidzie król Wen klęknął przed królem Zhou i błagał:

– Królu, uwierz mi, proszę. To jest zjawisko przejściowe. Widziałem, że zbiera się yang Wszechświata i słońce wkrótce znowu wzejdzie. Era stabilności i wiosna będą trwały!

– Rozpalmy ogień pod kotłem – rzekł król Zhou i westchnął.

– Och, królu! – Przez wejście ziejące jak otwór jaskini wpadł do sali minister. – Na niebie są trzy latające gwiazdy!

Obecni w sali zamarli. Wydawało się, że powietrze zastygło. Tylko król Zhou pozostał nieporuszony. Obrócił się do Wanga, który wcześniej nie śmiał się odezwać.

– Nadal nie rozumiesz, co oznacza obecność trzech latających gwiazd, prawda? Może mu to wyjaśnisz, Ji Chang?

– Oznacza to nadejście długiego okresu tak wielkiego zimna, że pod jego wpływem kamienie rozsypią się w pył. – Król Wen westchnął.

– Od-wad-niać – znowu zaintonował król Zhou tym dziwnym głosem jak nie z tego świata.

Ludzie na zewnątrz już rozpoczęli ten proces. Odwadniali z powrotem swoje ciała, żeby przetrwać nadciągającą długą noc. Ci, którym dopisało szczęście, zostali złożeni w odwadnialniach, ale wielu porzucono na pustych polach.

Król Wen wolno wstał i podszedł do kotła nad buzującym ogniem w rogu sali. Wdrapał się na jego krawędź, ale zanim skoczył, zatrzymał się na kilka sekund – być może zobaczył uśmiechającą się do niego z zupy dokładnie ugotowaną twarz Fu Xi.

– Utrzymujcie mały płomień – rozkazał król Zhou słabym głosem. Potem zwrócił się do reszty: – Możecie wyjść, jeśli chcecie. Po dojściu do tego punktu gra przestaje sprawiać przyjemność.

Z boku sali pokazał się czerwony napis: WYJŚCIE. Ruszył tam potok graczy i Wang poszedł za tłumem. Po przejściu przez długi tunel wyłonili się w końcu z piramidy. Powitał ich gęsto padający w mroku nocy śnieg. Pod wpływem przeszywającego do szpiku kości zimna Wang zadrżał, a napis w rogu nieba pokazał, że czas gry znowu przyspieszył.

Śnieg padał przez dziesięć dni bez przerwy. Jego płatki stały się duże i ciężkie jak kawałki zmaterializowanej ciemności. Ktoś obok Wanga szepnął:

– Teraz śnieg składa się z zamarzniętego dwutlenku węgla, z suchego lodu.

Wang odwrócił się i zobaczył, że powiedział to Zwolennik.

Po kolejnych dziesięciu dniach płatki śniegu stały się cienkie i półprzezroczyste. W słabym świetle kilku pochodni płonących u wejścia do długiego tunelu lśniły bladoniebieskim światłem jak wirujące drobiny miki.

– Teraz składają się z zestalonego tlenu i azotu. Atmosfera zanika, bo temperatura spadła niemal do zera bezwzględnego.

Śnieg stopniowo zasypywał piramidę. Jego najniższe warstwy tworzyła skrystalizowana para wodna, wyżej leżał suchy lód, a na samej górze śnieg powstały z tlenu i azotu. Nocne niebo stało się niezwykle przejrzyste, gwiazdy błyszczały jak morze srebrnych ognisk. Na tym gwiaździstym tle pojawił się tekst:

> Ta długa noc trwała czterdzieści osiem lat. Cywilizację 137 zniszczyło niezwykłe zimno. Zanim zginęła, rozwinęła się do Epoki Walczących Królestw.
>
> Zarodek cywilizacji przetrwał. Zakiełkuje i znowu będzie się rozwijał w nieprzewidywalnym świecie *Trzech ciał*. Zapraszamy cię do zalogowania się w przyszłości.

Przed wyjściem z gry Wang zauważył na niebie trzy latające gwiazdy. Obracając się blisko siebie, zdawały się wykonywać dziwny taniec nad otchłanią przestrzeni kosmicznej.

1 Hairen znaczy „Człowiek Morza”. To kalambur, gdyż nazwisko Wang Miao można odczytywać jako „morze”.

2 Epoka Walczących Królestw trwała od 475 do 221 roku p.n.e., natomiast król Wen z dynastii Zhou rządził dużo wcześniej, w latach 1099–1050 p.n.e. Uważa się go za założyciela dynastii Zhou, która zastąpiła skorumpowaną dynastię Shang (zob. następny przypis).

3 Król Zhou z dynastii Shang panował w latach 1075–1046 p.n.e. Był ostatnim władcą z tej dynastii i jednym z największych tyranów w historii Chin.

4 Chao Ge było stolicą Chin z czasów dynastii Shang, w której król Zhou utrzymywał dwór.

5 Fu Xi jest pierwszym z Trzech Dostojnych, chińskich postaci mitologicznych. Wraz z boginią Nüwą był jednym z protoplastów ludzkości.

6 Król Wen urodził się jako Ji Chang.

8

Ye Wenjie

Wang zdjął strój W i panoramiczny kask. Koszulę miał przesiąkniętą potem, jakby obudził się z koszmarnego snu. Wyszedł z Centrum Badawczego, wsiadł do samochodu i pojechał pod adres, który dał mu Ding Yi – do matki Yang Dong.

„Era chaosu, era chaosu, era chaosu… – rozbrzmiewało mu w głowie. – Dlaczego droga słońca w świecie *Trzech ciał* była pozbawiona regularności i nie dawała się ująć w żaden wzór? Bez względu na to, czy planeta porusza się po orbicie bardziej kolistej czy bardziej eliptycznej, musi obiegać słońce w określonym czasie. Całkowita nieregularność w ruchu planety jest niemożliwa…”

Zdjęła go złość na siebie. Potrząsnął głową, starając się odpędzić te myśli.

„To tylko gra! Ale przegrałem. Era chaosu, era chaosu, era chaosu… Niech to szlag! Dosyć! Dlaczego wciąż o tym myślę? Dlaczego?”

Wkrótce znalazł na to odpowiedź. Od lat nie grał w gry komputerowe, a w tym czasie sprzęt do ich uprawiania najwyraźniej został bardzo udoskonalony. Rzeczywistość wirtualna i sensoryczne sprzężenia zwrotne były oczywiście doznaniami nieznanymi w jego studenckich czasach, ale

wiedział też, że poczucie realności, którego doświadczał w *Trzech ciałach*, nie wynikało tylko z technologii złączy.

Pamiętał zajęcia z teorii informacji, na które chodził na trzecim roku studiów. Profesor pokazał im dwa obrazy: pełen drobnych detali słynny *Widok wzdłuż rzeki podczas święta Qingming* z czasów dynastii Song i zdjęcie nieba zrobione w słoneczny dzień – ciemnoniebieski przestwór z jedną smużką obłoku, tak słabo widoczną, że nie można było mieć pewności, czy naprawdę tam jest – po czym zapytał grupę, który z nich zawiera więcej informacji. Prawidłowa odpowiedź: pod względem zawartych informacji (entropii) zdjęcie przewyższało malowidło o dwa rzędy wielkości!

Tak samo było z grą *Trzy ciała*. Jej zawartość informacyjna była głęboko ukryta. Wang czuł to, ale nie potrafił tego ująć słowami. Zrozumiał nagle, że twórcy *Trzech ciał* przyjęli dokładnie przeciwne podejście niż autorzy innych gier. Normalnie twórcy gier starali się przekazać jak najwięcej informacji, by zwiększyć poczucie realizmu. Natomiast ci, którzy opracowali *Trzy ciała*, zagęścili treść, by ukryć bogatszą rzeczywistość, podobnie jak było na zdjęciu pozornie pustego nieba.

Wang wrócił myślami do świata *Trzech ciał*.

„Latające gwiazdy! To one muszą być kluczem. Jedna latająca gwiazda, dwie, trzy… co one znaczą?”

Z tym pytaniem w głowie znalazł się u celu.

Przed budynkiem zobaczył siwiejącą, szczupłą kobietę w wieku około sześćdziesięciu lat. Była w okularach i wdrapywała się z trudem na schody z koszykiem warzyw. Domyślił się, że właśnie z nią ma się spotkać.

Szybkie powitanie potwierdziło jego domysł. Była to Ye Wenjie, matka Yang Dong. Gdy usłyszała, jaki jest cel jego wizyty, była mu bardzo wdzięczna. Wang znał starych intelektualistów, takich jak ona – przez długie lata życia wyzbyli się wszelkiej surowości i gwałtowności i byli łagodni jak powierzchnia wody w bezwietrzny dzień.

Wang wziął od niej koszyk. Kiedy dotarli do jej mieszkania, okazało się, że wcale nie jest tam tak cicho i spokojnie, jak się spodziewał – w pokoju bawiła się trójka dzieci, z których najstarsze miało około pięciu lat, a najmłodsze dopiero zaczynało chodzić. Ye powiedziała mu, że to dzieci sąsiadów.

– Lubią do mnie przychodzić. Dzisiaj jest niedziela, a ich rodzice muszą dodatkowo pracować, więc zostawili je pod moją opieką… O, Nan Nan, skończyłaś swój obrazek? Wspaniały! Jak go zatytułujemy? *Kaczątka w słońcu*? Brzmi dobrze. Daj, babcia to napisze. Teraz dodamy datę i nazwisko autorki: „9 czerwca, Nan Nan”. A co chcecie na obiad? Yang Yang, chcesz smażone bakłażany? No pewnie! Nan Nan, chcesz białą fasolę jak wczoraj? Dobrze. A ty, Mi Mi? Trochę mięska? O nie, mama powiedziała, że nie możesz jeść tyle mięsa, bo niełatwo je strawić. Może zamiast tego rybkę? Zobacz, jaką dużą rybkę babcia kupiła…

Wang przyglądał się Ye pochłoniętej rozmową z dziećmi.

„Na pewno chciałaby mieć wnuczęta. Ale czy Yang Dong zdecydowałaby się na dzieci, gdyby jeszcze żyła?”

Ye zaniosła zakupy do kuchni. Gdy się z niej wyłoniła, powiedziała:

– Miao, warzywa muszą się trochę wymoczyć. Stosują teraz tyle pestycydów, że kiedy mam nakarmić dzieci, płuczę warzywa co najmniej dwie godziny… Może najpierw rozejrzysz się po pokoju Dong Dong?

Propozycja ta, złożona jakby była najbardziej naturalną rzeczą na świecie, zaskoczyła Wanga. Najwyraźniej Ye odgadła prawdziwy cel jego

wizyty. Odwróciła się i poszła do kuchni, nie patrząc na niego, by nie widzieć jego zakłopotania. Wang poczuł wdzięczność, że była tak taktowna.

Przeszedł między trójką bawiących się dzieci do pokoju, który wskazała mu Ye. Zatrzymał się przed drzwiami, tknięty dziwnym uczuciem. Miał wrażenie, jakby powracał do czasów młodzieńczych marzeń, a z głębi jego pamięci wydobył się dojmujący smutek, czysty jak wiosenna rosa, zabarwiony różem.

Pchnął łagodnie drzwi. Uderzył go niespodziewany delikatny zapach, który wypełniał pokój: woń lasu. Zupełnie jakby wszedł do chaty strażnika leśnego: ściany były pokryte pasami kory, funkcję krzeseł pełniły trzy proste pieńki, trzy inne, zestawione razem, tworzyły biurko. No i to łóżko, najwyraźniej zasłane turzycą z Chin Północno-Wschodnich, którą tamtejsi chłopi wkładali do butów dla ochrony stóp przed zimnem. Wszystko było surowe i pozornie niedbałe, bez śladu jakiegokolwiek zmysłu estetycznego. Yang Dong dużo zarabiała i stać ją było na to, by kupić luksusowy apartament, ale wybrała mieszkanie z matką.

Wang podszedł do biurka. Nic na nim nie wskazywało, że jego właścicielka była kobietą i miała jakieś zainteresowania naukowe. Może wszystkie świadczące o tym przedmioty zostały usunięte, a może nigdy ich tam nie było. Zauważył czarno-białą fotografię w drewnianej ramce, portret matki i córki. Yang Dong była na niej jeszcze małą dziewczynką, a Ye Wenjie przykucnęła, dzięki czemu ich głowy znalazły się na tej samej wysokości. Silny wiatr splatał razem ich długie włosy.

Niezwykłe było tło: niebo zdawało się przezierać przez siatkę, podtrzymywaną przez grube stalowe podpory. Wang doszedł do wniosku, że jest to antena paraboliczna, tak duża, że jej krawędzie znalazły się poza obiektywem aparatu.

W oczach małej Yang Dong widać było strach, który napełnił serce Wanga bólem. Zdawała się przerażona światem za zdjęciem.

Potem Wang dostrzegł gruby notes w rogu biurka. Gapił się ze zdumieniem na materiał, z którego zrobiony był notes, aż zobaczył napis wykonany dziecięcym charakterem na okładce: „Brzozowy notes Yang Dong”. Słowo „brzozowy” zapisane było nie ideogramem, lecz w transkrypcji pinyin. Z upływem czasu srebrna niegdyś kora pożółkła. Wyciągnął rękę po notes, zawahał się i cofnął dłoń.

– W porządku – powiedziała Ye od drzwi. – To obrazki, które rysowała Dong Dong, kiedy była mała.

Wang wziął notes z brzozowej kory i ostrożnie go przejrzał. Ye napisała daty pod wszystkimi obrazkami, tak jak przedtem pod obrazkiem Nan Nan.

Na podstawie tych dat Wang zorientował się, że Yang Dong miała już trzy lata, kiedy je narysowała. Normalnie dzieci w tym wieku potrafią wyraźnie rysować kształty ludzi i przedmiotów, natomiast obrazki Yang Dong pozostały tylko plątaniną przypadkowych linii. Zdawały się wyrażać złość i desperację zrodzone z niezaspokojonego pragnienia przekazania czegoś. Nie były to uczucia, których można by się spodziewać u tak małego dziecka.

Ye wolno usiadła na skraju łóżka ze wzrokiem wbitym w notes i pogrążyła się w myślach. Tutaj umarła jej córka, zakończyła życie we śnie. Wang siadł obok niej. Nigdy jeszcze nie czuł tak silnego pragnienia, by podzielać ból innej osoby.

Wzięła od niego notes i przycisnęła do piersi.

– Nie bardzo radziłam sobie z uczeniem Dong Dong w sposób odpowiedni do jej wieku – powiedziała cichym głosem. – Zbyt wcześnie zaczęłam ją zaznajamiać z bardzo abstrakcyjnymi tematami. Gdy po raz pierwszy wyraziła zainteresowanie fizyką teoretyczną, powiedziałam jej, że

nie jest to świat, w który łatwo jest wejść kobiecie. „A pani Curie?” – zapytała. Odparłam, że pani Curie nigdy nie weszła do tego świata. Odniosła sukces tylko dzięki uporowi i ciężkiej pracy. Gdyby ona sama tego nie zrobiła, jej dzieło dokończyłby ktoś inny. Prawdę mówiąc, Chien-Shiung Wu zaszła dalej niż pani Curie[1]. Ale w rzeczywistości nie jest to świat kobiet. Kobiety myślą inaczej niż mężczyźni. Ani gorzej, ani lepiej. Oba sposoby myślenia są potrzebne światu. Dong Dong nie spierała się ze mną. Później odkryłam, że ona naprawdę była inna. Powiedzmy, na przykład, że tłumaczyłam jej jakiś wzór. Inne dzieci powiedziałyby: „Ale pomysłowy wzór!”. Natomiast ona mówiła: „Ten wzór jest taki elegancki, taki piękny”. Miała przy tym taki wyraz twarzy, jakby zobaczyła śliczny kwiat. Po jej ojcu zostało trochę płyt. Przesłuchała wszystkie i w końcu wybrała Bacha. Był jej ulubionym kompozytorem, stale go słuchała. Taka muzyka nie powinna fascynować dziecka, zwłaszcza dziewczynki. Najpierw myślałam, że to tylko kaprys, ale gdy zapytałam, jakie uczucia wywołuje u niej ta muzyka, odparła, że widzi w niej olbrzyma wznoszącego wielki, skomplikowany gmach. Olbrzym rozbudowuje go kawałek po kawałku, a kiedy kończy się utwór, dom jest gotowy…

– Była pani wspaniałą nauczycielką dla swojej córki – rzekł Wang.

– Nie. Zawiodłam jako nauczycielka. Jej świat był zbyt prosty – miała tylko ulotne teorie. Kiedy się zawaliły, nic już nie trzymało jej przy życiu.

– Profesor Ye, nie mogę powiedzieć, bym się z panią zgadzał. Dzieją się teraz rzeczy, które przechodzą naszą wyobraźnię. To bezprecedensowe wyzwanie dla naszych teorii świata, a ona nie była jedynym naukowcem, który wybrał tę drogę.

– Ale była kobietą, a kobieta powinna być jak woda – przepływać albo opływać wszystko.

Na odchodnym Wang przypomniał sobie o drugim celu swojej wizyty. Powiedział Ye, że chciałby obejrzeć promieniowanie tła.

– A, to. W Chinach pracuje się nad tym w dwóch miejscach. Jednym z nich jest obserwatorium w Ürümqi – zdaje się, że Ośrodek Badań Kosmicznych Chińskiej Akademii Nauk. Drugie jest blisko stąd, to radioobserwatorium na przedmieściu Pekinu, wspólne przedsięwzięcie Chińskiej Akademii Nauk i Centrum Astrofizyki Uniwersytetu Pekińskiego. Ośrodek w Ürümqi prowadzi obserwacje naziemne, natomiast pekiński otrzymuje tylko dane z satelitów, chociaż są one dokładniejsze i bardziej kompletne. Pracuje tam mój były student i mogę do niego zadzwonić w twoim imieniu.

Ye znalazła numer telefonu, wybrała go, a rozmowa zdawała się przebiegać gładko.

– Nie ma problemu – powiedziała po jej zakończeniu. – Dam ci adres. Możesz tam jechać, kiedy chcesz. Mój student nazywa się Sha Ruishan i jutro będzie miał nocną zmianę… To chyba nie jest twoja dziedzina badań, prawda?

– Pracuję w nanotechnologii. Tu chodzi… o coś innego.

Wang bał się, że Ye zacznie go wypytywać, po co mu te informacje, ale nie zrobiła tego.

– Miao, jesteś trochę blady. Jak u ciebie ze zdrowiem? – zapytała z zatroskaną miną.

– To nic takiego. Proszę się nie martwić.

– Zaczekaj. – Wyjęła z szafki małe drewniane pudełko. Wang zobaczył etykietkę, z której wynikało, że jest to żeń-szeń. – Parę dni temu odwiedził mnie stary znajomy z bazy, żołnierz, i przywiózł to. Bierz, bierz! To odmiana uprawna, niezbyt cenna. Zresztą i tak nie mogę tego zażywać, bo

mam wysokie ciśnienie. Pokrój korzeń w cienkie plasterki i zrób z tego herbatkę. Jesteś taki blady, że na pewno potrzebujesz wzmocnienia. Choć jesteś jeszcze młody, musisz dbać o zdrowie.

Wang wziął od niej pudełko i zrobiło mu się ciepło na duszy. Zwilgotniały mu oczy. Miał wrażenie, jakby jego serce, które przez ostatnich kilka dni znajdowało się pod wpływem stresu niemal przekraczającego jego wytrzymałość, spoczęło na stosie miękkich poduszek z pierza.

– Profesor Ye, będę panią często odwiedzał.

1 Chien-Shiung Wu była jednym z najwybitniejszych fizyków ery współczesnej i miała wiele osiągnięć w fizyce eksperymentalnej. Pierwsza obaliła eksperymentalnie zasadę zachowania parzystości, czym wsparła prace teoretyków Tsung-Dao Lee i Chen-Ning Yanga (przyp. autora).

9

Wszechświat migocze

Wang Miao pojechał trasą Jingmi aż do powiatu Miyun. Stamtąd skierował się do Heilongtan, przebył góry wijącą się serpentynami drogą i znalazł się przed radioobserwatorium Narodowego Centrum Astronomicznego Chińskiej Akademii Nauk. Zobaczył szereg dwudziestu ośmiu talerzy anten parabolicznych, z których każdy miał dziewięć metrów średnicy, wznoszących się niczym rząd stalowych drzew. Na jego końcu stały dwa wysokie, zbudowane w 2006 roku, radioteleskopy z tarczami o średnicy pięćdziesięciu metrów. Gdy Wang podjechał bliżej, nie mógł się oprzeć myśli o tle zdjęcia przedstawiającego Ye i jej córkę.

Ale praca Sha Ruishana nie miała nic wspólnego z tymi radioteleskopami. Jego laboratorium zajmowało się głównie odbieraniem danych przesyłanych przez trzy satelity: Cosmic Background Explorer (COBE), wystrzelonego w listopadzie 1989 roku, którego misja miała się wkrótce zakończyć, Wilkinson Microwave Anisotropy Probe (WMAP), wystrzelonego w 2003 roku, i Plancka, satelity umieszczonego w 2009 roku w przestrzeni kosmicznej przez Europejską Agencję Kosmiczną.

Kosmiczne mikrofalowe promieniowanie tła bardzo dokładnie odpowiada widmu ciała doskonale czarnego o temperaturze 2,725 K i jest

ściśle izotropowe, to znaczy dochodzi ze wszystkich kierunków niemal jednakowo, z drobnymi fluktuacjami mocy rzędu jednej milionowej jej wartości. Zadaniem Sha Ruishana było stworzenie na podstawie danych obserwacyjnych bardziej szczegółowej mapy tego promieniowania. Laboratorium było nieduże. Sprzęt do odbioru danych satelitarnych upchnięto w pomieszczeniu głównego komputera, gdzie trzy terminale wyświetlały informacje przychodzące z trzech satelitów.

Sha powitał Wanga z radością. Wyraźnie znudzony długim przebywaniem w samotności i szczęśliwy, że ma gościa, zapytał go, jakie dane chce zobaczyć.

– Chcę zobaczyć ogólną fluktuację w promieniowaniu tła.

– Mógłby pan… wyjaśnić to bardziej szczegółowo?

– Chodzi mi o… izotropowe fluktuacje w całkowitym promieniowaniu tła, w granicach od jednego do pięciu procent.

Sha uśmiechnął się szeroko. Od początku wieku Obserwatorium Radioastronomiczne w Miyun było otwarte dla zwiedzających. By dorobić do pensji, Sha często pełnił rolę przewodnika albo wygłaszał prelekcje. Był to uśmiech zarezerwowany dla turystów, którym obdarzał ich, odkąd przywykł do ich porażającej niewiedzy naukowej.

– Panie Wang, jak rozumiem, nie jest pan specjalistą z tej dziedziny?

– Zajmuję się nanotechnologią.

– No tak, to wiele tłumaczy. Ale na pewno ma pan pewną podstawową wiedzę o promieniowaniu tła?

– Niewielką. Wiem, że kiedy Wszechświat stygł po Wielkim Wybuchu, pozostałe „pogorzelisko” przybrało postać mikrofalowego promieniowania tła. To promieniowanie wypełnia cały Wszechświat i można je obserwować w zakresie fal radiowych o długości centymetrowej. Zdaje mi się, że

przypadkowo odkryli je w latach sześćdziesiątych dwaj Amerykanie podczas sprawdzania superczułej anteny satelitarnej…

– To aż nadto wystarczy – przerwał mu Sha, machając rękami. – Wobec tego musi pan wiedzieć, że w odróżnieniu od lokalnej zmienności, którą obserwujemy w różnych częściach kosmosu, ogólna fluktuacja promieniowania tła jest skorelowana z rozszerzaniem się Wszechświata. Jest to bardzo powolna zmiana, zachodząca w skali wieku Wszechświata. Nawet milion lat ciągłych obserwacji z dokładnością zapewnianą przez satelitę Planck nie pozwoliłoby jej zarejestrować. A pan chce zobaczyć dzisiejszej nocy pięcioprocentową fluktuację? Zdaje pan sobie sprawę, co by to oznaczało? Wszechświat zacząłby migotać jak świetlówka, która za chwilę się przepali!

„I będzie migotać dla mnie” – pomyślał Wang.

– To musi być jakiś żart profesor Ye – dodał Sha.

– Nic nie uradowałoby mnie bardziej niż odkrycie, że to żart – rzekł Wang.

Miał już powiedzieć, że Ye nie zna powodów, dla których zwrócił się do niej z tą prośbą, ale ugryzł się w język, bo się bał, że wtedy Sha odmówiłby mu pomocy. Przynajmniej powiedział, o co mu chodzi.

– No cóż, skoro profesor Ye poprosiła mnie, bym panu pomógł, przeprowadźmy te obserwacje. To nic wielkiego. Skoro potrzebuje pan danych z jednoprocentową dokładnością, wystarczą te, których dostarcza stary COBE. – Nie przestając mówić, Sha stukał szybko w klawiaturę terminala. Wkrótce na ekranie pojawiła się płaska zielona linia. – Ta krzywa to pomiar promieniowania tła w czasie rzeczywistym… no, bardziej precyzyjnie byłoby powiedzieć, że to linia prosta. Temperatura wynosi 2,725 ± 0,002 K. Zakres błędu wynika z efektu Dopplera, wywołanego ruchem Drogi Mlecznej, który został już odfiltrowany. Jeśli dojdzie do

takiej fluktuacji, jakiej pan się spodziewa, przekraczającej jeden procent, ta linia stanie się czerwona i przybierze postać fali. Mogę się założyć, że pozostanie płaska i zielona do końca świata. Jeśli pan chce, by pokazała fluktuacje, które można by obserwować gołym okiem, to zapewne będzie pan musiał czekać jeszcze długo po śmierci Słońca.

– Nie przeszkadzam panu w pracy?

– Nie. Skoro nie wymaga pan dużej dokładności, możemy wykorzystać dane z COBE. W porządku, wszystko ustawione. Od tej chwili dane będą automatycznie zapisywane na dysku.

– Sądzę, że to się może zdarzyć około pierwszej w nocy.

– Och, cóż za precyzja! To żaden kłopot, bo i tak pracuję na nocnej zmianie. Jadł pan już kolację? Dobrze, oprowadzę pana po obserwatorium.

Noc była bezksiężycowa. Przeszli wzdłuż rzędu anten.

– Zapierają dech w piersiach, co? – rzekł Sha, wskazując je. – Szkoda, że są jak uszy głuchego.

– Dlaczego?

– Od zakończenia ich budowy w pasmach obserwacyjnych nieustannie występują zakłócenia. Najpierw, w latach osiemdziesiątych, powodowały je stacje przesyłające sygnały do pagerów. Teraz mamy przepychankę między operatorami sieci telefonii komórkowej i ich wieżami przesyłowymi. Te teleskopy mogą być wykorzystane do wielu zadań – przeczesywania nieba, wykrywania źródeł różnych sygnałów radiowych, obserwacji pozostałości po supernowych – ale większości z nich nie jesteśmy w stanie realizować. Wiele razy słaliśmy skargi do Państwowej Komisji do Spraw Przyznawania Częstotliwości Radiowych, ale zawsze były one nieskuteczne. Czy możemy wzbudzić większe zainteresowanie niż China Mobile, China Unicom, China Netcom? Bez pieniędzy tajemnice Wszechświata są gówno warte.

Przynajmniej mój projekt badawczy nie ma nic wspólnego z tymi „atrakcjami turystycznymi”.

– W ostatnich latach komercyjne prowadzenie badań podstawowych cieszy się coraz większym powodzeniem, podobnie jak badań w zakresie fizyki wielkich energii. Może byłoby lepiej, gdyby obserwatoria budowano z dala od wielkich miast?

– Wszystko sprowadza się do pieniędzy. Na razie mamy tylko jedno wyjście – znaleźć środki techniczne chroniące przed zakłóceniami. Szkoda, że nie ma tutaj profesor Ye. Wiele osiągnęła na tym polu.

I tak rozmowa przeszła na temat Ye Wenjie. Od jej studenta Wang dowiedział się w końcu trochę o jej życiu. Słuchał, jak Sha opowiada o tym, że była świadkiem śmierci swego ojca podczas rewolucji kulturalnej, że została fałszywie oskarżona w Korpusie Produkcji i Budowy, że zniknęła i wydawało się, że jest już po niej, aż niespodziewanie na początku lat dziewięćdziesiątych wróciła do Pekinu i do emerytury uczyła astrofizyki w Tsinghua, gdzie wcześniej pracował również jej ojciec.

– Dopiero niedawno ujawniono, że ponad dwadzieścia lat spędziła w bazie Czerwony Brzeg.

Wang osłupiał.

– Chce pan powiedzieć, że te plotki…

– Większość okazała się prawdą. Jeden z badaczy, którzy opracowali system dekodowania dla programu Czerwony Brzeg, wyemigrował do Europy i w ubiegłym roku napisał książkę. Duża część plotek, które pan słyszał, pochodzi z tej książki. Większość osób, które uczestniczyły w tym programie, jeszcze żyje.

– To… fantastyczna legenda.

– Zwłaszcza że zdarzyło się to w tamtych latach. Aż trudno uwierzyć.

Rozmawiali jeszcze przez pewien czas. Sha zapytał Wanga, w jakim celu zwrócił się do niego z tą niezwykłą prośbą. Wang unikał jasnej odpowiedzi, a Sha nie nalegał. Godność specjalisty nie pozwalała mu wykazać zbyt dużego zainteresowania sprawą, która najwyraźniej była sprzeczna z jego wiedzą fachową.

Potem poszli do całodobowego baru dla turystów, gdzie przesiedzieli dwie godziny. W miarę jak Sha kończył piwo za piwem, rozwiązywał mu się język. Wang jednak zaczął się niepokoić i cały czas wracał myślami do zielonej linii na ekranie terminala w gabinecie Sha. Dopiero za dziesięć pierwsza Sha w końcu uległ jego prośbom, by wrócili do laboratorium.

Zgaszono reflektory podświetlające rząd anten i tworzyły one teraz na tle nieba prosty dwuwymiarowy obraz, który wyglądał jak ciąg abstrakcyjnych symboli. Wszystkie patrzyły w górę pod tym samym kątem, jakby niecierpliwie na coś czekały. Pomimo ciepłej letniej nocy Wang poczuł na ten widok dreszcz. Przypominały wahadła z *Trzech ciał*.

Byli z powrotem w laboratorium o pierwszej. Kiedy spojrzeli na terminal, fluktuacje właśnie się zaczynały. Płaska linia zamieniła się w falę o nierównych odstępach między wierzchołkami i przybrała czerwony kolor. Wyglądała jak wąż po hibernacji, który drga, gdy do jego skóry zaczyna powracać krew.

– To musi być jakaś awaria COBE! – Sha wpatrywał się z przerażeniem w falę.

– To nie awaria – rzekł niezwykle spokojnym tonem Wang. Nauczył się panować nad sobą w obliczu takich widoków.

– Zaraz się dowiemy – powiedział Sha. Podszedł do dwóch pozostałych terminali i zaczął szybko stukać w klawisze, by otrzymać dane z WMAP i Plancka.

Teraz na ekranach poruszały się synchronicznie trzy identyczne fale.

Sha wyjął notebooka i szybko go włączył. Potem wszedł do sieci kablowej, zadzwonił gdzieś – na podstawie tego, co słyszał, Wang domyślił się, że do obserwatorium radiowego w Ürümqi – i czekał. Nie wyjaśnił, co robi, tylko siedział ze wzrokiem utkwionym w okno wyszukiwarki notebooka. Wang słyszał jego przyspieszony oddech.

Kilka minut później w wyszukiwarce pojawiła się czerwona fala, która poruszała się identycznie jak pozostałe trzy.

Wszystkie satelity i obserwatorium naziemne potwierdzały jeden fakt – Wszechświat migotał.

– Może pan zrobić wydruk tej fali? – zapytał Wang.

Sha wytarł pot z czoła i kiwnął głową. Poruszył myszką i kliknął: „Drukuj”. Wang chwycił pierwszą kartkę, gdy tylko wysunęła się z laserowej drukarki, i zaczął porównywać za pomocą ołówka odstępy między wierzchołkami z zapisem alfabetu Morse’a, który wyjął z kieszeni.

„Kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka, kropka-kropka-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka, kropka-kropka-kropka-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka”.

To jest 1108:21:37.

„Kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka, kropka-kropka-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka, kropka-kropka-kropka-kreska-kreska, kreska-kropka-kropka-kropka-kropka”.

To 1108:21:36.

„Kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka, kropka-kropka-kreska-kreska-kreska, kropka-kreska-kreska-kreska-kreska, kreska-kreska-kreska-kropka-kropka-kropka, kropka-kropka-kropka-kreska-kreska, kropka-kropka-kropka-kropka-kropka”.

To 1108:21:35.

Odliczanie trwało w skali kosmicznej. Minęły już dziewięćdziesiąt dwie godziny i zostało tylko 1108.

Sha chodził niespokojnie w tę i z powrotem, przystając od czasu do czasu, by spojrzeć na ciągi cyfr, które zapisywał Wang.

– Może mi pan powiedzieć, co się dzieje? – krzyknął w końcu.

– Doktorze Sha, proszę mi zaufać. Nie mogę panu tego wyjaśnić. – Wang odsunął plik kartek zapełnionych zapisami fal. Patrząc na nie, powiedział: – Może i te trzy satelity, i obserwatorium naziemne źle funkcjonują.

– Wie pan, że to niemożliwe!

– A jeśli to sabotaż?

– To też niemożliwe! Zmienić jednocześnie dane z trzech satelitów i z obserwatorium na Ziemi? To musiałby być jakiś nadprzyrodzony sabotażysta.

Wang kiwnął głową. Zamiast migającego Wszechświata wolałby nadprzyrodzonego sabotażystę. Ale Sha zaraz zgasił ten ostatni promyk nadziei.

– Łatwo to potwierdzić. Jeśli promieniowanie tła tak bardzo się zmienia, to możemy to zobaczyć na własne oczy.

– O czym pan mówi? Długość fali promieniowania tła wynosi siedem centymetrów. Jest o pięć rzędów wielkości dłuższe od promieniowania widzialnego. Jak możemy je zobaczyć?

– Przez okulary 3K.

– Okulary 3K?

– To taka zabawka naukowa, którą zrobiliśmy dla Planetarium Stołecznego. Przy obecnym poziomie techniki było to możliwe. Zminiaturyzowaliśmy sześciometrową antenę tubową, za której pomocą prawie pół wieku temu Penzias i Wilson odkryli promieniowanie tła, do wielkości okularów. Dodaliśmy do nich konwerter, który dokonuje kompresji promieniowania o pięć rzędów wielkości i przekształca fale o długości siedmiu centymetrów w widzialne światło czerwone. Dzięki temu zwiedzający mogą w nocy włożyć te okulary i sami obserwować promieniowanie tła. Teraz możemy ich użyć, by zobaczyć, czy Wszechświat migocze.

– Gdzie mogę znaleźć takie okulary?

– W Planetarium Stołecznym. Zrobiliśmy ponad dwadzieścia par.

– Muszę mieć jedną parę w rękach przed piątą.

Sha podniósł słuchawkę telefonu. Długo nikt nie odbierał, a potem Sha musiał włożyć mnóstwo energii, by przekonać obudzonego w środku nocy rozmówcę, by zgodził się przyjść do Planetarium i czekać na Wanga, który miał tam przyjechać za godzinę.

Gdy Wang wychodził, Sha powiedział:

– Nie pojadę z panem. Wystarczy mi to, co widziałem. Nie potrzebuję żadnego innego potwierdzenia. Mam jednak nadzieję, że wyjaśni mi pan, o co chodzi, kiedy uzna pan, że nadeszła odpowiednia chwila. Jeśli to zjawisko doprowadzi do jakichś wyników badawczych, nie zapomnę o panu.

Wang otworzył drzwi samochodu i odparł:

– To migotanie ustanie o piątej rano. Radzę, żeby potem pan już tego nie badał. Proszę mi wierzyć, do niczego pan nie dojdzie.

Sha patrzył na niego przez długą chwilę, po czym skinął głową.

– Rozumiem. Od pewnego czasu naukowcom przytrafiają się różne rzeczy…

– Tak. – Wang wsiadł do auta. Nie chciał już rozmawiać na ten temat.

– Teraz kolej na nas?

– Przynajmniej na mnie.

Wang uruchomił silnik.

Godzinę później Wang podjechał pod nowe Planetarium i wysiadł z samochodu. Jasne światła miasta przenikały przez półprzezroczyste ściany ogromnego przeszklonego budynku i ukazywały jego wnętrze. Wang pomyślał, że jeśli architekt zamierzał wyrazić w projekcie tego gmachu uczucie, jakim napełniał go Wszechświat, udało mu się to: im bardziej przejrzyste coś było, tym bardziej wydawało się tajemnicze. Wszechświat był przejrzysty – jeśli ktoś miał wystarczająco ostry wzrok, mógł nim sięgnąć, jak daleko chciał, ale im dalej spoglądał, tym bardziej wszystko stawało się tajemnicze.

Przy drzwiach czekał na Wanga pracownik Planetarium o zaspanych oczach. Wręczył mu małą walizeczkę i powiedział:

– Jest tutaj pięć par okularów 3K, wszystkie w pełni naładowane. Włącza się je przyciskiem z lewej strony. Przycisk z prawej służy do nastawiania jasności. Na górze mam jeszcze z dziesięć par. Może pan przez nie patrzeć, jak długo pan chce, ale ja idę do tamtego pokoju się zdrzemnąć. Ten doktor Sha musi mieć coś z głową.

Wszedł do przyćmionego wnętrza Planetarium.

Wang położył walizkę na siedzeniu samochodu, otworzył i wyjął parę okularów 3K. Były podobne do panoramicznego wyświetlacza, który

znajdował się w kasku stroju W. Włożył je i rozejrzał się. Miasto wyglądało jak poprzednio, tyle że było ciemniejsze. Potem przypomniał sobie, że okulary trzeba włączyć.

Miasto pokryło wiele zamglonych, jarzących się aureoli. Większość była nieruchoma, ale niektóre przesuwały się albo migotały. Uświadomił sobie, że są to źródła promieniowania w zakresie centymetrowym, przetworzone teraz na promieniowanie widzialne. Źródło promieniowania znajdowało się w środku każdej aureoli. Z powodu znacznej pierwotnej długości fal nie widział wyraźnie ich kształtów. Podniósł głowę i zobaczył niebo jarzące się słabym czerwonym światłem. Ot tak, po prostu, widział promieniowanie tła.

To czerwone światło pochodziło sprzed ponad dziesięciu miliardów lat. Było pozostałością po Wielkim Wybuchu, jeszcze ciepłym pogorzeliskiem, popiołem Stworzenia. Nie widział żadnych gwiazd. Normalnie, skoro promieniowanie widzialne zostało zagęszczone i przemienione w okularach na niewidzialne, każda gwiazda powinna być widoczna jako ciemny punkt, ale dyfrakcja promieniowania o centymetrowej długości zatarła wszystkie kształty i szczegóły.

Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do tego widoku, spostrzegł, że to słabe czerwone światło istotnie pulsuje. Całe niebo migotało, jakby Wszechświat był tylko lampą mrugającą na wietrze.

Stojąc pod rozświetloną kopułą nocnego nieba, Wang doznał nagle uczucia, że Wszechświat się kurczy i staje tak mały, że tylko on jest w nim uwięziony, że jest ściśniętym sercem czy łonem, a przenikające wszystko czerwone światło półprzezroczystą krwią wypełniającą ten narząd. Zawieszony w tej krwi, widział, że czerwone światło nie migocze okresowo, tak jakby to serce czy łono pulsowało nieregularnie. Poczuł

obecność jakiegoś obcego, przewrotnego, potężnego istnienia, którego nigdy nie zdoła pojąć ludzki rozum.

Zdjął okulary, usiadł z trudem na ziemi i oparł się o koło samochodu. Miasto odzyskało realność widzialnego promieniowania, ale Wang rozglądał się, starając się dojrzeć inne widoki. Przy wejściu do zoo po drugiej stronie ulicy stał rząd neonów. Jeden z nich był bliski przepalenia i nieregularnie mrugał. Obok drżały w powiewie nocnego wietrzyka liście małego drzewa, w których odbijało się chaotycznie światło latarni. W oddali, w czerwonej gwieździe na szczycie wzniesionego w rosyjskim stylu wieżowca Pekińskiego Centrum Wystawienniczego, odbijało się, też na chybił trafił, światło reflektorów przejeżdżających w dole samochodów…

Próbował zinterpretować te mrugnięcia jako znaki alfabetu Morse’a. Miał wrażenie, że nawet zmarszczki na łopoczących koło niego flagach i na kałuży z boku drogi przesyłają mu komunikaty w tym kodzie. Starał się je wszystkie zrozumieć i czuł, sekunda po sekundzie, upływ odliczania.

Nie wiedział, jak długo tam siedział. W końcu wyszedł z gmachu pracownik Planetarium i zapytał go, czy skończył. Ale kiedy ujrzał twarz Wanga, z jego oczu zniknęła senność. Zapakował okulary do walizki, przez parę sekund patrzył na niego i szybko odszedł.

Wang wyjął komórkę i wybrał numer Shen Yufei. Natychmiast odebrała. Może ona też cierpiała na bezsenność.

– Co się stanie, kiedy skończy się odliczanie? – zapytał Wang.

– Nie wiem – odparła i wyłączyła się.

„Co to może być? – zastanawiał się. – Może moja śmierć, jak śmierć Yang Dong. A może katastrofa, jak to potężne tsunami, które kilka lat temu

przetoczyło się przez Ocean Indyjski? Nikt nie powiąże tego z moimi badaniami w dziedzinie nanotechnologii. Czy to możliwe, że wszystkie poprzednie wielkie katastrofy, włącznie z dwiema wojnami światowymi, też były wynikiem upiornego odliczania? Czy to możliwe, że za każdym razem był ktoś taki jak on, o kim nikt nie myślał, a kto ponosił ostatecznie odpowiedzialność za te katastrofy? A może oznacza to koniec całego świata? Na tym przewrotnym świecie byłaby to jakaś ulga”.

Jedno było pewne. Bez względu na to, co nastąpi po odliczaniu, przez pozostałe mniej więcej tysiąc godzin te domysły będą go dręczyły niczym demony, dopóki nie ulegnie całkowitemu załamaniu psychicznemu.

Wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał sprzed Planetarium. Tuż przed świtem ulice były względnie puste, ale nie śmiał jechać zbyt szybko, bo odnosił wrażenie, że im szybciej porusza się samochód, tym szybsze jest to odliczanie. Kiedy na wschodniej stronie nieba pojawił się pierwszy brzask, zaparkował samochód i ruszył przed siebie bez celu. O niczym nie myślał – w jego głowie pulsowało tylko odliczanie na mdłym, czerwonym tle promieniowania reliktowego. Wydawało się, że stał się zwykłym zegarem, dzwonem, który dzwonił nie wiadomo komu.

Niebo pojaśniało. Wang poczuł się zmęczony i usiadł na ławce. Kiedy podniósł głowę, by zobaczyć, gdzie przywiodła go podświadomość, zadrżał.

Siedział przed kościołem św. Józefa w Wangfujing. W bladym świetle świtu romańskie nawy świątyni wyglądały jak trzy ogromne palce wskazujące mu coś w przestrzeni kosmicznej.

Gdy wstał, by odejść, powstrzymała go dobiegająca ze świątyni pieśń. Nie była to niedziela, więc prawdopodobnie odbywała się próba chóru przed Zielonymi Świątkami. Śpiewali hymn *Przyjdź, Duchu miłosierdzia, niebiańska gołębico*. Słuchając podniosłej świętej pieśni, Wang ponownie

odniósł wrażenie, że Wszechświat się kurczy, tym razem do rozmiarów pustego kościoła. Sklepienie przykryło migoczące czerwone światło promieniowania tła, a on stał się mrówką brnącą przez szczeliny w posadzce. Poczuł, jak wielka niewidzialna dłoń pieści jego drżące serce, a on zmienia się na powrót w bezradne niemowlę. Coś w głębi jego umysłu, co dawniej go podtrzymywało, zmiękło jak wosk i opadło. Zasłonił dłońmi oczy i zaczął płakać.

Jego zawodzenie przerwał śmiech.

– Ha, ha, ha, jeszcze jeden gryzie ziemię!

Wang odwrócił się. Stał tam kapitan Shi Qiang, który wypuścił z ust chmurę białego dymu.

10

Shi Qiang

Shi usiadł obok Wanga i dał mu kluczyki do jego samochodu.

– Zaparkował pan dokładnie na skrzyżowaniu w Dongdan – powiedział. – Gdybym przyjechał chwilę później, gliniarze kazaliby odholować pański wóz.

„Da Shi, gdybym wiedział, że pan za mną jedzie, dodałoby mi to otuchy” – pomyślał Wang, ale szacunek dla samego siebie powstrzymał go przed powiedzeniem tego głośno. Przyjął od Shi papierosa i zaciągnął się po raz pierwszy, odkąd przed laty rzucił palenie.

– No to jak leci, kolego? Ciężko to znieść, co? Mówiłem, że pan temu nie podoła, ale uparł się pan, żeby zgrywać twardego faceta.

– Nie zrozumiałby pan – rzekł Wang i jeszcze kilka razy głęboko się sztachnął.

– Pański problem polega na tym, że pan zbyt dobrze to rozumie… Skoczmy wrzucić coś na ruszt.

– Nie jestem głodny.

– No to się napijemy! Ja stawiam.

Wang wsiadł do samochodu Shi i pojechali do małej restauracji w pobliżu. Wciąż było wcześnie, więc w środku było pusto.

– Dwa razy krótko smażone flaki i butelkę erguotou![1] – krzyknął Shi, nawet nie podnosząc głowy. Najwidoczniej był tu stałym bywalcem.

Gdy Wang spojrzał na dwa talerze z czarnymi paskami flaków, jego pusty żołądek wywrócił się i zrobiło mu się niedobrze. Shi zamówił dla niego ciepłe mleko sojowe i naleśniki i Wang zmusił się, żeby trochę przełknąć.

Potem wypili po kieliszku erguotou. Wangowi zaczęło się kręcić w głowie i rozwiązał mu się język. Wkrótce zrelacjonował Shi wydarzenia z ostatnich trzech dni, chociaż przypuszczał, że ten prawdopodobnie i tak już wie o wszystkim, może nawet więcej niż on.

– Mówi pan, że Wszechświat… mrugał do pana? – powiedział Shi, łykając paski flaków jak makaron.

– To odpowiednia metafora.

– Brednie.

– Pański brak strachu bierze się z niewiedzy.

– Kolejna bzdura. No, napijmy się!

Wang wychylił następny kieliszek. Świat wokół niego zawirował i tylko zajadający flaki Shi Qiang naprzeciw niego pozostał na miejscu.

– Da Shi, czy… zastanawiał się pan kiedyś nad pewnymi fundamentalnymi pytaniami filozoficznymi? Na przykład skąd się wzięli ludzie? Dokąd podążają? Skąd się wziął Wszechświat? Dokąd zmierza?

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Musiał pan widzieć gwiazdy. Nie patrzył pan na nie z nabożnym podziwem i zaciekawieniem?

– Nocą nigdy nie patrzę na niebo.

– Jak to możliwe? Myślałem, że często ma pan służbę w nocy.

– Kolego, kiedy pracuję w nocy, nie patrzę na niebo, bo podejrzany ucieknie.

– My naprawdę nie mamy sobie nic do powiedzenia. W porządku. Pij pan!

– Szczerze mówiąc, nawet gdybym patrzył na gwiazdy, nie zadawałbym sobie pańskich filozoficznych pytań. Mam inne zmartwienia na głowie. Muszę spłacać kredyt hipoteczny, oszczędzać na studia dla dziecka i zajmować się niemającym końca strumieniem spraw… Jestem prostym człowiekiem i nie zawracam sobie głowy takimi zawiłościami. Niech pan zajrzy mi w gardło, a zobaczy pan moją dupę. Oczywiście nie wiem, jak sprawić, żeby szefostwo mnie polubiło. Od kiedy zwolniono mnie z wojska, minęły lata, a moja kariera zawodowa zmierza donikąd. Gdybym nie był dobry w tym, co robię, już dawno by mnie wykopali… Uważa pan, że nie są to wystarczające powody do zmartwień? Myśli pan, że mam jeszcze tyle energii, żeby patrzeć na gwiazdy i filozofować?

– Ma pan rację. Dobrze, wypijmy!

– Ale mimo to odkryłem fundamentalną zasadę.

– Niech pan mi powie o niej.

– Wszystko, co jest wystarczająco dziwne, musi być podejrzane.

– Co… co to za gówniana zasada?

– Mówię, że za sprawami, których nie można wyjaśnić, zawsze ktoś się kryje.

– Gdyby posiadał pan choćby podstawową wiedzę naukową, wiedziałby pan, że nie ma siły zdolnej dokonać rzeczy, których doświadczyłem. Zwłaszcza ostatniej z nich. Manipulowanie sprawami w skali Wszechświata – przy obecnym stanie wiedzy nie da się tego wyjaśnić naukowo. Ba, nie wyobrażam sobie, jak można by to wyjaśnić nienaukowo. To jest coś więcej niż siła nadprzyrodzona. To siła nad… nie wiem jaka.

– Mówię panu, że to bzdury. Widziałem mnóstwo dziwnych rzeczy.

– No to niech mi pan powie, co powinienem teraz zrobić.

– Niech pan się jeszcze napije, a potem pójdzie spać.

– Dobrze.

Wang Miao nie miał pojęcia, jak wrócił do samochodu. Padł na tylne siedzenie i zapadł w sen bez snów. Wydawało mu się, że nie spał długo, ale kiedy otworzył oczy, słońce było już nad zachodnim horyzontem.

Wysiadł z samochodu. Chociaż po wypitym rano alkoholu czuł się osłabiony, poprawiło mu się samopoczucie. Zorientował się, że jest przy rogu Zakazanego Miasta. Zachodzące słońce oświetlało starożytny pałac i tworzyło złote zmarszczki na powierzchni wody w fosie. W jego oczach świat stał się na powrót stabilny.

Aż do zmroku rozkoszował się spokojem, którego ostatnio było mu brak. Ze strumienia samochodów przejeżdżających ulicą wysunął się tak dobrze mu teraz znany czarny volkswagen santana i zatrzymał przed nim. Wysiadł z niego Shi Qiang.

– Dobrze się spało? – warknął.

– Tak. Co robić dalej?

– Kto? Pan? Niech pan zje kolację. Potem niech się pan jeszcze trochę napije. A potem niech pan znowu idzie spać.

– Ale to odliczanie… Zostało już tylko 1091 godzin.

– Pieprzyć odliczanie. Teraz najważniejsze dla pana jest to, żeby się pan upewnił, że może stać prosto i nie zwali się z nóg. Potem możemy porozmawiać o innych rzeczach.

– Da Shi, może mi pan powiedzieć, co się naprawdę dzieje? Błagam pana.

Shi przyglądał mu się przez chwilę. Potem się roześmiał.

– O to samo prosiłem parę razy generała Changa. Pan i ja jedziemy na tym samym wózku. Będę z panem szczery – za cholerę nie wiem. Mam za niską szarżę i nic mi nie mówią. Czasami myślę, że to koszmarny sen.

– Ale musi pan wiedzieć więcej niż ja.

– Dobra. Powiem panu, co wiem, chociaż nie wiem dużo.

Wskazał brzeg fosy otaczającej Zakazane Miasto. Znaleźli dobre miejsce i usiedli.

Była już noc, ale samochody za nimi nadal płynęły nieprzerwanie jak rzeka. Patrzyli na swoje cienie, wydłużające się i kurczące w fosie.

– W mojej robocie chodzi o to, żeby połączyć ze sobą pozornie niepowiązane fakty. Kiedy się je złoży do kupy, poznaje się prawdę. Od pewnego czasu dzieją się dziwne rzeczy. Pojawiła się na przykład niespotykana dotąd fala przestępstw przeciwko uniwersytetom i naukowym instytutom badawczym. Oczywiście słyszał pan o wybuchu na miejscu budowy akceleratora w Liangxiangu. Doszło również do zamordowania tego noblisty… Wszystkie te przestępstwa były niezwykłe – popełniono je nie dla pieniędzy ani nie z powodów politycznych. To była czysta destrukcja. Inne dziwne rzeczy nie mają związku z przestępstwami. Na przykład Granice Nauki i samobójstwa tych naukowców. Niezwykle śmiali zrobili się też aktywiści ruchu obrony środowiska – te tłumy protestujące przeciw budowie elektrowni jądrowych i wodnych, eksperymentalne społeczności głoszące „powrót do natury”… i inne pozornie błahe sprawy… Chodzi pan do kina?

– Niespecjalnie.

– Wszystkie najnowsze przeboje filmowe poruszają wiejskie tematy. W scenerii, którą zawsze tworzą zielone góry i czysta woda, występują żyjący w harmonii z naturą przystojni mężczyźni i piękne kobiety, a akcja

toczy się w jakiejś niesprecyzowanej epoce. Mówiąc słowami reżyserów, przedstawiają „cudowne życie z czasów, zanim nauka dokonała gwałtu na przyrodzie”. Weźmy *Wiosnę kwitnącą brzoskwiniami*. To ewidentnie film, którego nikt nie ma ochoty obejrzeć. Mimo to wydają setki milionów na jego realizację. Potem był ten konkurs dla twórców literatury fantastycznonaukowej z nagrodą w wysokości pięciu milionów – zwyciężył pisarz, który wyobraził sobie najbardziej odrażającą przyszłość. Potem wydali jeszcze kilkaset milionów, żeby na podstawie nagrodzonych historii zrobić filmy… No i te wszystkie dziwne kulty, które wyrastają jak grzyby po deszczu, a przywódca każdego z nich wydaje się mieć kupę pieniędzy…

– A co to ostatnie ma wspólnego z tym wszystkim, o czym mówił pan przedtem?

– Muszę połączyć wszystkie kropki. Oczywiście wcześniej nie musiałem się zajmować takimi sprawami, ale odkąd przeniesiono mnie z wydziału kryminalnego do centrum dowodzenia walką, stało się to częścią mojej pracy. Nawet generał Chang jest pod wrażeniem mojego talentu do łączenia kropek.

– I do jakiego doszedł pan wniosku?

– Wszystko, co się dzieje, koordynuje ktoś za kulisami, kto ma jeden cel: całkowicie zniszczyć badania naukowe.

– Kto?

– Nie mam pojęcia. Ale wyczuwam plan, bardzo szeroko zakrojony, złożony plan: zniszczyć urządzenia badawcze, zabić naukowców, skłonić ich do samobójstw, wpędzić w szaleństwo. Ale głównym celem jest skierować ich myślenie na błędne tory, żeby w końcu stali się głupsi niż większość ludzi.

– To ostatnie spostrzeżenie jest naprawdę trafne.

– Jednocześnie ten ktoś chce zrujnować reputację nauki w społeczeństwie. Oczywiście niektórzy zawsze angażowali się w działania przeciw nauce, ale teraz są one skoordynowane.

– Wierzę w to.

– Uwierzył mi pan dopiero teraz. Nie mogło tego rozgryźć tylu członków waszych naukowych elit, a ja, człowiek tylko po szkole zawodowej, mam odpowiedź? Ha! Gdy przedstawiłem swoją teorię naukowcom i mojemu szefostwu, wyśmiano mnie.

– Gdyby pan mi ją wtedy przedstawił, na pewno bym pana nie wyśmiał. Weźmy tych oszustów, którzy zajmują się pseudonauką – wie pan, kogo się najbardziej boją?

– Oczywiście naukowców.

– Nie. Pseudonauce daje się zwieść wielu najlepszych naukowców, którzy niekiedy poświęcają jej całe życie. Boi się ona tylko jednego rodzaju ludzi – iluzjonistów. Ich trudno oszukać. W rzeczy samej wiele pseudonaukowych mistyfikacji zdemaskowali iluzjoniści. Pana policyjne doświadczenie sprawia, że w odróżnieniu od moli książkowych ze świata nauki pan może szybciej dostrzec taki spisek na wielką skalę.

– No, jest wielu ludzi bystrzejszych ode mnie. Ludzie władzy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że to spisek. Zostałem początkowo wyśmiany tylko dlatego, że nie wyjaśniłem mojej teorii właściwym ludziom. Później dawny dowódca mojej kompanii, generał Chang, polecił mnie przenieść. Jednak nadal nic nie robię – jestem tylko na posyłki. To wszystko. Teraz wie pan tyle co ja.

– Jeszcze jedno pytanie – co to ma wspólnego z wojskiem?

– Ja też byłem zaskoczony. Zapytałem i powiedziano mi, że skoro jest wojna, to oczywiście zaangażuje się w nią wojsko. Nie, nie żartowali. Armia jest naprawdę w stanie podwyższonej gotowości. Na świecie jest

dwadzieścia takich centrów dowodzenia jak nasze. A nad nimi jeszcze wyższy szczebel. Ale nikt nie zna szczegółów.

– Kto jest wrogiem?

– Nie mam pojęcia. W gabinecie głównego sztabu Armii Ludowo-Wyzwoleńczej umieszczono oficerów NATO, a grupka naszych wojskowych pracuje w Pentagonie. Kto, kurwa, wie, z kim walczymy?

– To wszystko jest przedziwne. Jest pan pewien, że to prawda?

– A, to inna sprawa. Wszystkie uczestniczące w tym kraje utrzymują to w tajemnicy i na razie im się udaje. Mogę panu zagwarantować, że nieprzyjaciel jest niewiarygodnie potężny. Dowództwo jest przerażone! Bardzo dobrze znam generała Changa. On jest z gatunku tych, którzy niczego się nie boją, nawet tego, że niebo zawali się im na głowy, ale mogę panu powiedzieć, że martwi go coś znacznie gorszego. Są wystraszeni i nie mają wiary w zwycięstwo.

– Jeśli to prawda, to wszyscy powinniśmy się bać.

– Każdy się czegoś boi. Nawet wróg. Im jest potężniejszy, tym bardziej to, czego się boi, może się stać jego zgubą.

– A czego się boi pana zdaniem?

– Was! Naukowców! Dziwne jest to, że im mniej praktyczne są wasze badania, tym bardziej się was boją. Boją się abstrakcyjnych teorii w rodzaju tej, nad jaką pracowała Yang Dong. Boją się tego bardziej niż pan mrugającego do pana Wszechświata. Dlatego są tacy bezwzględni. Gdyby zabicie was wszystkich rozwiązało ten problem, zrobiliby to bez wahania. Jednak najskuteczniejszą metodą jest paraliżowanie waszego myślenia. Gdy umiera jakiś naukowiec, jego miejsce zajmuje inny, ale jeśli będziecie myśleć chaotycznie, nauka się skończy.

Mówi pan, że boją się badań podstawowych?

– Tak, badań podstawowych.

– Ale moje badania mają inny charakter niż badania prowadzone przez Yang Dong. Nanomateriały, nad którymi pracuję, to nie jest nauka podstawowa. To tylko bardzo mocne materiały. Jakie stwarzają dla nich zagrożenie?

– Pana przypadek jest szczególny. Zwykle nie dokuczają tym, którzy zajmują się naukami stosowanymi. Może naprawdę boją się materiału, który pan opracowuje.

– No to co powinienem zrobić?

– Iść do pracy i kontynuować badania. To najlepszy sposób, żeby się im zrewanżować. Niech się pan nie martwi tym gównianym odliczaniem. Jeśli chce się pan trochę zrelaksować po pracy, niech pan gra w tę grę. Najlepiej by było, gdyby pan wygrał.

– W grę? *Trzy ciała*? Myśli pan, że ma ona związek z tym wszystkim?

– Na pewno. Wiem, że gra w nią wielu specjalistów z centrum dowodzenia. To nie jest zwykła gra. Nie może w nią grać ktoś taki jak ja, nieustraszony z powodu swej niewiedzy. Musi to być ktoś taki jak pan.

– Coś jeszcze?

– Nie, ale jeśli odkryję coś więcej, dam panu znać. Niech pan ma stale włączony telefon. Głowa do góry, kolego, a jeśli znowu zacznie pan się bać, niech pan przypomni sobie moją zasadę.

Shi odjechał, zanim Wang zdążył mu podziękować.

1 Erguotou to wysokoprocentowy napój alkoholowy produkowany z sorgo, niekiedy zwany „chińską wódką”.

11

Trzy ciała: Mo Zi i ogniste płomienie

Wang Miao wrócił do domu, zatrzymując się po drodze, żeby kupić strój W. Żona powiedziała mu, że przez cały dzień próbowali się z nim skontaktować jego podwładni.

Wang włączył komórkę, sprawdził wiadomości i oddzwonił do kilku osób. Obiecał, że nazajutrz przyjedzie do pracy. Przy kolacji poszedł za radą Shi i jeszcze trochę wypił.

Ale nie czuł się śpiący. Kiedy żona poszła spać, usiadł przed komputerem, włożył świeżo nabyty strój W i zalogował się do *Trzech ciał*.

Pusta równina o świcie.

Wang stał przed piramidą króla Zhou. Zniknął śnieg, który ją niegdyś pokrywał, a kamienne bloki nosiły ślady erozji. Ziemia miała teraz inny kolor. W oddali Wang dostrzegł kilka ogromnych budynków, które – jak się

domyślił – były odwadnialniami, ale wyglądały inaczej niż te, które widział poprzednim razem.

Wszystko wskazywało na to, że minęły eony.

W słabym świetle świtu zaczął szukać wejścia. Gdy je znalazł, okazało się, że jest zatarasowane kamiennymi blokami. Ale obok niego znajdowało się teraz wejście do klatki schodowej prowadzącej aż na szczyt piramidy. Wang podniósł głowę i zobaczył, że został on spłaszczony, dzięki czemu powstała tam platforma. Wzniesiona niegdyś w stylu egipskim piramida przypominała teraz aztecką.

Wspiął się po schodach na wierzchołek. Platforma wyglądała jak starożytne obserwatorium astronomiczne. W rogu stał wysoki na parę metrów teleskop, a obok niego kilka mniejszych. W innym rogu znajdowały się dziwne instrumenty, które przypominały starożytne chińskie sfery armilarne, modele ciał niebieskich.

Jego uwagę przyciągnęła duża miedziana kula pośrodku platformy. Miała dwa metry średnicy i umieszczona była na szczycie skomplikowanej maszyny. Napędzana przez niezliczone koła zębate, powoli się obracała. Wang zauważył, że kierunek i prędkość jej obrotów stale się zmieniają. Pod maszyną znajdowało się duże kwadratowe zagłębienie. W mdłym świetle pochodni dostrzegł kilka postaci, które niczym niewolnicy popychały umieszczone poziomo koło ze szprychami, dostarczające energii maszynie.

Podszedł do niego jakiś mężczyzna. Podobnie jak król Wen, kiedy Wang go spotkał, zwrócony był tyłem do cienkiej smugi światła na horyzoncie i wydał mu się parą jasnych oczu unoszących się w ciemności. Był wysoki i szczupły, odziany w powłóczystą czarną szatę, a włosy miał tak niedbale związane na czubku głowy, że kilka kosmyków powiewało na wietrze.

– Witam – powiedział mężczyzna. – Jestem Mo Zi[1].

– Dzień dobry, jestem Hairen.

– A, znam pana! – Mo Zi się ożywił – Był pan zwolennikiem króla Wena w cywilizacji 137.

– Przyszedłem tu z nim, ale nigdy nie wierzyłem w jego teorie.

– Ma pan rację. – Mo Zi skinął do niego poważnie głową. – Podczas tych trzystu sześćdziesięciu dwóch lat, kiedy pana nie było, cywilizacja odrodziła się jeszcze cztery razy. Cywilizacje te starały się rozwinąć podczas nieregularnie następujących po sobie er chaosu i stabilności. Ta, która trwała najkrócej, dotarła tylko do połowy epoki kamiennej, ale cywilizacja 139 pobiła rekord i osiągnęła epokę pary.

– Mówi pan, że ludzie z tej cywilizacji odkryli prawa rządzące ruchami słońca?

Mo Zi roześmiał się i potrząsnął głową.

– Nic podobnego. Mieli po prostu szczęście.

– Ale nigdy nie ustały próby ich odkrycia?

– Oczywiście. Chodźmy zobaczyć dokonania ostatniej cywilizacji.

Mo Zi poprowadził Wanga w róg platformy obserwacyjnej. Ziemia pod nimi rozpościerała się jak kawał starej skóry. Mo Zi nakierował teleskop na cel na ziemi i gestem ręki przywołał Wanga.

Wang spojrzał przez okular i zobaczył dziwny widok – szkielet. Połyskiwał śnieżnobiało w świetle świtu i wydawał się bardzo wyrafinowany.

O dziwo, stał. Miał pełną gracji postawę. Jedną rękę trzymał tak, jakby gładził się po dawno utraconej brodzie, głowę miał lekko uniesioną, jakby zadawał pytania niebu i ziemi.

– To Konfucjusz – rzekł Mo Zi. – Uważał, że wszystko musi się stosować do li, jego koncepcji porządku i przyzwoitości, i że nie ma we Wszechświecie niczego, co by nie podlegało tej zasadzie. Stworzył system

rytuałów i miał nadzieję, że uda mu się za jego pomocą przewidzieć ruch słońca.

– Mogę sobie wyobrazić wynik.

– I ma pan rację. Obliczył, w jaki sposób słońce będzie się stosowało do rytuałów, i przepowiedział nastanie pięcioletniej ery stabilności. I wie pan co? Rzeczywiście nastała era stabilności, ale trwała miesiąc.

– A potem pewnego dnia słońce po prostu nie wzeszło?

– Nie, tego dnia też wzeszło. Wzniosło się do połowy nieba, a potem zgasło.

– Co? Zgasło?

– Tak. Stopniowo przygasało, stawało się coraz mniejsze, a potem nagle zniknęło. Zapadła noc. Och, ten ziąb. Konfucjusz stanął tam i zamarzł. Zmienił się w słup lodu. I tam pozostaje.

– Czy po zgaśnięciu słońca pozostało coś na niebie?

– W tym miejscu pojawiła się, jak dusza po śmierci słońca, latająca gwiazda.

– Jest pan pewien, że słońce naprawdę nagle zniknęło i równie nagle pojawiła się latająca gwiazda?

– Całkowicie pewien. Może pan sprawdzić historyczne annały. Zostało to jasno zapisane.

– Hmm… – Wang zastanawiał się nad tą informacją.

Wyrobił już sobie pewne, mgliste pojęcie o tym, na jakiej zasadzie działa świat *Trzech ciał*, ale to, co przed chwilą powiedział mu Mo Zi, obaliło jego wszystkie teorie.

– Jak to możliwe, że… tak nagle zgasło? – mruknął z rozdrażnieniem.

– Teraz jesteśmy w czasach dynastii Han… nie jestem pewien, czy Zachodniej czy Wschodniej.

– I udało się panu przeżyć do dzisiaj?

– Mam do spełnienia pewną misję – muszę dokładnie obserwować ruchy słońca. Ci szamani, metafizycy i taoiści są zupełnie bezużyteczni. Tak jak przysłowiowe mole książkowe nie potrafią odróżnić jednego zboża od drugiego, nie pracują fizycznie i nie mają żadnych praktycznych umiejętności. Nie są w stanie przeprowadzać eksperymentów, cały czas nurzają się w tym swoim mistycyzmie. Ja jestem inny. Wiem, jak robić to i owo. – Wskazał instrumenty na platformie.

– Myśli pan, że doprowadzą pana do celu? – Wang kiwnął głową w stronę wielkiej miedzianej kuli.

– Ja też mam teorie, ale nie mistyczne. Doszedłem do nich na podstawie wielu obserwacji. Na początek: wie pan, czym jest Wszechświat? Maszyną.

– To niezbyt wnikliwe spostrzeżenie.

– Wyrażę się bardziej konkretnie. Wszechświat jest kulą unoszącą się w morzu ognia. Na powierzchni tej kuli są liczne, małe i duże, dziury. Przez te otwory dobiega światło morza ognia. Małe są gwiazdami, a duże słońcem.

– To bardzo ciekawy model. – Wang znowu spojrzał na ogromną miedzianą kulę i domyślił się, czemu służy. – Jest tylko jeden kłopot z pana teorią. Kiedy słońce wschodzi albo zachodzi, widzimy jego ruchy na tle nieruchomych gwiazd, ale w pana modelu te wszystkie dziury pozostają w niezmiennym położeniu wobec siebie.

– Tak jest! Dlatego poprawiłem ten model. Sfera ogólna składa się z dwóch sfer – kuli wewnątrz kuli. Niebo, które widzimy, jest powierzchnią tej wewnętrznej kuli. W zewnętrznej jest jedna duża dziura, w wewnętrznej wiele małych. Światło wpadające przez dziurę w kuli zewnętrznej wielokrotnie odbija się i rozprasza w przestrzeni między tymi kulami, a potem przechodzi przez małe dziury w kuli wewnętrznej i tak właśnie widzimy gwiazdy.

– A słońce?

– To rezultat dużej dziury w sferze zewnętrznej rzutującej na wewnętrzną. To rzutowanie jest tak jasne, że przenika przez wewnętrzną jak przez skorupkę jaja i tak widzimy słońce. Promienie wokół tej świetlnej plamy też są bardzo jasne i widać je przez skorupę wewnętrzną. Dlatego za dnia widzimy czyste niebo.

– A jaka siła pcha te kule do nieregularnego ruchu?

– Siła ognia za tymi kulami.

– Ale jasność i wielkość słońca się zmieniają, natomiast w pana modelu podwójnej skorupy powinny być stałe. Zmienna jest nawet jasność płomieni tego morza ognia, a przynajmniej wielkość tej dziury.

– Ma pan zbyt uproszczone spojrzenie na ten model. W miarę jak zmieniają się warunki w morzu ognia, te dwie skorupy albo się rozszerzają, albo kurczą. Prowadzi to do zmian w wielkości i jasności słońca.

– A latające gwiazdy?

– Latające gwiazdy? A kogo to obchodzi? Nie są ważne. Może to tylko pył, który przypadkowo znalazł się między sferami.

– Uważam, że latające gwiazdy są niezwykle ważne. Jak inaczej pana model wyjaśnia nagłe zgaśnięcie słońca w czasach Konfucjusza?

– To rzadki wyjątek. Może stało się tak dlatego, że dziurę w zewnętrznej skorupie przesłoniła jakaś ciemna plamka albo chmurka.

Wang wskazał dużą miedzianą kulę.

– A zatem to musi być ten pana model?

– Tak. Zbudowałem maszynę na wzór Wszechświata. Skomplikowane przekładnie, które ją poruszają, oddają siły działające w morzu ognia. Prawa rządzące takim ruchem opierają się na rozkładzie płomieni i prądów w morzu ognia. Doszedłem do tego po setkach lat obserwacji.

– Czy ta kula może się kurczyć i rozszerzać?

– Oczywiście. Akurat teraz powoli się kurczy.

Wang wykorzystał poręcz platformy jako stały punkt odniesienia i przekonał się, że twierdzenie Mo Zi jest prawdziwe.

– I w tej kuli jest druga?

– Oczywiście. Ta wewnętrzna porusza się dzięki innemu skomplikowanemu mechanizmowi.

– To zaiste przemyślnie zaprojektowana maszyna! – powiedział szczerze Wang. – Ale nie widzę w zewnętrznej sferze dziury, przez którą przenikałoby światło do wewnętrznej.

– Bo jej nie ma. Zainstalowałem na wewnętrznej powierzchni skorupy źródło światła, które naśladuje przechodzące przez dziurę. Składa się ono z materiału fluoroscencyjnego zebranego z setek tysięcy świetlików. Użyłem zimnego światła, ponieważ wewnętrzna skorupa zrobiona jest z półprzezroczystej zaprawy, która nie jest dobrym przewodnikiem ciepła. W ten sposób uniknąłem problemu, jakim byłby nadmiar ciepła zbierającego się w tej kuli przy stałym źródle światła. Dzięki temu może tam długo przebywać obserwator.

– Ktoś jest w tej kuli?

– Tak. Na górze skorupy umieszczony jest na kołowej podstawie urzędnik. Zajmuje stale pozycję wewnątrz kuli. Po ustawieniu modelu tak, by odpowiadał obecnemu stanowi Wszechświata, jego ruchy są dokładnym odzwierciedleniem przyszłości. Kiedy ten urzędnik zapisze ruchy słońca, będziemy mieli precyzyjny kalendarz. To marzenie setek cywilizacji poprzedzających naszą. Pojawił się pan w odpowiednim czasie. Zgodnie z modelem Wszechświata wkrótce ma się zacząć era stabilności. W oparciu o moje przewidywania cesarz Wu z dynastii Han wydał właśnie rozkaz nawodnienia. Poczekajmy na wschód słońca!

Mo Zi nieco przyspieszył czas gry. Nad horyzontem wzniosło się czerwone słońce i zaczęły się topić rozsiane na równinie liczne jeziora i stawy. Jeziora te były pokryte pyłem i wtopiły się w bury krajobraz, ale teraz przeistoczyły się w lustra, jakby ziemia otworzyła wiele oczu. Z wysokości, na której się znajdował, Wang nie widział szczegółów ponownego nawodnienia, ale spostrzegł, że na brzegach jezior gromadziło się coraz więcej ludzi, niczym chmary mrówek wychodzących wiosną z mrowiska. Świat znowu ożył.

– Nie chce pan się przyłączyć do tego wspaniałego życia? – zapytał Mo Zi, wskazując na ziemię w dole. – Kiedy ożywają ponownie kobiety, niczego nie pragną tak bardzo jak miłości. Nie ma powodu, żeby pan tu dłużej zostawał. Gra się skończyła. Ja wygrałem.

– Pana model Wszechświata jest rzeczywiście niezrównany jako maszyna, ale co do jego prognoz… Mogę obejrzeć coś przez pana teleskop?

– Proszę bardzo. – Mo Zi wskazał gestem duży teleskop.

Wang podszedł do instrumentu i zatrzymał się.

– Jak mogę przez niego obejrzeć słońce?

Mo Zi odszukał czarne okrągłe szkiełko.

– Proszę użyć tego przydymionego filtru.

Wang skierował teleskop na słońce, które znajdowało się teraz w połowie nieba. Był pod wrażeniem wyobraźni Mo Zi. Słońce faktycznie wyglądało jak dziura, przez którą widać było morze ognia, jak wizjer ukazujący kawałek dużo większej całości.

Kiedy jednak dokładniej przyjrzał się widokowi w teleskopie, zdał sobie sprawę, że to słońce różni się od tego, do którego przywykł w realnym życiu. Miało małe jądro. Wyobraził sobie, że słońce jest okiem, a jego jądro źrenicą. Chociaż małe, było jasne i gęste. Natomiast otaczające je warstwy wydawały się niematerialne, gazowe. Fakt, że widział przez nie jądro,

świadczył, że są przezroczyste lub półprzezroczyste, a ich światło jest tylko rozproszonym światłem wydobywającym się z jądra.

Szczegóły obrazu słońca oszołomiły Wanga. Raz jeszcze nabrał pewności, że twórcy gry ukryli w pozornie prostych obrazach mnóstwo danych, które czekały na odkrycie przez graczy.

Wstał i gdy zastanawiał się nad znaczeniem budowy słońca, ogarniało go coraz większe podniecenie. Czas gry płynął teraz szybko, więc słońce znalazło się już na zachodzie. Wang ponownie skierował na nie teleskop i śledził je, dopóki nie zniknęło za horyzontem.

Zapadła noc i ogniska na równinie wyglądały jak odbicie nieba pełnego gwiazd. Wang zdjął przyciemniony filtr i nadal przeczesywał wzrokiem niebo. Najbardziej interesowały go latające gwiazdy i niebawem znalazł dwie. Obserwował je krótko, bo zaraz nastał świt. Założył więc ponownie filtr, by przyjrzeć się słońcu…

Prowadził w ten sposób obserwacje astronomiczne przez ponad dziesięć dni, przepełniony radością ze swych odkryć. Pomagało mu to, że czas gry przyspieszył, bo ruchy ciał niebieskich stały się bardziej widoczne.

Siedemnastego dnia ery stabilności, pięć godzin po przewidywanym wschodzie słońca, świat wciąż obejmowała ciemna noc. U stóp piramidy zebrały się tłumy, w zimnym wietrze migotały niezliczone pochodnie.

– Słońce prawdopodobnie nie wzejdzie, jak było pod koniec cywilizacji 137 – powiedział Wang do Mo Zi, który starał się stworzyć pierwszy dokładny kalendarz na tym świecie.

Mo Zi pogładził się po brodzie i uśmiechnął się z ufnością.

– Niech się pan nie boi. Słońce wkrótce wstanie i era stabilności będzie nadal trwała. Poznałem już sekret ruchu maszyny, która jest modelem Wszechświata. Moje prognozy nie mogą być błędne.

Jakby na potwierdzenie jego słów niebo nad horyzontem pojaśniało z pierwszym brzaskiem. Tłum pod piramidą wydał okrzyk radości.

Srebrne światło stało się jaśniejsze dużo szybciej niż zwykle, jakby słońce chciało nadrobić stracony czas. Mimo że nadal było poniżej horyzontu, światło zalało pół nieba. Było jasno jak w południe.

Wang spojrzał na horyzont i zobaczył oślepiający blask. Jarzący się horyzont wygiął się do góry i stał się krzywą, która rozciągała się od jednego końca pola widzenia do drugiego. Wkrótce uświadomił sobie, że widzi nie horyzont, lecz skraj wschodzącego słońca, ogromnego słońca.

Gdy jego wzrok przystosował się do jaskrawego światła, horyzont ponownie pojawił się w dawnym miejscu. Wang widział w oddali podnoszące się słupy czarnego dymu, szczególnie dobrze widoczne na tle gorejącej tarczy słonecznej. Od strony wschodzącego słońca galopował ku piramidzie koń, a kurz wzbijany jego kopytami tworzył wyraźną linię na równinie.

Tłum się rozstąpił i Wang usłyszał głos jeźdźca krzyczącego co sił w płucach:

– Odwadniać! Odwadniać!

Za koniem przybiegły następne, a także stado bydła i inne zwierzęta. Ich sierść płonęła i wyglądały jak przesuwający się po równinie ognisty dywan.

Teraz nad horyzontem była już połowa słonecznej tarczy i zajmowała pół nieba. Ziemia zdawała się powoli tonąć pod naporem ściany światła. Wang wyraźnie widział struktury na powierzchni słońca: morze płomieni wypełniały toczące się fale, po przypadkowych ścieżkach przepływały niczym duchy plamy, korona leniwie rozpościerała długie złote rękawy.

Na ziemi ci, którzy się odwodnili, i ci, którzy tego nie zrobili, zaczęli płonąć jak niezliczone szczapy w brzuchu pieca. Płomienie, które ich

spowiły, były nawet jaśniejsze niż żarzący się węgiel drzewny na palenisku, ale szybko zgasły.

Ogromne słońce nadal wschodziło i wkrótce zajęło większą część nieba. Wang podniósł wzrok i poczuł, że zmienia się jego punkt widzenia. Nie patrzył już w górę, lecz w dół. Powierzchnia słońca stała się ognistą ziemią i miał wrażenie, że spada w otchłań tego piekła.

Jeziora i stawy zaczęły parować i w górę uniosły się niczym grzyby obłoki białej pary. Rozproszyły się, zakrywając spopielone ciała.

– Era stabilności będzie trwała. Wszechświat jest maszyną. To ja stworzyłem tę maszynę. Era stabilności będzie trwała. Wszechświat…

Wang odwrócił głowę. Był to głos Mo Zi, który już się palił. Jego ciało otaczał słup wysokich pomarańczowych płomieni, skóra popękała i zmieniła się w węgiel. Ale jego oczy płonęły innym blaskiem niż blask trawiących go płomieni. W rękach, które stały się już dwoma kawałkami spieczonego węgla drzewnego, trzymał chmurę wirującego popiołu, która kiedyś była jego kalendarzem.

Wang też płonął. Podniósł ręce i zobaczył dwie pochodnie.

Słońce przesunęło się szybko na zachód, ukazując niebo. Niebawem zapadło za horyzont i tym razem wydawało się, że to ziemia unosi się na tle świetlistej ściany. Oślepiający zachód słońca przeszedł w noc, jakby olbrzymie ręce nasunęły czarną płachtę na świat zamieniony w popiół.

Ziemia jarzyła się przyćmionym czerwonym światłem jak węgiel wyciągnięty przed chwilą z paleniska. Przez sekundę Wang widział gwiazdy, ale wkrótce niebo i wszystko na ziemi przesłoniły para i dym. Świat pogrążył się w czarnym chaosie. Pojawiła się czerwona linijka tekstu:

> Cywilizacja 141 runęła w morzu ognia. Rozwinęła się do okresu Zachodniej Dynastii Han.

Zarodek cywilizacji przetrwał. Zakiełkuje i znowu będzie się rozwijał w nieprzewidywalnym świecie *Trzech ciał*. Zapraszamy cię do zalogowania się w przyszłości.

Wang zdjął strój W. Kiedy jego umysł trochę się uspokoił, ponownie odniósł wrażenie, że *Trzy ciała* celowo udawały zwykłą iluzję, ale odnosiły się do jakiejś rzeczywistości. Natomiast świat rzeczywisty przed nim zaczął się wydawać pozornie skomplikowanym, ale w istocie rzeczy prostym *Widokiem wzdłuż rzeki podczas święta Qingming*.

Następnego dnia Wang pojechał do Centrum Badawczego Nanotechnologii. Poza drobnym zamieszaniem spowodowanym jego nieobecnością dzień wcześniej wszystko przebiegało normalnie. Stwierdził, że praca jest skutecznym środkiem uspokajającym. Dopóki był nią pochłonięty, nie dręczyły go koszmary. Cały dzień celowo zajmował się różnymi sprawami i wyszedł z laboratorium dopiero po zapadnięciu zmroku.

Gdy tylko opuścił budynek, znowu ogarnął go niepokój. Miał wrażenie, że gwiaździste niebo jest szkłem powiększającym, zakrywającym cały świat, a on drobnym owadem, który nie ma gdzie się ukryć.

Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pomyślał o matce Yang Dong i pojechał do niej.

Ye Wenjie była sama w domu. Kiedy wszedł, siedziała na kanapie i czytała. Zauważył, że jest zarówno krótkowzroczna, jak i cierpi na dalekowzroczność starczą i musi zmieniać okulary, gdy przechodzi od czytania do patrzenia na coś znajdującego się dalej. Bardzo się ucieszyła na widok Wanga i powiedziała mu, że wygląda dużo lepiej niż poprzednim razem.

– To dzięki żeń-szeniowi, który dostałem od pani.

Ye potrząsnęła głową.

– Nie był wysokiej jakości. Dawniej koło bazy znajdowaliśmy naprawdę pierwszorzędny dziki żeń-szeń. Kiedyś znalazłam taki długi korzeń… Zastanawiam się, jak tam jest teraz. Słyszałam, że baza jest opuszczona. Cóż, chyba naprawdę się starzeję. Ostatnio zawsze myślę o dawnych czasach.

– Słyszałem, że dużo pani wycierpiała podczas rewolucji kulturalnej.

– Od Ruishana, tak? – Ye machnęła ręką, jakby usuwała sprzed twarzy pajęczynę. – Było, minęło. Wszystko minęło… Poprzedniego wieczoru Ruishan zadzwonił do mnie. Mówił tak szybko, że ledwie go rozumiałam. Dotarło do mnie tylko tyle, że chyba coś ci się stało. Pozwól, Miao, że coś ci powiem. Kiedy będziesz w moim wieku, uświadomisz sobie, że wszystko, co niegdyś wiele dla ciebie znaczyło, okazuje się mało istotne.

– Dziękuję – rzekł Wang.

Ponownie poczuł ciepło, którego tak mu brakowało. W obecnym stanie jego równowaga psychiczna opierała się na dwóch filarach: tej staruszce, która przetrwała tyle burz i stała się spokojna jak powierzchnia wody w bezwietrzny dzień, i na Shi Qiangu, człowieku, który niczego się nie bał, bo nic nie wiedział.

– Jeśli chodzi o rewolucję kulturalną, to miałam szczęście. Akurat kiedy nie miałam dokąd iść, znalazłam miejsce, gdzie mogłam przetrwać.

– Mówi pani o bazie Czerwony Brzeg?

Ye kiwnęła głową.

– To był naprawdę niewiarygodny projekt. Myślałem, że to wszystko, co o niej mówili, to wyssane z palca plotki.

– Nie. Jeśli chcesz, mogę ci trochę opowiedzieć o tym, co tam przeżyłam.

Ta propozycja nieco zaskoczyła Wanga.

– Profesor Ye, kieruje mną tylko ciekawość. Nie musi mi pani o tym opowiadać, jeśli to dla pani niemiłe.

– To nic wielkiego. Wyobraźmy sobie, że szukam kogoś, kto wysłuchałby mojej opowieści.

– Może pani iść z wizytą do ośrodka dla seniorów. Nie będzie się pani czuła samotna, jeśli pochodzi pani trochę między ludzi.

– Wielu z tych emerytów to moi koledzy z uniwersytetu, ale jakoś nie potrafię się z nimi dogadać. Każdy chce wspominać, ale nikt nie chce słuchać, i wszyscy się irytują, kiedy ktoś inny opowiada o czymś. Tylko ciebie interesuje Czerwony Brzeg.

– Ale żeby pani opowiadała mi o takich rzeczach… to nie jest zabronione?

– Owszem, to nadal tajne. Ale po wydaniu tej książki otworzyli usta również inni, którzy tam byli, więc teraz to tajemnica poliszynela. Człowiek, który napisał tę książkę, wykazał się wielką nieodpowiedzialnością. Ale nawet jeśli odłożymy na bok powody, które go do tego skłoniły, w wielu miejscach pisze niezgodnie z prawdą. Powinnam przynajmniej skorygować te błędy.

Potem Wenjie zaczęła opowieść o tym, co się jej przydarzyło w tamtych latach.

1 Mo Zi żył w Epoce Walczących Królestw i był twórcą motyzmu, jednego z kierunków chińskiej filozofii. Kładł nacisk na doświadczenie i logikę i znany był jako znakomity inżynier i geometra.

12

Czerwony Brzeg II

Po przyjęciu do bazy Czerwony Brzeg Ye nie dostała prawdziwego zajęcia. Pozwolono jej tylko wykonywać pod bacznym okiem strażnika pewne prace techniczne.

Ye już na drugim roku studiów poznała profesora, który miał być promotorem jej pracy magisterskiej. Powiedział jej, że dla osoby, która chce prowadzić badania astrofizyczne, teoria bez znajomości metod eksperymentalnych i umiejętności obserwacji jest zupełnie bezużyteczna, przynajmniej w Chinach. Było to wbrew poglądom jej ojca, ale zgodziła się z profesorem. Zawsze uważała, że ojciec jest zbytnim teoretykiem.

Jej promotor był jednym z pionierów chińskiej radioastronomii. Pod jego wpływem ona też bardzo się tym zainteresowała. Nauczyła się więc elektrotechniki i informatyki, czyli podstawy eksperymentów i obserwacji radioastronomicznych. Podczas dwóch lat studiów magistranckich przetestowali oboje pierwszy mały chiński radioteleskop i zdobyli w tej dziedzinie spore doświadczenie.

Nie przypuszczała, że ta wiedza okaże się pewnego dnia przydatna w bazie Czerwony Brzeg. Początkowo przydzielono Ye do działu

transmisji, gdzie zajmowała się utrzymaniem i naprawą sprzętu i szybko stała się niezastąpiona.

Najpierw czuła się tam trochę nieswojo. Była jedyną osobą, która nie nosiła munduru, a z powodu jej statusu politycznego wszyscy trzymali się od niej na dystans. Mogła odegnać poczucie samotności tylko przez całkowite oddanie się pracy. Nie wyjaśniało to jednak, dlaczego tak bardzo na niej polegali. Był to w końcu jeden z głównych projektów obronnych. Jak mogli tu mieć tak marny personel techniczny, że ona, bez dyplomu z inżynierii i praktyki, łatwo przejęła jego obowiązki?

Dość szybko poznała powód. Wbrew pozorom personel bazy składał się z najlepszych oficerów technicznych Drugiego Korpusu Artylerii. Mogłaby studiować przez całe życie, a i tak nie dorównałaby tym elektrykom i informatykom. Ale baza położona była w odludnym miejscu, warunki życiowe były marne, a główny trzon personelu badawczego skompletowany. Pozostawały tylko obsługa i realizacja programu, nie było zatem wielkich szans na osiągnięcie jakichkolwiek interesujących wyników technicznych. Większość ludzi nie chciała się okazać niezastąpiona, bo zdawali sobie sprawę, że w przypadku takich ściśle tajnych programów osobie zatrudnionej na kluczowym stanowisku technicznym byłoby bardzo trudno uzyskać przeniesienie. Tak więc wszyscy celowo starali się wykazać niższymi umiejętnościami, niż w istocie mieli.

Nie mogli jednak wydać się zbyt niekompetentni, więc jeśli dowódca kazał im skierować się na zachód, udawali głupków i ze wszystkich sił brnęli na wschód. Mieli nadzieję, że w głowie dowódcy zrodzi się myśl: „Ten człowiek naprawdę się stara, ale ma ograniczone umiejętności. Nie ma sensu go tu trzymać, bo tylko przeszkadza”. I dzięki tej metodzie wielu faktycznie udało się uzyskać przeniesienie.

W tej sytuacji Ye stopniowo stała się głównym technikiem w bazie. Mimo to zastanawiał ją inny powód tego, że osiągnęła taką pozycję, coś, czego w żaden sposób nie potrafiła wytłumaczyć: otóż w bazie Czerwony Brzeg, przynajmniej w tych jej częściach, do których miała dostęp, nie było żadnej zaawansowanej technologii.

W miarę upływu czasu stopniowo znoszono nałożone na nią ograniczenia, odwołano nawet pilnujących ją strażników. Pozwolono jej dotykać głównych elementów systemów i czytać dotyczące ich dokumenty techniczne. Oczywiście do części bazy nadal miała wzbroniony wstęp. Nie pozwalano jej na przykład zbliżyć się do komputerowych systemów kontroli. Odkryła jednak, że ich wpływ na funkcjonowanie bazy był dużo mniejszy, niż sobie wyobrażała. No, choćby komputery w dziale transmisji. Były to trzy maszyny bardziej nawet prymitywne niż DJS130. Używały przestarzałej magnetycznej pamięci ferrytowej, do wprowadzania danych służyła dziurkowana taśma papierowa, a czas ich ciągłej pracy nie przekraczał piętnastu godzin. Zorientowała się też, że dokładność systemu naprowadzania Czerwonego Brzegu była niska, może nawet gorsza niż zwykłych systemów artyleryjskich.

Pewnego dnia przyszedł z nią porozmawiać komisarz Lei. Do tego czasu w jej oczach Yang Weining i Lei Zhicheng zamienili się miejscami. Przez te wszystkie lata, które spędziła w bazie, Yang, chociaż był tam najwyższym rangą oficerem technicznym, nie osiagnął wysokiej pozycji politycznej i poza sprawami technicznymi miał niewiele do powiedzenia. Musiał postępować ostrożnie ze swymi podwładnymi i rozmawiać grzecznie nawet z wartownikami, by nie zostać posądzony o niechętny, typowy dla inteligenta, stosunek do reformy i współpracy z masami. Wskutek tego, ilekroć napotykał trudności w pracy, wyżywał się na Ye. Natomiast komisarz Lei, w miarę jak rosło znaczenie Ye jako członka personelu

technicznego, stawał się w stosunku do niej stopniowo coraz mniej szorstki i oziębły, a bardziej miły.

– Wenjie – powiedział – znasz już całkiem dobrze system transmisji. To jest też składnik obronny bazy, jej główna część. Możesz mi powiedzieć, co sądzisz o niej jako całości?

Siedzieli na skraju stromego urwiska na Radarowym Szczycie, w najbardziej odludnym miejscu w bazie. Pionowa ściana urwiska opadała w bezdenną przepaść. Miejsce to najpierw napełniało Ye strachem, ale teraz lubiła tu przychodzić.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na pytanie komisarza. Była odpowiedzialna tylko za utrzymanie i naprawę sprzętu i nic nie wiedziała o całej bazie, o jej działaniu, celu i tak dalej. Prawdę mówiąc, nie wolno jej było nic o tym wiedzieć. Nie pozwalano jej być przy żadnej transmisji. Zastanowiła się nad pytaniem, zaczęła mówić, ale zaraz umilkła.

– No, śmiało, powiedz, co myślisz – rzekł komisarz Lei.

Zerwał rosnące obok niego źdźbło trawy i bawił się nim z roztargnieniem.

– To… to tylko nadajnik radiowy.

– Zgadza się, tylko nadajnik radiowy. – Komisarz skinął z zadowoleniem głową. – Wiesz coś o kuchenkach mikrofalowych?

Ye potrząsnęła głową.

– To taka luksusowa zabawka kapitalistycznego Zachodu. Podgrzewa się w niej jedzenie za pomocą energii wytwarzanej przez promieniowanie mikrofalowe. Do mojej poprzedniej stacji badawczej sprowadziliśmy jedno takie urządzenie, żeby precyzyjnie zbadać starzenie się pewnych elementów w wysokiej temperaturze. Po pracy używaliśmy go do podgrzewania chleba mantou, pieczenia kartofli, takich rzeczy. To bardzo ciekawe – podgrzewa środek, a warstwa zewnętrzna pozostaje zimna.

Komisarz Lei wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem. Robił to tak blisko skraju urwiska, że Ye stała się nerwowa.

– Taką kuchenką jest Czerwony Brzeg, a podgrzewanymi celami są pojazdy kosmiczne wroga. Stosując strumień promieniowania mikrofalowego rzędu od 0,1 do 1 wata na centymetr kwadratowy, będziemy mogli obezwładnić lub zniszczyć układy elektroniczne łączności satelitarnej, radarów i systemów nawigacji.

Ye w końcu zrozumiała. Chociaż Czerwony Brzeg był nadajnikiem radiowym, nie znaczyło to, że jest konwencjonalny. Najbardziej zadziwiająca była moc jego transmisji – dwadzieścia pięć megawatów! Była nie tylko większa od mocy transmisji radiowych, ale również od mocy radarów. Czerwony Brzeg zależał od pracy gigantycznych kondensatorów. Ponieważ zapotrzebowanie na energię było tak duże, również obwody przesyłu różniły się od konwencjonalnych. Ye pojęła teraz, czemu służy tak superwysoka energia, ale zaraz coś przyszło jej do głowy.

– Fale emitowane przez ten system wydają się modulowane.

– Bo tak jest. Jednak nie jest to taka modulacja, jaką stosuje się w konwencjonalnych przekazach radiowych. Chodzi nie o dodawanie informacji, lecz o zmienianie częstotliwości i amplitudy, by przeniknąć przez ekrany ochronne, które zainstalował wróg. Oczywiście to wszystko jest dopiero w fazie eksperymentalnej.

Ye kiwnęła głową. Pojawiły się teraz odpowiedzi na wiele z jej pytań.

– Niedawno wystrzelono z Jiuquan dwa satelity, które posłużyły jako cele. Próbne ataki przeprowadzone z Czerwonego Brzegu zakończyły się sukcesem. Temperatura we wnętrzu satelitów wzrosła prawie do tysiąca stopni i wszystkie instrumenty i aparatura fotografująca zostały zniszczone. W przyszłej wojnie Czerwony Brzeg będzie mógł skutecznie zadawać ciosy we wrogie satelity komunikacyjne i zwiadowcze, takie jak używane przez

amerykańskich imperialistów satelity szpiegowskie KH-8 i KH-9, które dopiero mają być umieszczone na orbitach. Jeszcze bardziej bezbronne są krążące po niższych orbitach satelity szpiegowskie radzieckich rewizjonistów. Jeśli to będzie konieczne, możemy nawet zniszczyć ich stację kosmiczną Salut, a także stację Skylab, którą w przyszłym roku planują wystrzelić amerykańscy imperialiści.

– Komisarzu! O czym pan jej opowiada? – zapytał ktoś za plecami Ye.

Odwróciła się i zobaczyła, że to Yang Weining, który ostro patrzy na komisarza.

– To dla dobra pracy – odparł Lei i odszedł.

Yang popatrzył na Ye bez słowa i też odszedł. Została sama.

„To on mnie tutaj sprowadził, ale nadal mi nie ufa” – pomyślała z rozpaczą. Martwiła się o komisarza Leia. Miał on w bazie większą władzę niż Yang, ponieważ w najważniejszych sprawach ostatnie słowo należało do niego, ale sposób, w jaki czmychnął przed Yangiem, wskazywał, że główny inżynier przyłapał go na robieniu czegoś złego. Przekonało to Ye, że Lei sam zdecydował się powiedzieć jej o właściwym celu Projektu Czerwony Brzeg.

„Co się z nim stanie wskutek tej decyzji?”

Popatrzyła na jego krzepkie plecy i poczuła przypływ wdzięczności. Zaufanie było dla niej bez wątpienia luksusem, o którym nie śmiała marzyć. Lei bardziej pasował do jej obrazu żołnierza niż Yang, był szczery i prostolinijny, jak na wojskowego przystało. Natomiast Yang był typowym dla tego okresu inteligentem – ostrożnym, bojaźliwym, myślącym tylko o tym, by chronić własną skórę. Chociaż rozumiała to, przepaść między nimi jeszcze się pogłębiła.

Następnego dnia przeniesiono ją z działu transmisji do działu nasłuchu. Najpierw pomyślała, że ma to związek z wydarzeniami poprzedniego dnia,

że jest to krok, który ma na celu odsunięcie jej od głównych zadań bazy, ale gdy przyszła do działu nasłuchu, zorientowała się, że raczej on jest sercem Czerwonego Brzegu. Chociaż oba działy korzystały po części z tego samego sprzętu, takiego jak antena, technika używana w dziale nasłuchu była dużo bardziej zaawansowana.

Dział nasłuchu miał bardzo czuły, wysokiej klasy odbiornik fal radiowych. Rubinowy maser przechwytujący falę wędrującą wzmacniał sygnały odbierane przez gigantyczną antenę, a w celu zminimalizowania zakłóceń rdzeń systemu odbiorczego zanurzony był w ciekłym helu o temperaturze −269 stopni Celsjusza. Od czasu do czasu przylatywał helikopter, by uzupełnić zapas helu. Dzięki temu system odbierał nawet bardzo słabe sygnały. Ye wyobrażała sobie, jak cudownie byłoby móc wykorzystać ten sprzęt do badań radioastronomicznych.

Również system komputerowy w dziale nasłuchu był bardziej rozbudowany niż w dziale transmisji. Gdy Ye weszła po raz pierwszy do pomieszczenia, gdzie znajdował się główny komputer, ujrzała rząd monitorów kineskopowych. Patrzyła oszołomiona, jak na każdym z nich przesuwa się kod programowania, a operatorzy edytują go i na bieżąco testują z użyciem klawiatury. Kiedy uczyła się na studiach programowania, kod źródłowy był zawsze zapisany na specjalnym papierze do programowania, a potem nanoszony za pomocą maszyny do pisania na papierową taśmę. Słyszała o wprowadzaniu danych wejściowych za pomocą klawiatury i ekranu, ale dopiero teraz to zobaczyła.

Jeszcze bardziej zdumiało ją jednak oprogramowanie. Dowiedziała się, że istnieje coś o nazwie FORTRAN, co pozwala programować w języku zbliżonym do naturalnego, i że można łatwo wprowadzić bezpośrednio do kodu nawet równania matematyczne! Dzięki temu programowanie było o wiele bardziej wydajne niż z użyciem kodu maszynowego. Było tam też

coś zwanego bazą danych, co pozwalało łatwo przechowywać mnóstwo informacji i swobodnie posługiwać się nimi.

Dwa dni później komisarz Lei znowu odszukał Ye, by z nią porozmawiać. Tym razem byli w głównym pokoju komputerowym działu nasłuchu, przed rzędem jarzących się zielono ekranów. Obok nich siedział Yang Weining, który nie brał udziału w rozmowie, ale nie miał ochoty wyjść, co bardzo ją krępowało.

– Ye Wenjie – zaczął komisarz Lei – pozwól, że wyjaśnię ci, na czym polega praca działu nasłuchu. Ujmując to prosto, naszym celem jest mieć na oku działania wroga w przestrzeni kosmicznej, włącznie z przechwytywaniem komunikatów między jego statkami i ziemią oraz między samymi statkami, współpracować z centrami telemetrii, śledzenia i dowodzenia dla ustalania orbit tych statków i dostarczać dane do systemów bojowych Czerwonego Brzegu. Innymi słowy, tutaj są oczy Czerwonego Brzegu.

– Komisarzu Lei – wtrącił się Yang – nie sądzę, że mówienie jej tego to dobry pomysł. Nie musi wiedzieć o tych sprawach.

Ye zerknęła na Yanga i powiedziała z niepokojem:

– Komisarzu, jeśli nie powinnam o tym wiedzieć, to…

– Ależ skąd, Wenjie. – Komisarz uciszył ją podniesieniem ręki. Obrócił się do Yanga. – Inżynierze Yang, powiem panu to, co już mówiłem. To dla dobra pracy. Jeśli Ye ma lepiej wykonywać swoje zadania, trzeba jej powiedzieć, co musi wiedzieć.

Yang wstał.

– Powiadomię o tym naszych przełożonych.

– Oczywiście ma pan do tego prawo. Ale niech się pan nie boi. Za wszystko biorę pełną odpowiedzialność.

Yang wyszedł z gorzką miną.

– Nie przejmuj się nim. On już taki jest. – Komisarz Lei zachichotał i potrząsnął głową. Potem spojrzał na Ye i przybrał poważny ton. – Wenjie, kiedy przywieźliśmy cię do bazy, cel był prosty. W systemach nasłuchu Czerwonego Brzegu często pojawiały się zakłócenia spowodowane promieniowaniem elektromagnetycznym powstającym podczas wybuchów i plam na Słońcu. Na szczęście zobaczyliśmy twój artykuł i uświadomiliśmy sobie, że badałaś aktywność Słońca. Twój model przewidywania jej okazał się najdokładniejszy z wypracowanych przez chińskich naukowców i dlatego chcieliśmy, byś pomogła nam rozwiązać ten problem. Ale po przyjeździe tutaj wykazałaś się dużymi zdolnościami, postanowiliśmy więc dać ci więcej obowiązków. Moim zamiarem było skierować cię najpierw do działu transmisji, a potem do działu nasłuchu. W ten sposób wyrobiłabyś sobie ogólne pojęcie o tym, czym zajmujemy się w Czerwonym Brzegu. Mogliśmy poczekać i zobaczyć, gdzie cię potem przydzielić. Oczywiście, jak sama widzisz, ten plan spotkał się z pewnym oporem. Ale powiem jasno: ja mam do ciebie zaufanie, Wenjie. Na razie jest to tylko moje osobiste zaufanie, ale mam nadzieję, że będziesz dalej ciężko pracować i zyskasz zaufanie całej organizacji.

Komisarz Lei położył rękę na ramieniu Ye. Poczuła promieniujące z niej ciepło i siłę.

– Wenjie, mam szczerą nadzieję, że pewnego dnia będę mógł cię nazwać towarzyszką Ye.

Lei podniósł się i odszedł pewnym, żołnierskim krokiem. Ye miała w oczach łzy. Widziała przez nie znaki kodu na ekranie jak migoczące płomyki. Płakała po raz pierwszy od śmierci ojca.

Kiedy zapoznała się z pracą w dziale nasłuchu, odkryła, że odnosi tu dużo mniejsze sukcesy niż w dziale transmisji. Jej wiedza komputerowa była przestarzała, musiała więc uczyć się programowania od zera. Chociaż

komisarz Lei obdarzył ją zaufaniem, podlegała surowym ograniczeniom. Pozwalano jej na przykład oglądać źródło kodu programowania, ale zabraniano korzystać z bazy danych. W codziennej pracy nadzorował ją głównie Yang. Stał się wobec niej jeszcze bardziej szorstki i z powodu byle drobiazgu wybuchał złością. Komisarz Lei wielokrotnie rozmawiał z nim o tym, ale bez rezultatu. Wydawało się, że na sam jej widok Yanga ogarniał nieokreślony niepokój.

Stopniowo, w miarę jak napotykała w pracy coraz więcej niewytłumaczalnych spraw, zaczęła sobie uświadamiać, że program realizowany w Czerwonym Brzegu jest o wiele bardziej złożony, niż sobie wyobrażała.

Pewnego dnia system monitorowania przechwycił transmisję, która po jej odkodowaniu przez komputer okazała się serią kilku zdjęć satelitarnych. Zamazane zdjęcia przesłano do interpretacji do Biura Pomiarów Geograficznych i Map Sztabu Generalnego. Stwierdzono tam, że przedstawiają one ważne cele wojskowe w Chinach, w tym port marynarki wojennej w Qingdao i kilka kluczowych fabryk realizujących program Trzeciego Frontu[1]. Analiza potwierdziła, że zrobione zostały przez amerykański system wywiadu KH-9.

Niedawno wystrzelono pierwszego z satelitów składających się na ten system. Chociaż jego proces zbierania informacji wywiadowczych opierał się głównie na wymiennych kasetach filmowych, wykorzystywano go też do testowania bardziej zaawansowanej techniki obrazów cyfrowych. Wskutek niedojrzałej technologii satelita przesyłał je na niskiej częstotliwości, co zwiększało zakres ich odbioru na tyle, że mogły zostać przechwycone przez Czerwony Brzeg. A ponieważ był to tylko test, kod nie był zbyt dobrze zabezpieczony i łatwy do złamania. Satelita ten stał się bez wątpienia ważnym celem nasłuchu, gdyż stwarzał rzadką okazję uzyskania

informacji o amerykańskim systemie satelitów szpiegowskich. Mimo to trzeciego dnia Yang Weining kazał zmienić częstotliwość i kierunek nasłuchu i porzucił ten cel. Ye nie mogła zrozumieć tej decyzji.

Zaszokowało ją też inne wydarzenie. Chociaż pracowała teraz w dziale nasłuchu, czasami potrzebowano jej również w dziale transmisji. Pewnego razu zobaczyła przypadkiem ustawienia częstotliwości dla kilku zbliżających się transmisji. Odkryła, że podczas transmisji 304, 318 i 325 wyznaczone częstotliwości były z niższego zakresu niż mikrofale, więc nie doprowadziłyby do przegrzania celu.

Pewnego dnia jakiś oficer wezwał ją ni z tego, ni z owego do głównego biura administracyjnego bazy. Z jego tonu i wyrazu twarzy wywnioskowała, że coś poszło źle.

Scena, którą zobaczyła po wejściu do biura, wydała się jej znajoma: siedzieli tam wszyscy starsi oficerowie z bazy i dwóch innych, których widziała po raz pierwszy. Jednak od pierwszego rzutu oka wiedziała, że są z wyższego szczebla dowództwa. Skupiły się na niej lodowate spojrzenia wszystkich obecnych.

Ale intuicja, którą wyrobiła sobie podczas burzliwych lat, podpowiadała jej, że tym razem to nie ona ma duże kłopoty. Była co najwyżej osobą towarzyszącą. W rogu siedział z przygnębioną miną komisarz Lei.

„W końcu zapłaci za to, że mi zaufał” – pomyślała i natychmiast postanowiła, że zrobi wszystko, co będzie mogła, by go ratować. Weźmie na siebie odpowiedzialność za wszystko, nawet skłamie, jeśli będzie trzeba.

Ale on odezwał się pierwszy, a to, co powiedział, zupełnie ją zaskoczyło.

– Ye Wenjie, muszę na początku wyjaśnić, że nie zgadzam się z tym, co zostanie tu zrobione. Decyzję podjął główny inżynier Yang po konsultacji ze swoimi przełożonymi. To on będzie ponosił odpowiedzialność za wszelkie tego skutki.

Komisarz Lei obrócił się i spojrzał na Yanga, który poważnie skinął głową.

– W celu lepszego wykorzystania w bazie Czerwony Brzeg twoich zdolności główny inżynier Yang wielokrotnie zwracał się do przełożonych z tą samą prośbą. Przysłano tu towarzyszy z Wydziału Politycznego Armii – wskazał dwóch nieznanych Ye oficerów – żeby zbadali twoją sytuację w pracy. W końcu, za aprobatą naszych przełożonych, postanowiliśmy poinformować cię o prawdziwym charakterze programu Czerwony Brzeg.

Dopiero po długiej chwili dotarło do Ye znaczenie tego, co powiedział: zawsze ją okłamywał!

– Mam nadzieję, że wysoko ocenisz tę szansę i będziesz ciężko pracowała, by odkupić swoje grzechy. Po tym spotkaniu będziesz się zachowywała w bazie bardzo przyzwoicie. Każde kontrrewolucyjne zachowanie zostanie surowo ukarane! – Komisarz Lei wbijał w nią wzrok. Był zupełnie inny od obrazu, który stworzyła sobie Ye. – Wyrażam się jasno? Dobrze, teraz inżynier Yang może ci wyjaśnić, czym się zajmujemy.

Pozostali wyszli, zostawiając tylko ją i Yanga.

– Jeśli nie chcesz, masz jeszcze czas się wycofać.

Ye pojęła wagę tych słów i dopiero teraz zrozumiała przyczynę niepokoju, który w ostatnich tygodniach ogarniał Yanga za każdym razem, gdy ją widział. Żeby w pełni wykorzystać jej umiejętności, trzeba jej było powiedzieć prawdę o bazie. Oznaczało to jednak, że musi porzucić wszelkie nadzieje na to, iż kiedykolwiek opuści Radarowy Szczyt.

– Zgadzam się – rzekła cicho, lecz zdecydowanie.

Tak więc tego wczesnego letniego wieczoru, gdy w wielkiej antenie parabolicznej wył wiatr, a w dali falowało leśne morze w górach Wielkiego Chinganu, Yang Weining wyjaśnił jej prawdziwy charakter Czerwonego Brzegu.

Była to baśń tej epoki, jeszcze bardziej niewiarygodna niż kłamstwa komisarza.

1 Program Trzeciego Frontu był w czasach rewolucji kulturalnej tajnym wojskowym przedsięwzięciem, którego celem była budowa fabryk w głębi Chin, gdzie byłyby mniej narażone na amerykańskie i radzieckie ataki.

13

Czerwony Brzeg III

WYBRANE DOKUMENTY DOTYCZĄCE PROJEKTU CZERWONY BRZEG

Datę odtajnienia tych dokumentów ustalono na trzy lata po wysłuchaniu przez Wang Miao opowieści Ye Wenjie o kulisach pracy bazy Czerwony Brzeg.

I

Kwestia w znacznym stopniu pomijana przez światowe ośrodki badań podstawowych

(artykuł pierwotnie opublikowany w „Piśmie do Użytku Wewnętrznego”, XX/XX/196X)

[Skrót] Na podstawie dotychczasowej historii widać, że wyniki badań w zakresie nauk podstawowych można wykorzystać w naukach stosowanych w jeden z dwóch sposobów: stopniowo lub skokowo.

Sposób stopniowy: teoretyczne wyniki badań podstawowych stopniowo przenikają do technologii, osiągnięcia się akumulują, aż w pewnym momencie dochodzi do przełomu. Najnowszych tego przykładów dostarcza technologia kosmiczna.

Sposób skokowy: teoretyczne wyniki badań podstawowych szybko znajdują praktyczne zastosowanie, co prowadzi do skoku technologicznego. Do najnowszych

przykładów należy pojawienie się broni jądrowej. Aż do lat czterdziestych część najwybitniejszych fizyków uważała, że wyzwolenie energii atomu nigdy nie będzie możliwe. Ale krótko potem pojawiła się broń jądrowa. Skok technologiczny następuje, kiedy osiągnięcia badań podstawowych zostają w krótkim okresie wykorzystane przez nauki stosowane do stworzenia nowej technologii.

Obecnie zarówno NATO, jak i Układ Warszawski są bardzo aktywne w dziedzinie badań podstawowych i wiele w nie inwestują. W każdej chwili może dojść do jednego lub więcej skoków technologicznych. Stanowiłoby to duże zagrożenie dla naszego planowania strategicznego.

Niniejszy artykuł dowodzi, że obecnie skupiamy się na stopniowym sposobie rozwoju technologii i nie poświęcamy wystarczającej uwagi możliwości dokonania skoku technologicznego. Zaczynając od punktu, w którym się znajdujemy, powinniśmy opracować ogólną strategię i zbiór zasad, byśmy mogli odpowiednio zareagować, kiedy taki skok nastąpi.

Oto lista dziedzin, w których skok technologiczny jest najbardziej prawdopodobny:

1. Fizyka: **[pominięte]**
2. Biologia: **[pominięte]**
3. Informatyka: **[pominięte]**
4. Poszukiwanie inteligencji pozaziemskiej (SETI): Jest to dziedzina, w której możliwość dokonania skoku technologicznego jest największa. Jeśli do tego dojdzie, wpływ tego skoku przewyższy sumę skoków w pozostałych trzech dziedzinach.

[Pełen tekst] [pominięty]

[Instrukcje wydane przez Centralne Kierownictwo] Rozprowadzić ten artykuł wśród właściwego personelu i zorganizować grupy dyskusyjne. Przedstawione w nim poglądy mogą się nie wszystkim podobać, ale nie osądzajmy pochopnie autora. Kluczem jest docenienie jego perspektywicznego myślenia. Niektórzy towarzysze nie potrafią spojrzeć poza czubek własnego nosa, być może z powodu otoczenia politycznego, być może z powodu arogancji. To nie jest dobre. Strategiczne słabe punkty są niezwykle niebezpieczne.

Moim zdaniem z czterech dziedzin, w których może dojść do skoków technologicznych, najmniej myślimy o tej ostatniej. Warto jej poświęcić trochę uwagi, więc powinniśmy systematycznie i dogłębnie przeanalizować tę sprawę.

Podpis: XXX Data: XX/XX/196X

II

Raport z badań nad możliwością dokonania skoku technologicznego dzięki poszukiwaniom inteligencji pozaziemskiej

1. Obecne kierunki w badaniach międzynarodowych **[streszczenie]**

(1) Stany Zjednoczone i pozostałe kraje NATO: generalnie przyjmuje się, że program SETI jest konieczny, i stanowisko to ma silne poparcie ze strony naukowców.

Program Ozma: W 1960 roku Narodowe Obserwatorium Radioastronomiczne w Green Banks w Wirginii Zachodniej poszukiwało inteligencji pozaziemskiej za pomocą radioteleskopu o średnicy 26 metrów. W ramach tego programu badano przez 200 godzin gwiazdy Tau Ceti i Epsilon Eridani na częstotliwości około 1,420 gigaherców. Na 1972 rok zaplanowano program Ozma II, który obejmie więcej celów i będzie realizowany w szerszym zakresie częstotliwości.

Sondy kosmiczne: Wystrzelenie sond Pioneer 10 i Pioneer 11, które będą zaopatrzone w metalowe plakietki z informacją o cywilizacji na Ziemi, zaplanowane jest na rok 1972. Start sond Voyager 1 i Voyager 2, z zapisem audio na metalowych płytach, jest planowany na rok 1977.

Obserwatorium Arecibo w Porto Rico – zbudowane w 1963 roku, jest kluczowym narzędziem dla SETI. Efektywna powierzchnia jego czaszy wynosi niemal 80 tysięcy metrów kwadratowych, czyli więcej niż łączna powierzchnia wszystkich pozostałych radioteleskopów świata. Dzięki swojemu systemowi komputerowemu może on jednocześnie monitorować 65 tysięcy kanałów, a przy tym można go wykorzystać do przekazów o ultrawysokiej energii sygnału.

(2) Związek Radziecki: Dostępnych jest niewiele źródeł informacji, ale pewne wskazówki świadczą, że dużo się inwestuje w tę dziedzinę. Prowadzone tam badania wydają się bardziej systematyczne i długofalowe niż w państwach NATO. Na podstawie wiadomości uzyskanych z pewnych kanałów informacyjnych wiemy, że obecnie opracowuje się plany budowy globalnej sieci radioteleskopów interferometrii wielobazowej z wykorzystaniem syntezy apertury. Kiedy system ten

zostanie ukończony, będzie miał największą na świecie możliwość badania głębi przestrzeni kosmicznej.

2. Wstępna analiza wzorców społecznych cywilizacji pozaziemskich w świetle materializmu historycznego **[pominięte]**

3. Wstępna analiza wpływu cywilizacji pozaziemskich na główne nurty społeczne i polityczne na Ziemi **[pominięte]**

4. Wstępna analiza wpływu obecnego stanu stosunków międzynarodowych na możliwy kontakt z inteligencją pozaziemską

(1) Kontakt jednostronny (tylko odbieranie sygnałów wysyłanych przez cywilizacje pozaziemskie): **[pominięte]**

(2) Kontakt dwustronny (wymiana sygnałów i bezpośredni kontakt z cywilizacją pozaziemską): **[pominięte]**

5. Niebezpieczeństwo nawiązania przez supermocarstwa pierwszego kontaktu z cywilizacją pozaziemską i zmonopolizowania tego kontaktu oraz możliwe tego konsekwencje

(1) Analiza konsekwencji nawiązania przez amerykańskich imperialistów i NATO pierwszego kontaktu z cywilizacją pozaziemską i zmonopolizowania go: **[nadal tajne]**

(2) Analiza konsekwencji nawiązania przez radzieckich rewizjonistów i Układ Warszawski pierwszego kontaktu z inteligencją pozaziemską i zmonopolizowania go: **[nadal tajne]**

[Instrukcje wydane przez Centralne Kierownictwo] Inne kraje wysłały już w przestrzeń kosmiczną swoje komunikaty. Byłoby groźne, gdyby cywilizacje pozaziemskie usłyszały tylko ich głosy, więc my też musimy przemówić. Tylko wtedy uzyskają one pełen obraz ludzkiej społeczności. Nie można poznać prawdy, jeśli słucha się tylko jednej strony. Musimy do tego doprowadzić, i to szybko.

Podpis: XXX Data: XX/XX/196X

III

Raport o początkowej fazie programu Czerwony Brzeg (XX/XX/196X)

ŚCIŚLE TAJNE

Liczba kopii: 2

Streszczenie: Dokument o numerze XXXXXX w Centralnej Bazie Danych, przedłożony Komisji Nauki, Technologii i Przemysłu Obronnego Chińskiej Akademii Nauk i Centralnej Komisji Planowania przy Ministerstwie Obrony Narodowej, rozpowszechniony wśród uczestników Konferencji XXXXXX i XXXXXX oraz częściowo wśród uczestników Konferencji XXXXXX.

Seryjny numer tematu: 3760

Kryptonim: „Czerwony Brzeg”

1. Cel **[streszczenie]**

Poszukiwanie istniejących cywilizacji pozaziemskich i próba nawiązania z nimi kontaktu.

2. Teoretyczne studium programu Czerwony Brzeg

(1) Poszukiwanie i monitorowanie

Zakres częstotliwości monitorowania: 1000–40 000 MHz

Kanały monitorowania: 15 000

Najważniejsze monitorowane częstotliwości:

• częstotliwość promieniowania atomów wodoru 1420 MHz

• częstotliwość promieniowania rodników hydroksylowych 1667 MHz

• częstotliwość promieniowania cząsteczek wody 22 000 MHz

Obszar monitorowania: sfera wokół Ziemi o promieniu 1000 lat świetlnych, zawierająca około 20 milionów gwiazd. Lista celów, zob. dodatek 1.

(2) Transmisja komunikatów

Częstotliwości transmisji: 2800 MHz, 12 000 MHz, 22 000 MHz

Moc transmisji: 10–25 megawatów

Cele transmisji: sfera wokół Ziemi o promieniu 200 lat świetlnych, zawierająca około 100 tysięcy gwiazd. Lista celów, zob. dodatek 2.

(3) Opracowanie samotłumaczącego się kodu dla Czerwonego Brzegu

Zasada przewodnia: na podstawie uniwersalnych, podstawowych praw matematycznych i fizycznych stworzyć elementarny kod językowy, zrozumiały dla każdej cywilizacji, która opanowała podstawy algebry i geometrię euklidesową oraz odkryła prawa mechaniki klasycznej (fizyki nierelatywistycznej).

Na bazie powyższego elementarnego kodu uzupełnionego obrazami o niskiej rozdzielczości stopniowo stworzyć pełen, całkowity system językowy. Popierane języki: chiński i esperanto.

Zawartość informacyjna całego systemu powinna mieścić się w 680 KB. Czasy transmisji dla kanałów o częstotliwości 2800, 12 000 i 22 000 MHz wynoszą odpowiednio 1 183 minuty, 224 minuty i 132 minuty.

3. Plan realizacji programu Czerwony Brzeg

(1) Wstępny projekt systemu monitorowania i poszukiwania w oddziale Czerwony Brzeg **[nadal tajne]**

(2) Wstępny projekt systemu transmisji w oddziale Czerwony Brzeg **[nadal tajne]**

(3) Wstępny projekt wyboru miejsca dla oddziału Czerwony Brzeg **[pominięte]**

(4) Wstępny pomysł utworzenia oddziału Czerwony Brzeg w Drugim Korpusie Artylerii **[nadal tajne]**

4. Treść wiadomości wysyłanej z Czerwonego Brzegu **[streszczenie]**

Podstawowe dane o Ziemi (3,1 KB), zarys życia na Ziemi (4,4 KB), zarys ludzkiej społeczności (4,6 KB), zarys historii świata (5,4 KB).

Zawartość informacyjna w sumie: 17,5 KB.

Cała wiadomość zostanie wysłana po transmisji samotłumaczącego się kodu. Czas transmisji na kanałach o częstotliwości 2800, 12 000 i 22 000 będzie wynosił odpowiednio 31 minut, 7,5 minuty i 3,5 minuty.

Wiadomość zostanie starannie sprawdzona przez zespół specjalistów z wielu dziedzin, byśmy mieli pewność, że nie zdradzi współrzędnych Ziemi względem Drogi Mlecznej. Spośród trzech kanałów transmisyjnych należy zminimalizować nadawanie w pasmach o większej częstotliwości, 12 000 i 22 000 MHz, by zmniejszyć prawdopodobieństwo dokładnego zlokalizowania źródła transmisji.

IV

Wiadomość dla cywilizacji pozaziemskich

Pierwszy szkic **[kompletny tekst]**

Uwaga, ci, którzy odebraliście tę wiadomość! Ta wiadomość została wysłana przez cywilizację, która reprezentuje na Ziemi rewolucyjną sprawiedliwość! Być może wcześniej odebraliście inną wiadomość wysłaną w tym samym kierunku. Tamta wiadomość została wysłana przez imperialistyczne supermocarstwo istniejące na tej planecie. To supermocarstwo walczy z innym o dominację, by cofnąć ludzką

historię. Mamy nadzieję, że nie będziecie słuchali ich kłamstw. Stańcie po stronie sprawiedliwości, stańcie po stronie rewolucji!

[Instrukcje wydane przez Centralne Kierownictwo] To bzdury! Wystarczy umieścić wszędzie na Ziemi plakaty z wielkimi znakami, a nie wysyłać wiadomości w kosmos. Przywództwo rewolucji kulturalnej nie powinno już zawracać sobie głowy Czerwonym Brzegiem. Taką ważną wiadomość należy starannie zredagować. Prawdopodobnie najlepiej by było, żeby specjalna komisja sporządziła jej szkic, który następnie zostanie omówiony i zaaprobowany przez Biuro Polityczne.

Podpis: XXX Data: XX/XX/196X

Drugi szkic **[pominięte]**

Trzeci szkic **[pominięte]**

Czwarty szkic **[kompletny tekst]**

Przesyłamy wam, mieszkańcom innego świata, życzenia wszystkiego najlepszego.

Po przeczytaniu niniejszej wiadomości powinniście w ogólnych zarysach zrozumieć cywilizację na Ziemi. Dzięki wytężonej pracy i kreatywności rodzaj ludzki stworzył wspaniałą cywilizację, która rozkwitła wieloma różnymi kulturami. Zaczęliśmy też rozumieć prawa rządzące światem przyrody i rozwojem ludzkich społeczeństw. Cenimy wszystko, co osiągnęliśmy.

Ale nasz świat ma nadal wady. Istnieje nienawiść, tak samo jak uprzedzenia i wojna. Z powodu konfliktu między siłami produkcji i stosunkami produkcji podział bogactwa jest bardzo nierówny i duża liczba ludzi nadal żyje w nędzy i niedoli.

Ludzkie społeczeństwa usilnie starają się usunąć te trudności i rozwiązać problemy, przed którymi stoją, dążąc do lepszej przyszłości dla ziemskiej cywilizacji. Kraj, który wysłał tę wiadomość, realizuje przedsięwzięcie, które jest częścią tych starań. Dążymy do zbudowania społeczeństwa idealnego, w którym w pełni szanować się będzie pracę i wartość każdego członka ludzkiej społeczności, w którym w pełni zaspokojone będą materialne i duchowe potrzeby każdego, dzięki czemu ziemska cywilizacja może się stać jeszcze doskonalsza.

Mamy jak najlepsze zamiary i nie możemy się doczekać nawiązania kontaktu z innymi cywilizowanymi społecznościami we wszechświecie. Nie możemy się doczekać chwili, kiedy zaczniemy wspólnie działać na rzecz stworzenia lepszego życia w tym rozległym Wszechświecie.

V

Odpowiednia polityka i strategia

1. Rozważenie polityki i strategii po otrzymaniu wiadomości od inteligencji pozaziemskiej **[pominięte]**

2. Rozważenie polityki i strategii po nawiązaniu kontaktu z cywilizacją pozaziemską **[pominięte]**

3. **[Instrukcje wydane przez Centralne Kierownictwo]** Trzeba poświęcić trochę uwagi czemuś zupełnie niezwiązanemu z naszymi najpilniejszymi potrzebami. Ten projekt pozwolił nam zastanowić się trochę nad sprawami, na które nigdy nie mieliśmy czasu. W rzeczy samej możemy je przemyśleć tylko wtedy, kiedy spojrzymy na nie z dostatecznie dużego dystansu. Już samo to pozwala usprawiedliwić program Czerwony Brzeg.

Jakże byłoby wspaniale, gdyby we Wszechświecie rzeczywiście istniały inne inteligencje i inne społeczeństwa! Ci, którzy stoją z boku, widzą najjaśniej. Wtedy ktoś naprawdę neutralny mógłby stwierdzić, czy jesteśmy bohaterami historii czy łotrami.

Podpis: XXX Data: XX/XX/196X

14

Czerwony Brzeg IV

– Profesor Ye – rzekł Miao – mam pytanie. W tamtych czasach SETI było marginalizowane. Dlaczego program Czerwony Brzeg otoczono tak ścisłą ochroną?

– To pytanie zadawano od pierwszych faz programu aż do jego zakończenia. Teraz powinieneś już znać odpowiedź. Możemy tylko podziwiać dalekowzroczność głównego decydenta odpowiedzialnego za ten program.

– Tak, patrzył daleko w przyszłość. – Wang skinął głową.

Wiedział, że wprawdzie dopiero od kilku lat poważnie rozważa się kwestię tego, jak i w jakim stopniu wpłynęłoby na ludzkie społeczeństwa nawiązanie kontaktu z inteligencją pozaziemską, ale za to gwałtownie wzrosło zainteresowanie tymi badaniami, a płynące z nich wnioski są szokujące.

Naukowcy rozwiali złudne nadzieje naiwnych idealistów. Stwierdzili, że wbrew pragnieniu większości kontakt z istotami pozaziemskimi nie byłby dobry dla ogółu ludzkości. Raczej dzieliłby ją, niż łączył, i zamiast załagodzić konflikty między odmiennymi kulturami, jeszcze bardziej by je zaognił. Krótko mówiąc, gdyby do niego doszło, wewnętrzne podziały

w ziemskiej cywilizacji pogłębiłyby się i mogłaby nastąpić katastrofa. Najbardziej szokujący był wniosek, że wpływ takiego kontaktu nie miałby nic wspólnego z jego rodzajem i stopniem (czy byłby on jedno- czy dwustronny) ani z formą i stopniem zaawansowania obcej cywilizacji.

Była to teoria „kontaktu jako symbolu", przedstawiona przez socjologa Billa Matthewsa z RAND Corporation w książce *100 000 lat świetlnych od żelaznej kurtyny. Socjologia SETI*. Matthews uważał, że kontakt z obcą cywilizacją jest tylko symbolem albo włącznikiem. Bez względu na jego charakter rezultaty byłyby takie same.

Załóżmy, że ów kontakt tylko potwierdzałby istnienie cywilizacji pozaziemskiej i nie przynosił żadnych konkretnych informacji (Matthews nazywa to kontaktem elementarnym). Jego wpływ zostałby powiększony w soczewce masowej psychologii i kultury i odbiłby się negatywnie na rozwoju cywilizacji. Gdyby został zmonopolizowany przez jakiś kraj albo siłę polityczną, jego znaczenie byłoby porównywalne z potęgą gospodarczą i militarną.

– Jak zakończył się program Czerwony Brzeg?

– Chyba się domyślasz.

Wang ponownie kiwnął głową. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że gdyby ten program zakończył się sukcesem, dzisiejszy świat byłby zupełnie inny, ale by pocieszyć Ye, powiedział:

– Jest jeszcze za wcześnie, by można było stwierdzić, czy się powiódł, czy nie. Fale radiowe wysłane z Czerwonego Brzegu nie zawędrowały jeszcze daleko we Wszechświecie.

Ye potrząsnęła głową.

– Im dalej rozchodzą się sygnały, tym słabsze się stają i tym mniej jest prawdopodobne, że odbierze je jakaś cywilizacja pozaziemska. Oczywiście gdyby obcy wykryli już istnienie Ziemi z jej bogatą w tlen atmosferą

i postanowili skupić na nas swe przyrządy o wielkiej mocy, byłaby to zupełnie inna historia. Ale badania pokazują, że aby wykryli nasze sygnały, musielibyśmy wysyłać je z siłą równą wytwarzaniu energii przez średniej wielkości gwiazdę. Radziecki astrofizyk Nikołaj Kardaszew stwierdził, że cywilizacje można podzielić ze względu na moc, którą dysponują, powiedzmy, dla celów komunikacji, na trzy typy. Cywilizacja typu I może zgromadzić w tym celu energię równą całkowitej produkcji energii na Ziemi. Według jego szacunków produkcja energii na Ziemi wynosi od 10^{15} do 10^{16} watów. Cywilizacja typu II może dla potrzeb komunikacji dysponować energią równą energii wytwarzanej przez typową gwiazdę – 10^{26} watów. W cywilizacji typu III energia ta może sięgnąć poziomu 10^{36} watów, w przybliżeniu ilości energii wytwarzanej przez galaktykę. Cywilizacja ziemska nie osiągnęła jeszcze w pełni mocy cywilizacji typu I, zaledwie jej siedem dziesiątych. A transmisje z Czerwonego Brzegu wykorzystywały ledwie około jednej dziesięciomilionowej ilości energii, którą dysponuje Ziemia. Nasze wołanie było niczym brzęczenie komara na niebie. Nikt nie może go usłyszeć!

– Ale jeśli rzeczywiście istnieją cywilizacje typu II i III według klasyfikacji Kardaszewa, to powinniśmy być w stanie je usłyszeć.

– Podczas dwudziestu lat działania bazy Czerwony Brzeg nigdy nic nie usłyszeliśmy.

– No tak. Czyżby wszystkie te wysiłki Czerwonego Brzegu i w ogóle SETI dowiodły ostatecznie tylko jednego – że w całym Wszechświecie jedynie na Ziemi żyją istoty inteligentne?

Ye cicho westchnęła.

– Teoretycznie być może nigdy nie uzyskamy definitywnej odpowiedzi na to pytanie. Ale w moim odczuciu i w odczuciu wszystkich, którzy przewinęli się przez Czerwony Brzeg, tak właśnie jest.

– Szkoda, że ta baza została zamknięta. Skoro już ją zbudowano, powinna działać do dzisiaj. To naprawdę wielkie przedsięwzięcie!

– Upadek Czerwonego Brzegu był stopniowy. Na początku lat osiemdziesiątych przeprowadzono szeroko zakrojoną renowację. Częściowo zmodyfikowano zwłaszcza systemy transmisji i obserwacji komputerowej. Pierwszy zautomatyzowano, a do drugiego włączono dwa minikomputery IBM. Znacznie wzrosła zdolność przetwarzania danych i można było prowadzić nasłuch na czterdziestu tysiącach kanałów. Jednak później, kiedy ludzie uzyskali szerszą perspektywę, mogli lepiej dostrzec trudności, jakie napotyka się w poszukiwaniu inteligencji pozaziemskich, i przywództwo straciło zainteresowanie Czerwonym Brzegiem. Pierwszą zmianą było zmniejszenie ochrony. W zgodnej opinii otaczanie Czerwonego Brzegu tak wielką tajemnicą było niepotrzebne, więc zredukowano ochronę z kompanii do plutonu, a w końcu zostało tam zaledwie pięciu strażników. Poza tym, chociaż administracyjnie baza pozostała w Drugim Korpusie Artylerii, kierowanie jej działalnością naukową przekazano Instytutowi Astronomii Chińskiej Akademii Nauk i zlecono jej pewne programy badawcze, które nie miały nic wspólnego z poszukiwaniem inteligencji pozaziemskich.

– Na tamten okres przypada większość pani osiągnięć naukowych.

– Początkowo Czerwony Brzeg podjął się realizacji kilku programów z dziedziny radioastronomii. W owym czasie był tam największy radioteleskop w kraju. Później, kiedy zbudowano inne obserwatoria radioastronomiczne, badania prowadzone w Czerwonym Brzegu przekierowano na obserwację i analizowanie aktywności elektromagnetycznej Słońca. W tym celu zainstalowano tam dodatkowo teleskop słoneczny. Stworzony przez nas model aktywności elektromagnetycznej Słońca był wtedy szczytowym osiągnięciem w tej

dziedzinie i miał wiele zastosowań praktycznych. Dzięki tym późniejszym osiągnięciom badawczym przynajmniej częściowo zwróciły się nakłady na stworzenie bazy. Prawdę mówiąc, duża w tym zasługa komisarza Leia. Oczywiście miał w tym własny interes. Uświadomił sobie, że jego przyszłość jako oficera politycznego w jednostce technicznej nie wygląda różowo. Przed wstąpieniem do wojska on też studiował astrofizykę, chciał więc znowu zająć się nauką. Projekty badawcze, które podjął Czerwony Brzeg na marginesie poszukiwań inteligencji pozaziemskich, były owocem jego starań.

– Na pewno nie było pani łatwo wrócić do pracy naukowej. Nie została pani jeszcze wtedy politycznie zrehabilitowana. Wydaje mi się, że chodziło mu tylko o to, by podpisywać się pod wynikami pani badań.

Ye uśmiechnęła się wielkodusznie.

– Bez Leia bazę Czerwony Brzeg zlikwidowano by jeszcze wcześniej. Po przeklasyfikowaniu jej na placówkę dla potrzeb cywilnych wojsko praktycznie ją opuściło. W końcu Chińska Akademia Nauk nie mogła już zapewnić funduszy niezbędnych do jej funkcjonowania i bazę zamknięto.

Ye niedużo mówiła o swoim życiu codziennym w bazie, a Wang nie pytał o to. Cztery lata po przylocie do Czerwonego Brzegu wyszła za Yang Weininga. Wszystko przebiegło naturalnie, bez żadnych dramatów. Później Yang i Lei zginęli w wypadku w bazie, a tuż po śmierci ojca urodziła się Yang Dong. Matka i córka opuściły Radarowy Szczyt dopiero w latach osiemdziesiątych, kiedy bazę ostatecznie zlikwidowano. Ye powróciła na swoją Alma Mater, Uniwersytet Tsinghua, i do emerytury uczyła tam astrofizyki. Wszystko to Wang usłyszał już w Obserwatorium Radioastronomicznym w Miyun.

– Poszukiwanie inteligencji pozaziemskich to wyjątkowa dyscyplina. Wywiera głęboki wpływ na sposób, w jaki zajmujący się nią badacz patrzy

na życie. – Ye mówiła przeciągłym głosem, jakby opowiadała dziecku bajkę. – W środku nocy słyszałam w słuchawkach martwy szum Wszechświata. Ten szum był słaby, lecz stały, starszy od gwiazd. Niekiedy wydawało mi się, że brzmi jak szum wiatru stale wiejącego w górach Wielkiego Chinganu. Robiło mi się wtedy bardzo zimno i doskwierała mi nieopisana samotność. Od czasu do czasu patrzyłam po nocnej zmianie na gwiazdy i myślałam, że wyglądają jak rozjarzona pustynia. Czułam się jak dziecko porzucone na tej pustyni… i myślałam, że życie jest naprawdę wynikiem przypadku, jakich wiele we Wszechświecie. Wszechświat jawił mi się jako pusty pałac, a ludzkość jako jedyna mrówka w tym pałacu. Taki sposób myślenia sprawił, że przez drugą połowę życia targały mną sprzeczne uczucia – czasami uważałam, że życie jest niezwykle cenne, a wszystko, co się w nim przydarza, bardzo ważne, innymi razy, że ludzie są niezbyt ważni i nic nie ma znaczenia. I tak upływał dzień po dniu i zanim się spostrzegłam, zestarzałam się…

Wang chciał jakoś pocieszyć staruszkę, która poświęciła życie wielkiej sprawie, płacąc za to samotnością, ale jej ostatnie słowa spowodowały, że również jego ogarnął smutny nastrój. Zdobył się tylko na to, by powiedzieć:

– Profesor Ye, któregoś dnia wybiorę się z panią zobaczyć ruiny bazy Czerwony Brzeg.

Ye potrząsnęła wolno głową.

– Nie jestem taka jak ty, Miao. Przybywa mi lat i zdrowie mam już nie takie jak kiedyś. Trudno przewidzieć przyszłość. Żyję z dnia na dzień.

Patrząc na jej srebrne włosy, Wang wiedział, że znowu myśli o córce.

15

Trzy ciała: Kopernik, wszechświatowa piłka nożna i dzień trzech słońc

Po wyjściu od Ye Wang Miao nie mógł się uspokoić. Wydarzenia ostatnich dwóch dni i historia Czerwonego Brzegu, dwa pozornie niezwiązane ze sobą wątki, splotły się, i to tak bardzo, że w ciągu jednej nocy świat stał się dla niego nieznanym miejscem.

W domu, pragnąc się pozbyć podłego nastroju, włączył komputer, włożył strój W i po raz trzeci zalogował się do *Trzech ciał*.

Poskutkowało. Zanim pokazała się strona logowania, Wang wydawał się już inną osobą i przepełniało go niewytłumaczalne podniecenie. W odróżnieniu od pierwszych dwóch wejść do gry tym razem przystąpił do niej z jasno określonym celem – chciał rozgryźć tajemnicę świata *Trzech ciał*.

Do tej nowej roli stworzył sobie nowy login – Kopernik.

Po zalogowaniu Wang ponownie stanął na tej samej co poprzednio rozległej, pustej równinie, zwrócony twarzą do dziwnego świtu w świecie *Trzech ciał*. Na wschodzie pojawiła się ogromna piramida, ale wiedział, że nie jest już ona piramidą króla Zhou z dynastii Shang ani Mo Zi. Miała dźgający poranne niebo szczyt w stylu gotyckim, który przypominał mu kościół św. Józefa w Wangfujing. Gdyby jednak ten kościół postawiono obok piramidy, wydawałby się zaledwie prowadzącą do jej wejścia kruchtą. Wang widział w oddali wiele innych budowli, które były najwyraźniej odwadnialniami, ale one też zostały wzniesione w stylu gotyckim, z wysokimi, ostrymi wieżami, co sprawiało wrażenie, że ziemia jest najeżona kolcami.

Z boku piramidy zobaczył wejście, oświetlone od wewnątrz migoczącym światłem. Podszedł do niego. W tunelu ciągnącym się za wejściem stał rząd bogów olimpijskich trzymających pochodnie, poczerniałe od unoszącego się z nich dymu. Wang wszedł do Wielkiej Sali. Było w niej jeszcze ciemniej niż w tunelu. Świece w srebrnych kandelabrach na długim marmurowym stole rzucały senne światło.

Wokół stołu siedziało kilku mężczyzn. W mdłym świetle Wang widział tylko zarysy ich twarzy. Oczy były skryte w cieniu głębokich oczodołów, ale mimo to czuł, że ich spojrzenia skupiają się na nim. Zdawali się odziani w średniowieczne szaty. Po dokładniejszym przyjrzeniu się okazało się, że jeden czy dwóch ma prostsze stroje, podobne do starogreckich chitonów. Przy końcu stołu zajmował miejsce chudy, wysoki mężczyzna. Złota korona na jego głowie była jedyną poza świecami rzeczą w sali, która błyszczała. Wytężywszy wzrok, Wang zobaczył, że jego szata różni się od szat pozostałych – była czerwona.

Uświadomił sobie, że gra otwierała przed każdym z biorących w niej udział inny świat. Ten, opierający się na schyłku europejskiego średniowiecza, został dla niego wybrany na podstawie jego identyfikatora.

– Spóźniłeś się, zebranie trwa już od pewnego czasu – powiedział człowiek w złotej koronie i czerwonej szacie. – Jestem papież Grzegorz.

Wang starał się wydobyć z zakamarków pamięci tę odrobinę wiedzy o europejskiej historii średniowiecznej, którą miał, by zorientować się na podstawie imienia papieża, jaki poziom rozwoju osiągnęła ta cywilizacja, ale potem przypomniał sobie, że odniesienia historyczne w świecie *Trzech ciał* bywają bardzo anachroniczne, i doszedł do wniosku, że nie ma po co się tym trudzić.

– Zmieniłeś swój identyfikator, ale wszyscy cię poznajemy. W poprzednich dwóch cywilizacjach podróżowałeś na Wschód. A ja jestem Arystoteles – powiedział mężczyzna w greckim chitonie. Miał białe, kręcone włosy.

– Tak – odparł Wang. – Byłem świadkiem zagłady dwóch cywilizacji, jednej spowodowanej przez przeraźliwe zimno, drugiej przez palące słońce. Widziałem też, ile wysiłku wkładali uczeni ze Wschodu w poznanie praw rządzących ruchem słońca.

– Ha! – Okrzyk ten wydał mężczyzna z podwiniętą kozią bródką. Był jeszcze chudszy niż papież. – Wschodni uczeni starali się zrozumieć tajemnice ruchu słońca poprzez medytację, objawienie, a nawet sny. Śmiechu warte!

– To Galileusz – wyjaśnił Arystoteles. – Głosi, że świat można zrozumieć w drodze obserwacji i eksperymentów. Jest myślicielem pozbawionym wyobraźni, ale jego wyniki zasługują na uwagę.

– Mo Zi też prowadził obserwacje i eksperymentował – rzekł Wang.

Galileusz prychnął.

– Mimo to miał wschodni sposób myślenia. Mo Zi był mistykiem w szatach uczonego. Nigdy nie traktował poważnie danych, które uzyskiwał podczas obserwacji, a swój model zbudował w oparciu o subiektywne spekulacje. To śmieszne! Współczuję mu, że niepotrzebnie tracił czas i energię na projektowanie tak precyzyjnego sprzętu. My jesteśmy inni. Z dużej liczby danych obserwacyjnych wyciągamy proste logiczne wnioski i na ich podstawie tworzymy model Wszechświata. Potem wracamy do eksperymentów i obserwacji, żeby go sprawdzić.

– To prawidłowe podejście. – Wang kiwnął głową. – Ja też mam takie.

– A zatem ty też przyniosłeś kalendarz? – zapytał papież szyderczym tonem.

– Nie mam kalendarza. Przyniosłem tylko model opierający się na danych z obserwacji. Muszę jednak wyraźnie zaznaczyć, że nawet jeśli ten model jest prawidłowy, nie jest wcale pewne, że opierając się na nim, można dokładnie obliczyć ruch słońca i stworzyć kalendarz. Niemniej jest to niezbędny krok.

W Wielkiej Sali rozległo się parę pojedynczych oklasków. Brawo bił mu Galileusz.

– Świetnie, Kopernik, świetnie. Większości uczonych obcy jest taki jak twój, pragmatyczny sposób myślenia, dostosowany do naukowego, opierającego się na eksperymentach podejścia. Już choćby dlatego warto wysłuchać twojej teorii.

Papież skinął do Wanga głową.

– Mów dalej.

Podszedłszy do przeciwległego końca stołu i uspokoiwszy się, Wang powiedział:

– To w rzeczywistości zupełnie proste. Ruchem słońca nie wydaje się rządzić żadna prawidłowość, ponieważ nasz świat ma trzy słońca.

Z powodu ich wzajemnie zakłócającego się przyciągania ich ruchy są nieprzewidywalne – to problem trzech ciał. Kiedy nasza planeta krąży po stałej orbicie wokół jednego z nich, mamy erę stabilności. Gdy jedno lub więcej z nich porusza się w pewnej odległości, jego czy ich siła przyciągania odciąga ją od tego, wokół którego krąży, i sprawia, że miota się ona w polach grawitacyjnych trzech słońc. Wtedy mamy erę chaosu. Po pewnym czasie, kiedy nasza planeta zostanie ponownie przechwycona przez jedno z tych słońc i zacznie krążyć po tymczasowo stałej orbicie, następuje kolejna era stabilności. To piłka nożna na skalę Wszechświata, a nasza planeta jest piłką.

W Wielkiej Sali rozległ się głuchy śmiech.

– Na stos z nim – powiedział beznamiętnie papież.

Dwóch żołnierzy w zardzewiałych zbrojach, którzy stali przy drzwiach, ruszyło w stronę Wanga jak niezdarne roboty.

– Na stos. – Galileusz westchnął. – Wiązałem z tobą wielkie nadzieje, ale okazuje się, że jesteś jeszcze jednym mistykiem albo czarownikiem.

– Tacy ludzie są nieznośni – zgodził się z nim Arystoteles.

– Przynajmniej pozwólcie mi skończyć! – Wang odsunął okryte żelaznymi rękawicami dłonie żołnierzy.

– Widziałeś te trzy słońca? Albo znasz kogoś, kto je widział? – zapytał Galileusz.

– Każdy je widział.

– Wobec tego, skoro zarówno w erach chaosu, jak i stabilności pojawia się tylko jedno słońce, gdzie są pozostałe dwa?

– Być może to, które widzimy w różnych czasach, nie jest tym samym słońcem, ale jednym z trzech. Pozostałe dwa to latające gwiazdy. Kiedy są daleko, wyglądają jak gwiazdy.

– Brakuje ci podstawowego przygotowania naukowego – powiedział Galileusz, kręcąc głową. – Słońce przesuwa się stale do odległego punktu i nie może przeskoczyć przez przestrzeń dzielącą je od niego. Zgodnie z twoją hipotezą jest jeszcze jedna dająca się zaobserwować sytuacja: słońce jest mniejsze, niż się zwykle wydaje, ale większe od latającej gwiazdy, i w miarę jak się oddala, kurczy się do wielkości tej gwiazdy. Ale nigdy nie widzieliśmy, żeby zachowywało się w ten sposób.

– Skoro masz naukowe przygotowanie, powinieneś trochę wiedzieć o budowie słońca.

– To odkrycie, z którego jestem najbardziej dumny. Słońce złożone jest z rzadkiej, ale rozszerzalnej warstwy gazowej oraz gęstego i gorącego jądra.

– To prawda – rzekł Wang. – Ale widocznie nie odkryłeś interakcji optycznej między zewnętrzną gazową warstwą słońca i atmosferą naszej planety. Jest to zjawisko podobne do polaryzacji, a raczej destrukcyjne zakłócenie. W rezultacie, kiedy słońce odsuwa się od nas na pewną odległość, ta gazowa warstwa nagle staje się całkowicie przezroczysta i niewidzialna, więc widzimy tylko jego jasne jądro. Wtedy słońce wydaje się mieć tylko wielkość swego jądra i wygląda jak latająca gwiazda. To zjawisko zmyliło wszystkich badaczy w każdej cywilizacji i nie pozwoliło im odkryć, że istnieją trzy słońca. Teraz rozumiesz, dlaczego pojawienie się trzech latających gwiazd zwiastuje długi okres wielkiego zimna – wszystkie trzy słońca są daleko od nas.

Nastąpiła krótka cisza, bo wszyscy zastanawiali się nad tym. Pierwszy przemówił Arystoteles:

– Jesteś na bakier z logiką. To prawda, że czasami widzimy trzy latające gwiazdy i że zawsze towarzyszy temu ogromne zimno. Ale w oparciu o twoją teorię powinniśmy też czasami widzieć na niebie trzy normalnej

wielkości słońca. Jeszcze nigdy tak się nie zdarzyło. Nie ma o tym nawet wzmianki w zapiskach żadnej cywilizacji!

– Zaczekajcie! – Po raz pierwszy podniósł się z miejsca i przemówił mężczyzna z długą brodą, w kapeluszu o dziwnym kształcie. – Być może są takie wzmianki w archiwach historycznych. Ludzie należący do jednej z cywilizacji zobaczyli dwa słońca i zaraz potem cywilizacja ta została zniszczona przez buchający z nich ogromny żar, ale zapisy te są bardzo niejasne. Aha, jestem Leonardo da Vinci.

– Mówimy o trzech, nie o dwóch słońcach! – krzyknął Galileusz. – Według tej teorii kiedyś musiały się ukazać trzy słońca, jak trzy latające gwiazdy.

– I ukazały się – powiedział Wang z całkowitym spokojem. – A ludzie je widzieli. Jednak ci, którzy ujrzeli ten widok, nie mogli zostawić o tym żadnej informacji, bo zostało im tylko parę sekund życia. Nie mieli najmniejszych szans, by uciec i przeżyć. Dni trzech słońc to najstraszniejsze katastrofy dla naszego świata. W taki dzień powierzchnia planety zamienia się w ciągu sekundy w piec hutniczy i panuje taki żar, że topią się skały. Po zniszczeniach spowodowanych przez trzy jednocześnie ukazujące się słońca musi minąć eon, zanim ponownie pojawią się życie i cywilizacja. To kolejna przyczyna tego, że nie ma o nich żadnych zapisów historycznych.

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli na papieża.

– Na stos – rzekł łagodnie papież.

Wang znał uśmiech rozjaśniający jego twarz – był to uśmiech króla Zhou z dynastii Shang.

Wielka Sala ożyła, wszyscy zdawali się przygotowywać do ceremonii. Galileusz i niektórzy z pozostałych wyciągnęli z radością pal z ciemnego kąta. Zdjęli zwęglone ciało, które było do niego przywiązane, i rzucili je na

bok. Inna grupa wesoło gromadziła drewno wokół pala. Tylko Leonardo ignorował to poruszenie. Siedział przy stole, dumał, od czasu do czasu brał do ręki pióro i coś obliczał.

– Giordano Bruno – rzekł Arystoteles, wskazując osmalone ciało. – Tak jak ty przyszedł tu i gadał bzdury.

– Palcie go na wolnym ogniu – powiedział słabym głosem papież.

Dwaj żołnierze przywiązywali azbestowymi sznurami ofiarę do pala. Wang wskazał wolną jeszcze ręką papieża.

– Nie jesteś niczym więcej niż programem. A co do reszty z was, to jesteście programami albo idiotami. Wyloguję się!

– Nie możesz wrócić. Na zawsze znikniesz ze świata *Trzech ciał* – rzekł ze śmiechem Galileusz.

– Wobec tego ty również musisz być programem. Normalna osoba na pewno zrozumiałaby podstawy internetu. Gra może zapisać tylko mój adres MAC. Mogę zmienić komputer i stworzyć nowy identyfikator. Zgłoszę się, kiedy wrócę.

– Przez strój W system zapisał obraz twojej siatkówki – powiedział Leonardo, patrząc na Wanga, po czym wrócił do swoich obliczeń.

Wang Miao ogarnęło nieokreślone przerażenie.

– Nie róbcie tego! Puśćcie mnie! Mówię prawdę! – krzyknął.

– Jeśli mówisz prawdę, nie spłoniesz na stosie. Gra nagradza tych, którzy są na właściwej drodze – rzekł Arystoteles. Uśmiechnął się szeroko, wyjął srebrną zapalniczkę Zippo, otworzył ją zręczną sztuczką i zapalił.

Kiedy miał ją przytknąć do stosu drewna wokół Wanga, tunel wejściowy wypełniło jaskrawe czerwone światło, za którym kłębił się obłok gorącego dymu. Ze światła wyłonił się koń i wpadł do sali. Jego ciało paliło się i kiedy galopował, pęd powietrza tworzył wokół niego krąg płomieni. Za

dosiadającym go jeźdźcem, rycerzem w ciężkiej, rozżarzonej do czerwoności zbroi, ciągnęła się biała smuga dymu.

– Koniec świata! Koniec świata! Odwadniajcie się! Odwadniajcie!

Gdy jeździec wykrzykiwał te słowa, koń pod nim padł i zmienił się w ognisko. Zrzucony rycerz przekoziołkował aż do stosu i tam się zatrzymał. Z otworów w jego zbroi nadal wydobywał się biały dym. Wypłynął z niego wrzący tłuszcz, który zajął się od ognia, i wyglądało to tak, jakby ze zbroi wyrosła para płonących skrzydeł.

Wszyscy obecni w sali rzucili się do wyjścia i zniknęli w czerwonym świetle wpadającym z zewnątrz. Wang Miao szarpał się z całej siły z krępującymi go powrozami i w końcu uwolnił się z więzów. Ominął płonącego rycerza i konia, przebiegł pędem przez pustą salę, wpadł do dusznego tunelu i wydostał się z budowli.

Ziemia gorzała jak kawałek żelaza w palenisku kowalskim. Wiły się po niej jaskrawe strumyki lawy, tworząc ciągnącą się po horyzont ognistą sieć. W niebo wznosiły się niezliczone cienkie słupy płomieni – paliły się odwadnialnie, a znajdujące się w nich wysuszone ciała nadawały ogniowi niesamowite niebieskawe zabarwienie.

Niedaleko od siebie Wang dostrzegł kilkanaście słupów ognia w tym samym kolorze. To byli ludzie, którzy przed chwilą wybiegli z piramidy: papież, Galileusz, Arystoteles, Leonardo… otaczające ich płomienie były przezroczyste. Widział, jak ogień powoli deformuje ich twarze i ciała. Skupili wzrok na Wangu i unosząc ręce, zawołali chórem:

– Dzień trzech słońc…

Wang spojrzał w górę i zobaczył trzy gigantyczne słońca powoli kręcące się wokół niewidzialnej osi niczym skrzydła olbrzymiego wiatraka ślącego na znajdujący się pod nim świat zabójczy wiatr. Zajmowały niemal całe niebo i gdy przesunęły się ku zachodowi, połowa całej formacji zniknęła za

horyzontem. Ogromny wiatrak nadal obracał skrzydłami i od czasu do czasu nad horyzont wystrzeliwało świetliste ostrze, obdarzając umierający świat krótkimi wschodami i zachodami słońca. Po jego zachodzie ziemia żarzyła się przyćmioną czerwienią, a chwilę potem kolejny wschód zalewał wszystko oślepiającymi równoległymi promieniami.

Kiedy słońca zupełnie schowały się za horyzontem, grube chmury, które utworzyły się z pary wodnej, nadal odbijały ich blask. Niebo płonęło i było oszałamiająco, piekielnie piękne.

Gdy zniknęło ostatecznie światło, które spowodowało to zniszczenie, i tylko chmury jarzyły się słabą luminescencją piekielnego ognia w dole, pojawiło się kilka linijek tekstu:

> Cywilizację 183 zniszczył dzień trzech słońc. Doszła ona w rozwoju do średniowiecza.
>
> Po długim czasie znowu pojawi się życie i powstanie cywilizacja, która będzie się rozwijać w nieprzewidywalnym świecie *Trzech ciał*.
>
> Ale w tej cywilizacji Kopernik odsłonił prawdziwą budowę Wszechświata. Cywilizacja *Trzech ciał* dokona pierwszego skoku. Gra wchodzi teraz na drugi poziom.
>
> Zapraszamy cię do zalogowania się na drugim poziomie *Trzech ciał*.

16

Problem trzech ciał

Zaledwie Wang się wylogował, zadzwonił telefon. Był to Shi Qiang. Powiedział, że sprawa jest pilna i Wang musi przyjechać do jego biura w wydziale kryminalnym. Wang zerknął na zegarek – była trzecia nad ranem.

Kiedy Wang zjawił się w jego biurze, w którym panował niesamowity bałagan, było tam już gęsto od dymu. Młoda policjantka, która dzieliła pokój z Shi Qiangiem, odganiała notesem dym od twarzy. Shi przedstawił ją jako Xu Bingbing, specjalistkę od komputerów z wydziału bezpieczeństwa informacyjnego.

Wanga zaskoczył widok trzeciej osoby w biurze. Był to Wei Cheng, stroniący od ludzi, tajemniczy mąż Shen Yufei, który wprowadził go w Granice Nauki i grę *Trzy ciała*. Miał włosy w nieładzie. Spojrzał na Wanga, ale wydawało się, że zapomniał, iż już się poznali.

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale wygląda na to, że i tak pan nie spał – odezwał się Shi. – Muszę się zająć czymś, o czym nie poinformowałem jeszcze centrum dowodzenia, i potrzebuję pańskiej rady. – Obrócił się do Wei Chenga. – Niech pan mu to powie.

– Powiedziałem, że moje życie jest zagrożone – rzekł Wei z beznamiętną miną.

– Może zacznie pan od początku?

– Dobrze. Tylko niech pan nie mówi, że jestem gadatliwy. Prawdę mówiąc, ostatnio często myślałem, żeby z kimś porozmawiać… – Wei odwrócił się do Xu Bingbing. – Nie musi pani robić notatek czy czegoś w tym stylu?

– Nie teraz – odparł za nią Shi. – A przedtem nie miał pan nikogo, z kim mógłby pan porozmawiać?

– Nie o to chodzi. Jestem zbyt leniwy, żeby rozmawiać. Zawsze taki byłem.

OPOWIEŚĆ WEI CHENGA

Od dziecka niczym się nie przejmowałem. Kiedy byłem w szkole z internatem, nigdy po sobie nie zmywałem ani nie ścieliłem łóżka. Nigdy się niczym nie ekscytowałem. Byłem zbyt leniwy, by się uczyć, nawet by się bawić. Żyłem z dnia na dzień i mitrężyłem czas, nie mając żadnego wyraźnego celu. Wiedziałem jednak, że mam szczególne zdolności, których inni nie posiadają. Na przykład jeśli ktoś narysował linię prostą, potrafiłem narysować drugą, która przecinała tamtą według złotego podziału, w stosunku 1,618. Koledzy z klasy mówili, że powinienem zostać stolarzem, ale ja uważałem, że jestem na to za bystry, że mam intuicyjne wyczucie liczb i kształtów. Prawdę mówiąc, z matematyki miałem tak samo złe stopnie jak z pozostałych przedmiotów. Byłem zbyt leniwy, by pokazywać wyniki moich obliczeń. Na sprawdzianach podawałem odpowiedzi, które zgadywałem. W osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu procentach były prawidłowe, co dawało mi przeciętne oceny.

W drugiej klasie liceum zwrócił na mnie uwagę nauczyciel matematyki. W tamtych czasach wielu nauczycieli miało imponujące osiągnięcia naukowe, bo byli to nauczyciele akademiccy, którzy zostali zdegradowani podczas rewolucji kulturalnej i wylądowali w szkołach średnich. Mój nauczyciel był jednym z nich.

Któregoś dnia zatrzymał mnie po lekcji. Napisał na tablicy z dziesięć ciągów cyfr i poprosił, bym dla każdego podał wzór sumowania. Niemal natychmiast wypisałem wzory dla kilku z nich. Co do reszty, od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że są rozbieżne.

Nauczyciel wyjął książkę, *Księgę wszystkich dokonań Sherlocka Holmesa*. Otworzył ją na jednym z opowiadań, zdaje mi się, że było to *Studium w szkarłacie*. Jest tam scena, w której doktor Watson widzi na dole prosto odzianego posłańca i wskazuje go Holmesowi. Holmes mówi: „Chodzi ci o tego emerytowanego sierżanta piechoty morskiej?". Watson jest zdumiony i pyta, jak wydedukował historię życia tego człowieka, ale Holmes sam nie potrafi powiedzieć, jak do tego doszedł. Musi przez chwilę pomyśleć, by odtworzyć ciąg dedukcji. Opierały się one na ręce tego mężczyzny, jej ruchach i tak dalej. Mówi Watsonowi, że nie ma w tym nic dziwnego. Innym też trudno by było wyjaśnić, skąd wiedzą, że dwa plus dwa równa się cztery.

Nauczyciel zamknął książkę i powiedział mi: „Ty właśnie taki jesteś. Twoje derywacje są tak szybkie i instynktowne, że nie potrafisz wyjaśnić, skąd wziąłeś odpowiedź". Potem zapytał: „Co czujesz, gdy widzisz łańcuch cyfr?".

„Każda kombinacja cyfr jawi mi się jako trójwymiarowy kształt – odparłem. – Oczywiście nie potrafię opisać kształtów cyfr, ale naprawdę tak je widzę".

„A jeśli widzisz figury geometryczne?" – zapytał.

„Wtedy jest zupełnie odwrotnie. W moim umyśle nie ma żadnych figur geometrycznych. Wszystko zmienia się w liczby. To zupełnie tak, jakbym zbliżył oczy do obrazka w gazecie – wszystko zamienia się w małe kropki”. (Oczywiście dzisiejsze gazety są zupełnie inne).

„Masz naturalny talent do matematyki – powiedział nauczyciel – ale… ale…” Powiedział jeszcze parę razy „ale”, chodząc w tę i z powrotem, jakbym był bardzo trudnym problemem, z którym nie wiedział, jak sobie poradzić. „Ale tacy ludzie jak ty nie cenią swego daru” – rzekł w końcu. Przez chwilę myślał, wydawało się, że się poddał, jednak zapytał: „A może zgłosiłbyś się do regionalnej olimpiady matematycznej? Nie będę udzielał ci korepetycji. Z kimś takim jak ty traciłbym tylko czas. Ale kiedy podasz odpowiedzi, napisz też, jak do nich doszedłeś”.

No więc zgłosiłem się na tę olimpiadę. Od poziomu regionalnego doszedłem do Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej w Budapeszcie, za każdym razem zdobywając pierwsze miejsce. Kiedy wróciłem, przyjęto mnie bez egzaminu na studia matematyczne…

Nie znużyło was jeszcze moje gadanie? To dobrze. Muszę wam to wszystko opowiedzieć, żebyście zrozumieli, co się stało później. Ten nauczyciel z liceum miał rację. Nie rozwijałem swojego talentu. Licencjat, magisterka, doktorat – specjalnie się do tego nie przykładałem, ale mimo to udało mi się to wszystko uzyskać. Kiedy jednak skończyłem studia i wróciłem do świata rzeczywistego, zdałem sobie sprawę, że do niczego się nie nadaję. Nie znałem się na niczym poza matematyką. Zupełnie nie orientowałem się w zawiłościach stosunków międzyludzkich. Im dłużej pracowałem, tym gorzej układała się moja kariera. W końcu zostałem wykładowcą w szkole wyższej, ale i tam nie zagrzałem długo miejsca. Nie traktowałem nauczania poważnie. Pisałem na tablicy: „Łatwe do udowodnienia” i studenci sami musieli się z tym uporać, co zajmowało im

dużo czasu. Kiedy zaczęto się pozbywać najgorszych nauczycieli, wyleciałem z pracy.

Wtedy miałem już wszystkiego po dziurki w nosie. Spakowałem trochę rzeczy i zaszyłem się w świątyni buddyjskiej w górach gdzieś w południowych Chinach.

Och, nie zrobiłem tego, by zostać mnichem. Na to byłem zbyt leniwy. Chciałem tylko znaleźć naprawdę spokojne miejsce i pożyć tam trochę. Tamtejszy opat był starym znajomym mojego ojca, wielkim intelektualistą, ale w podeszłym wieku został mnichem. Z tego, co mówił mi ojciec, reprezentował taki poziom, że było to dla niego właściwie jedyne wyjście. Opat poprosił mnie, żebym został. Powiedziałem mu, że chcę znaleźć jakiś sposób, żeby spokojnie dotrwać do końca życia. Odparł, że wbrew pozorom klasztor wcale nie jest takim spokojnym miejscem. Przybywa tam wielu turystów i pielgrzymów. Ci, którzy naprawdę miłują spokój, mogą go znaleźć w tętniącym życiem mieście. By osiągnąć ten stan, trzeba się pozbyć wszelkich pragnień, oczyścić umysł z wszelkich myśli o świecie. Ja na to, że i tak już nie mam żadnych pragnień. Sława i majątek nic dla mnie nie znaczą. Wielu mnichów w tym klasztorze jest bardziej przywiązanych do wartości tego świata niż ja. Opat potrząsnął głową i powiedział, że pustka nie jest nicością, lecz rodzajem egzystencji, i że trzeba tę egzystencjalną pustkę stworzyć w swoim wnętrzu.

Jego słowa były dla mnie bardzo pouczające. Później, gdy się nad tym trochę zastanowiłem, uświadomiłem sobie, że nie była to bynajmniej filozofia buddyjska, lecz coś bardziej zbliżonego do pewnych współczesnych teorii fizycznych. Opat powiedział też, że nie będzie ze mną dyskutował o buddyzmie. Podał mi taki sam powód jak ów nauczyciel matematyki – byłoby to tylko stratą czasu.

Pierwszej nocy nie mogłem zmrużyć oka w maciupkiej klasztornej celi. Nie zdawałem sobie sprawy, że to schronienie przed światem będzie tak niewygodne. Koc i prześcieradło zawilgły od mgły unoszącej się w górach, a łóżko było twarde. A zatem, żeby zasnąć, starałem się pójść za radą opata i znaleźć „pustkę".

„Pustką", którą stworzyłem najpierw, była nieskończoność kosmosu. Nie było w niej niczego, nawet światła. Jednak wkrótce poczułem, że ten pusty Wszechświat nie napełnia mnie spokojem. Przeciwnie, czułem nieokreślony niepokój, jak tonący, który chce się uczepić czegokolwiek.

Stworzyłem więc dla siebie w tej nieskończonej przestrzeni małą kulę, niezbyt dużą, ale posiadającą pewną masę. Jednak mój stan psychiczny wcale się nie poprawił. Kula unosiła się w środku „pustki" (w nieskończonej przestrzeni środek może być wszędzie). Nic we Wszechświecie nie mogło na nią oddziaływać, a ona też nie mogła oddziaływać na nic. Wisiała tam, nie poruszając się, nie zmieniając, niczym doskonałe wyobrażenie śmierci.

Stworzyłem drugą kulę o masie równej masie pierwszej. Obie miały powierzchnie idealnie odbijające obraz. Odbijały się w sobie nawzajem i każda ukazywała jedyny poza sobą byt we Wszechświecie. Ale nie bardzo poprawiło to moją sytuację. Gdyby te kule nie miały żadnego ruchu początkowego, to znaczy, gdybym ich najpierw nie popchnął, szybko zespoliłyby się, przyciągane swoją grawitacją. Wtedy zostałyby razem i wisiały bez ruchu jak symbol śmierci. Gdyby od początku się poruszały i nie zderzyły, obracałyby się wokół siebie pod wpływem siły wzajemnego przyciągania. Bez względu na to, jakie byłyby warunki początkowe, ich obroty w końcu by się ustabilizowały i stały niezmienne – taniec śmierci.

Wprowadziłem trzecią kulę i ku mojemu zdumieniu sytuacja całkowicie się zmieniła. Jak powiedziałem, w głębi mojego umysłu każda figura

geometryczna przekształca się w liczby. Wszechświat bez żadnej kuli, z jedną i z dwiema kulami jawił mi się jako jedno lub kilka równań, niczym pojedyncze liście późną jesienią. Natomiast trzecia kula dała „pustce” życie. Trzy kule po początkowym wprawieniu w ruch wykonywały złożone obroty, z których żaden się nie powtarzał. Pojawił się niemający końca deszcz opisujących to równań.

I wtedy zasnąłem. W moich snach nadal wirowały te trzy kule w pozbawionym schematu tańcu, w którym nie powtarzał się żaden ruch. Jednak w głębi mojego umysłu ten taniec miał rytm, tyle że dany ruch od jego powtórzenia dzielił nieskończenie długi czas. Zahipnotyzowało mnie to i chciałem opisać ten okres, a przynajmniej jego część.

Następnego dnia nadal myślałem o trzech kulach tańczących w „pustce”. Jeszcze nigdy nic nie pochłonęło mnie tak całkowicie. Doszedłem do punktu, w którym jeden z mnichów zapytał opata, czy nie mam problemów ze zdrowiem psychicznym. Opat roześmiał się i odparł: „Nie martw się. On znalazł pustkę”. Tak, znalazłem pustkę. Teraz mogłem mieć spokój nawet w środku tętniącego życiem miasta. Nawet w gwarnym tłumie moje serce byłoby spokojne. Po raz pierwszy polubiłem matematykę. Czułem się jak libertyn, który zawsze zmieniał kobiety jak rękawiczki i nagle się zakochał.

Problem trzech ciał[1] opiera się na bardzo prostych zasadach fizycznych. To w głównej mierze problem matematyczny.

– Nie słyszał pan o Henrim Poincaré?[2] – przerwał mu Wang Miao.

W tamtym czasie nie. Owszem, wiem, że ktoś, kto studiuje matematykę, powinien znać takiego mistrza jak Poincaré, ale ja nie otaczałem mistrzów czcią i nie chciałem zostać jednym z nich, więc nie słyszałem o nim. Ale nawet gdybym o nim wiedział, i tak kontynuowałbym badanie problemu trzech ciał. Wszyscy myślą, że Poincaré udowodnił, że tego problemu nie da się rozwiązać, ale jestem przekonany, że się mylą. Udowodnił tylko zależność od wrażliwości warunków początkowych oraz to, że tego zagadnienia nie da się rozwiązać za pomocą całek. Wrażliwość nie jest jednak tożsama z nierozstrzygalnością. Znaczy tylko tyle, że rozwiązanie zawiera większą liczbę różnych form. Potrzeba do tego nowego algorytmu.

Wtedy myślałem o jednym – słyszeliście o metodzie Monte Carlo? To komputerowy algorytm często używany do obliczania pola nieregularnych kształtów. Wygląda to tak, że oprogramowanie bombarduje losowo jakąś figurę o znanym polu, taką jak koło, w którym zawiera się dana figura, wieloma małymi piłeczkami, nigdy nie celując dwukrotnie w ten sam punkt. Po rzuceniu dużej liczby piłek stosunek tych, które trafiły w ten nieregularny kształt, do ogólnej liczby trafień w koło da nam pole tego kształtu. Oczywiście im mniejsze są te piłki, tym dokładniejszy otrzymamy wynik.

Chociaż jest to prosta metoda, pokazuje, jak matematycznie losowa brutalna siła może przezwyciężyć precyzyjną logikę. To podejście numeryczne, w którym na podstawie ilości określa się jakość. Taką przyjąłem strategię, by rozwiązać problem trzech ciał. Badam ten system chwila po chwili. W każdym momencie wektory ruchu kuli mogą tworzyć nieskończoną ilość kombinacji. Każdą z tych kombinacji traktuję jak formę życia. Kluczem jest ustalenie pewnych reguł – które kombinacje są „zdrowe” i „dobroczynne”, a które „szkodliwe”. Te pierwsze zyskują przewagę zapewniającą przeżycie, te drugie popadają w niełaskę.

Obliczanie postępuje w drodze eliminowania pokrzywdzonych i zachowywania uprzywilejowanych. Kombinacja, która ostatecznie przetrwa, jest prawidłową prognozą następnej konfiguracji systemu, następnego momentu.

– Algorytm ewolucyjny – rzekł Wang.

– Dobrze, że pana zaprosiłem. – Shi Qiang kiwnął głową do Wanga.

– Tak. Dopiero dużo później poznałem ten termin. Cechą wyróżniającą tego algorytmu jest to, że wymaga ogromnej mocy obliczeniowej. Dla rozwiązania problemu trzech ciał komputery, które teraz mamy, są za słabe. A wtedy, w klasztorze, nie miałem nawet kalkulatora. Musiałem pójść do księgowości i wziąć pustą księgę rachunkową i ołówek. Zacząłem tworzyć ten model matematyczny na papierze. Kosztowało mnie to wiele pracy i w krótkim czasie zapisałem ponad dziesięć ksiąg. Mnisi, którzy prowadzili księgowość, byli na mnie źli, ale ponieważ opat wyraził takie życzenie, znaleźli dla mnie więcej papieru i pióro. Skończone obliczenia chowałem pod poduszkę, a brudnopisy wrzucałem do kadzielnicy na dziedzińcu.

Pewnego wieczoru do mojego pokoju wtargnęła nagle jakaś kobieta. Ściskała w ręku kilka kawałków papieru o nadpalonych brzegach, te kartki brudnopisu, które wyrzucałem.

„Powiedzieli mi, że to pańskie. Zajmuje się pan problemem trzech ciał?”

Jej oczy za szerokimi okularami zdawały się płonąć. Zaskoczyła mnie. Matematyka, którą się posługiwałem, była niekonwencjonalna, a w równaniach były duże przeskoki. Fakt, że na podstawie paru skrawków

notatek zdołała się zorientować, co jest przedmiotem moich studiów, wskazywał, że ma niezwykły talent do matematyki. Byłem też pewien, że – podobnie jak mnie – pochłania ją problem trzech ciał.

Nie miałem dobrego zdania o turystach i pielgrzymach. Turyści nie mieli pojęcia, co oglądają, tylko biegali i robili zdjęcia. Co do pielgrzymów, wyglądali na dużo biedniejszych od turystów i wszyscy wydawali się pogrążeni w odrętwieniu i ograniczeni umysłowo. Ta kobieta była inna. Wyglądała na pracowniczkę naukową. Później odkryłem, że przyjechała z grupą japońskich turystów.

Nie czekając na odpowiedź, dodała: „Pana podejście jest świetne. Szukamy takiej metody jak ta, dzięki której problem trzech ciał stałby się kwestią intensywnych obliczeń komputerowych”.

Powiedziałem jej prawdę: „Nawet gdybyśmy mogli skorzystać ze wszystkich komputerów na świecie, na niewiele by się to zdało”.

„Ale musi pan mieć odpowiednie warunki do badań, a tu takich nie ma. Mogę dać panu możliwość skorzystania z superkomputera. Wyjedźmy jutro rano”.

To była Shen Yufei. Tak jak teraz, mówiła zwięźle i autorytatywnie, ale wtedy była bardziej atrakcyjna. Naturalnie jestem osobą oziębłą. Kobiety interesowały mnie mniej niż mnichów. Ale była inna. Pociągała mnie, chociaż nie było w niej ani odrobiny kobiecości. Poza tym i tak nie miałem nic do roboty, więc od razu się zgodziłem.

W nocy nie mogłem zasnąć. Owinąłem się prześcieradłem i wyszedłem na dziedziniec. Dostrzegłem Shen w skąpo oświetlonej świątyni. Klęczała przed posągiem Buddy z zapalonymi kadzidełkami, a jej ruchy zdawały się pełne pobożności. Podszedłem bezszelestnie i kiedy stanąłem w drzwiach świątyni, usłyszałem, jak szepcze słowa modlitwy: „Buddo, pomóż, proszę, memu Panu wyrwać się z morza niedoli”.

Pomyślałem, że musiałem źle usłyszeć, ale powtórzyła tę modlitwę:

„Buddo, pomóż, proszę, memu Panu wyrwać się z morza niedoli”.

Nie rozumiałem religii i żadną się nie interesowałem, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić dziwaczniejszej modlitwy.

„Co pani mówi?” – wyrwało mi się.

Zignorowała mnie. Miała lekko przymknięte oczy i złożone dłonie, jakby przyglądała się, jak jej modły unoszą się z dymem kadzidełka do Buddy. Po długiej chwili otworzyła oczy i odwróciła się do mnie.

„Niech pan idzie spać. Musimy wstać wcześnie”.

Nawet na mnie nie spojrzała.

„Ten «Pan», o którym pani wspomniała, to część buddyzmu?” – zapytałem.

„Nie”.

„Wobec tego…”

Nic nie powiedziała i szybko odeszła. Nie miałem szansy, żeby jeszcze o cokolwiek zapytać. Powtarzałem sobie w kółko tę modlitwę i wydawała mi się coraz dziwniejsza. W końcu zacząłem się bać. Popędziłem do pokoju opata i zapukałem do drzwi.

„Co to znaczy, jeśli ktoś modli się do Buddy, by pomógł innemu Panu?” – zapytałem, a potem szczegółowo opisałem to, czego byłem świadkiem.

Opat patrzył w milczeniu na książkę w swoim ręku, ale nie czytał, lecz zastanawiał się nad tym, co mu opowiedziałem. Po chwili rzekł: „Zostaw mnie, proszę, na trochę samego. Pozwól mi pomyśleć”.

Odwróciłem się i wyszedłem, wiedząc, że to niezwykłe. Opat był bardzo uczony. Zazwyczaj bez namysłu odpowiadał na każde pytanie o religię, historię i kulturę. Zaczekałem na zewnątrz mniej więcej tyle, ile zajmuje wypalenie papierosa, po czym opat mnie zawołał.

„Sądzę, że jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie” – rzekł z ponurą miną.

„Jakie? Co to może być? Czy istnieje jakaś religia, której bóg potrzebuje, by jego wyznawcy modlili się do innych bogów z prośbą o wybawienie go z niedoli?”

„Jej Pan istnieje naprawdę”.

Ta odpowiedź zdezorientowała mnie.

„A zatem… Budda nie istnieje?”

Zaledwie to powiedziałem, uświadomiłem sobie, jak niegrzecznie to zabrzmiało. Przeprosiłem za swoje słowa.

Opat powoli machnął ręką.

„Mówiłem ci już, że nie będę rozmawiał z tobą o buddyzmie. Istnienie Buddy jest szczególnym istnieniem, którego nie jesteś w stanie pojąć. Natomiast Pan, o którym mówiła ta kobieta, jest istnieniem, które potrafisz zrozumieć – nie mogę powiedzieć nic więcej na ten temat. Mogę ci tylko radzić, byś z nią nie wyjeżdżał”.

„Dlaczego?”

„To tylko przeczucie. Czuję, że kryje się za nią coś, czego ani ty, ani ja nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić”.

Wyszedłem od opata i przez świątynię wróciłem do siebie. Tej nocy była pełnia. Spojrzałem na księżyc i odniosłem wrażenie, że jest dziwnym, srebrnym okiem, które przygląda mi się z góry. Jego światło przepełnione było upiornym chłodem.

Następnego dnia wyjechałem jednak z Shen – w końcu nie mogłem zostać w klasztorze przez resztę życia. Nie sądziłem wtedy, że przez następnych kilka lat będę żył tak, jak mógłbym sobie wymarzyć. Shen dotrzymała obietnicy. Miałem minikomputer i komfortowe warunki do pracy. Kilka razy wyjechałem nawet z kraju, by skorzystać z superkomputerów – nie dzieliłem czasu z innymi, lecz miałem centralną

jednostkę obliczeniową wyłącznie dla siebie. Shen dysponowała mnóstwem pieniędzy i nie wiem, skąd je dostawała.

Później się pobraliśmy. Nie tyle z miłości czy namiętności, ile dla wygody. Pewne rzeczy oboje chcieliśmy zrobić. Jeśli chodzi o mnie, to tych kilka lat, które minęły od tamtej pory, można by opisać jako jeden dzień. Czas upływał mi spokojnie. Zajęto się mną, nie musiałem się martwić o jedzenie ani o ubranie i mogłem się całkowicie poświęcić zagadnieniu trzech ciał. Shen nigdy nie wtrącała się w moje sprawy. W garażu stał samochód do mojej dyspozycji. Jestem pewien, że nawet gdybym sprowadził do domu inną kobietę, nie miałaby nic przeciwko temu. Interesowały ją tylko moje badania i jedyną rzeczą, o której prawie codziennie rozmawialiśmy, był problem trzech ciał. Stale chciała wiedzieć, jakie robię postępy.

– Wie pan, czym jeszcze się zajmowała? – zapytał Shi Qiang.

– Tylko Granicami Nauki. Cały czas była tym zajęta. Każdego dnia pojawiało się u nas wielu ludzi.

– Nie prosiła pana, żeby się pan do nich przyłączył?

– Nie. Nawet nigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Zresztą nie obchodzi mnie to. Taki już jestem. Nie chcę się w nic angażować. Shen wie o tym i mówi, że jestem leniem i nie mam celu w życiu. Ta organizacja mi nie odpowiada i przeszkadzałaby mi tylko w badaniach.

– Zrobił pan jakiś postęp w dążeniu do rozwiązania problemu trzech ciał? – zapytał Wang.

Można powiedzieć, że na ogólnym tle badań tego problemu to, czego dokonałem, jest przełomem. Kilka lat temu Richard Montgomery z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz i Alain Chenciner z VII Uniwersytetu Paryskiego imienia Denisa Diderota znaleźli inne stabilne, okresowe rozwiązanie problemu trzech ciał, wykorzystując metodę przybliżeń[3]. Przy odpowiednich warunkach początkowych trzy ciała gonią się nawzajem po ustalonej krzywej w kształcie cyfry osiem. Potem wszyscy chcieli znaleźć takie szczególne stabilne konfiguracje i każde odkrycie było witane z radością. Na razie znaleziono trzy czy cztery.

Natomiast mój algorytm ewolucyjny odkrył ponad sto takich konfiguracji. Rysunki ich orbit wypełniłyby całą galerię sztuki postmodernistycznej. Prawdziwym rozwiązaniem problemu trzech ciał jest zbudowanie matematycznego modelu, który na podstawie każdej danej konfiguracji początkowej o znanych wektorach mógłby pozwolić przewidzieć wszystkie następne ruchy w układzie trzech ciał. Tego pragnie też Shen Yufei.

Ale moje spokojne życie wczoraj się skończyło.

– To o tym przestępstwie pan powiadamia? – zapytał Shi Qiang.

– Tak. Wczoraj zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna i powiedział, że jeśli nie zaprzestanę badań, zostanę zabity.

– Kto to był?

– Nie wiem.

– Numer telefonu?

– Nie wiem. Wyświetlacz nie pokazał żadnego numeru.

– Ma z tym związek coś innego?

– Nie wiem.

Shi roześmiał się i odrzucił niedopałek.

– Gadał pan i gadał, a w końcu składa pan jednowierszowe zawiadomienie i mówi pan kilka razy „nie wiem”.

– Gdyby nie ta moja gadanina, zrozumiałby pan znaczenie tego telefonu? Poza tym, gdyby to było wszystko, nie przyjechałbym tutaj. Jestem leniem, pamięta pan? Było to w środku nocy – nie wiem, dzisiaj czy wczoraj – i leżałem w łóżku. Byłem w połowie drogi między snem i jawą, gdy poczułem, że po twarzy przesuwa mi się coś zimnego. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Shen Yufei. O mało nie umarłem ze strachu.

– A co jest takiego przerażającego w widoku własnej żony w środku nocy?

– Patrzyła na mnie w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Na jej twarz padało światło z zewnątrz i wyglądała jak duch. Miała coś w dłoni – pistolet! Przesuwając lufą po mojej twarzy, powiedziała mi, że muszę kontynuować pracę nad problemem trzech ciał, bo inaczej mnie zabije.

– O, teraz robi się ciekawie. – Shi kiwnął z zadowoleniem głową i zapalił następnego papierosa.

– Ciekawie? Słuchaj pan, nie mam dokąd iść. Dlatego przyszedłem do was.

– Niech pan powie nam dokładnie, co panu powiedziała.

– Powiedziała: „Jeśli uda ci się rozwiązać problem trzech ciał, będziesz zbawcą świata. Jeśli zaprzestaniesz pracy nad tym, będziesz grzesznikiem. Jeśli ktoś ocali albo zniszczy ludzkość, twoja zasługa lub grzech będą dwa razy większe niż jego”.

Shi wydmuchnął kłąb dymu i patrzył tak długo na Wei Chenga, że ten zaczął się wiercić. Wyjął notes z graciarni na biurku i wziął pióro.

– Chciał pan, żebyśmy robili notatki, prawda? Niech pan powtórzy to, co pan przed chwilą powiedział.

Wei zrobił to.

– To, co powiedziała, było rzeczywiście dziwne. Co miała na myśli, mówiąc, że pana zasługa lub grzech będą dwa razy większe?

Wei zamrugał.

– Wydaje się, że to naprawdę poważna sprawa. Kiedy tu przyjechałem, oficer dyżurny natychmiast odesłał mnie do pana. Wygląda na to, że pan już wcześniej zainteresował się Shen i mną.

Shi kiwnął głową.

– Pozwoli pan, że zapytam jeszcze o coś. Pana zdaniem ten pistolet, który trzymała pańska żona, był prawdziwy?

Zobaczył, że Wei nie wie, co odpowiedzieć.

– Czuł pan zapach oleju do czyszczenia broni?

– Tak, zdecydowanie tak.

– Dobrze. – Shi zeskoczył z biurka, na którym siedział. – W końcu mamy jakiś punkt zaczepienia. Podejrzenie o nielegalne posiadanie broni jest wystarczającym powodem do wydania nakazu rewizji. Papierkową robotę zostawię na jutro, bo musimy natychmiast przejść do działania.

Obrócił się do Wanga.

– Nie ma chwili dla nabrania oddechu. Muszę pana poprosić, żeby pojechał pan ze mną w charakterze doradcy.

Potem rzekł do Xu Bingbing, która do tej pory nie odezwała się ani słowem:

– Bingbing, mam teraz tylko dwóch ludzi na służbie, a to za mało. Wiem, że wy z wydziału bezpieczeństwa informacyjnego nie jesteście przyzwyczajeni do pracy w terenie, ale musisz ze mną jechać.

Xu kiwnęła głową, szczęśliwa, że może wyjść z zadymionego pokoju.

Oprócz Shi i Xu zespół do przeprowadzenia rewizji składał się z Wang Miao, Wei Chenga i dwóch policjantów z wydziału kryminalnego. W ciemnościach przed świtem pojechali dwoma radiowozami na osiedle na skraju miasta, na którym mieszkał Wei.

Xu i Wang siedzieli z tyłu. Gdy tylko samochód ruszył, szepnęła do Wanga:

– Profesorze Wang, cieszy się pan wielkim uznaniem w *Trzech ciałach*.

„Ktoś wspomniał o *Trzech ciałach* w rzeczywistym świecie!”

Wang był podekscytowany, poczuł, że kobieta w policyjnym mundurze jest mu bliska.

– Gra pani w to?

– Mam nieprzyjemne zadanie monitorowania przebiegu tej gry.

– Może mi pani powiedzieć, kto się za nią kryje? Naprawdę chcę wiedzieć.

W słabym świetle wpadającym przez szybę samochodu Wang zobaczył tajemniczy uśmiech Xu.

– My też. Ale wszystkie serwery tej gry są poza granicami naszego kraju. System i jego zapory są bardzo mocne, trudne do sforsowania. Niewiele wiemy, ale mamy pewność, że nie jest to działalność prowadzona dla zysku. Oprogramowanie jest niezwykle wysokiej jakości, a jeszcze bardziej niezwykła jest ilość zawartych w nim informacji. To nawet nie wygląda na grę.

– Są tam jakieś… – Wang szukał odpowiedniego słowa – oznaki działania sił nadprzyrodzonych?

Noc była dla Wanga jednym ciągiem niezwykłych zbiegów okoliczności: wezwano go, by przedyskutował z Wei Chengiem problem trzech ciał tuż po tym, gdy znalazł rozwiązanie *Trzech ciał*, a teraz Xu właśnie mu powiedziała, że śledzi postępy tej gry.

– Nie sądzimy. Bierze w niej udział wiele osób z całego świata, a ich metoda współdziałania wydaje się podobna do tej używanej przez system operacyjny Linux, który kilka lat temu stał się popularny. Za to na pewno posługują się jakimiś bardzo zaawansowanymi technicznie narzędziami. Co do treści tej gry – kto wie, do czego zmierzają jej twórcy? To faktycznie wydaje się jakby trochę… nadprzyrodzone, jak pan powiedział. Wciąż jednak wyznajemy słynną zasadę kapitana Shi: to wszystko musi być robotą ludzi. Nasze śledztwo zaczyna przynosić wyniki. Wkrótce je poznamy.

Młoda kobieta nie była wytrawną kłamczynią i jej ostatnia uwaga uświadomiła Wangowi, że dużo przed nim ukrywa.

Spojrzał na Shi na fotelu kierowcy przed sobą. „Jego zasada jest teraz słynna?”

Kiedy dojechali do domu Weia, jeszcze nie wzeszło słońce. Paliło się światło w jednym oknie na piętrze, pozostałe okna były ciemne.

Gdy tylko Wang wysiadł z samochodu, usłyszał dobiegające z góry hałasy. Shi, który właśnie też się wygramolił, natychmiast stał się czujny i gotowy do akcji. Wyważył kopniakiem furtkę i wbiegł do domu z zadziwiającą przy jego krzepkiej budowie szybkością, zostawiając w tyle trójkę kolegów.

Za nimi wpadli Wang i Wei. Z salonu skierowali się na górę i weszli do pokoju, w którym paliło się światło. Wdepnęli w kałużę krwi. Była to mniej więcej ta sama pora nocy, w której Wang widział Shen grającą w *Trzy ciała*. Teraz leżała pośrodku pokoju, a z dwóch dziur po kulach w jej piersi nadal sączyła się krew. Trzeci pocisk przeszył jej lewą brew, wskutek czego całą jej twarz pokrywała czerwień. Niedaleko od niej w szkarłatnej kałuży leżał pistolet.

Kiedy wszedł Wang, Shi i jeden z policjantów skoczyli do ciemnego pokoju po drugiej stronie korytarza. Okno było tam otwarte i Wang usłyszał

odgłos uruchamianego silnika. Policjant zaczął mówić przez telefon. Xu stała nieco z boku i pilnie się przysłuchiwała. Podobnie jak Wang i pozostali, pewnie nigdy wcześniej nie była świadkiem takiej sceny.

Po chwili Shi wrócił. Schował pistolet do kabury i rzekł do policjanta trzymającego telefon:

– Czarny volkswagen santana z jedną tylko osobą w środku. Nie udało mi się odczytać tablicy rejestracyjnej. Niech zablokują wszystkie wjazdy na piątą obwodnicę. Cholera. Może uda mu się uciec. – Rozejrzał się i zobaczył w ścianie dziury po kulach. Popatrzył na łuski rozsypane na podłodze i dodał: – Ten facet oddał pięć strzałów, z czego trzy celne. Ona strzeliła dwa razy i chybiła.

Potem przykucnął i z drugim policjantem zbadał ciało. Stojąca trochę dalej Xu zerknęła na Wei Chenga obok niej. Również Shi spojrzał na niego.

Na twarzy Weia malowały się lekki szok i smutek, ale poza tym jego mina pozostała niewzruszona. Zachował dużo większy spokój niż Wang.

– Wydaje się, że niezbyt to pana poruszyło – rzekł do niego Shi. – Pewnie przyjechali zabić pana.

Wei uśmiechnął się ponuro.

– A co ja mogę zrobić? Nadal nic o niej nie wiem. Wielokrotnie jej mówiłem, żebyśmy prowadzili proste życie. Ale… ech. Myślę o radzie, którą tamtej nocy dał mi opat.

Shi wstał, podszedł do Weia i stanął przed nim. Wyjął papierosa i zapalił.

– Myślę, że o paru sprawach pan nam jeszcze nie powiedział.

– Bo mi się nie chciało.

– No to lepiej niech pan się postara zrobić to teraz!

– Dzisiaj, nie, wczoraj po południu, kłóciła się z kimś w salonie – rzekł Wei po chwili zastanowienia. – To był Pan Han, ten słynny ekolog. Kłócili się już parę razy wcześniej, po japońsku, jakby się bali, żebym ich nie

podsłuchał. Ale wczoraj nie zwracali już na to uwagi i cała sprzeczka przebiegła po chińsku. Usłyszałem jej kilka strzępów.

– Niech pan postara się opowiedzieć nam dokładnie, co pan usłyszał.

– Dobrze. Pan Han powiedział: „Chociaż wydaje się, że jesteśmy towarzyszami podróży, w rzeczywistości jesteśmy nieprzejednanymi wrogami”. Shen odparła: „Tak, starasz się wykorzystać potęgę Pana przeciw ludzkości”. Na to tamten: „Twój sposób rozumowania nie jest całkowicie nierozsądny. Chcemy, by Pan przybył na ten świat i ukarał tych, którzy od dawna na to zasługują. Ty jednak podejmujesz działania, które mają zapobiec przybyciu Pana, i dlatego nie możemy cię już dłużej tolerować. Jeśli sama nie przestaniesz, my to na tobie wymusimy!”. Wtedy Shen powiedziała: „Komendantka musiała być ślepa, że pozwoliła ci wejść do organizacji!”. „Skoro mowa o komendantce – zaripostował Pan Han – to wiesz, po której jest stronie? Adwentystów czy redempcjonistów?” Słowa Pan Hana uciszyły na chwilę Shen. Potem już nie spierali się tak głośno i nic więcej nie usłyszałem.

– A jak brzmiał głos tego mężczyzny, który groził panu przez telefon?

– Chce pan wiedzieć, czy to był głos Pan Hana? Nie wiem. Mówił bardzo cicho.

Podjechało jeszcze kilka radiowozów na sygnale. Na górę weszli z aparatami fotograficznymi policjanci w białych rękawiczkach i w całym domu zaczęła się krzątanina. Shi powiedział Wangowi, żeby pojechał odpocząć, ale ten poszedł do pokoju z minikomputerem, żeby odnaleźć Weia.

– Może mi pan podać zarys pańskiego algorytmu ewolucyjnego? Chcę go przedstawić… paru ludziom. Zdaję sobie sprawę, że to nagła i niezwykła prośba. Jeśli pan nie może, trudno.

Wang wyjął płytę kompaktową i dał ją Wangowi.

– Tu jest wszystko – cały model i dodatkowa dokumentacja. Niech pan wyświadczy mi przysługę i opublikuje to pod swoim nazwiskiem. To by mi bardzo pomogło.

– Nie, nie! Jak mógłbym to zrobić?

Wei wskazał płytę w dłoni Wanga i powiedział:

– Profesorze Wang, zauważyłem pana, kiedy przyjechał tu pan po raz pierwszy. Jest pan dobrym człowiekiem, ma pan poczucie odpowiedzialności. Dlatego radzę panu, żeby trzymał się pan od tego z daleka. Świat się zmieni. Wszyscy powinni starać się przeżyć resztę życia w spokoju. Tak byłoby najlepiej. Niech pan się za bardzo nie przejmuje innymi sprawami. I tak na nic się to nie zda.

– Wydaje się, że wie pan więcej.

– Spędzałem z nią każdy dzień. Nie mogłem nie nabrać podejrzeń.

– To dlaczego nie powie pan o tym policji?

Wei uśmiechnął się pogardliwie.

– Policja nie jest nic warta. Nawet gdyby był tu Bóg, nic by nie zdziałał. Ludzkość doszła do punktu, w którym nikt nie słucha jej modłów. – Wei stał obok wychodzącego na wschód okna. Za szybą, za odległym zarysem miasta, niebo zaczynało się rozjaśniać pierwszym brzaskiem. Z jakiegoś powodu światło to przypominało Wangowi dziwny świt, który widział za każdym razem, gdy logował się do *Trzech ciał*. – Prawdę mówiąc, nie jestem wcale tak oderwany od rzeczywistości. Przez ostatnich kilka nocy nie mogłem zmrużyć oka. Każdego ranka, kiedy widzę wschód słońca, mam wrażenie, że jest to zachód. – Obrócił się do Wanga i po długiej przerwie dodał: – Jest tak dlatego, że nasz Bóg, czy Pan, o którym mówiła, nie potrafi już obronić sam siebie.

1 Ruch trzech ciał pod wpływem ich wzajemnego przyciągania jest tradycyjnym zagadnieniem mechaniki klasycznej, które powstaje w sposób naturalny na gruncie mechaniki nieba. Od XVI wieku pracowało nad nim wielu uczonych. Euler, Lagrange i bardziej współcześni badacze wspomagani przez komputery znaleźli rozwiązania jedynie dla szczególnych przypadków tego zagadnienia. Karl F. Sundman udowodnił istnienie ogólnego rozwiązania problemu trzech ciał w postaci szeregów nieskończonych, ale zbiegają się one tak wolno, że są praktycznie bezużyteczne [przyp. autora i tłumacza].

2 Poincaré wykazał, że w zagadnieniu trzech ciał pojawia się silna wrażliwość na zaburzenie warunków początkowych, co dzisiaj uznajemy za oznakę ruchu chaotycznego.

3 W sprawie szczegółów, zob. Alain Chenciner i Richard Montgomery, *A remarkable periodic solution of the three-body problem in the case of equal masses*, „Annals of Mathematics”, 152 (2000), s. 881–901.

17

Trzy ciała: Newton, von Neumann, pierwszy cesarz i syzygia trzech słońc

Początek drugiego poziomu *Trzech ciał* niewiele różnił się od pierwszego: ten sam dziwny, zimny świt, ta sama ogromna piramida. Jednak tym razem była ponownie w stylu egipskim.

Wang usłyszał brzęk metalu uderzającego o metal. Ten dźwięk spotęgował tylko ciszę chłodnego brzasku. Szukając jego źródła, dostrzegł dwa cienie poruszające się u stóp piramidy. W półmroku migały między nimi metaliczne błyski – była to walka na miecze.

Gdy przystosował się do tego jego wzrok, Wang zobaczył wyraźniej postaci szermierzy. Sądząc po kształcie piramidy, powinno to być jakieś miejsce w zaprogramowanej w *Trzech ciałach* wersji Wschodu, ale pojedynkujący się mieli europejskie ubiory w stylu z szesnastego czy siedemnastego wieku. Niższy z nich zrobił unik przed cięciem i na ziemię spadła jego srebrzysta peruka. Po kilku paradach i zastawach obok rogu

piramidy pojawił się jeszcze jeden człowiek, który podbiegł do walczących. Starał się ich powstrzymać, ale świszczące w powietrzu brzeszczoty nie pozwoliły mu się do nich zbliżyć.

– Przestańcie! – krzyknął. – Nie macie nic lepszego do roboty? Gdzie wasze poczucie odpowiedzialności? Jeśli cywilizacja nie ma przyszłości, to cóż warta jest ta wątpliwa sława, o którą walczycie?

Pojedynkujący się zignorowali go, całkowicie skupieni na walce. Wyższy wydał nagle okrzyk bólu, a jego miecz upadł z brzękiem na ziemię. Odwrócił się i odbiegł, ściskając się za zranioną rękę. Drugi pogonił za nim kilka kroków i splunął w kierunku pokonanego.

– Bezwstydnik! – Schylił się i podniósł perukę. Gdy się wyprostował, spostrzegł Wanga. Wskazując na uciekiniera, powiedział: – Ośmielił się twierdzić, że wynalazł rachunek różniczkowy! – Włożył perukę, położył dłoń na sercu i złożył Wangowi dworny ukłon. – Isaac Newton, do usług.

– Wobec tego tym, który uciekł, pewnie był Leibniz? – zapytał Wang.

– Zaiste człowiek bez skrupułów. W gruncie rzeczy nie dbam o te jego pretensje do sławy. Wynalezienie trzech praw mechaniki uczyniło mnie największym po Bogu. Te trzy wielkie prawa rządzą wszystkim – od ruchu planet po podział komórki. A teraz, kiedy mamy tak potężne narzędzie matematyczne, jakim jest rachunek różniczkowy, z czasem rozszyfrujemy schemat ruchu trzech słońc.

– To nie takie proste – powiedział mężczyzna, który wcześniej starał się powstrzymać walczących. – Wziął pan pod uwagę potrzebną do tego liczbę obliczeń? Widziałem sporządzoną przez pana listę równań różniczkowych i nie sądzę, że możliwe jest rozwiązanie analityczne, jedynie numeryczne. Jednak wymaga to tyle obliczeń, że gdyby nawet wszyscy żyjący matematycy pracowali bez przerwy, nie ukończyliby tego do końca świata. Oczywiście jeśli nie odkryjemy szybko schematu ruchów słońc, koniec

świata nie będzie odległy. – Ukłonił się Wangowi w bardziej współczesny sposób. – Von Neumann.

– Czy nie sprowadziłeś nas kilka tysięcy kilometrów na Wschód tylko po to, by rozwiązać problem obliczenia tych równań? – zapytał Newton. Potem zwrócił się do Wanga: – Wybrali się tu też z nami Norbert Wiener i ten degenerat, który właśnie uciekł. Koło Madagaskaru natknęliśmy się na piratów. Wiener sam z nimi walczył, by reszta z nas mogła się uratować, i zginął bohaterską śmiercią.

– Dlaczego musieliście przybyć na Wschód, by zbudować komputer? – zapytał Wang von Neumanna.

Tamten i Newton spojrzeli na siebie nawzajem ze zdumieniem.

– Komputer? Liczącą maszynę! Istnieje coś takiego?

– Nie znacie komputerów? No to jaki mieliście pomysł na wykonanie takiej ogromnej liczby obliczeń?

Von Neumann gapił się na Wanga szeroko otwartymi oczami, jakby jego pytanie było bezsensowne.

– Oczywiście dzięki pracy ludzi. Kto oprócz ludzi potrafi liczyć?

– Ale przecież powiedział pan przed chwilą, że nie starczyłoby do tego wszystkich żyjących matematyków.

– Zamiast matematyków zatrudnimy zwykłych robotników. Ale potrzebujemy wielu, co najmniej trzydziestu milionów. Będziemy wykonywali zadania matematyczne, używając taktyki ludzkiej fali.

– Zwykłych robotników? Trzydziestu milionów? – Wang był zaskoczony. – Jeśli dobrze pamiętam, w tej epoce dziewięćdziesiąt procent ludności to analfabeci. A wy chcecie znaleźć trzydzieści milionów osób, które znają się na rachunkach?

– Słyszał pan anegdotę o armii syczuańskiej? – Von Neumann wyjął grube cygaro, odgryzł koniec i zapalił je. – Niektórych żołnierzy uczono

musztry, ale ponieważ byli niewykształceni, nie potrafili wykonywać nawet prostych rozkazów typu „w lewo zwrot, w prawo zwrot”. Dowódca musztry wpadł na pomysł: kazał każdemu żołnierzowi włożyć na prawą nogę słomiany but, a na lewą szmaciany. Gdy maszerowali, krzyczał (z syczuańskim akcentem): słoma–szmata–słoma–szmata… Takich żołnierzy potrzebujemy. Tyle że aż trzydzieści milionów.

Usłyszawszy ten współczesny dowcip, Wang wiedział, że stojący przed nim mężczyzna nie jest programem, ale człowiekiem z krwi i kości i prawie na pewno Chińczykiem.

– Trudno sobie wyobrazić taką armię – powiedział, kręcąc głową.

– Dlatego przybyliśmy tu spotkać się z Qin Shihuangiem, pierwszym cesarzem. – Newton wskazał piramidę.

– On nadal rządzi? – Wang rozejrzał się wokół. Zobaczył, że żołnierze strzegący wejścia do piramidy mieli proste skórzane zbroje i halabardy ji w stylu dynastii Qin. Anachroniczna mieszanina elementów w *Trzech ciałach* przestała go już dziwić.

– Obejmie władzę nad całym światem, bo ma ponad trzydziestomilionową armię przygotowującą się do podbicia Europy. No dobrze, chodźmy się z nim zobaczyć. – Von Neumann zwrócił się do Newtona: – Opuść miecz.

Newton go posłuchał.

Cała trójka weszła do piramidy, ale kiedy mieli wyłonić się z tunelu w Wielkiej Sali, zatrzymał ich strażnik i kazał im się rozebrać.

– Jesteśmy słynnymi uczonymi – sprzeciwił się Newton. – Nikt o takiej pozycji jak nasza nie wniósłby ukrytej broni!

Żadna ze stron sporu nie chciała ustąpić, ale kiedy impas się przedłużał, z sali dobiegł głęboki męski głos:

– Czy to ten cudzoziemiec, który odkrył trzy prawa ruchu? Wpuśćcie go i jego towarzyszy.

Wkroczyli do sali. Pierwszy cesarz chodził w tę i z powrotem, zamiatając skrajem długiej szaty i końcem swego słynnego długiego miecza podłogę. Gdy się odwrócił, by spojrzeć na trzech uczonych, Wang zdał sobie sprawę, że ma takie same oczy jak król Zhou z dynastii Shang i papież Grzegorz.

– Znam cel waszej wizyty – powiedział cesarz. – Jesteście Europejczykami, dlaczego więc nie udacie się do cezara? Jego imperium jest rozległe i na pewno znajdzie dla was trzydzieści milionów ludzi.

– Ale czy wiesz, czcigodny cesarzu, jaką ma armię? Wiesz, w jakim stanie jest jego imperium? Nawet rzeka, która przepływa przez wspaniałe wieczne miasto Rzym, jest bardzo zanieczyszczona. Znasz tego przyczynę?

– Przemysłowa produkcja broni?

– Nie, wielki cesarzu, to z powodu wymiocin po ucztach, na których panują obżarstwo i opilstwo. Na przybywających na nie patrycjuszy czekają pod stołami nosze. Kiedy tak się najedzą, że nie mogą już się ruszać, służba odnosi ich do domu. Całe imperium pogrążyło się w bagnie ekstrawagancji, z której nie jest w stanie się wydobyć. Nawet gdyby cezar zdołał zgromadzić trzydziestomilionową armię, nie miałaby siły ani umiejętności, by przeprowadzić tak wielkie obliczenia.

– Zdaję sobie z tego sprawę – rzekł Qin Shihuang. – Ale cezar budzi się i wzmacnia swoją armię. Mądrość ludzi Zachodu jest przerażająca. Nie jesteście bardziej inteligentni niż ludzie Wschodu, ale widzicie właściwą drogę. Na przykład on – wskazał von Neumanna – potrafił dojść do wniosku, że istnieją trzy słońca, a ty odkryłeś swoje trzy prawa. To naprawdę bardzo imponujące osiągnięcia. My nie jesteśmy na razie w stanie wam dorównać. Nie zdołam podbić Europy. Moje statki nie są

wystarczająco dobre, a wyprawa lądowa wymagałaby zbyt długich linii zaopatrzenia, których nie dałoby się utrzymać.

– Właśnie dlatego, wielki cesarzu, twoje imperium musi się nadal rozwijać! – powiedział von Neumann, korzystając z szansy. – Jeśli poznasz schemat ruchu trzech słońc, będziesz mógł maksymalnie wykorzystać każdą erę stabilności i uniknąć zniszczeń, do których dochodzi w erach chaosu. Dzięki temu w twoim państwie postęp będzie dużo szybszy niż w Europie. Uwierz nam, wszak jesteśmy uczonymi. Dopóki będziemy mogli na podstawie trzech praw ruchu i obliczeń przewidywać ruchy słońc, nie obchodzi nas, kto dokona podboju świata.

– Oczywiście muszę przewidywać ruchy słońc, ale jeśli chcecie, bym zebrał trzydziestomilionową armię, musicie mi pokazać, jak można przeprowadzać takie obliczenia.

– Wasza cesarska mość, proszę mi dać trzech żołnierzy, a chętnie to zademonstruję – zapalił się von Neumann.

– Trzech? Tylko trzech? Z łatwością mogę dać panu trzy tysiące. – Qin Shihuang spojrzał na niego nieufnie.

– Wasza cesarska mość, wspomniałeś przed chwilą o pewnej ułomności wschodniego umysłu w kwestii myślenia naukowego. Otóż jest ona spowodowana tym, że nie zdajecie sobie sprawy, iż wszystkie złożone obiekty we Wszechświecie składają się z najprostszych elementów. Potrzebuję tylko trzech ludzi.

Qin Shihuang skinął ręką i wystąpiło trzech żołnierzy. Byli bardzo młodzi. Podobnie jak inni żołnierze cesarza, poruszali się niczym maszyny wykonujące polecenia.

– Nie znam waszych nazwisk – rzekł von Neumann, klepiąc dwóch z nich po ramionach. – Wy dwaj będziecie odpowiedzialni za sygnał wejściowy, dlatego nazwę was „Wejściem 1” i „Wejściem 2”. – Wskazał

trzeciego. – Ty będziesz odpowiedzialny za sygnał wyjściowy, więc nazwę cię „Wyjściem”. Przesunął żołnierzy na właściwe miejsca. – Właśnie tak. Utwórzcie trójkąt. Jego szczytem jest Wyjście. Podstawę tworzą Wejście 1 i Wejście 2.

– Mógł pan po prostu kazać im stanąć w formacji klina – powiedział Qin Shihuang, patrząc na niego pogardliwie.

Newton wyjął sześć małych chorągiewek – trzy białe i trzy czarne. Von Neumann dał każdemu z żołnierzy po jednej białej i jednej czarnej.

– Biała oznacza 0, czarna 1. Dobrze, a teraz słuchajcie mnie. Wyjście, obróć się i patrz na Wejście 1 i Wejście 2. Jeśli obaj podniosą czarne chorągiewki, ty też taką podniesiesz. W każdej innej sytuacji podniesiesz białą. Są trzy sytuacje: Wejście 1 podnosi białą, a Wejście 2 – czarną, Wejście 1 – czarną i Wejście 2 – czarną, oba Wejścia – białą.

– Sądzę, że powinien pan użyć jakiegoś innego koloru – rzekł cesarz. – Biały oznacza poddanie się.

Podekscytowany von Neumann zignorował tę uwagę.

– Zaczynajcie operację! – krzyknął do żołnierzy. – Wejście 1 i Wejście 2, podnieście chorągiewkę, jaką chcecie. Dobrze. Jeszcze raz! Podnieście!

Wejścia 1 i 2 podnieśli swoje chorągiewki trzykrotnie. Za pierwszym razem obie były czarne, za drugim jedna biała, druga czarna, za trzecim jedna czarna, druga biała. Wyjście za każdym razem reagował prawidłowo, podnosząc raz czarną, dwa razy białą.

– Bardzo dobrze. Wasza cesarska mość, twoi żołnierze są bardzo bystrzy.

– Mógłby to zrobić nawet idiota. Niech pan mi powie, co oni właściwie robią? – Qin Shihuang miał skonsternowaną minę.

– Ci trzej żołnierze stanowią składnik obliczeniowy. To pewnego rodzaju bramka, bramka iloczynu logicznego. – Von Neumann przerwał, by pozwolić cesarzowi przetrawić tę informację.

– Nie robi to na mnie wrażenia – powiedział beznamiętnym tonem Qin Shihuang. – Niech pan kontynuuje.

– Utwórzmy inny składnik. – Von Neumann odwrócił się ponownie do żołnierzy. – Wyjście, jeśli zobaczysz, że Wejście 1 albo Wejście 2 podnosi czarną chorągiewkę, ty też taką podniesiesz. Jest to możliwe w trzech sytuacjach: czarna–czarna, biała–czarna, czarna–biała. Gdy obie będą białe, ty też podniesiesz białą. Rozumiesz? Dobry chłopiec, jesteś naprawdę bystry. Odgrywasz kluczową rolę w prawidłowym działaniu bramki. Staraj się, a cesarz cię wynagrodzi. Zaczynajmy. Podnieść chorągiewki! Dobrze, jeszcze raz! I jeszcze raz! Doskonale. Wasza cesarska mość, ten składnik nazywa się bramką OR.

Potem von Neumann zademonstrował bramki NAND, NOR, XOR, XNOR i trójstanową. Na koniec, wykorzystując tylko dwóch żołnierzy, stworzył najprostszą – bramkę NOT (negacji): Wyjście zawsze podnosił chorągiewkę o innym kolorze niż Wejście.

Von Neumann złożył cesarzowi ukłon.

– Teraz, wasza cesarska mość, zostały pokazane wszystkie bramki. Czyż nie są proste? Dowolna trójka żołnierzy może opanować te umiejętności po godzinnym szkoleniu.

– Nie muszą nauczyć się nic więcej?

– Nie. Możemy stworzyć dziesięć milionów tych bramek, a potem złożyć je w system. Będzie on mógł wykonywać potrzebne nam obliczenia i wypracowywać równania różniczkowe dla przewidywania ruchów słońc. Powinniśmy nazwać ten system… hmm…

– Komputerem – rzekł Wang.

– Świetnie! – Von Neumann spojrzał na Wanga i uniósł kciuki. – Komputer to znakomita nazwa. Cały ten system jest ogromną maszyną, najbardziej złożoną maszyną w dziejach świata.

Czas gry przyspieszył. Minęły trzy miesiące.

Qin Shinhuang, Newton, von Neumann i Wang stali na platformie na szczycie piramidy. Platforma była podobna do tej, na której Wang poznał Mo Zi. Zapełniały ją przyrządy astronomiczne, z których część była skonstruowana na podstawie najnowszych projektów europejskich. Pod nimi ciągnęły się rozmieszczone na ziemi trzydziestomilionowe zastępy żołnierzy Qina, zajmujące kwadrat o boku długości sześciu kilometrów. Gdy wzeszło słońce, cała falanga pozostała w bezruchu niczym ogromny dywan zrobiony z trzydziestu milionów wojowników z terakoty. Kiedy jednak nadleciało nad nich stado ptaków, natychmiast wyczuły one śmiertelne niebezpieczeństwo grożące im z dołu i rozpierzchły się bezładnie. Wang przeprowadził w głowie pewne obliczenia, z których wynikało, że nawet gdyby utworzono taką falangę z całej ludności ziemi, formacja ta zmieściłaby się w dzielnicy Huangpu w Szanghaju. Chociaż były to ogromne zastępy, ukazywały kruchość cywilizacji.

– Wasza cesarska mość – rzekł von Neumann – zaprawdę twoja armia nie ma sobie równych. W niezwykle krótkim czasie przeprowadziliśmy takie skomplikowane szkolenie.

Qin Shihuang położył dłoń na rękojeści swego długiego miecza.

– Chociaż całość jest złożona, to, co musi robić każdy żołnierz, jest bardzo proste. W porównaniu ze szkoleniem, które przeszli, by nauczyć się, jak przełamać macedońską falangę, to błahostka.

– A Bóg obdarzył nas błogosławieństwem dwóch następujących po sobie i tak długo trwających er stabilności – dodał Newton.

– Moja armia będzie się nadal szkolić, nawet jeśli nadejdzie era chaosu. – Qin Shihuang zerknął z dumą w oczach na falangę. – Od tej pory będą kontynuować obliczenia nawet w takiej erze.

– Wobec tego, wasza cesarska mość, proszę wydać rozkaz. – Głos von Neumanna drżał z podniecenia.

Qin Shihuang kiwnął głową. Podbiegł do niego strażnik, chwycił za rękojeść jego miecza i odsunął się do tyłu. Brązowy oręż był tak długi, że cesarz nie dałby rady wyciągnąć go sam z pochwy. Strażnik przyklęknął i podał miecz cesarzowi. Qin Shihuang wzniósł go w niebo i krzyknął:

– Szyk komputerowy!

Z czterech ogromnych brązowych kotłów w rogach platformy buchnęły jednocześnie ryczące płomienie. Grupa żołnierzy stojących na skośnej ścianie piramidy naprzeciw falangi krzyknęła chórem:

– Szyk komputerowy…

Kolory w falandze zaczęły się poruszać i zmieniać. Pojawiły się i stopniowo rozszerzyły na całą formację skomplikowane schematy obwodów. Dziesięć minut później powstała płyta główna komputera o powierzchni trzydziestu sześciu kilometrów kwadratowych.

Von Neumann wskazał na gigantyczny, złożony z ludzi obwód pod piramidą i zaczął objaśniać:

– Wasza cesarska mość, nazwaliśmy ten komputer Qin I. Proszę spojrzeć, w środku znajduje się procesor centralny, główny element obliczeniowy komputera, utworzony przez pięć twoich najlepszych dywizji. Odnosząc się do tego diagramu, możesz, panie, dostrzec sumatory, rejestry i pamięć stosu. Ta część wokół, która ma bardzo regularny kształt, to pamięć. Kiedy ją tworzyliśmy, stwierdziliśmy, że nie mamy dość żołnierzy. Na szczęście zadanie, które wykonują składniki tej części, jest najprostsze, nauczyliśmy więc każdego żołnierza posługiwać się większą liczbą kolorowych chorągiewek. Teraz każdy z nich może wykonywać pracę, do której początkowo potrzebnych było dwadzieścia osób. Pozwoliło nam to zwiększyć pojemność pamięci do minimalnych wymogów systemu

operacyjnego Qin 1.0. Proszę również zauważyć korytarz biegnący przez całą formację i lekką kawalerię czekającą na rozkazy. To magistrala systemu, odpowiedzialna za przekazywanie informacji między jego częściami składowymi. Architektura tej magistrali to wielki wynalazek. Można dzięki niej szybko włączyć do przeprowadzenia operacji nowe składniki, z których największe składają się z dziesięciu dywizji. Pozwala to poszerzać i modyfikować sprzęt Qin 1. Spójrz, panie, jeszcze dalej – może będziesz musiał posłużyć się teleskopem – tam jest pamięć zewnętrzna, którą na propozycję Kopernika nazwaliśmy „dyskiem twardym". Tworzą ją trzy miliony bardziej wykształconych żołnierzy. Bardzo dobrze zrobiłeś, panie, że gdy po zjednoczeniu Chin kazałeś pogrzebać żywcem wszystkich uczonych, oszczędziłeś tych ludzi. Każdy z nich ma pióro i notatnik i odpowiada za zapisywanie wyników obliczeń. Oczywiście ich głównym zadaniem jest pełnienie roli pamięci wirtualnej i przechowywanie pośrednich wyników obliczeń. Są wąskim gardłem szybkości obliczeniowej. Ta część żołnierzy, którzy stoją najbliżej nas, to obrazowanie. Pokazuje nam najważniejsze parametry obliczeń w czasie rzeczywistym.

Von Neumann i Newton przynieśli zwój papieru wielkości człowieka i rozwinęli go przed Qin Shihuangiem. Kiedy doszli do jego końca, Wangowi zamarło serce, bo przypomniała mu się legenda o zabójcy, który w zwiniętej mapie pokazywanej cesarzowi ukrył sztylet. Ale tym razem sztylet się nie pojawił. Mieli przed sobą tylko ogromną płachtę papieru pokrytego symbolami nie większymi od głowy pchły. Zapisane były tak gęsto, że wirowały w oczach jak komputerowa formacja przed piramidą.

– Wasza cesarska mość, oto opracowany przez nas system operacyjny Qin 1.0. Program do przeprowadzania obliczeń działa na jego podstawie. Proszę, spójrz tam. – Von Neumann wskazał utworzony z rzeszy ludzi

komputer w dole. – To jest sprzęt. To, co jest na papierze, to oprogramowanie. Związek między sprzętem i oprogramowaniem przypomina związek między cytrą guquin i nutami.

Potem wraz z Newtonem rozwinęli drugi, równie duży zwój.

– Wasza cesarska mość, to oprogramowanie umożliwiające stosowanie numerycznych metod rozwiązywania tych równań różniczkowych. Po wprowadzeniu wektorów ruchów trzech słońc zaobserwowanych w pewnym momencie to oprogramowanie pozwoli nam przewidzieć ich kolejne ruchy w dowolnej chwili w przyszłości. Pierwsze obliczenia pokażą nam pozycje wszystkich słońc w najbliższych dwóch latach. Każdy zbiór wartości wejściowych będzie dzieliło od następnego sto dwadzieścia godzin.

Qin Shihuang skinął głową.

– Dobrze. Zaczynajcie.

Von Neumann wzniósł ręce i uroczyście krzyknął:

– Z rozkazu wielkiego cesarza włączyć komputer! Autotest systemu!

Rząd żołnierzy stojących w połowie ściany piramidy powtórzył rozkaz z użyciem sygnałów flagowych. Wydawało się, że płyta główna składająca się z trzydziestu milionów ludzi zamieniła się w jednej chwili w skrzące się jezioro. Poruszyły się dziesiątki milionów chorągiewek. Przez formację obrazującą, która znajdowała się najbliżej piramidy, powoli przesuwał się złożony z licznych zielonych chorągiewek pasek pokazujący procent wykonania autotestu. Po dziesięciu minutach dotarł do końca.

– Autotest zakończony! Zacząć sekwencje inicjowania programu! Załadować system operacyjny!

Lekka kawaleria zaczęła się szybko przemieszczać główną magistralą biegnącą środkiem formacji. Wkrótce zamieniła się w rwącą rzekę. Zasilały ją liczne dopływy, przenikając przez wszystkie moduły komputera

stworzonego z rzeszy ludzi. Migotanie czarnych i białych chorągiewek zlało się w wielkie fale, które przetaczały się przez całą płytę główną. Najbardziej wzburzone były one w centralnej jednostce obliczeniowej, która wyglądała jak płonący proch strzelniczy.

Jednak nagle ruch w jednostce centralnej zwolnił, a potem zupełnie ustał, jakby spalił się cały ten proch. Bezruch rozprzestrzeniał się we wszystkich kierunkach niczym zamarzające morze. W końcu zamarła cała płyta główna, migotało jedynie kilka rozproszonych punktów. Środek wyświetlacza zamrugał czerwienią.

– Blokada systemu! – krzyknął sygnalista.

Zaraz potem znaleziono przyczynę awarii – w jednej z bramek rejestru stanu jednostki centralnej był błąd.

– Wznowić pracę systemu! – polecił von Neumann pewnym siebie tonem.

– Zaczekaj! – powstrzymał sygnalistę Newton. Obrócił się do Qin Shihuanga i rzekł z chytrą miną: – Wasza cesarska mość powinna podjąć pewne środki zapobiegawcze względem wadliwych elementów, by poprawić stabilność systemu.

Qin Shihuang wsparł się na mieczu i powiedział:

– Wymienić wadliwe elementy i ściąć wszystkich żołnierzy, którzy tworzyli tamtą bramkę. W przyszłości każdy błąd będzie traktowany w ten sam sposób!

Von Neumann zerknął z niesmakiem na Newtona. Patrzyli, jak kilku jeźdźców popędziło z obnażonymi mieczami w głąb płyty głównej. Gdy „naprawili” wadliwy komponent, wydano rozkaz wznowienia pracy systemu. Tym razem wszystko przebiegło bez zakłóceń. Dwadzieścia minut później architektura komputera stworzona przez von Neumanna w *Trzech*

ciałach z rzeszy ludzi zaczęła w pełni działać w ramach systemu operacyjnego Qin 1.0.

– Wprowadzić program obliczania orbit słonecznych Trzy Ciała 1.0! – krzyknął Newton co sił w płucach. – Włączyć moduł komputera głównego! Załadować moduł rachunku różniczkowego! Załadować moduł analizy metodą elementów skończonych! Załadować moduł analizy spektralnej! Wprowadzić parametry początkowe! Zacząć obliczenia!

Gdy formacja obrazu rozjarzyła się wszystkimi kolorami, płyta główna rozbłysła. Komputer utworzony z rzeszy ludzi zaczął długie obliczenia.

– To naprawdę interesujące – rzekł Qin Shihuang, wskazując spektakularne widowisko. – Zachowanie każdej jednostki jest bardzo proste, ale razem mogą one stworzyć tak złożoną, wspaniałą całość! Europejczycy krytykują mnie za tyrańskie rządy, twierdząc, że tłumię twórczość, lecz w rzeczywistości wielka liczba ludzi utrzymywanych w surowej dyscyplinie też może, działając wspólnie, wykazać się wielką mądrością.

– O wielki cesarzu, to tylko mechaniczne działania, nie mądrość. Każda z tych nisko urodzonych jednostek jest zaledwie zerem. Całość może nabrać znaczenia dopiero wtedy, gdy doda się do niej jako jedynkę kogoś takiego jak ty – powiedział z przypochlebnym uśmiechem Newton.

– Odrażająca filozofia! – prychnął von Neumann, spoglądając na niego. – Jeśli wyniki obliczeń przeprowadzonych zgodnie z pańską teorią i pańskim modelem matematycznym nie będą odpowiadać rzeczywistości, i pan, i ja nie będziemy nawet zerami.

– W samej rzeczy. Jeśli okaże się, że naprawdę tak jest, będziecie niczym!

Po tych słowach Qin Shihuang odwrócił się i odszedł.

Czas szybko mijał. Komputer utworzony z rzeszy ludzi pracował przez rok i cztery miesiące. Po odjęciu czasu przeznaczonego na dostosowanie oprogramowania rzeczywiste przetwarzanie danych trwało około roku i dwóch miesięcy. Dodatkowo dwa razy trzeba było przerwać przetwarzanie z powodu bardzo złej pogody w erach chaosu, ale dane zostały zachowane i po każdym zamknięciu komputera można było kontynuować obliczenia. Kiedy Qin Shihuang i europejscy uczeni ponownie weszli na szczyt piramidy, pierwsza faza obliczeń była zakończona. Ich wyniki precyzyjnie opisywały orbity trzech słońc w dwóch następnych latach.

Był chłodny ranek. Zgaszono pochodnie, które w nocy oświetlały płytę główną. Po przeprowadzeniu ostatnich obliczeń Qin I wszedł w stan gotowości. Uspokoiły się wzburzone fale, które wcześniej przetaczały się przez płytę główną.

Von Neumann i Newton pokazali Qin Shihuangowi zwój z wynikami prac.

– Wielki cesarzu – rzekł Newton – obliczenia zakończono trzy dni temu. Czekaliśmy z przedstawieniem ich tobie do tej chwili, albowiem pokazują, że długa noc niebawem się skończy. Wkrótce powitamy pierwszy świt długiej ery stabilności, która potrwa ponad rok. Jak można sądzić na podstawie parametrów orbit słońc, będzie panował bardzo łagodny klimat. Proszę, ożyw swoje imperium i każ ponownie wszystkich nawodnić.

– Od początku tych obliczeń moi poddani nie zostali ani razu odwodnieni – odparł cesarz z naburmuszoną miną i chwycił zwój. – Poświęciłem wszystkie zasoby Cesarstwa Qin na podtrzymanie pracy tego komputera i skończyły się nam zapasy. Dla tego komputera moi poddani umierali z głodu, zimna i gorąca.

Wskazał zwojem dal. W mdłym świetle świtu widzieli dziesiątki białych linii rozchodzących się promieniście od brzegów płyty głównej i niknących za horyzontem. Były to drogi zaopatrzenia ze wszystkich zakątków cesarstwa.

– Wasza cesarska mość przekona się, że cel wart był takich ofiar – powiedział von Neumann. – Po uzyskaniu wiedzy o orbitach słońc Qin będzie się bardzo szybko rozwijało i stanie się wielekroć potężniejsze, niż było dotąd.

– Według naszych obliczeń niedługo wzejdzie słońce. Wielki cesarzu, czeka cię wiekopomna sława!

Jakby w reakcji na słowa Newtona nad horyzontem ukazał się kawałek czerwonego słońca i zalał złotym światłem piramidę oraz utworzony z rzeszy ludzi komputer. Z płyty głównej wzbił się w górę chór radosnych okrzyków.

Zbliżył się do nich pędem jakiś człowiek. Biegł tak szybko, że gdy przyklęknął przed cesarzem, nie mógł złapać tchu. Był to jego minister astronomii.

– Panie – wykrztusił w końcu – te obliczenia były błędne. Zaraz spadnie na nas wielkie nieszczęście!

– Co ty pleciesz? – Nie czekając nawet, aż odezwie się cesarz, Newton kopnął klęczącego. – Nie widzisz, że słońce wschodzi dokładnie w czasie przewidzianym przez nas w wyniku precyzyjnych obliczeń?

– Ale… – Minister wyprostował się w połowie, wskazując ręką słońce. – Ile słońc widzicie?

Wszyscy patrzyli zdezorientowani.

– Panie ministrze – rzekł von Neumann – otrzymał pan odpowiednie zachodnie wykształcenie i uzyskał doktorat na Uniwersytecie w Cambridge.

Musi pan przynajmniej umieć liczyć. Oczywiście na niebie jest tylko jedno słońce. A temperatura powietrza jest bardzo przyjemna.

– Nie! Na niebie są trzy słońca! – Minister płakał, po jego twarzy ciekły łzy. – Pozostałe dwa są schowane za tym!

Wszyscy, nadal zdezorientowani, ponownie spojrzeli na słońce.

– Obserwatorium Cesarskie potwierdziło, że jesteśmy świadkami niezwykle rzadkiego zjawiska – trójsolarnej syzygii. Te trzy słońca znajdują się w linii prostej i poruszają się wokół naszej planety z tą samą prędkością kątową! A zatem nasza planeta i trzy słońca są zawsze w linii prostej z naszym światem!

– Jesteś pewien, że Obserwatorium się nie myli? – Newton złapał ministra astronomii za kołnierz.

– Absolutnie pewien. Te obserwacje prowadzili zatrudnieni w Obserwatorium Cesarskim zachodni astronomowie, w tym Kepler i Herschel. Używają największego na świecie, sprowadzonego z Europy teleskopu.

Newton puścił ministra i pozwolił mu wstać. Wang zobaczył, że ma bladą twarz, ale nadal radosną minę. Złożył dłonie i rzekł do Qin Shihuanga:

– O najwspanialszy, najczcigodniejszy władco, to najlepszy znak! Teraz, gdy wokół naszej planety krążą trzy słońca, twoje cesarstwo jest środkiem Wszechświata. To Boża nagroda za nasze wysiłki. Pozwól, że jeszcze raz sprawdzę obliczenia. Dowiodę tego!

Wymknął się chyłkiem, podczas gdy reszta trwała w osłupieniu. Później doniesiono, że sir Izaac ukradł konia i uciekł w nieznanym kierunku.

– Wasza cesarska mość, proszę, wyciągnij miecz z pochwy – powiedział nagle Wang po pełnej napięcia chwili.

– O co ci chodzi? – zapytał zaskoczony Qin Shihuang, ale skinął na stojącego obok niego żołnierza, a ten dobył miecza.

– Panie, proszę, spróbuj nim machnąć.

Qin Shihuang ujął miecz i zatoczył nim koło. Na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Dlaczego jest taki lekki? – zapytał.

– Używany w tej grze strój W nie pozwala odczuć zmniejszonej siły ciążenia. W przeciwnym razie my też czulibyśmy się dużo lżejsi.

– Spójrzcie tam! – krzyknął ktoś. – Spójrzcie na tych ludzi i na te konie!

Wszyscy spojrzeli we wskazaną stronę i zobaczyli kolumnę kawalerii u stóp piramidy. Konie zdawały się płynąć w powietrzu. Zobaczyli też biegnących ludzi, którzy z każdym krokiem przelatywali po dziesięć metrów i powoli opadali na ziemię. Jeden z żołnierzy na szczycie piramidy podskoczył i z łatwością wzbił się trzy metry w górę.

– Co się dzieje? – zapytał Qin Shihuang, patrząc na powoli opadającego na platformę członka swej gwardii.

– Panie, trzy słońca znajdują się jedno za drugim nad naszą planetą, w związku z czym ich siły przyciągania się sumują… – zaczął wyjaśniać minister astronomii, ale odkrył, że obie jego stopy straciły kontakt z podłożem i że znajduje się w pozycji horyzontalnej.

Również pozostali unosili się pod różnymi kątami nad platformą. Poruszając niezdarnie kończynami, jakby wpadli do wody i nie umieli pływać, starali się odzyskać stabilność, ale wpadali na siebie.

Platforma, którą przed chwilą opuścili, pokryła się siatką pęknięć. Szczeliny się poszerzyły i w chmurze przesłaniającego niebo pyłu, przy ogłuszającym huku, piramida rozpadła się na pojedyncze elementy. Wang zobaczył przez luki między powoli osuwającymi się kamiennymi blokami, jak Wielka Sala przestaje istnieć. Ogromny kocioł, w którym kiedyś ugotował się Fu Xi, i żelazny pal, do którego w czasach jednej

z poprzednich cywilizacji przywiązano go, by spłonął na stosie, odpływały w dal.

Słońce wzniosło się do połowy nieba. Wszystko, co fruwało w powietrzu – ludzie, gigantyczne bloki skalne, przyrządy astronomiczne, brązowe kotły – zaczęło opadać, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Wang spojrzał na komputer utworzony z masy ludzi i zobaczył koszmarny widok: trzydzieści milionów żołnierzy składających się na płytę główną wirowało nad ziemią i wzbijało się w górę niczym chmara mrówek wsysanych przez kosmiczny odkurzacz. Na ziemi zostały wyraźne ślady obwodów płyty. Gmatwanina widocznych tylko z dużej wysokości zagłębień stanie się w odległej przyszłości archeologiczną zagadką dla następnej cywilizacji *Trzech ciał*.

Wang podniósł głowę. Niebo zasnute było dziwnie upstrzoną warstwą chmur, utworzoną przez kurz, kamienie, ludzi i inne rzeczy. Przez chmury prześwitywało słońce. W oddali dostrzegł również wzbijający się w górę przezroczysty łańcuch górski. Góry były krystalicznie czyste i mieniły się w promieniach słońca jak ocean odlatujący w przestrzeń kosmiczną.

Wszystko na powierzchni świata *Trzech ciał* wznosiło się ku słońcu.

Wang rozejrzał się i zobaczył Qin Shihuanga i von Neumanna. Unosząc się w powietrzu, ten drugi krzyczał coś do cesarza, ale nie było słychać jego głosu. Ukazało się za to kilka linijek tekstu:

„Rozgryzłem to! Użyjcie elektronicznych elementów! Do stworzenia układów bramkowych użyjcie elektronicznych elementów! Takie komputery będą wielokrotnie szybsze i będą zajmowały dużo mniej miejsca. Według mojej oceny wystarczy do tego mały budynek… Wasza cesarska mość, słuchasz mnie?”

Qin Shihuang zamachnął się na niego mieczem. Von Neumann kopnął ogromny kamienny blok i zrobił unik. Długi miecz uderzył w kamień, aż posypały się iskry, i pękł na dwie części. Zaraz potem blok zderzył się

z innym, a pomiędzy nimi znalazł się cesarz. We wszystkie strony posypały się kamienne odłamki i strzępy ciała oraz trysnęła krew.

Był to upiorny widok, ale Wang nie usłyszał huku zderzających się brył. Wokół niego panowała kompletna cisza. Nie było żadnych dźwięków, bo ulotniła się atmosfera. W unoszących się w próżni ciałach wrzała krew i wydobywała się z nich razem z narządami wewnętrznymi, tworząc dziwne kluchy otoczone krystalicznymi obłokami powstałymi z wypływających z nich płynów. Z powodu braku atmosfery niebo stało się czarne jak smoła. W świetle odbijającym się od wszystkiego, co uleciało ze świata *Trzech ciał* w przestrzeń, szczątki te wydawały się skrzącym się obłokiem, który następnie zmienił się w ogromny wir wznoszący się spiralnie ku swemu miejscu spoczynku – słońcu.

Wang zobaczył, że zmienia ono kształt, i zrozumiał, że w rzeczywistości widzi dwa pozostałe słońca wyzierające zza pierwszego. Z miejsca, w którym się znajdował, wyglądały one jak jasne oko Wszechświata.

Na tle syzygii trzech słońc pojawił się tekst:

> Cywilizację 184 zniszczyło przyciąganie trzech słońc w koniunkcji. Doszła ona w rozwoju do czasów rewolucji naukowej i przemysłowej.
>
> W tej cywilizacji Newton stworzył mechanikę klasyczną. W tym samym czasie, dzięki wynalezieniu rachunku różniczkowego oraz stworzeniu przez von Neumanna architektury komputera, położono podwaliny pod ilościową analizę matematyczną ruchów trzech ciał.
>
> Po długim czasie odrodzi się życie i powstanie nowa cywilizacja, która będzie się rozwijać w nieprzewidywalnym świecie *Trzech ciał*.
>
> Zapraszamy cię do ponownego zalogowania.

W tej samej chwili, w której Wang się wylogował, zadzwonił telefon. Odezwał się nieznajomy, ale bardzo charyzmatyczny męski głos:

– Halo! Przede wszystkim dziękujemy panu za podanie prawdziwego numeru telefonu. Jestem administratorem gry *Trzy ciała*.

Wang słuchał z podnieceniem.

– Proszę podać nam swój wiek, wykształcenie, miejsce pracy i zajmowane tam stanowisko. Kiedy się pan rejestrował, nie wypełnił pan tych rubryk.

– A co to ma wspólnego z grą?

– Skoro doszedł pan do tego poziomu, musi nam pan udzielić tych informacji. Jeśli pan odmówi, nigdy już nie wejdzie pan do gry.

Wang odpowiedział zgodnie z prawdą na pytania administratora.

– Dobrze, profesorze Wang. Spełnia pan warunki dalszego uczestniczenia w *Trzech ciałach*.

– Dziękuję. Czy teraz ja mogę zadać kilka pytań?

– Nie. Ale jutro wieczorem odbędzie się spotkanie uczestników gry. Zapraszamy do udziału. – Administrator podał mu adres.

18

Spotkanie

Miejscem spotkania grających w *Trzy ciała* był mały, położony na uboczu bar kawowy. Wang zawsze wyobrażał sobie spotkania graczy komputerowych jako barwne wydarzenia, w których bierze udział mnóstwo osób, ale w tym uczestniczyło tylko siedmiu graczy, wliczając w to niego. Poza tym pozostała szóstka, podobnie jak on, nie wyglądała na miłośników gier. Tylko dwóch było względnie młodych, troje, w tym jedna kobieta, było w średnim wieku. Był też starszy mężczyzna, który miał jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kilka lat.

Wang myślał, że gdy tylko się spotkają, zacznie się ożywiona dyskusja o *Trzech ciałach*, ale okazało się, że się mylił. Poważna, lecz dziwna treść tej gry wywierała wielki wpływ psychologiczny na jej uczestników. Każdemu graczowi, włącznie z Wangiem, trudno było zainicjować rozmowę o niej. Tylko się sobie nawzajem przedstawili. Ów starszy mężczyzna wyjął kunsztownie zrobioną fajkę, napełnił ją tytoniem, zapalił i pykając, przechadzał się po barze i podziwiał obrazy na ścianach. Reszta siedziała w milczeniu, czekając na pojawienie się organizatora spotkania. Wszyscy przyszli przed czasem.

Właściwie Wang znał już dwie osoby z tej szóstki. Starszy, ale czerstwy mężczyzna był naukowcem, który zasłynął z wprowadzania do filozofii Wschodu treści współczesnej nauki. Dziwnie ubrana kobieta była głośną literatką z gatunku tych rzadko spotykanych powieściopisarek, które mimo awangardowego stylu nadal mają wielu czytelników. Jedną z jej książek można było czytać od dowolnej strony.

Co do pozostałych, to z dwóch mężczyzn w średnim wieku jeden był wiceprezesem największego w Chinach przedsiębiorstwa produkującego oprogramowanie (zwyczajnie ubrany, wskutek czego trudno się było domyślić, że zajmuje tak wysoką pozycję), drugi pracownikiem wysokiego szczebla Państwowej Korporacji Energetycznej. Z dwóch młodszych jeden był reporterem ważnego środka przekazu, drugi doktorantem z zakresu nauk ścisłych. Wang dopiero teraz uświadomił sobie, że prawdopodobnie znaczna liczba uczestników *Trzech ciał* należała, podobnie jak oni, do elity.

Niedługo potem pojawił się organizator spotkania. Wangowi zabiło żywiej serce, kiedy go zobaczył – był to Pan Han, główny podejrzany w sprawie zabójstwa Shen Yufei. Wyjął ukradkiem telefon i napisał wiadomość dla Shi Qianga.

– Ha, ha, wszyscy przyszli wcześniej! – Pan Han powitał ich w swobodny sposób, jakby nic się nie stało. W telewizji zwykle wyglądał niechlujnie, jak włóczęga. Tutaj jednak przyszedł schludnie ubrany, w garniturze i eleganckich półbutach. – Jesteście tacy, jak sobie wyobrażałem. *Trzy ciała* są przeznaczone dla ludzi z waszej klasy, bo pospólstwo nie potrafi docenić ich znaczenia i nastroju. Żeby dobrze w to grać, trzeba mieć wiedzę i zdolność rozumienia, jakiej nie posiadają zwykli ludzie.

Wang wysłał wiadomość: „Widziałem Pan Hana w barze kawowym Yunhe w Xicheng”.

– Wszyscy obecni tutaj są znakomitymi graczami. Mają państwo najlepsze wyniki i angażują się w tę grę. Jestem przekonany, że *Trzy ciała* stanowią już ważną część waszego życia.

– One… między innymi mnie przy nim trzymają – rzekł doktorant.

– Zobaczyłem tę grę przypadkiem w komputerze wnuka – powiedział stary filozof, unosząc fajkę. – Chłopak porzucił ją po paru próbach, mówiąc, że jest zbyt zawiła. Ale mnie się spodobała. Wszystkich nas fascynuje jej głębokie znaczenie, dziwny, straszny, ale jednocześnie podniosły nastrój, logiczna, zwarta konstrukcja jej świata, bogata zawartość informacyjna i mnogość szczegółów ukrytych w pozornie prostym przedstawieniu.

Kilkoro obecnych, włącznie z Wangiem, kiwnęło głowami na znak zgody z tym opisem.

Wang otrzymał odpowiedź od Shi: „My też go widzimy. Bez obaw. Kontynuuj. Udawaj przed nimi fanatyka, ale bez przesady”.

– Tak – przyznała pisarka i też kiwnęła głową. – Również z literackiego punktu widzenia *Trzy ciała* są świetne. Powstawanie i upadek stu dwudziestu trzech cywilizacji są niczym następujące po sobie wielkie epopeje.

Wspomniała o stu dwudziestu trzech cywilizacjach. Wang słyszał o stu dziewięćdziesięciu jeden, co oznaczało, że dla każdego z uczestników gra miała inny, indywidualny przebieg.

– Mam już trochę dość realnego świata – stwierdził młody reporter. – *Trzy ciała* są dla mnie drugą rzeczywistością.

– Naprawdę? – zapytał z zainteresowaniem Pan Han.

– Dla mnie też – rzekł wiceprezes firmy produkującej oprogramowanie. – W porównaniu ze światem *Trzech ciał* rzeczywistość jest prostacka i nieciekawa.

– Szkoda, że to tylko gra – powiedział pracownik korporacji energetycznej.

– Bardzo dobrze – pochwalił ich Pan Han.

Wang zauważył, że jego oczy błysnęły z podniecenia.

– Mam pytanie, na które, jak sądzę, wszyscy chcemy poznać odpowiedź – odezwał się Wang.

– Wiem jakie. Ale mimo to może pan je zadać.

– Czy *Trzy ciała* to tylko gra?

Pozostali gracze skinęli głowami. Najwyraźniej ich też nurtowało to pytanie.

Pan Han wstał i powiedział z powagą:

– Świat *Trzech ciał*, czyli Trisolaris, istnieje naprawdę.

– A gdzie on jest? – zapytało chórem kilku graczy.

Pan Han usiadł i przemówił dopiero po długiej chwili milczenia:

– Na niektóre pytania mogę odpowiedzieć, na inne nie. Ale jeśli przeznaczone wam jest pozostać z Trisolaris, pewnego dnia wszystkie wasze pytania doczekają się odpowiedzi.

– A zatem… czy ta gra naprawdę wiernie przedstawia Trisolaris? – zapytał reporter.

– Przede wszystkim Trisolarianie naprawdę mają zdolność odwadniania się w wielu cyklach swej cywilizacji. Aby przystosować się do swego nieprzewidywalnego środowiska naturalnego, potrafią całkowicie usunąć wodę ze swych ciał i zmienić się w suche, włókniste przedmioty. Dzięki temu unikają ekstremalnych warunków, w których życie nie może istnieć.

– Jak oni wyglądają?

Pan Han potrząsnął głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. W każdym cyklu cywilizacji ich wygląd się zmienia. Jednak gra pokazuje coś innego, co naprawdę istniało

na Trisolaris – komputer utworzony z rzeszy mieszkańców tej planety.

– Ha! – rzekł wiceprezes firmy produkującej oprogramowanie. – Myślałem, że to najbardziej nierealistyczny element. Przeprowadziłem w mojej firmie próbę z udziałem setki pracowników. Nawet gdyby ten pomysł był wykonalny, komputer utworzony z ludzi działałby prawdopodobnie z mniejszą prędkością, niż odbywa się liczenie ręczne.

Pan Han uśmiechnął się tajemniczo.

– Ma pan rację. Ale gdybyśmy założyli, że każdy z tych trzydziestu milionów żołnierzy może podnosić czarną i białą chorągiewkę kilkaset razy na sekundę i że lekka kawaleria na głównych magistralach pędzi kilka razy szybciej od prędkości dźwięku, wyniki byłyby zupełnie inne. Zapytaliście o to, jak teraz wyglądają Trisolarianie. Pewne oznaki wskazują, że ciała Trisolarian, którzy uformowali komputer, były pokryte substancją odblaskową, prawdopodobnie wykształconą w drodze ewolucji jako reakcja na ekstremalne warunki powodowane przez natężenie światła słonecznego. Ta lustrzana powierzchnia ciała mogła przybierać różne kształty, dzięki czemu komunikowali się między sobą, skupiając światło w swych ciałach. Tego rodzaju świetlna mowa umożliwiała przesyłanie informacji z ogromną prędkością i legła u podstaw utworzonego przez nich komputera. Oczywiście nadal była to bardzo niewydajna maszyna, ale mogła wykonywać obliczenia zbyt trudne, by prowadzić je ręcznie. W rzeczywistości komputer pojawił się na Trisolaris najpierw w postaci utworzonej przez rzeszę ludzi, a dopiero potem w formie mechanicznej i w końcu elektronicznej.

Pan Han wstał i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem za plecami graczy.

– *Trzy ciała* zapożyczają tylko pewne elementy z historii ludzkich społeczeństw w celu stworzenia symulacji rozwoju cywilizacji Trisolarian.

Chodzi o to, by gracze poruszali się w znanym im otoczeniu. Rzeczywista Trisolaris bardzo się różni od świata gry, ale trzy słońca istnieją naprawdę. One są podstawą funkcjonowania środowiska na tej planecie.

– W opracowanie tej gry musiano włożyć wiele wysiłku – powiedział wiceprezes. – Ale jej autorom najwyraźniej nie przyświecała chęć zysku.

– Cel tej gry jest bardzo prosty i czysty: zebrać tych z nas, którzy mają wspólne ideały – rzekł Pan Han.

– A jakie dokładnie mamy wspólne ideały? – zapytał Wang, ale od razu pożałował, że nie ugryzł się w język. Zastanawiał się, czy aby to pytanie nie zdradziło jego wrogiego nastawienia.

Pan Han przyjrzał się wszystkim znacząco i odparł pytaniem:

– Jakbyście się czuli, gdyby cywilizacja trisolariańska miała wkroczyć na nasz świat?

Pierwszy przerwał milczenie młody reporter:

– Byłbym szczęśliwy. Po tym, co widziałem w ostatnich latach, straciłem wiarę w ludzkość i nadzieję, że kiedykolwiek się zmieni. Ludzkie społeczeństwo nie jest zdolne do samodoskonalenia, więc potrzebujemy interwencji jakiejś siły z zewnątrz.

– Zgadzam się! – krzyknęła pisarka. Była bardzo podekscytowana, jakby w końcu znalazła ujście dla tłumionych uczuć. – Jaki jest rodzaj ludzki? Brzydki! Pierwszą połowę życia poświęciłam na odkrywanie tej brzydoty za pomocą skalpela literatury, ale teraz mam już dość tej wiwisekcji. Pragnę, by cywilizacja trisolariańska wniosła prawdziwe piękno do naszego świata.

Pan Han nic na to nie powiedział, ale w jego oczach znowu pojawił się błysk podniecenia.

Stary filozof machnął fajką, która dawno zgasła.

– Zastanówmy się głębiej nad taką oto kwestią: co myślicie o Aztekach? – rzekł z poważną miną.

– Ponurzy i żądni krwi – powiedziała pisarka. – Zbroczone krwią piramidy, oświetlone płomieniami wśród mrocznych lasów. Oto, co o nich myślę.

Filozof kiwnął głową.

– Bardzo dobrze. Postarajcie się wyobrazić sobie, jaki byłby wpływ tej cywilizacji na historię ludzkości, gdyby nie interwencja hiszpańskich konkwistadorów.

– Mówi pan, że czarne jest białe, a białe czarne – rzekł wiceprezes firmy produkującej oprogramowanie. – Konkwistadorzy, którzy najechali na Amerykę, byli zwykłymi mordercami i rabusiami.

– Nawet jeśli tak, to przynajmniej zapobiegli nieograniczonemu rozprzestrzenianiu się Azteków i przekształceniu przez nich obu Ameryk w ogromne, ponure i krwawe imperium. Wtedy, ze szkodą dla całej ludzkości, demokracja i cywilizacja zawitałyby tam dużo później. Może w ogóle by się nie pojawiły. To klucz do tego pytania – bez względu na to, jacy są Trisolarianie, ich przybycie będzie dobrą wieścią dla śmiertelnie chorej ludzkości.

– A pomyślał pan o tym, że zachodni najeźdźcy całkowicie zniszczyli Azteków? – zapytał pracownik z korporacji energetycznej. Rozejrzał się wokół, jakby widział tych ludzi po raz pierwszy. – Wasze poglądy są bardzo groźne.

– Dobrze powiedziane! – powiedział doktorant, podnosząc palec i kiwając energicznie głową do profesora. – Myślałem tak samo, ale nie wiedziałem, jak to wyrazić.

Po chwili ciszy Pan Han zwrócił się do Wanga:

– Każda z tych sześciu osób wyraziła swoją opinię. A jakie jest pana zdanie?

– Trzymam z nimi – odparł Wang, wskazując reportera i filozofa. „Im mniej powiem, tym lepiej” – pomyślał.

– Dobrze – rzekł Pan Han. Obrócił się do wiceprezesa firmy produkującej oprogramowanie i do pracownika korporacji energetycznej. – Wy dwaj nie jesteście już mile widziani na tym spotkaniu i nie uczestniczycie w grze. Wasze identyfikatory zostaną usunięte. Proszę wyjść. Dziękuję panom.

Obaj wstali i popatrzyli na siebie, potem rozejrzeli się zdumieni i wyszli.

Pan Han uścisnął ręce każdemu po kolei z pozostałej piątki, po czym powiedział uroczyście:

– Teraz jesteśmy towarzyszami.

19

Trzy ciała: Einstein, wahadło i Wielkie Rozdarcie

Gdy Wang zalogował się do *Trzech ciał* po raz piąty, był jak zwykle świt, ale świat gry zmienił się nie do poznania.

Ogromną piramidę, która pojawiała się w czterech poprzednich odsłonach, zniszczyła syzygia trzech słońc. Na jej miejscu stał teraz wysoki, nowoczesny budynek, którego ciemnoszara sylwetka była Wangowi dobrze znana – siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W oddali było więcej wysokich budynków, zapewne były to odwadnialnie. Wszystkie miały lustrzane powierzchnie całkowicie odbijające promienie słoneczne. W świetle świtu wyglądały jak wyrastające z ziemi gigantyczne rośliny.

Wang usłyszał skrzypce. Brzmiało to jak kompozycja Mozarta. Wykonawca nie miał dużej wprawy, ale robił to z pewnym urokiem, jakby chciał przez to powiedzieć: „Gram dla siebie”. Był to starszy, bezdomny mężczyzna. Siedział na schodach przed ONZ, a jego puszyste, srebrzyste

włosy rozwiewał wiatr. Obok jego stóp leżał stary cylinder z kilkoma drobnymi monetami w środku.

Nagle Wang zauważył słońce. Wznosiło się jednak po stronie przeciwnej do tej, z której świtało, a niebo było tam nadal zupełnie ciemne. Przed wschodem słońca na horyzoncie nie pojawił się żaden brzask.

Słońce było bardzo duże – wyłoniła się dopiero połowa jego tarczy, ale zajmowała już jedną trzecią nieba. Tak ogromne słońce mogło oznaczać tylko jedno – kolejną wielką katastrofę. Mimo to, gdy Wang się odwrócił, staruszek wciąż grał, jakby nie działo się nic dziwnego. Jego srebrzyste włosy lśniły w słońcu, jakby się paliły.

Słońce miało taki sam kolor jak włosy skrzypka. Rzucało na ziemię blade światło, ale nie dawało ani odrobiny ciepła. Wang ponownie na nie spojrzał – teraz wyłoniło się już w całości. Na jego ogromnej srebrnej tarczy dostrzegł linie podobne do słojów drzewa – łańcuchy górskie. Zdał sobie sprawę, że nie świeci własnym światłem, lecz tylko odbitym światłem drugiego, wyłaniającego się zza horyzontu po przeciwnej stronie. Tak naprawdę nie było to słońce, lecz olbrzymi księżyc. Poruszał się tak szybko, że widać to było gołym okiem. Stopniowo doszedł do pełni, po czym znowu przemienił się w sierp. Kojące dźwięki skrzypiec starca niosły się z zimnym powiewem wiatru. Majestatyczny widok Wszechświata zdawał się utrwaloną w materialnym kształcie muzyką. Wang upajał się nim.

Ogromny sierp księżyca wszedł w światło poranka i pojaśniał. Gdy nad horyzontem pozostały tylko jego oba końce, Wang wyobraził sobie, że to rogi byka szarżującego na słońce.

– Szacowny panie Kopernik, daj przez chwilę odpocząć swym strudzonym nogom – powiedział staruszek, kiedy księżyc zaszedł. – Możesz posłuchać Mozarta, a ja zjem obiad.

– Jeśli się nie mylę… – Wang patrzył na pooraną zmarszczkami twarz. Układały się w łagodne krzywizny, jakby starały się stworzyć pewnego rodzaju harmonię.

– Nie myli się pan. Jestem Einstein, żałosny człowiek, pełen wiary w Boga, mimo że mnie opuścił.

– Skąd się wziął ten ogromny księżyc? Kiedy poprzednio tu bywałem, nigdy go nie widziałem.

– Już ostygł.

– Co?

– Ten wielki księżyc. Kiedy byłem mały, wciąż jeszcze był gorący. Gdy się wzniósł do połowy nieba, widać było czerwono się żarzące równiny środkowe. Ale teraz jest zimny… Nie słyszał pan o Wielkim Rozdarciu?

– Nie. Co to takiego?

Einstein westchnął i potrząsnął głową.

– Nie mówmy o tym. Zapomnijmy o przeszłości. Moja przeszłość, przeszłość cywilizacji, przeszłość Wszechświata… wspomnienia są zbyt bolesne.

– Jak się pan znalazł w takim stanie? – Wang wyszperał w kieszeni trochę drobnych i wrzucił je do kapelusza.

– Dziękuję, panie Kopernik. Miejmy nadzieję, że Bóg pana nie opuści, chociaż nie bardzo w to wierzę. Uważam, że model, który stworzyliście z Newtonem i całą resztą za pomocą komputera z rzeszy ludzi, był bardzo bliski rzeczywistości. Ale drobny błąd, który w nim pozostał, był dla Newtona i innych przepaścią nie do przebycia. Zawsze uważałem, że gdybym ja tego nie zrobił, to ktoś inny opracowałby szczególną teorię względności. Ale ogólna teoria względności to inna sprawa. W teorii Newtona nie został uwzględniony wpływ, jaki wywiera na orbitę planety zakrzywiona pod wpływem grawitacji czasoprzestrzeń. Chociaż wynikający

z tego błąd był drobny, zaciążył fatalnie na wynikach obliczeń. Dodanie współczynnika korygującego zaburzenia powodowane przez czasoprzestrzeń doprowadziłoby do stworzenia prawidłowego modelu matematycznego. Potrzebna do tego moc obliczeniowa znacznie przekracza to, co udało się wam osiągnąć na Wschodzie, ale posiadają ją współczesne komputery.

– Czy obserwacje astronomiczne potwierdziły wyniki tych obliczeń?

– Myśli pan, że gdyby tak się stało, byłbym tu, gdzie jestem? Jednak z estetycznego punktu widzenia muszę mieć rację, a Wszechświat musi się mylić. Opuścił mnie Bóg, a potem ludzie. Nigdzie mnie nie chcą. Zwolniono mnie z Uniwersytetu Princeton. UNESCO nie chce mnie nawet jako konsultanta do spraw nauki. Przedtem nie przyjąłbym tego stanowiska, choćby błagali mnie na kolanach. Myślałem nawet, by wyjechać do Izraela, gdzie proponowano mi stanowisko prezydenta, ale się rozmyślili i powiedzieli, że jestem zwykłym oszustem…

Einstein znowu zaczął grać, podejmując melodię w miejscu, w którym przerwał. Wang słuchał go przez chwilę, po czym ruszył zdecydowanym krokiem w stronę budynku ONZ.

– Nikogo tam nie ma – powiedział Einstein, nie przerywając gry. – Wszyscy członkowie Zgromadzenia Ogólnego są za budynkiem. Biorą udział w ceremonii uruchomienia wahadła.

Wang obszedł gmach i powitał go widok zapierający dech w piersiach: ogromne wahadło, które zdawało się sięgać nieba. Faktycznie widział je już, gdy stał przed siedzibą ONZ, bo wyzierało zza budynku, ale nie wiedział, na co patrzy.

Wahadło było podobne do wahadeł skonstruowanych przez Fu Xi w celu zahipnotyzowania słońca w Epoce Walczących Królestw, w której Wang Miao po raz pierwszy wszedł do *Trzech ciał*. To jednak zostało całkowicie

zmodernizowane. Każdy z dwóch podtrzymujących je, wykonanych z metalu filarów był wysoki jak wieża Eiffla. Również jego serce było metalowe i miało gładką, galwanizowaną, lustrzaną powierzchnię. Lina, na której wisiało, zrobiona była z jakiegoś niezwykle mocnego materiału i tak cienka, że prawie nie było jej widać, przez co zdawało się unosić w powietrzu między wieżami.

Pod wahadłem stał tłum ludzi w garniturach, prawdopodobnie przywódców państw, którzy przybyli na sesję Zgromadzenia Ogólnego. Skupili się w małych grupkach i rozmawiali cicho, jakby na coś czekali.

– O, Kopernik, człowiek, który przetrwał pięć er! – krzyknął ktoś.

Pozostali powitali go.

– Jest pan jednym z tych, którzy na własne oczy widzieli wahadła w Epoce Walczących Królestw!

Przyjaźnie nastawiony mężczyzna podał mu rękę i przytrzymał jego dłoń. Ktoś przedstawił go jako pochodzącego z Afryki sekretarza generalnego ONZ.

– Owszem, widziałem je – potwierdził Wang. – Dlaczego znowu zbudowaliśmy coś takiego?

– To pomnik Trisolaris, a jednocześnie grób. – Sekretarz generalny spojrzał na wahadło. Z dołu wydawało się tak duże jak okręt podwodny.

– Grób? Czyj?

– Raczej czego. Aspiracji – trwających przez prawie dwieście cywilizacji prób rozwiązania problemu trzech ciał, odkrycia prawideł ruchu słońc.

– Zaprzestano tych prób?

– Tak, począwszy od teraz, całkowicie.

Wang zawahał się chwilę, po czym wyjął plik papierów z opisem modelu stworzonego przez Wei Chenga.

– Właśnie w tym celu tu przybyłem. Przyniosłem matematyczny model, który rozwiązuje problem trzech ciał. Mam powody wierzyć, że się sprawdzi.

Gdy tylko to powiedział, tłum przestał się nim interesować. Wszyscy wrócili do swoich grupek i kontynuowali rozmowę. Zauważył, że na odchodnym kilka osób potrząsnęło głowami i się roześmiało. Sekretarz generalny wziął od niego papiery i nawet nie rzuciwszy na nie okiem, wręczył je stojącemu obok niego szczupłemu mężczyźnie w okularach.

– Z szacunku dla pana, pomny pana sławy, przekazuję je do przejrzenia mojemu doradcy do spraw nauki. Naprawdę wszyscy tu obecni okazali panu szacunek. Gdyby powiedział to ktoś inny, zostałby wyśmiany.

Doradca do spraw nauki przekartkował zapiski.

– Algorytm ewolucyjny? Panie Kopernik, jest pan geniuszem. Każdy, kto wymyśli taki algorytm, jest geniuszem. Wymaga to nie tylko nadzwyczajnych zdolności matematycznych, ale również wyobraźni.

– Czyżby dawał mi pan do zrozumienia, że ktoś już stworzył taki model?

– Tak. Są dziesiątki innych modeli matematycznych. Ponad połowa z nich jest doskonalsza od pańskiego. Wszystkie zostały wprowadzone do komputerów. Przez ostatnie dwa stulecia świat zajmował się głównie tymi obliczeniami. Wszyscy czekali na ich wyniki jak na Sąd Ostateczny.

– I?

– Dowiedliśmy definitywnie, że problem trzech ciał jest nierozwiązywalny.

Wang spojrzał na ogromne wahadło w górze. W świetle świtu było jasne jak kryształ. W jego wypukłej lustrzanej powierzchni odbijało się niczym w oku świata całe otoczenie. W tym samym miejscu, w odległym czasie, który dzieliło od chwili obecnej wiele cywilizacji, szedł z królem Wenem

do pałacu króla Zhou przez las ogromnych wahadeł. Historia zatoczyła wielkie koło i wróciła do punktu wyjścia.

– Jest tak, jak od dawna się domyślaliśmy: układ trzech ciał jest układem chaotycznym – rzekł doradca do spraw nauki. – Drobne zakłócenia mogą się powiększać bez końca. Nie można matematycznie przewidzieć prawideł ich ruchu.

Wang miał wrażenie, że w jednej chwili jego wiedza naukowa i system myślenia runęły, a w ich miejsce pojawiła się niesłychana dezorientacja.

– Jak możemy wierzyć, że uda się nam odkryć prawa rządzące złożonym Wszechświatem, skoro nawet bardzo prosty układ trzech ciał jest nieprzewidywalnym chaosem?

– Bóg jest bezwstydnym starym graczem. Opuścił nas!

Powiedział to Einstein, wymachując skrzypcami. Wang nie zauważył, kiedy się pojawił.

Sekretarz generalny wolno pokiwał głową.

– Tak, Bóg jest graczem. Jedyną nadzieją dla cywilizacji trisolariańskiej jest przystąpienie do gry.

Po ciemnej stronie nieba znowu wstawał nad horyzontem olbrzymi księżyc. Jego duży, srebrny obraz odbijał się w powierzchni serca wahadła. Światło dziwnie drgało, jakby między sercem wahadła i księżycem zawiązała się tajemnicza więź porozumienia.

– Wygląda na to, że ta cywilizacja osiągnęła bardzo wysoki poziom – powiedział Wang.

– Tak. Opanowaliśmy energię atomu i wkroczyliśmy w epokę informacyjną.

W słowach sekretarza generalnego nie słychać było wielkiej dumy z tych osiągnięć.

– A zatem jest nadzieja. Nawet jeśli nie można poznać prawideł ruchu trzech słońc, cywilizacja może się nadal rozwijać, dojść do stadium, w którym będzie potrafiła się bronić przed katastrofami powodowanymi przez nieregularne ruchy słońc, i przetrwać ery chaosu.

– Dawniej ludzie myśleli tak jak pan i stało się to siłą motywującą trisolariańską cywilizację do wytrwałego odradzania się. Ale dzięki księżycowi uświadomiliśmy sobie, jak naiwne jest takie myślenie. – Sekretarz generalny wskazał księżyc. – Pewnie widzi go pan po raz pierwszy. Właściwie, skoro jest wielkości jednej czwartej naszej planety, nie jest to już księżyc, lecz jej towarzysz w układzie podwójnym. To skutek Wielkiego Rozdarcia.

– Wielkiego Rozdarcia?

– Katastrofy, która zniszczyła poprzednią cywilizację. W odróżnieniu od wcześniejszych cywilizacji tamta została zawczasu ostrzeżona przed tym, co ją czeka. Z ocalałych zapisków wynika, że astronomowie cywilizacji 191 dostatecznie wcześnie dostrzegli zastygłą latającą gwiazdę.

Wangowi ścisnęło się serce, gdy usłyszał to określenie. Zastygła latająca gwiazda była dla Trisolarian złym omenem. Kiedy latająca gwiazda, czyli odległe słońce, zdaje się całkowicie zatrzymywać na widzianym z powierzchni planety tle gwiazd, oznacza to, że wektory ruchu ich obu znalazły się w linii prostej. Możliwa jest wtedy jedna z trzech sytuacji: 1) słońce i planeta poruszają się z tą samą prędkością w tym samym kierunku, 2) słońce i planeta oddalają się od siebie, 3) słońce i planeta zbliżają się do siebie. Przed cywilizacją 191 ta ostatnia możliwość była czysto teoretyczna, bo nigdy nie doszło do takiej katastrofy, ale strach przed nią nie tylko nie zniknął, lecz spowodował, że w wielu cywilizacjach trisolariańskich „zastygła latająca gwiazda” stała się określeniem wielkiego nieszczęścia.

Wystarczyła jedna latająca gwiazda w bezruchu, by całą ludność ogarnęło przerażenie.

– Wówczas zastygły jednocześnie trzy gwiazdy. Ludzie z cywilizacji 191 patrzyli bezradnie na trzy zastygłe latające gwiazdy, trzy słońca opadające wprost na ich świat. Kilka dni później jedno z nich zbliżyło się na tyle, że widać było jego zewnętrzną warstwę gazową. W środku spokojnej nocy gwiazda zmieniła się nagle w gorejące słońce. W mniej więcej trzydziestogodzinnych odstępach pojawiły się kolejno następne dwa. Nie był to normalny dzień trzech słońc. Zanim ostatnia latająca gwiazda przybrała postać słońca, pierwsza przeleciała bardzo blisko planety. Tuż potem przeleciały pozostałe dwie, jeszcze bliżej. Suma sił pływowych trzech słońc była większa od siły grawitacyjnej planety i przekraczała granicę Roche'a[1]. Pierwsze słońce wstrząsnęło do głębi strukturą geologiczną planety, drugie stworzyło sięgającą do jej jądra rozpadlinę, a trzecie rozdarło ją na dwie części.

Sekretarz generalny wskazał gigantyczny księżyc w górze.

– To jest mniejsza część. Nadal są na niej ruiny cywilizacji 191, ale nie ma tam już żadnych form życia. To była największa katastrofa w całej historii Trisolaris. Po rozerwaniu planety dwie jej części o nieregularnych kształtach powróciły pod wpływem grawitacji do postaci kulistej. Gęsty, wrzący materiał z jądra planety wytrysnął na powierzchnię, a nad lawą gotowały się oceany. Kontynenty pływały w magmie jak góry lodowe w morzu. Gdy się zderzały, ziemia stawała się miękka jak ciasto. W ciągu godziny wyrastały góry wysokie na dziesiątki tysięcy metrów i równie szybko znikały. Przez pewien czas obie części były nadal połączone strumieniami roztopionej lawy, które zlały się w przepływającą przez przestrzeń kosmiczną rzekę. Później lawa się schłodziła i przekształciła w pierścienie wokół tych planet, ale były one niestabilne. Skały, które je

tworzyły, spadały na powierzchnię. Ten grad kamieni trwał kilkaset lat… Wyobraża pan sobie to piekło? Była to największa w dziejach planety katastrofa ekologiczna. Na planecie towarzyszce zginęło całe życie, macierzysta planeta też stała się niemal martwą pustynią. W końcu jednak udało się tutaj wykiełkować zarodkom życia i gdy procesy geologiczne się uspokoiły, w nowych oceanach zaczęła stawiać niepewne kroki ewolucja, aż po raz sto dziewięćdziesiąty drugi narodziła się cywilizacja. Cały ten proces trwał dziewięćdziesiąt milionów lat. Położenie Trisolaris we Wszechświecie jest gorsze, niż sobie wyobrażaliśmy. Co się stanie, gdy następnym razem pojawi się zastygła latająca gwiazda? Jest bardzo prawdopodobne, że nasza planeta nie otrze się tylko o krawędź słońca, ale wpadnie w to morze ognia. Z czasem ta możliwość stanie się rzeczywistością. Pierwotnie były to tylko przerażające spekulacje, ale ostatnie odkrycie astronomiczne sprawiło, że wszyscy straciliśmy nadzieję. Jego autorzy mieli zamiar odtworzyć historię formowania się gwiazd i planet na podstawie śladów, które pozostały w naszym układzie gwiezdnym. Zamiast tego odkryli, że w odległej przeszłości w trisolariańskim układzie słonecznym było dwanaście planet. Teraz pozostała tylko ta jedna. Również wyjaśnienie tego jest tylko jedno: reszta została pochłonięta przez trzy słońca! Nasz świat jest jedynym, który ocalał po wielkich łowach. Fakt, że cywilizacja odradzała się sto dziewięćdziesiąt dwa razy, też należy przypisać szczęściu. A w toku dalszych badań odkryliśmy zjawisko „oddychania” tych trzech słońc.

– One oddychają?

– To tylko metafora. Odkrył pan zewnętrzne gazowe warstwy słońc, ale nie wiedział pan, że te warstwy rozszerzają się i kurczą, jakby oddychały. Każdy taki cykl trwa eony. Kiedy taka warstwa się rozszerza, jej grubość może się zwiększyć ponaddziesięciokrotnie. Wtedy zwiększa się średnica

słońca, niczym gigantyczna dłoń, która może tym łatwiej chwytać planety. Gdy planeta mija słońce w bliskiej odległości, dostaje się w jego gazową warstwę. Tarcie sprawia, że traci prędkość i w końcu spada jak meteor w płonące morze słońca, ciągnąc za sobą długi ognisty ogon. Wyniki badań pokazują, że w długiej historii układu trisolariańskiego za każdym razem, kiedy rozszerzały się warstwy gazowe słońc, pochłaniały one jedną albo dwie planety. Pozostałych jedenaście planet wpadło do morza ognia w czasach, kiedy te warstwy były najgrubsze. Obecnie są one w stadium skurczenia. W przeciwnym razie nasza planeta wpadłaby w jedno z nich ostatnim razem, gdy przemknęła obok nich, a tak tylko się o nie otarła. Uczeni przewidują, że do następnego rozszerzenia dojdzie za tysiąc lat.

– Nie możemy dłużej pozostać w tym strasznym miejscu – rzekł Einstein i przysiadł na ziemi jak stary żebrak.

Sekretarz generalny kiwnął głową.

– Nie możemy tu dłużej pozostać. Cywilizacji trisolariańskiej pozostało tylko podjąć grę ze Wszechświatem.

– Jak? – zapytał Wang.

– Musimy opuścić trisolariański układ i wyruszyć na otwarte morze gwiazd. Musimy znaleźć w galaktyce świat, na który będziemy mogli się przenieść.

Wang usłyszał zgrzytliwy dźwięk. Zobaczył, że umieszczona wysoko wciągarka podnosi na cienkiej linie serce wahadła. Gdy dotarło do najwyższego punktu, na niebie za nim zaszedł wolno kurczący się sierp księżyca.

– Uruchomić wahadło – powiedział uroczystym głosem sekretarz generalny.

Wciągarka zwolniła linę przywiązaną do serca, które opadło gładkim łukiem. Początkowo sunęło powoli, ale potem przyspieszyło i u dołu łuku

osiągnęło największą prędkość. Przecinało powietrze z głośnym świstem. Gdy ten dźwięk umilkł, wahadło zatoczyło taki sam łuk, wznosząc się do najwyższego punktu po drugiej stronie. Tam zatrzymało się na chwilę, po czym zaczęło mknąć z powrotem.

Wang czuł, jak pod wpływem ogromnej siły wytwarzanej przez wahadło trzęsie się ziemia. W przeciwieństwie do wahadeł w świecie rzeczywistym jego okres drgań nie był stały, lecz nieustannie się zmieniał. Działo się tak wskutek ciągle zmieniającego się przyciągania gigantycznego księżyca. Gdy znajdował się on po tej stronie planety, jego siła grawitacji częściowo neutralizowała grawitację planety, dzięki czemu wahadło traciło ciężar. Gdy był po drugiej stronie, sumowała się z jej grawitacją, co sprawiało, że ciężar wahadła wzrastał niemal do poziomu, jaki miałoby przed Wielkim Rozdarciem.

Spoglądając na budzące podziw ruchy monumentalnego trisolariańskiego wahadła, Wang zadał sobie pytanie: „Czy przedstawia ono pragnienie porządku czy poddanie się chaosowi?”. Pomyślał też, że wygląda jak olbrzymia metalowa pięść wymachująca po wiek wieków nieczułemu Wszechświatu, że towarzyszy jej bezgłośny, lecz nieustraszony okrzyk bojowy Trisolarian…

Kiedy jego oczy zaszły łzami, zobaczył tekst na tle bujającego się wahadła:

> Sto pięćdziesiąt jeden lat później cywilizacja 192 została zniszczona przez płomienie dwóch słońc, które pojawiły się jednocześnie. Doszła ona w swym rozwoju do epoki atomu i epoki informatycznej.
>
> Była kamieniem milowym w dziejach cywilizacji trisolariańskich. Ostatecznie dowiodła, że problem trzech ciał jest nierozwiązywalny. Zaprzestała daremnych wysiłków, które ponawiano przez 191 cykli, i wyznaczyła drogę przyszłym cywilizacjom. Tak oto zmienił się cel *Trzech ciał*.

Teraz cel jest taki: Kierujcie się ku gwiazdom, znajdźcie nowy dom.
Zapraszamy cię do ponownego zalogowania.

Po wylogowaniu Wang poczuł się wyczerpany, tak samo jak po każdej z poprzednich sesji, ale tym razem odpoczywał tylko pół godziny, a potem zalogował się ponownie.

Tym razem na czarnym jak smoła tle pojawił się niespodziewanie komunikat:

Sytuacja jest pilna. Serwery *Trzech ciał* zostaną niebawem zamknięte. Proszę się swobodnie logować w czasie, który pozostał. *Trzy ciała* zmierzają teraz wprost do sceny finałowej.

1 Édouard Roche, francuski astronom, pierwszy obliczył promień teoretycznej sfery wokół masywniejszego obiektu w układzie dwóch ciał niebieskich, wewnątrz której mniejsze ciało ulega rozerwaniu przez siły pływowe pochodzące od ciała większego. Odległość ta, zwana granicą Roche'a, jest funkcją gęstości obu ciał i promienia równikowego większego z nich [przyp. autora i tłumacza].

20

Ekspedycja

Zimny świt ukazał goły krajobraz. Nie było piramidy, siedziby głównej Organizacji Narodów Zjednoczonych ani śladu po wahadłowym pomniku, tylko ciemna pustynia, która ciągnęła się po horyzont, tak jak za pierwszym razem, kiedy się zalogował.

Wkrótce jednak Wang zdał sobie sprawę, że liczne kamienie, którymi usiana była pustynia, nie były wcale kamieniami, lecz ludzkimi głowami. Stał tam gęsty tłum.

Ze szczytu małego wzgórza, na którym się znajdował, nie widział końca morza ludzi. Ocenił, że liczba tylko tych, których miał w polu widzenia, sięga setek milionów. Pewnie zebrali się tutaj wszyscy mieszkańcy Trisolaris.

Milczenie tych nieprzebranych rzesz wytwarzało duszną, osobliwą atmosferę. „Na co czekają?” Wang rozejrzał się i zauważył, że wszyscy wpatrują się w niebo.

Podniósł głowę i stwierdził, że zaskakująco zmienił się widok gwiaździstego nieba. Gwiazdy tworzyły kwadrat! Wkrótce jednak zorientował się, że cały ten układ gwiazd porusza się synchronicznie po orbicie wokół planety na tle słabiej świecącej, odległej Drogi Mlecznej.

Najjaśniejsze były w tym układzie gwiazdy, które znajdowały się najbliżej strony, gdzie zaczynało świtać. Im dalej były od tego skraju, tym mniejsza była ich jasność. Wang naliczył ponad trzydzieści gwiazd z każdego boku kwadratu, co znaczyło, że w sumie jest ich ponad tysiąc. Powolny ruch ewidentnie sztucznego układu na tle rozgwieżdżonego Wszechświata emanował siłą.

Stojący obok niego mężczyzna szturchnął go lekko i powiedział cichym głosem:

– Ach, wielki Koperniku, dlaczego przybyłeś tak późno? Minęły trzy cykle cywilizacji, więc przegapiłeś wiele wspaniałych przedsięwzięć.

– Co to jest? – zapytał Wang, wskazując niebo.

– Trisolariańska flota międzygwiezdna. Niebawem rozpocznie ekspedycję.

– Trisolariańska cywilizacja już jest zdolna do podróży międzygwiezdnych?

– Tak. Te wszystkie wspaniałe statki mogą rozwinąć szybkość równą jednej dziesiątej prędkości światła.

– To wspaniałe osiągnięcie, przynajmniej wedle mojej wiedzy, ale wydaje się, że ta prędkość nadal jest zbyt mała, by można było odbywać podróże międzygwiezdne.

– Wyprawa na odległość tysiąca kilometrów zaczyna się od zrobienia pierwszego kroku. Kluczem jest znalezienie właściwego celu.

– A jaki jest cel podróży tej floty?

– Gwiazda oddalona o około czterech lat świetlnych, położona najbliżej układu Trisolaris.

Wang zdumiał się.

– Gwiazda położona najbliżej nas też znajduje się w odległości około czterech lat świetlnych.

– Was?

– Ziemi.

– Och, nie ma w tym nic dziwnego. W większości rejonów Drogi Mlecznej rozmieszczenie gwiazd jest w miarę jednakowe. To skutek tego, że z upływem czasu gwiazdy tworzą skupiska pod wpływem siły grawitacji. Odległości między większością z nich wynoszą od trzech do sześciu lat świetlnych.

Z tłumu podniósł się potężny, radosny krzyk. Wang znowu podniósł głowę i zobaczył, że wszystkie gwiazdy w formacji szybko stają się jaśniejsze. Działo się tak wskutek emitowania światła przez statki. Ich blask wkrótce przesłonił brzask. Trisolaris była w nim skąpana jak w świetle dziennym. Tłum wzniósł ręce i trwał w zachwycie.

Trisolariańska flota zaczęła przyspieszać i uroczyście przesuwała się po kopule niebios obok skraju gigantycznego księżyca, który właśnie wschodził, zalewając znajdujące się na nim góry i równiny niebieskawą poświatą.

Radosne okrzyki ucichły. Mieszkańcy Trisolaris patrzyli w skupieniu, jak ich nadzieja stopniowo znika na zachodzie. Za swego życia nie poznają wyniku wyprawy, ale za czterysta–pięćset lat ich potomkowie otrzymają wiadomość z innego świata, który będzie początkiem nowego życia dla cywilizacji trisolariańskiej. Wang stał z nimi i patrzył w milczeniu, dopóki falanga tysiąca gwiazd nie skurczyła się do wielkości jednej gwiazdy i nie zniknęła po zachodniej stronie nieba. Pokazał się tekst:

Zaczęła się trisolariańska wyprawa do nowego świata. Flota wciąż leci…

To koniec *Trzech ciał*. Jeśli chcesz dotrzymać złożonej obietnicy, po powrocie do rzeczywistego świata przyjdź na spotkanie Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris pod adresem, który otrzymasz w e-mailu.

Część III

Zachód ludzkości

21

Ziemscy rebelianci

Tym razem przyszło dużo więcej osób niż na poprzednie spotkanie. Zebrali się w stołówce pracowniczej zakładów chemicznych. Fabryka została przeniesiona gdzie indziej i wnętrze budynku, który miał zostać wkrótce zburzony, było zniszczone, za to przestronne. Zgromadziło się tam około trzystu uczestników gry. Wang Miao dostrzegł wiele znanych twarzy – celebrytów i przedstawicieli elit z różnych sfer: słynnych naukowców, pisarzy, polityków i tak dalej. Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jego uwagę, było dziwne urządzenie stojące pośrodku sali. Nad metalową podstawą wirowały trzy srebrne kule, mniejsze od kul do kręgli. Domyślił się, że prawdopodobnie działa ono na zasadzie lewitacji magnetycznej. Orbity tych kul były całkowicie przypadkowe – była to materialna wersja problemu trzech ciał.

Reszta nie zwracała uwagi na artystyczne przedstawienie tego zagadnienia. Ich spojrzenia skupiły się na Pan Hanie, który stał na rozklekotanym stole.

– Zamordowałeś towarzyszkę Shen Yufei? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Tak – odparł z całkowitym spokojem Pan Han. – To dlatego, że wśród adwentystów są tacy zdrajcy jak ona, nasza organizacja znalazła się

w sytuacji kryzysowej.

– Kto dał ci prawo zabijać?

– Zrobiłem to w poczuciu odpowiedzialności za Ruch.

– Ty masz poczucie odpowiedzialności? Moim zdaniem zawsze miałeś w sercu złość.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Co zrobiła sekcja środowiskowa pod twoim kierunkiem? Twoim obowiązkiem jest wykorzystywanie i stwarzanie problemów ekologicznych dla wzbudzania w ludziach nienawiści do nauki i nowoczesnego przemysłu. Tymczasem ty wykorzystałeś technologię i prognozy Pana dla zdobycia bogactwa i sławy!

– Uważasz, że stałem się sławny dla mojego własnego dobra? Dla mnie cały rodzaj ludzki jest kupą śmieci. Miałbym się przejmować tym, co o mnie myślą? Ale gdybym nie był sławny, jak miałbym ukierunkowywać ich myślenie?

– Zawsze bierzesz łatwe zadania, a unikasz trudnych. To, co osiągnąłeś, lepiej zrobiliby zwykli ekolodzy. Są szczerzy i pełni pasji, więc łatwo moglibyśmy wykorzystać ich działania dla naszych celów. Twoja sekcja środowiskowa powinna wywoływać katastrofy, a potem zbijać na nich kapitał. Na przykład zatruwać zbiorniki wodne, doprowadzać do wycieków toksycznych związków z zakładów chemicznych… Zrobiliście kiedyś coś takiego? Ani razu!

– Opracowaliśmy liczne programy i plany, ale komendantka je zawetowała. Zresztą takie działania byłyby głupie, przynajmniej wcześniej. Sekcja biologii i medycyny spowodowała raz katastrofę przez zachęcanie do nadużywania antybiotyków, ale szybko zostało to wykryte. Jej europejski oddział omal nie ściągnął na nas uwagi władz.

– I ty mówisz o ściąganiu uwagi! Właśnie popełniłeś morderstwo!

– Wysłuchajcie mnie, towarzysze! Wcześniej czy później musiało do tego dojść. Na pewno wiecie już, że rządy na całym świecie przygotowują się do wojny. W Europie i Ameryce Północnej rozprawiają się już z Ruchem. Kiedy zacznie się to tutaj, redempcjoniści bez wątpienia sprzymierzą się z rządem. A zatem najważniejszym zadaniem, które teraz przed nami stoi, jest przeprowadzenie czystki w organizacji i usunięcie z niej redempcjonistów!

– To nie leży w twoich kompetencjach.

– Oczywiście decyzja należy do komendantki, ale mogę wam od razu powiedzieć, towarzysze, że ona jest adwentystką.

– Teraz już zmyślasz. Wszyscy wiedzą, że komendantka kontroluje sytuację. Gdyby naprawdę było tak, jak mówisz, redempcjoniści zostaliby usunięci już dawno temu.

– Może komendantka ma jakieś powody, by ich nadal trzymać. Może właśnie po to zostało zwołane dzisiejsze zebranie.

Potem zgromadzeni przestali się zajmować Pan Hanem i skoncentrowali się na kryzysie, w którego obliczu się znaleźli. Na stół wskoczył słynny naukowiec, laureat Nagrody Turinga, i zwrócił się do tłumu:

– Co powinniśmy zrobić?

– Wszcząć rebelię na całym świecie!

– Wtedy sami prosilibyśmy się o zabicie!

– Niech żyje duch Trisolaris! Wytrwamy jak uparta trawa, która odrasta po każdym pożarze buszu!

– Dzięki rebelii staniemy się znani na światowej scenie politycznej. Będzie to pierwsze publiczne pojawienie się Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris. Jestem pewien, że jeśli będziemy mieli odpowiedni plan działania, uzyskamy szerokie poparcie.

Tę ostatnią uwagę wygłosił Pan Han. Wielu obecnych przyjęło ją brawami.

– Jest tutaj komendantka! – krzyknął ktoś.

Tłum rozstąpił się, robiąc jej przejście.

Kiedy Wang spojrzał tam, zakręciło mu się w głowie. Świat stał się czarno-biały, jedyną barwną plamą była osoba, która właśnie się pojawiła.

Szła ku nim statecznym krokiem, w otoczeniu młodych ochroniarek, dowódczyni ziemskich zwolenników Trisolaris, Ye Wenjie.

Stanęła pośrodku miejsca, które zrobili dla niej zebrani, uniosła kościstą pięść i z siłą i determinacją, o którą Wang by jej nie podejrzewał, powiedziała:

– Dość ludzkiej tyranii!

– Świat należy do Trisolarian! – odpowiedział tłum w sposób, który wyraźnie świadczył, że przećwiczono to już wiele razy.

– Witajcie, towarzysze! – pozdrowiła Ye zebranych. Powróciła do znanego Wangowi łagodnego tonu. Dopiero teraz zyskał całkowitą pewność, że to naprawdę ona. – Ostatnio spędzałam z wami mało czasu, bo nie czułam się dobrze, ale teraz sytuacja stała się pilna. Wiem, że wszyscy żyjecie w wielkim napięciu, więc przybyłam zobaczyć się z wami.

– Komendantko, zadbaj o siebie – rozległ się chór głosów.

Wang usłyszał w nich autentyczną troskę.

– Zanim przejdziemy do ważniejszych spraw, zajmijmy się najpierw drobną rzeczą. Pan Han… – powiedziała, nie spuszczając wzroku z zebranych.

– Tutaj jestem. – Pan Han wyłonił się z tłumu, w którym wcześniej starał się ukryć.

Udawał, że jest spokojny, ale widać było, że się boi. Dowódczyni nie nazwała go towarzyszem, co było złym znakiem.

– Poważnie pogwałciłeś zasady organizacji – rzekła Ye, nie patrząc na niego. Nadal mówiła spokojnym głosem, jak do niegrzecznego dziecka.

– Komendantko, organizacji grozi kryzys, którego może nie przetrwać! Jeśli nie podejmiemy zdecydowanych kroków i nie usuniemy zdrajców i wrogów wewnętrznych, stracimy wszystko!

Ye spojrzała na Pana czule, ale jego serce na chwilę się zatrzymało.

– Najwyższym celem i ideałem RZT jest stracić wszystko, wszystko, co teraz należy do ludzi, włącznie z naszym życiem – powiedziała.

– Wobec tego musisz być adwentystką! Komendantko, powiedz, proszę, że to prawda, bo to bardzo ważne. Towarzysze, mam rację? Bardzo ważne! – krzyknął i machnął ręką, rozglądając się wokół, ale tłum milczał.

– Nie masz prawa o to prosić. Poważnie pogwałciłeś nasze zasady. Jeśli chcesz powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, to przyszła na to pora. W przeciwnym razie będziesz musiał ponieść konsekwencje swego czynu – mówiła powoli Ye, starannie wypowiadając każde słowo, jakby się obawiała, że niegrzeczne dziecko, któremu daje nauczkę, ma kłopoty z jej zrozumieniem.

– Pojechałem tam zlikwidować Wei Chenga, tego geniusza matematycznego. Decyzję podjął towarzysz Evans, a komitet jednogłośnie ją zatwierdził. Jeśli Wei uda się stworzyć matematyczny model problemu trzech ciał, Pan nie przybędzie i wielkie przedsięwzięcie Trisolaris na Ziemi upadnie. Działałem w samoobronie, bo Shen Yufei strzeliła do mnie pierwsza.

Ye kiwnęła głową.

– Powiedzmy, że ci wierzymy. Zresztą to nie jest najważniejsze. Mam nadzieję, że nadal możemy ci wierzyć. Powtórz prośbę, którą przed chwilą do mnie skierowałeś.

Pan Han na sekundę osłupiał. Wydawało się, że to, iż przeszła do rzeczy, wcale go nie uspokoiło.

– Poprosiłem… żebyś otwarcie oświadczyła, iż jesteś adwentystką. W końcu plan działania adwentystów to też twój ideał.

– Wobec tego powtórz, jaki jest to plan.

– Ludzkość nie może już liczyć na to, że rozwiąże swoje problemy własnymi siłami. Nie może już liczyć na to, że własnymi siłami zapanuje nad swoim szaleństwem. Dlatego prosimy Pana, by przybył na ten świat i przekształcił nas swą mocą tak, byśmy stworzyli całkowicie nową, doskonałą ludzką cywilizację.

– Czy adwentyści w to wierzą i całym sercem popierają ten plan?

– Oczywiście! Komendantko, nie wierz fałszywym pogłoskom.

– To nie jest fałszywa pogłoska! – krzyknął jakiś mężczyzna i przepchnął się naprzód. – Nazywam się Rafael, jestem z Izraela. Trzy lata temu mój czternastoletni syn zginął w wypadku. By dać wyraz nadziei, że dwa narody mogą żyć w pokoju, kazałem przekazać jego nerkę palestyńskiej dziewczynie cierpiącej na niewydolność tych narządów. Dla tego ideału gotów byłem poświęcić własne życie. Dążyło do tego wielu Izraelczyków i Palestyńczyków, ale na nic się to zdało. Nasz kraj pogrąża się w spirali aktów zemsty. Straciłem wiarę w ludzkość i przystąpiłem do RZT. Z rozpaczy z pacyfisty zmieniłem się w ekstremistę. Pewnie dlatego, że przekazałem organizacji dużo pieniędzy, zostałem członkiem kadry adwentystów. I coś wam teraz powiem: adwentyści mają własne, tajne plany. A oto one: ludzka cywilizacja popełniła niewybaczalne zbrodnie przeciw Ziemi i musi zostać za to ukarana. Ostatecznym celem adwentystów jest ubłaganie Pana, by wymierzył tę boską karę i zniszczył całą ludzkość.

– Prawdziwy program adwentystów jest teraz tajemnicą poliszynela! – krzyknął ktoś.

– Ale nie wiecie, że to nie oni wypracowali ten program. Cel od samego początku wyznaczał Evans – miało to być spełnienie jego marzeń. Okłamał organizację, okłamał wszystkich, włącznie z komendantką! Cały czas dążył do osiągnięcia swego celu. Przekształcił adwentystów w królestwo strachu, zaludnione przez ekstremistów spod znaku ochrony środowiska naturalnego i szaleńców pałających nienawiścią do ludzkości.

– Jego prawdziwe myśli poznałam dużo później – powiedziała Ye. – Mimo to starałam się zatrzeć różnice, by nie doprowadzić do rozłamu w RZT. Niestety uniemożliwiły to późniejsze działania podjęte przez adwentystów.

– Komendantko – powiedział Pan Han – adwentyści są jądrem RZT. Bez nas nie będzie Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris.

– Nie możesz jednak z tego powodu monopolizować całej komunikacji między Panem i organizacją.

– Zbudowaliśmy bazę Drugi Czerwony Brzeg i oczywiście powinniśmy nią kierować.

– Adwentyści wykorzystali to i dopuścili się niewybaczalnej zdrady wobec organizacji. Przechwytywaliście wiadomości od Pana i przekazywaliście tylko ich część, a i to zniekształcaliście. Poza tym wysłaliście Panu z bazy Drugi Czerwony Brzeg dużo informacji bez aprobaty organizacji.

Zapanowała upiorna cisza. Wangowi zaczęły się jeżyć włosy na głowie.

Pan Han nic na to nie odpowiedział. Miał lodowatą minę, jak gdyby mówił: „No i w końcu się stało”.

– Jest dużo dowodów na to, że adwentyści zdradzili – ciągnęła Ye. – Jednym ze świadków była towarzyszka Shen Yufei. Chociaż należała do

trzonu adwentystów, w głębi serca pozostała zdecydowaną redempcjonistką. Dopiero niedawno to odkryliście. Za dużo wiedziała, więc kiedy Evans cię wysłał, miałeś zabić nie jedną, ale dwie osoby.

Pan Han rozejrzał się, najwyraźniej oceniając sytuację. Nie uszło to uwagi Ye.

– Jak widzisz, większość uczestników tego spotkania stanowią członkowie frakcji redempcjonistów. Wierzę, że ci nieliczni adwentyści, którzy są tutaj, staną po stronie organizacji. Ale takich ludzi jak ty i Evans nie da się już ocalić. Musimy całkowicie rozwiązać problem adwentystów, by ochronić program i ideały RZT.

Znowu zapadła cisza. Dwie czy trzy minuty później jedna z ochroniarek Ye, piękna młoda kobieta, uśmiechnęła się. Uśmiech był tak ujmujący, że zwróciły się na nią oczy wszystkich. Podeszła zmysłowym krokiem do Pan Hana.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Sięgnął pod połę marynarki, ale kobieta skoczyła tak szybko, że nie nadążał za nią wzrok. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, owinęła szczupłą rękę wokół szyi Hana, drugą umieściła na czubku jego głowy i z siłą, której nikt by się po niej nie spodziewał, obróciła ją wyćwiczonym ruchem o 180 stopni. W kompletnej ciszy rozległ się trzask pękających kręgów szyjnych. Pan Han runął na ziemię, a pistolet, którym zabił Shen Yufei, potoczył się pod stół. Jego ciałem nadal wstrząsały drgawki, oczy pozostały otwarte, z ust wysunął się język. Ale głowa już się nie poruszała, jakby nigdy nie była częścią jego ciała. Podeszło do niego kilku mężczyzn i odciągnęli go. Krew cieknąca z jego ust zostawiła długi ślad na podłodze.

– A, Miao, też tu jesteś. Jak się masz? – Spojrzenie Ye padło na Wanga. Uśmiechnęła się do niego lekko i kiwnęła głową. Potem zwróciła się do pozostałych: – To profesor Wang, członek Chińskiej Akademii Nauk i mój

znajomy. Zajmuje się badaniem nanomateriałów. To pierwsza technologia, którą Pan chce usunąć z Ziemi.

Nikt na niego nie spojrzał, a on sam nie miał siły, by coś powiedzieć. Żeby nie upaść, chwycił za rękaw mężczyznę, który stał obok niego, ale tamten odsunął jego rękę.

– Miao, może opowiem dalszy ciąg historii Czerwonego Brzegu od momentu, gdzie ostatnio skończyłam? Pozostali towarzysze też mogą jej posłuchać. To nie będzie strata czasu. W tej niezwykłej chwili przyjrzyjmy się historii naszej organizacji.

– Czerwony Brzeg… Jeszcze pani nie skończyła? – zapytał głupio Wang.

Ye powoli podeszła do modelu trzech ciał. Wydawała się pochłonięta obracającymi się srebrnymi kulami. Przez wybitą szybę padało na nie światło zachodzącego słońca i odbijając się od ich powierzchni, tryskało na dowódczynię niczym skry z ogniska.

– Nie. Dopiero zaczęłam – odparła cicho Ye.

22

Czerwony Brzeg V

Od przylotu do Czerwonego Brzegu Ye Wenjie nigdy nie myślała, że kiedykolwiek opuści bazę. Gdy dowiedziała się, jaki jest rzeczywisty cel realizowanego tam projektu (był on tak ściśle tajny, że nie znało go nawet wielu członków kadry średniego szczebla), zerwała wszelkie więzi duchowe z zewnętrznym światem i całkowicie poświęciła się pracy. Później jeszcze bardziej zaangażowała się w kluczowe dla bazy sprawy techniczne i zaczęła podejmować ważniejsze tematy badawcze.

Komisarz Lei nigdy nie zapomniał, że to główny inżynier Yang zaufał jej pierwszy, ale cieszył się, że może jej zlecić ważniejsze zadania. Z powodu swego statusu politycznego nie miała żadnych praw do rezultatów swych badań, a Lei, który wcześniej studiował astrofizykę, był nie tylko oficerem politycznym, ale także intelektualistą, co było wówczas rzadkim połączeniem. Mógł zatem przypisywać sobie zasługi za wyniki osiągane przez Ye i występować jako autor jej artykułów, dzięki czemu stał się wyjątkowym politrukiem, pełnym zapału rewolucyjnego, ale też mającym wiedzę techniczną.

Baza Czerwony Brzeg przejęła początkowo Ye z powodu artykułu stanowiącego próbę opracowania matematycznego modelu Słońca, który

jako magistrantka opublikowała w „Journal of Astrophysics”. W porównaniu z Ziemią Słońce było dużo prostszym układem fizycznym, składającym się niemal całkowicie z wodoru i helu. Chociaż procesy zachodzące na Słońcu przebiegały gwałtownie, były względnie proste i polegały na łączeniu się helu z wodorem. Było zatem prawdopodobne, że model matematyczny opisze je dość dokładnie. Artykuł dotyczył spraw podstawowych, ale Lei i Yang widzieli w nim nadzieję na rozwiązanie pewnej trudności technicznej w układzie monitorującym, spowodowanej nakładaniem się promieniowania słonecznego na fale odbierane przez bazę. Termin ten zapożyczono od raczkującej łączności satelitarnej.

Kiedy Ziemia, sztuczny satelita i Słońce znajdują się w linii prostej, tłem widoku z umieszczonej na powierzchni Ziemi anteny jest Słońce. Jest ono ogromnym źródłem promieniowania elektromagnetycznego, które zakłóca i tłumi przekazy satelitarne wysyłane na Ziemię. Tego problemu nie da się rozwiązać jeszcze w XXI wieku.

Z takimi właśnie zakłóceniami musiała się borykać baza Czerwony Brzeg, tyle że ich źródło (Słońce) znajdowało się między nadajnikiem (przestrzeń kosmiczna) i odbiornikiem na Ziemi. Zakłócenia sygnałów wysyłanych przez bazę były częstsze i silniejsze niż komunikatów nadawanych za pośrednictwem satelitów. Czerwony Brzeg zbudowano oszczędniej, niż przewidywał plan, powierzając transmisje i odbiór sygnałów jednej antenie. Wskutek tego czas monitorowania stał się tym cenniejszy, a słoneczne zakłócenia sygnałów tym większą zmorą.

Lei i Yang mieli prosty pomysł na wyeliminowanie zakłóceń – ustalić spektrum częstotliwości i charakterystyczne cechy promieniowania słonecznego w monitorowanym zakresie, a następnie odfiltrować je cyfrowo. Obaj mieli wykształcenie techniczne, co w owym czasie, gdy osobami znającymi się na rzeczy kierowały nieuki, było uśmiechem losu.

Yang jednak nie miał pojęcia o astrofizyce, a Lei, wybrawszy karierę oficera politycznego, też nie zdobył gruntownej wiedzy. W istocie elektromagnetyczne promieniowanie Słońca było stałe tylko w ograniczonym zakresie od prawie ultrafioletowego do połowy podczerwieni (włącznie z światłem widzialnym). W pozostałych było zmienne i nieprzewidywalne.

Ye zaznaczyła wyraźnie w swoim artykule, że w okresach intensywnej aktywności Słońca – plam, rozbłysków, koronalnych wyrzutów masy i tak dalej – nie da się wyeliminować powodowanych przez nie zakłóceń. Obszar jej badań został sprowadzony do częstotliwości monitorowanych przez Czerwony Brzeg w okresach normalnej aktywności Słońca.

Warunki do prowadzenia badań w Czerwonym Brzegu nie były złe. Biblioteka mogła uzyskiwać związane z tematem materiały w obcych językach, włącznie z aktualnymi wydaniami europejskich i amerykańskich czasopism naukowych. Ye mogła też łączyć się przez wojskową linię telefoniczną z dwoma ośrodkami Chińskiej Akademii Nauk, zajmującymi się badaniami Słońca, i otrzymywać faksem wyniki ich obserwacji.

Po pół roku badań nie zaświtał nawet promyk nadziei na sukces. Ye szybko odkryła, że w monitorowanych przez Czerwony Brzeg zakresach częstotliwości promieniowanie słoneczne zmieniało się w nieprzewidywalny sposób. Co więcej, analizując duże ilości danych obserwacyjnych, natknęła się na zadziwiającą zagadkę. Czasami, kiedy widziała fluktuacje promieniowania słonecznego, powierzchnia Słońca była spokojna. Potwierdzały to tysiące danych i nie mogła tego zrozumieć.

Ponieważ setki tysięcy kilometrów materiału słonecznego wchłonęłyby promieniowanie krótko- i mikrofalowe powstające w jądrze Słońca, musiało ono być wynikiem jego aktywności na powierzchni. Podczas powstawania tych nagłych fluktuacji powinna ona być widoczna. Skoro nie

było na niej odpowiadających tym fluktuacjom zakłóceń, co je wywoływało? Im więcej o tym myślała, tym bardziej wydawało się to tajemnicze.

Gdy wyczerpały się jej pomysły, poddała się. W ostatnim raporcie poinformowała, że nie potrafi rozwiązać tego problemu. Nie powinno to być wielką sprawą. Wojsko poprosiło kilka zespołów badawczych z Chińskiej Akademii Nauk i uniwersytetów, żeby zajęły się zbadaniem tego dziwnego zjawiska, ale wszystkie starania na nic się nie zdały. Yang chciał spróbować jeszcze raz, licząc na niezwykły talent Ye. Lei postawił sobie prostsze zadanie – chciał, by Ye napisała na ten temat referat. Przedmiot badań był bardzo teoretyczny, ukazałoby więc to lepiej jego wiedzę fachową i umiejętności. Teraz, kiedy chaos w społeczeństwie się kończył, zmieniały się wymogi stawiane kadrom. Pojawiła się pilna potrzeba pozyskania takich ludzi jak on – politycznie dojrzałych i mających osiągnięcia akademickie. Oczywiście zaczęła się przed nim rysować świetlana przyszłość. Tak naprawdę nie obchodziło go, czy uda się rozwiązać problem zakłóceń powodowanych przez promieniowanie słoneczne.

Ostatecznie jednak Ye nie oddała tego raportu, bo doszła do wniosku, że jeśli projekt badawczy zostanie zakończony, biblioteka w bazie przestanie otrzymywać zagraniczne pisma naukowe i inne materiały i nie będzie już miała dostępu do bogatej skarbnicy danych astrofizycznych. Nominalnie kontynuowała więc badania, chociaż w rzeczywistości skupiała się na dopracowaniu swego matematycznego modelu Słońca.

Pewnego wieczoru siedziała jak zwykle sama w zimnej czytelni w bazie. Na długim stole przed nią leżała sterta dokumentów i czasopism. Po wykonaniu zbioru nudnych i żmudnych obliczeń chuchnęła w dłonie, by je ogrzać, i podniosła najnowszy numer „Journal of Astrophysics”, by się

trochę rozerwać. Gdy go kartkowała, jej uwagę zwróciła krótka notatka o Jowiszu.

> W artykule zamieszczonym w poprzednim numerze pod tytułem *Nowe potężne źródło promieniowania w Układzie Słonecznym* doktor Harry Peterson z Obserwatorium Mount Wilson opublikował zbiór danych uzyskanych przypadkiem podczas obserwowania precesji Jowisza, w tym dotyczących silnego promieniowania elektromagnetycznego odkrytego 12 czerwca i 2 lipca, które trwało, odpowiednio, 81 i 76 sekund. Podczas tych wybuchów aktywności radiowej Peterson zaobserwował też pewne zmiany w Wielkiej Czerwonej Plamie. Wybuchy aktywności radiowej na Jowiszu wzbudziły wielkie zainteresowanie planetologów. W artykule w obecnym numerze 6. McKenzie dowodzi, że jest to oznaka, iż w jądrze Jowisza zaczyna się fuzja. W następnym numerze wydrukujemy artykuł Inoue Kumosekiego, który uważa, że wybuchy aktywności radiowej na Jowiszu są skutkiem działania dużo bardziej złożonego mechanizmu – ruchów wewnętrznych warstw metalicznego wodoru – i podaje ich pełen opis matematyczny.

Ye dobrze pamiętała dwie daty podane w artykule. W tamtych okresach również w układzie monitoringu Czerwonego Brzegu pojawiły się silne zakłócenia spowodowane wybuchami na Słońcu. Sprawdziła to w dzienniku obserwacji i okazało się, że pamięć jej nie zawiodła, tyle że wybuchy na Słońcu nastąpiły szesnaście minut i czterdzieści dwie sekundy po zakłóceniach z Jowisza.

„Te szesnaście minut i czterdzieści dwie sekundy mają decydujące znaczenie!” – pomyślała. Starała się zapanować nad gwałtownym biciem serca i poprosiła bibliotekarza, by skontaktował się z Obserwatorium Narodowym i uzyskał efemerydy pozycji Ziemi i Jowisza podczas tych dwóch wybuchów.

Narysowała na tablicy wielki trójkąt. Jego trzema wierzchołkami były Słońce, Ziemia i Jowisz. Zapisała wzdłuż boków trójkąta odległości między

nimi, a obok Ziemi czasy pojawienia się zakłóceń. Na podstawie odległości Jowisza od Ziemi łatwo było obliczyć czas, jakiego potrzebowały fale radiowe, by dotrzeć do Ziemi. Potem obliczyła czas, jaki zajęło dotarcie fal z Jowisza do Słońca i stamtąd do Ziemi. Różnica między nimi wynosiła dokładnie szesnaście minut i czterdzieści dwie sekundy!

Ye przeniosła uwagę na swój matematyczny model budowy Słońca i starała się znaleźć teoretyczne wyjaśnienie tego zjawiska. Jej spojrzenie przyciągnął opis – jak to nazwała – „luster energii" w strefie promieniowania słonecznego.

Energia wytwarzana w wyniku reakcji zachodzących w jądrze słonecznym ma początkowo postać promieni gamma. Strefa promieniowania, rejon otaczający jądro, wchłania te obdarzone wielką energią protony i ponownie je wysyła z nieco mniejszą energią. Po długim okresie kolejno następujących po sobie faz wchłaniania i reemisji (opuszczenie Słońca może zająć fotonowi tysiąc lat) promieniowanie gamma staje się promieniowaniem rentgenowskim, skrajnie ultrafioletowym, ultrafioletowym, i w końcu przekształca się w światło widzialne i inne formy promieniowania.

Takie były znane fakty o Słońcu. Ale model Ye prowadził do nowego ustalenia. W miarę jak promieniowanie spadało, przechodząc przez te różne częstotliwości na swojej drodze, między jego różnymi typami tworzyły się granice. Kiedy energia przekraczała każdą z nich, częstotliwość promieniowania gwałtownie słabła. Było to sprzeczne z tradycyjnym poglądem, że częstotliwość promieniowania stopniowo się zmniejsza podczas wydobywania się energii z jądra. Obliczenia Ye pokazywały, że granice te odbijały promieniowanie pochodzące z niższej częstotliwości, i dlatego właśnie nazwała je „lustrami energii".

Ye dokładnie badała te podobne do membran powierzchnie, zawieszone w plazmowym oceanie Słońca, i odkryła, że mają mnóstwo cudownych właściwości. Jedną z najbardziej niewiarygodnych nazwała „uzyskaną odblaskowością”. Była to jednak cecha tak dziwna, że trudno było potwierdzić jej istnienie, i nawet Ye niezupełnie wierzyła, iż jest ona rzeczywista. Wydawała się raczej wynikiem jakiegoś błędu w skomplikowanych, przyprawiających o zawrót głowy obliczeniach.

Teraz jednak zrobiła pierwszy krok w celu potwierdzenia swego domysłu co do uzyskanej odblaskowości słonecznych luster energii. Lustra energii nie tylko odbijały promieniowanie o niższej częstotliwości, ale też je wzmacniały! Wszystkie te tajemnicze, pojawiające się nagle fluktuacje w wąskich pasmach częstotliwości, które wcześniej obserwowała, były w rzeczywistości wynikiem innego promieniowania docierającego z przestrzeni kosmicznej i wzmacnianego po odbiciu się od lustra energii w Słońcu. Właśnie dlatego na powierzchni Słońca nie widać było żadnych zakłóceń.

Tym razem promieniowanie radiowe z Jowisza odbiło się od lustra po powiększeniu o sto milionów razy. Na Ziemię trafiły obie emisje, przed i po powiększeniu, w odstępie szesnastu minut i czterdziestu dwóch sekund.

Słońce było wzmacniaczem fal radiowych.

Pojawiło się jednak pytanie. Słońce musi w każdej sekundzie otrzymywać promieniowanie elektromagnetyczne z kosmosu, w tym fale radiowe wysyłane z Ziemi. Dlaczego wzmacniane są tylko niektóre z nich? Odpowiedź była prosta: oprócz selektywnego działania luster energii na odbijane przez nie częstotliwości głównym powodem był efekt ekranowania słonecznej strefy konwekcji. Bez końca wrząca strefa konwekcji, która znajdowała się nad strefą promieniowania, była najbardziej zewnętrzną płynną warstwą Słońca. By dotrzeć do luster energii

w strefie promieniowania, gdzie zostawały wzmocnione i odbite, fale radiowe docierające z przestrzeni kosmicznej musiały najpierw przejść przez strefę konwekcji. Oznaczało to, że fale docierające do luster energii musiały być silniejsze od wartości progowej. Ogromna większość ziemskich źródeł fal radiowych nie mogła pokonać tego progu, natomiast dla wybuchów radiowych na Jowiszu nie stanowiły one przeszkody.

Również maksymalna siła transmisji wysyłanych z Czerwonego Brzegu przekraczała wartość progową!

Problem zakłóceń powodowanych przez promieniowanie słoneczne nie został rozwiązany, ale pojawiła się inna ekscytująca możliwość. Ludzie mogli wykorzystać Słońce jako superantenę i wysyłać przez nią fale radiowe w kosmos. Dzięki potędze Słońca byłyby one setki milionów razy silniejsze od całkowitej mocy urządzeń transmisyjnych na Ziemi.

Ziemska cywilizacja uzyskała sposób przesyłania sygnałów na poziomie cywilizacji II typu według klasyfikacji Kardaszewa.

Następnym krokiem było porównanie kształtów fal dwóch emisji na Jowiszu z kształtami wybuchów słonecznych odebranych przez Czerwony Brzeg. Gdyby do siebie pasowały, jej domysł uzyskałby kolejne potwierdzenie.

Ye złożyła w dowództwie bazy prośbę o pozwolenie na bezpośredni kontakt z Harrym Petersonem i uzyskanie zapisów fal radiowych z Jowisza. Nie było to łatwe. Trudno było znaleźć właściwe kanały komunikacyjne, a biurokracja domagała się stosów oficjalnych podań. Każdy błąd mógł sprawić, że zostałaby podejrzana o szpiegostwo na rzecz obcego państwa. Musiała czekać.

Był jednak bardziej bezpośredni sposób sprawdzenia tej hipotezy. Czerwony Brzeg mógł sam wysłać w kierunku Słońca fale radiowe o sile przekraczającej wartość progową.

Złożyła w dowództwie kolejne podanie, ale nie śmiała podać w nim prawdziwego powodu – był zbyt fantastyczny i jej wniosek na pewno zostałby oddalony. Wyjaśniła tylko, że chce przeprowadzić eksperyment, w którym system transmisji Czerwonego Brzegu posłużyłby jako radar do badań Słońca, a jego echo mogłoby być przeanalizowane w celu uzyskania pewnych informacji o promieniowaniu słonecznym. Lei i Yang mieli dobre przygotowanie techniczne, więc nie dałoby się ich łatwo oszukać, ale eksperyment opisany przez Ye miał precedensy w badaniach Słońca na Zachodzie. Prawdę mówiąc, to, co zaproponowała, było z technicznego punktu widzenia łatwiejsze do przeprowadzenia niż prowadzone już poszukiwania radarowe planet podobnych do Ziemi.

– Ye Wenjie, schodzisz z kursu – powiedział komisarz Lei. – Twoje badania powinny koncentrować się na teorii. Czy naprawdę trzeba zadawać sobie tyle trudu?

– Komisarzu, możliwe, że dokonamy wielkiego odkrycia – błagała Ye. – Eksperymenty są absolutnie konieczne. Chcę spróbować tylko raz. Proszę.

– Komisarzu Lei, może powinniśmy zrobić jedną próbę – poparł ją Yang. – Nie wydaje się to zbyt trudne operacyjnie. Odebranie echa po transmisji zajęłoby…

– Dziesięć do piętnaście minut – dokończył Lei.

– Wobec tego Czerwony Brzeg ma dosyć czasu, żeby przełączyć się z trybu transmisji na tryb monitorowania.

Lei ponownie potrząsnął głową.

– Wiem, że z technicznego i operacyjnego punktu widzenia jest to wykonalne. Ale… inżynierze Yang, brakuje ci wyczucia w takich sprawach. Chcesz skierować na czerwone słońce supersilny promień radiowy. Pomyślałeś o politycznej symbolice takiego eksperymentu?[1]

Zupełnie oszołomiło to Ye i Yanga, ale nie uznali bynajmniej obiekcji Leia za śmieszną. Wprost przeciwnie, przerazili się, że sami o tym nie pomyśleli. W tamtych latach nadawanie wszystkiemu politycznie symbolicznej rangi sięgnęło granic absurdu. Raporty z badań, które Ye przekazywała Leiowi, musiały być przez niego starannie przeglądane, i nawet terminy techniczne odnoszące się do Słońca trzeba było wielokrotnie poprawiać, by uniknąć politycznego ryzyka.

Zakazane były takie określenia jak „plamy na Słońcu”[2]. Eksperyment, w którego ramach wysłano by na Słońce silne fale radiowe, można byłoby oczywiście interpretować na tysiąc pozytywnych sposobów, ale wystarczyłaby jedna negatywna interpretacja, by wszyscy biorący w nim udział skończyli w politycznym niebycie. Argument, którego użył Lei, by nie zgodzić się na jego przeprowadzenie, był naprawdę niepodważalny.

Jednak Ye się nie poddała. Prawdę mówiąc, jeśli nie podjęłaby nadmiernego ryzyka, osiągnięcie celu, który sobie wyznaczyła, nie byłoby zbyt trudne. Przekaźnik w Czerwonym Brzegu miał bardzo dużą moc, ale jego wszystkie części zostały wyprodukowane w kraju podczas rewolucji kulturalnej. Ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, częste były więc awarie. Po piętnastu transmisjach trzeba było przeprowadzać remont kapitalny całego systemu, a po nim transmisję próbną. W tych transmisjach brało udział niewiele osób, a cele i pozostałe parametry wybierano arbitralnie.

Pewnego razu Ye wyznaczono dyżur podczas jednej z takich transmisji próbnych. Pomijano wtedy wiele etapów procedury, była więc przy tym tylko ona i pięć innych osób. Trzy z nich były operatorami niskiego szczebla i mało wiedziały o zasadach, według których działał obsługiwany przez nie sprzęt. Pozostałe dwie, technik i inżynier, były wyczerpane po dwóch dniach remontowania nadajnika i nie zwracały uwagi na to, co

robiła. Ye nastawiła moc transmisji próbnej na wartość przekraczającą wartość progową słonecznego lustra energii (maksymalną moc systemu transmisji Czerwonego Brzegu). Potem ustawiła częstotliwość, której prawdopodobieństwo odbicia przez lustro energii było największe. Pod pozorem sprawdzania mechanicznych części anteny skierowała ją na zachodzące Słońce. Treść transmisji była taka sama jak zwykle.

Było czyste popołudnie jesienią 1971 roku. Później Yu wspominała to wielokrotnie, ale nie pamiętała żadnych szczególnych uczuć oprócz pragnienia, by transmisja skończyła się jak najszybciej. Przede wszystkim bała się, by nie nakryli jej koledzy. Chociaż wymyśliła kilka usprawiedliwień, wykorzystanie maksymalnej mocy było niezwykłym posunięciem, gdyż prowadziło do zużycia części składowych aparatury. Poza tym sprzęt ustawiający antenę nie był przeznaczony do nakierowania jej na Słońce. Czuła pod dłonią, że układ optyczny robi się gorący. Gdyby się spalił, znalazłaby się w prawdziwych opałach.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i Ye musiała namierzyć je ręcznie. W tamtej chwili antena Czerwonego Brzegu wyglądała jak ogromny kwiat obracający się za zniżającą się horyzontem tarczą słoneczną. Gdy zapaliła się czerwona lampka pokazująca, że transmisja się zakończyła, Ye była mokra od potu.

Rozejrzała się wokół. Trzej operatorzy wyłączali sprzęt zgodnie z instrukcją, część po części. Inżynier siedział w kącie, popijając wodę ze szklanki, technik spał w fotelu. Bez względu na to, jak historycy i pisarze starali się później przedstawić tę scenę, rzeczywistość była zupełnie prozaiczna.

Po transmisji Ye wybiegła z nastawni i wpadła do gabinetu Yang Weininga.

– Każ stacji zacząć monitorowanie kanału 12 000 megaherców!

– Co odbieramy? – Yang patrzył ze zdziwieniem na Ye, na przylepione do jej spoconego czoła kosmyki włosów. W porównaniu z bardzo czułym systemem monitorowania zainstalowanym w Czerwonym Brzegu konwencjonalny radionadajnik wojskowy używany do komunikowania się z innymi stacjami był zabawką.

– Może coś złapiemy. Nie ma czasu na przestawienie systemów Czerwonego Brzegu na tryb monitorowania!

Normalnie rozgrzanie i przełączenie systemów bazy na monitorowanie zajmowało niewiele ponad osiem minut, ale teraz były one w remoncie. Wiele modułów rozebrano i złożenie ich w krótkim czasie było niemożliwe.

Yang patrzył przez kilka sekund na Ye, po czym podniósł słuchawkę telefonu i wydał dyżurnemu radiooperatorowi rozkaz, by wykonał to, o co prosiła.

– Ze względu na czułość tego radia możemy co najwyżej odebrać sygnały od istot pozaziemskich na Księżycu.

– Ten sygnał dochodzi ze Słońca – powiedziała Ye.

Czerwone jak krew, dotykało już dolnym brzegiem gór na horyzoncie.

– Wysłałaś sygnał w stronę Słońca? – zapytał z niepokojem Yang.

Ye kiwnęła głową.

– Nikomu o tym nie mów. To się nie może powtórzyć. Nigdy! – Yang obejrzał się za siebie, by się upewnić, że nikt nie stoi w drzwiach.

Ye ponownie skinęła głową.

– Jaki to ma sens? Echo tej fali musi być bardzo słabe, dużo poniżej progu czułości konwencjonalnego radia.

– Nie. Jeśli się nie mylę, powinniśmy odebrać bardzo silne echo. Potężniejsze, niż… możesz sobie wyobrazić. Gdy moc transmisji przekroczy pewien próg, Słońce… wzmocni sygnał sto milionów razy.

Yang spojrzał na nią dziwnie. Ye nie rzekła nic więcej. Czekali w milczeniu. Yang słyszał bicie jej serca. Nie zwrócił szczególnej uwagi na to, co powiedziała, ale uczucie, które przez wiele lat ukrywał, ponownie dało o sobie znać.

Dwadzieścia minut później zadzwonił do biura łączności i zadał kilka prostych pytań. Ye wstrzymała oddech.

Odłożył słuchawkę.

– Nic nie odebrali.

Ye wypuściła powietrze z płuc. Po chwili skinęła głową.

– Odpowiedział ten amerykański astronom.

Yang wyjął grubą kopertę opatrzoną pieczęciami służby celnej i podał jej. Rozerwała ją i przebiegła wzrokiem list od Harry'ego Petersona. Pisał, iż nie wyobrażał sobie, że ktoś w Chinach może badać elektromagnetyzm planetarny i że jest zainteresowany współpracą i wymianą informacji. Załączył dwa pliki papieru: kompletny zapis fal dwóch wybuchów radiowych na Jowiszu. Widać było, że został on skopiowany z długiej taśmy i trzeba będzie połączyć kartki. (Większość Chińczyków nie widziała wówczas fotokopiarki).

Ye ułożyła dziesiątki kartek w dwóch kolumnach na podłodze. W połowie ich przeglądania straciła wszelką nadzieję. Bardzo dobrze znała kształty fal zakłóceń spowodowanych przez dwa wybuchy na Słońcu. Nie pasowały do tych, które miała przed sobą.

Powoli zaczęła zbierać kartki z podłogi. Yang przykucnął, by jej pomóc. Kiedy podawał kobiecie, którą kochał, plik papierów, zobaczył, że się uśmiecha. Uśmiech był tak smutny, że ścisnęło mu się serce.

– Co się stało? – zapytał, nie zdając sobie sprawy, że jeszcze nigdy nie mówił do niej tak łagodnie.

– Nic. Właśnie budzę się ze snu.

Znowu się uśmiechnęła. Wzięła fotokopie i wyszła z gabinetu. Wróciła do swojego pokoju, zabrała pudełko na obiad i poszła do stołówki. Zostały tylko bułeczki mantou i pikle. Obsługa stołówki powiedziała jej ze zniecierpliwieniem, że już zamykają. Nie miała wyboru – wzięła, co było, poszła na skraj urwiska, usiadła na trawie i zaczęła żuć zimne bułeczki.

Słońce już zaszło. Góry Wielkiego Chinganu były szare jak jej życie. W tym szarym życiu jej sen wydawał się szczególnie kolorowy. Człowiek jednak zawsze budzi się ze snu, tak jak Słońce, które wprawdzie znowu wzejdzie, ale nie przyniesie nowej nadziei. Uśmiechnęła się ze łzami w oczach i dalej żuła mantou.

Nie wiedziała, że w tej chwili pierwszy przekaz ziemskiej cywilizacji odbija się od Słońca i rozchodzi po Wszechświecie z prędkością światła. Przekroczył już orbitę Jowisza.

Na częstotliwości 12 000 megaherców Słońce było najjaśniejszą gwiazdą w Drodze Mlecznej.

1 Przewodniczącego Mao, zwłaszcza w czasach rewolucji kulturalnej, często porównywano do „czerwonego słońca”.

2 Chińska nazwa „plamy na Słońcu” znaczy dosłownie „czarna plama na Słońcu”, a czerń była oczywiście kolorem kontrrewolucji.

23

Czerwony Brzeg VI

Następne dziesięć lat należało do najspokojniejszych w życiu Ye Wenjie. Strach panujący podczas rewolucji kulturalnej stopniowo osłabł i wreszcie mogła się trochę odprężyć. Zakończyła się faza sprawdzania i wdrażania projektu Czerwony Brzeg i przystąpiono do rutynowych działań. Pozostawało coraz mniej problemów technicznych, więc zarówno praca, jak i życie przybrały regularny charakter.

Ale w czasie spokoju zaczęło powracać to, co wcześniej było stłumione przez lęk. Ye dopiero teraz się przekonała, co znaczy prawdziwy ból. Coraz bardziej dręczyły ją koszmarne wspomnienia. U większości kobiet czas być może wyleczyłby te rany. W końcu podczas rewolucji kulturalnej wiele z nich spotkał taki sam los, a w porównaniu z innymi i tak miała względne szczęście. Nie mogła się jednak pozbyć umysłowych nawyków naukowca i nie chciała zapomnieć. Patrzyła racjonalnie na szaleństwo i nienawiść, których stała się ofiarą. Ta chłodna analiza złej strony ludzkiej natury zaczęła się w dniu, w którym przeczytała *Milczącą wiosnę*. Kiedy zbliżyła się do Yang Weininga, udało się jej zdobyć za jego pośrednictwem, pod pozorem zbierania materiałów do pracy badawczej, dzieła wielu obcojęzycznych klasyków filozofii i historii. Krwawe dzieje ludzkości

wstrząsnęły nią, a wnikliwe spostrzeżenia filozofów ukazały jej najbardziej skryte aspekty ludzkiej psychiki.

Szaleństwo i irracjonalne postępowanie ludzi widać było nawet na Radarowym Szczycie, w miejscu niemal zapomnianym przez świat. Las pod górą nadal padał pod piłami i siekierami jej byłych towarzyszy. Codziennie pojawiały się nowe połacie nagiej ziemi, jakby w tych częściach Wielkiego Chinganu zdzierano z gór skórę. Gdy te połacie się rozrosły i zespoliły, nieliczne ocalałe drzewa wydawały się czymś nienormalnym. Jakby dla zwieńczenia dzieła zniszczenia na wyrębach palono ogniska i Radarowy Szczyt stał się miejscem schronienia dla ptaków uciekających z tego piekła. W bazie nigdy nie ustawały żałosne krzyki tych nieszczęsnych stworzeń z opalonymi piórami.

Szaleństwo ludzkości osiągnęło szczyt. Było apogeum zimnej wojny. W każdej chwili mogły zostać wystrzelone pociski jądrowe o sile wystarczającej do wielokrotnego zniszczenia Ziemi, rozmieszczone w niezliczonych silosach na dwóch kontynentach i na atomowych okrętach podwodnych patrolujących skrycie niczym duchy morza i oceany. Jeden okręt klasy Lafayette czy Yankee miał dość głowic, by zniszczyć setki miast i zabić setki milionów osób, ale ludzie żyli, jakby nie działo się nic złego.

Jako astrofizyk Ye była wielką przeciwniczką broni jądrowej. Wiedziała, że jest to energia, którą powinny mieć tylko gwiazdy. Wiedziała też, że we Wszechświecie są jeszcze straszliwsze siły: czarne dziury, antymateria i tak dalej. W porównaniu z nimi bomba termojądrowa była małą świeczką. Gdyby ludzie kiedykolwiek zapanowali nad nimi, świat mógłby w mgnieniu oka zmienić się w obłok pary. Wobec szaleństwa racjonalność była bezradna.

Cztery lata po przybyciu do Czerwonego Brzegu Ye wyszła za Yanga. On naprawdę ją kochał. Dla miłości poświęcił swoją przyszłość.

Skończyło się najgwałtowniejsze stadium rewolucji kulturalnej i klimat polityczny nieco się ocieplił. Z powodu małżeństwa z Ye właściwie nie prześladowano Yanga, ale ponieważ uważano ją za kontrrewolucjonistkę, postrzegano go jako niedojrzałego politycznie, przez co stracił stanowisko głównego inżyniera. Pozwolono im obojgu pozostać w bazie w charakterze zwykłych techników tylko dlatego, że bez nich nie dałoby się kontynuować prac.

Ye przyjęła oświadczyny Yanga głównie z wdzięczności. Gdyby w najgroźniejszej dla niej chwili nie sprowadził jej do tej bezpiecznej przystani, prawdopodobnie już by nie żyła. Yang był utalentowany, kulturalny, miał dobry gust. Nie był jej niemiły, ale jej serce było wypalone na popiół, w którym nie mogła już rozgorzeć iskra miłości.

Zastanawiając się nad ludzką naturą, Ye przeżyła kolejny kryzys duchowy, ponieważ straciła cel w życiu. Kiedyś była idealistką gotową poświęcić wszystko dla wielkiego celu, teraz uświadomiła sobie, że wszystko, co zrobiła, było bez znaczenia, a przyszłość rysuje się tak samo bezbarwnie. Ten stan psychiczny utrzymywał się i stopniowo czuła się coraz bardziej wyobcowana. Nie miała poczucia przynależności do świata. Dręczyło ją to błądzenie w duchowej pustce. Zamieszkała z Yangiem, ale jej dusza pozostała bezdomna.

Pewnego dnia Ye pracowała na nocnej zmianie. W takich chwilach była najbardziej samotna. W głębokiej ciszy środka nocy Wszechświat wydawał się tym, którzy nasłuchiwali jego odgłosów, bezbrzeżnym pustkowiem. Ye najbardziej lubiła przyglądać się falom powoli pełznącym po ekranie, wizualnemu zapisowi nic nieznaczących dźwięków, które Czerwony Brzeg wychwytywał z kosmosu. Ye uważała, że ta niekończąca się fala jest

abstrakcyjnym obrazem Wszechświata – z jednej strony łączyła się z bezkresną przeszłością, z drugiej z bezkresną przyszłością, a w środku były tylko przypadkowe wzniesienia i spadki, bez życia, bez żadnego schematu, szczyty i doliny niczym nierówne ziarnka piasku. Cała ta krzywa wyglądała jak jednowymiarowa pustynia powstała z wszystkich drobin tego piasku ułożonych w rzędzie, martwa i tak długa, że widok ten stawał się nie do zniesienia. Można było podążać wzdłuż niej w przód lub w tył, jak długo się chciało, ale nigdy nie doszło się do końca.

Jednak tego dnia Ye zobaczyła coś dziwnego. Nawet specjalistom trudno było orzec, kiedy fala niesie informacje. Ale Ye znała już tak dobrze szum Wszechświata, że od razu się zorientowała, iż w fali poruszającej się teraz przed jej oczami jest coś dodatkowego. To wznosząca się, to opadająca cienka krzywa zdawała się mieć duszę. Ye była pewna, że ten sygnał radiowy jest modulowany przez istoty inteligentne.

Podbiegła do innego terminala i sprawdziła komputerową ocenę rozpoznawalności sygnału: AAAAA. Przedtem żaden sygnał radiowy odebrany przez Czerwony Brzeg nie otrzymał nawet oceny wyższej niż C. Ocena A oznaczała, że prawdopodobieństwo, iż transmisja zawiera inteligentne informacje, wynosi ponad 90 procent. AAAAA była przypadkiem szczególnym – oznaczała, że odebrany przekaz był zakodowany w tym samym języku, co transmisje z Czerwonego Brzegu.

Ye włączyła system odkodowania. Program ten rozszyfrowywać miał każdy sygnał, którego rozpoznawalność została oceniona powyżej B. Przez cały czas realizacji projektu Czerwony Brzeg nie został użyty ani razu. Dane uzyskane podczas testowania programu wskazywały, że odkodowanie transmisji, która przypuszczalnie była wiadomością, może potrwać kilka dni, a nawet miesięcy, a i tak w połowie przypadków to się nie uda. Jednak

tym razem, gdy tylko poddano transmisję tej procedurze, ekran pokazał, że rozszyfrowywanie jest zakończone.

Ye otworzyła dokument i po raz pierwszy człowiek przeczytał wiadomość z innego świata. Jej treść nie była jednak taka, jak można by się było spodziewać.

Nie odpowiadajcie!
Nie odpowiadajcie!!
Nie odpowiadajcie!!!

Podekscytowana i zdezorientowana Ye odszyfrowała drugą wiadomość.

Ten świat otrzymał wysłaną przez was wiadomość.

Jestem pacyfistą. Wasza cywilizacja ma szczęście, że odebrałem ją pierwszy. Ostrzegam: Nie odpowiadajcie! Nie odpowiadajcie!! Nie odpowiadajcie!!!

Po waszej stronie są miliony gwiazd. Jeśli nie odpowiecie, mój świat nie zdoła ustalić źródła transmisji.

Ale jeśli odpowiecie, od razu zostaniecie zlokalizowani. Wasza planeta stanie się celem inwazji. Wasz świat zostanie podbity!

Nie odpowiadajcie! Nie odpowiadajcie!! Nie odpowiadajcie!!!

Czytając migoczące zielone litery, Ye nie była w stanie jasno myśleć. Wstrząśnięta i podekscytowana, rozumiała tylko jedno – odkąd wysłała wiadomość na Słońce, minęło nie więcej niż dziewięć lat, a zatem źródło tej transmisji musiało się znajdować około cztery lata świetlne od Ziemi. Mógł nim być tylko najbliższy układ gwiezdny: Alfa Centauri[1].

Wszechświat nie był miejscem wymarłym. Był pełen życia! Ludzie sięgnęli wzrokiem jego krańca, ale nie mieli pojęcia, że inteligentna forma życia istnieje przy gwiazdach leżących najbliżej Ziemi!

Ye patrzyła na falę. Sygnał nadal płynął do anteny Czerwonego Brzegu. Otworzyła inny interfejs i zaczęła go odkodowywać w czasie rzeczywistym. Wiadomości natychmiast pojawiały się na ekranie.

W ciągu następnych kilku godzin dowiedziała się o istnieniu Trisolaris, cywilizacji, która wciąż odradzała się na nowo, i jej planie migracji na inne gwiazdy.

Transmisja z Alfy Centauri zakończyła się o czwartej rano. System rozszyfrowywania nadal pracował i emitował niekończący się ciąg błędnych kodów. W Czerwonym Brzegu znowu słychać było tylko szum Wszechświata, ale Ye była pewna, że to, co się jej właśnie przydarzyło, nie było snem.

Słońce naprawdę było wzmacniającą anteną. Ale dlaczego jej eksperyment sprzed ośmiu lat nie wywołał żadnego echa? Dlaczego kształty fal wybuchów radiowych na Jowiszu nie pasowały do późniejszego promieniowania docierającego ze Słońca? Później Ye przyszło do głowy wiele powodów. Może sekcja łączności w bazie nie odbierała fal o tej częstotliwości, a może odebrała echo, ale brzmiało ono jak szum i operator nie uznał go za nic godnego uwagi. Jeśli chodziło o kształty fal, było możliwe, że wzmacniając sygnały radiowe z Ziemi, Słońce dodało do nich inną falę. Była to fala okresowa, którą system odszyfrowywania obcych mógł łatwo odfiltrować, ale w jej nieuzbrojonym oku fale z Jowisza i ze Słońca wydałyby się bardzo odmienne. (Ten domysł okazał się później trafny. Słońce rzeczywiście dodało do sygnału falę sinusoidalną).

Rozejrzała się czujnie. W pomieszczeniu głównego komputera były trzy inne osoby. Dwie rozmawiały w kącie, trzecia drzemała przed terminalem. W sekcji analizowania informacji z układu monitorującego tylko te dwa terminale, które znajdowały się przed nią, mogły pokazać ocenę rozpoznawalności sygnału i dać dostęp do układu odkodowywania.

Zachowując spokój, pracowała szybko i przeniosła wszystkie odebrane wiadomości do wielokrotnie zaszyfrowanego, niewidocznego katalogu. Potem skopiowała fragment nagrania szumu odebranego rok wcześniej i zastąpiła nim transmisję, którą odbierała przez ostatnie pięć godzin.

Na koniec umieściła w buforze transmisji Czerwonego Brzegu krótką wiadomość.

Wstała i wyszła z głównego pomieszczenia kontroli monitoringu. Jej rozgrzaną jak w gorączce twarz owionął chłodny wiatr. Niebo na wschodzie pojaśniało przed świtem. Poszła słabo oświetloną żwirową ścieżką do głównego pokoju kontroli transmisji. Nad jej głową wznosiła się antena niczym olbrzymia pięść wyciągnięta ku Wszechświatu. Brzask wydobywał z mroku sylwetkę strażnika przy drzwiach, który – jak zwykle – nie zwrócił na nią uwagi, gdy wchodziła.

W głównym pokoju kontroli transmisji było dużo ciemniej niż w głównym pomieszczeniu kontroli monitoringu. Ye przeszła przez rząd kabin, stanęła przed panelem sterowniczym i z nabytą przez lata wprawą wcisnęła ponad dziesięć przełączników, by rozgrzać układ transmisji. Dwóch siedzących obok mężczyzn na służbie podniosło na nią zaspane oczy, a jeden z nich obrócił się i spojrzał na zegar. Potem wrócił do przerwanej drzemki, a drugi zaczął przeglądać sfatygowaną gazetę. Ye nie miała w bazie żadnej politycznej pozycji, ale dano jej pewną swobodę w sprawach technicznych. Zawsze sprawdzała sprzęt przed transmisją. Chociaż dzisiaj przyszła wcześniej – transmisja była zaplanowana dopiero za trzy godziny – rozgrzanie sprzętu nieco wcześniej nie było niczym niezwykłym.

To, co wydarzyło się później, było najdłuższą półgodziną w jej życiu. Nastawiła częstotliwość transmisji na pasmo optymalne dla wzmocnienia przez lustro energii słonecznej, a jej moc na maksimum. Potem,

przyłożywszy oko do okularu optycznego systemu namierzania, zobaczyła, jak słońce wyłania się zza horyzontu. Włączyła układ ustawiania anteny i powoli skierowała ją na słońce. Gdy antena się obracała, głównym pomieszczeniem kontroli wstrząsnął ogłuszający huk. Jeden z mężczyzn na służbie znowu spojrzał na Ye, ale nic nie powiedział.

Tymczasem słońce wzniosło się nad horyzont. Krzyżyk nitek celowniczych systemu nastawiania anteny wymierzony był w jego górną krawędź, by zrównoważyć czas, po jakim dotrze do niego fala radiowa. Układ nadawania był gotowy do rozpoczęcia pracy.

Klawisz z napisem NADAWANIE był długim prostokątem, bardzo podobnym do klawisza spacji na klawiaturze komputera, z tą tylko różnicą, że był czerwony.

Dłoń Ye zawisła dwa centymetry nad nim.

Teraz los ludzkości zależał od tych szczupłych palców.

Ye bez wahania wcisnęła klawisz.

– Co robisz? – zapytał jeden z dyżurnych sennym głosem.

Ye uśmiechnęła się do niego i nic nie odpowiedziała. Naciśnięciem żółtego klawisza zakończyła transmisję, potem dźwignią sterowania skierowała antenę w inną stronę. Wstała zza panelu i wyszła z pomieszczenia.

Mężczyzna spojrzał na zegarek. Jego dyżur się kończył. Wziął dziennik i pomyślał, żeby zapisać w nim, że Ye włączyła układ transmisji. W końcu było to zachowanie niezwykłe. Potem jednak spojrzał na papierową taśmę i zobaczył, że nadawanie trwało nie dłużej niż trzy sekundy. Rzucił dziennik z powrotem na biurko, ziewnął, włożył czapkę i wyszedł.

Wiadomość, która zmierzała w stronę Słońca, brzmiała:

> Przylećcie tu! Pomogę wam podbić ten świat. Nasza cywilizacja nie jest już w stanie rozwiązać swoich problemów. Potrzebujemy waszej interwencji.

Słońce na zewnątrz oślepiło Ye Wenjie. Niedaleko od wejścia do głównego pokoju kontroli zemdlała i osunęła się na trawnik.

Kiedy się ocknęła, znajdowała się w izbie chorych. Przy jej łóżku siedział Yang i patrzył na nią z troską, tak jak wiele lat temu w helikopterze, który wiózł ją do bazy. Lekarz powiedział jej, żeby o siebie dbała i dużo odpoczywała, ponieważ jest w ciąży.

1 Chociaż oglądana gołym okiem Alfa Centauri wydaje się pojedynczą gwiazdą, jest układem podwójnym (utworzonym przez Alfę Centauri A i Alfę Centauri B). Trzecia gwiazda, Proxima Centauri, jest prawdopodobnie grawitacyjnie związana z tym układem podwójnym. Chińska nazwa tych obiektów świadczy, że jest to naprawdę układ trzech gwiazd.

24

Rebelia

Ye Wenjie skończyła opowieść, ale w opuszczonej stołówce nadal panowała cisza. Widać było, że wielu obecnych po raz pierwszy usłyszało ją w całości. Wang był do głębi poruszony i na moment zapomniał o zagrożeniu i przerażeniu, jakim go to wszystko napełniało. Nie mogąc się powstrzymać, zapytał:

– Jak RZT rozwinął się do obecnej wielkości?

– Musiałabym zacząć od tego, jak poznałam Evansa – odparła Ye. – Ale wszyscy obecni tu towarzysze znają tę część historii, szkoda więc teraz tracić na to czas. Później mogę ci o tym opowiedzieć na osobności. Jednak to, czy będziemy mieli do tego okazję, zależy od ciebie… Porozmawiajmy o twoim nanomateriale, Miao.

– Ten… Pan, o którym mówicie… Dlaczego tak się boi nanomateriału?

– Ponieważ może pozwolić ludziom przezwyciężyć grawitację i w dużo większej skali wkroczyć w kosmos.

Nagle Wang doznał olśnienia.

– Kosmiczny dźwig?

– Gdyby można było masowo produkować supermocne nanomateriały, stworzyłoby to podwaliny techniczne pod budowę dźwigu kosmicznego

z Ziemi do geostacjonarnego punktu w przestrzeni kosmicznej. Dla Pana to drobny wynalazek, ale dla ludzi byłby to milowy krok. Dysponując taką technologią, mogliby łatwo opanować przestrzeń blisko Ziemi i zainstalować w niej system obronny. A zatem technologię tę trzeba zarzucić.

Wang zadał pytanie, które najbardziej go dręczyło:

– Co się stanie, kiedy skończy się to odliczanie?

Ye uśmiechnęła się.

– Nie wiem – odparła.

– To, co staracie się zrobić, jest daremne! To nie są badania podstawowe. Jeśli ogólny kierunek rozwoju tej dziedziny jest prawidłowy, może do tego dojść ktoś inny – rzekł Wang zatroskanym głosem.

– Owszem, to raczej daremne. Dużo korzystniej jest mącić w głowach naukowców. Ale, jak sam zauważyłeś, nie zatrzymaliśmy w porę postępu w tej dziedzinie. W końcu to, czym się zajmujesz, to badania stosowane. Lepiej wychodzi nam występowanie przeciw badaniom podstawowym…

– Skoro mowa o badaniach podstawowych, jak umarła pani córka?

Pytanie to odebrało Ye mowę na kilka sekund. Jej spojrzenie niemal niedostrzegalnie przygasło, ale wróciła do przerwanego wątku.

– Tak naprawdę, w porównaniu z Panem, który ma niezrównaną moc, wszystko, co robimy, jest bez znaczenia. Wykonujemy tylko to, czego od nas chce.

Zaledwie skończyła mówić, rozległ się łomot i drzwi stołówki zostały wyważone. Wbiegł oddział umundurowanych mężczyzn z pistoletami maszynowymi. Wang uświadomił sobie, że to wojsko, nie policja. Bezszelestnie przesunęli się wzdłuż ścian i otoczyli rebeliantów z RZT. Ostatni wszedł do sali Shi Qiang. Miał rozpiętą marynarkę i trzymał pistolet za lufę, jakby był to młotek.

Shi rozejrzał się arogancko, a potem nagle skoczył do przodu. Jego ręka śmignęła i rozległo się głuche uderzenie metalu o czaszkę. Rebeliant z RZT padł na posadzkę, a pistolet, który próbował wyciągnąć, potoczył się po podłodze. Kilku żołnierzy zaczęło strzelać w sufit, z którego posypały się kurz i tynk. Ktoś chwycił Miao i wyciągnął go za kordon żołnierzy.

– Połóżcie całą broń na stół! Nie radzę wam, sukinsyny, próbować żadnych sztuczek! – Shi wskazał na rząd pistoletów maszynowych za sobą. – Wiem, że nikt z was nie boi się śmierci, ale my też nie. Powiem wprost: nie podlegacie normalnej procedurze zatrzymania ani ochronie prawnej. W stosunku do was nie obowiązują nas nawet prawa wojny. Skoro zdecydowaliście się traktować cały rodzaj ludzki jako wroga, nie cofniemy się przed niczym.

Wśród członków RZT zapanowało lekkie poruszenie, ale nikt nie wpadł w panikę. Ye zachowała obojętną minę. Nagle z tłumu wypadły trzy osoby, w tym piękna młoda kobieta, która złamała kark Pan Hanowi. Podbiegły do rzeźby przedstawiającej trzy ciała, każda z nich chwyciła jedną z kul i wysunęła ją przed siebie.

Młoda kobieta uniosła swoją obiema rękami w górę, jakby była szykującą się do występu gimnastyczką. Uśmiechnęła się kusząco i powiedziała ujmującym głosem:

– Mamy w dłoniach trzy bomby jądrowe, każda o sile około półtorej kilotony. Nieduże, bo lubimy małe zabawki. To detonator.

Wszyscy zamarli. Jedyną osobą, która się poruszyła, był Shi Qiang. Schował pistolet do kabury pod lewą pachą i złożył spokojnie ręce.

– Nasze żądanie jest proste: wypuśćcie komendantkę. Potem możemy grać w każdą grę, w jaką chcecie – powiedziała młoda kobieta zalotnym tonem.

– Zostaję z moimi towarzyszami – rzekła spokojnie Ye.

– Możesz potwierdzić jej słowa? – zapytał Shi stojącego obok oficera, specjalistę od materiałów wybuchowych.

Tamten rzucił pod nogi trojga członków RZT trzymających kule plastikową torbę. Była w niej waga sprężynowa. Jeden z rebeliantów podniósł torbę i wyjął wagę. Umieścił w torbie kulę, przymocował ją do wagi i podniósł. Potem wyjął kulę i rzucił na podłogę.

Młoda kobieta zachichotała. Roześmiał się też pogardliwie saper. Drugi z buntowników wziął wagę, powtórzył procedurę i również rzucił kulę na ziemię.

Młoda kobieta znowu się roześmiała. Włożyła do torby swoją kulę, powiesiła ją na wadze i wskazówka wagi natychmiast opadła.

Z twarzy oficera zniknął uśmiech.

– To jest bomba – szepnął do Shi.

Shi zachował spokój.

– Możemy przynajmniej potwierdzić, że są tam ciężkie elementy, materiał rozszczepialny – powiedział saper. – Nie wiemy jeszcze, czy detonator działa.

Na kobiecie skupiły się światła latarek przymocowanych do pistoletów żołnierzy. Trzymając bombę o sile 1,5 kiloton trotylu, uśmiechała się promiennie, jakby stała na scenie witana aplauzem publiczności.

– Mam rozwiązanie – szepnął saper do Shi. – Trzeba strzelić w tę bombę.

– Nie wybuchnie?

– Tylko konwencjonalny materiał wybuchowy wokół ładunku jądrowego, ale eksplozja będzie rozproszona. Nie dojdzie do sprężenia materiału rozszczepialnego niezbędnego dla wywołania reakcji jądrowej.

Shi patrzył bez słowa na kobietę z bombą.

– Może strzelec wyborowy? – zasugerował saper.

Shi niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Ta dziewczyna jest za sprytna. Jak tylko namierzy ją snajper, od razu się zorientuje.

Ruszył naprzód. Rozsunął tłum i stanął pośrodku otwartej przestrzeni.

– Stój – ostrzegła dziewczyna, obrzucając go uwodzicielskim spojrzeniem. Prawy kciuk trzymała na detonatorze. W blasku latarek błyszczał lakier na jej paznokciu.

– Spokojnie, mała – powiedział Shi, stojąc siedem czy osiem metrów od niej. Wyjął z kieszeni kopertę. – Mam tu informację, którą na pewno chcesz poznać. Znaleziono twoją matkę.

Podekscytowane oczy młodej kobiety pociemniały. W tej chwili naprawdę były oknami jej duszy.

Shi zrobił dwa kroki w jej stronę. Teraz był nie dalej niż pięć metrów od niej. Podniosła bombę i ostrzegała go wzrokiem, ale była już zdekoncentrowana. Jeden z dwóch członków RZT, którzy wcześniej rzucili fałszywe bomby na podłogę, podszedł do Shi, by wziąć od niego kopertę. Kiedy przesłonił jej widok, Shi błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet. Kobieta zobaczyła tylko błysk koło ucha mężczyzny, który chciał wziąć kopertę, a potem bomba w jej ręku eksplodowała.

Po stłumionym wybuchu Wang widział przed oczami tylko ciemność. Ktoś wyciągnął go ze stołówki. Przez drzwi wydobywał się gęsty żółty dym, z wewnątrz dochodziły krzyki i strzały. Od czasu do czasu przez ten dym wybiegali z budynku ludzie.

Wang podniósł się i próbował wrócić do środka, ale saper złapał go wpół i zatrzymał.

– Ostrożnie. Promieniowanie!

Chaos w końcu ustał. W strzelaninie zginęło kilkunastu członków RZT. Reszta, ponad dwieście osób (włącznie z Ye Wenjie), została aresztowana. Wybuch zrobił z młodej terrorystki krwawą miazgę, ale była ona jedyną

ofiarą unieszkodliwionej bomby jądrowej. Mężczyzna, który starał się wziąć kopertę od Shi, został poważnie ranny, ale osłonił go swoim ciałem. Obrażenia Shi były lekkie, lecz podobnie jak wszyscy, którzy zostali w stołówce po wybuchu, uległ silnemu napromieniowaniu.

Wang spojrzał przez okienko karetki pogotowia na leżącego w niej Shi. Z rany w głowie policjanta nadal ciekła krew. Pielęgniarz, który go opatrywał, miał na sobie przezroczysty strój ochronny. Wang mógł porozmawiać z Shi tylko przez telefon komórkowy.

– Kim była matka tej kobiety? – zapytał.

Shi uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Za cholerę nie wiem. To był tylko domysł. Taka dziewczyna najprawdopodobniej miała kłopoty z matką. Po ponad dwudziestu latach w tej robocie całkiem dobrze znam się na ludziach.

– Ma pan rację. Za tym naprawdę ktoś stoi.

Wang zmusił się do uśmiechu, mając nadzieję, że Shi to widzi.

– Kolego, to ty masz rację! – stwierdził ze śmiechem Shi, potrząsając głową. – Nigdy bym nie pomyślał, że naprawdę mieszają w tym palce pieprzeni kosmici!

25

Śmierć Lei Zhichenga i Yang Weininga

ŚLEDCZY: Nazwisko?

YE WENJIE: Ye Wenjie.

ŚLEDCZY: Data urodzenia?

YE: Czerwiec 1943.

ŚLEDCZY: Zatrudnienie?

YE: Profesor astrofizyki na Uniwersytecie Tsinghua, od 2004 roku na emeryturze.

ŚLEDCZY: Biorąc pod uwagę stan pani zdrowia, pozwalam pani w każdej chwili poprosić o tymczasowe przerwanie przesłuchania.

YE: Dziękuję. Czuję się dobrze.

ŚLEDCZY: Prowadzimy przesłuchanie w sprawie karnej i nie będziemy wnikać w bardziej drażliwe kwestie. Mamy nadzieję, że będzie pani współpracować i szybko skończymy.

YE: Wiem, o czym pan mówi. Tak, będę współpracować.

ŚLEDCZY: Śledztwo wykazało, że podczas pracy w bazie Czerwony Brzeg była pani podejrzana o morderstwo.

YE: Zabiłam dwie osoby.

ŚLEDCZY: Kiedy?

YE: 21 października 1979 roku.

ŚLEDCZY: Nazwiska ofiar?

YE: Komisarz bazy Lei Zhicheng i mój mąż, inżynier Yang Weining.

ŚLEDCZY: Proszę wyjaśnić motywy tych morderstw.

YE: Czy mogę… Przypuszczam, że zna pan tło tych wydarzeń.

ŚLEDCZY: W ogólnym zarysie. Jeśli coś będzie niejasne, poproszę panią o wyjaśnienia.

YE: Dobrze. W dniu, w którym dostałam wiadomość od cywilizacji pozaziemskiej i odpowiedziałam na nią, dowiedziałam się, że nie byłam jedyną osobą, która ją odebrała. Odczytał ją też Lei.

Lei był typowym aparatczykiem i miał niezwykłe wyczucie polityki. Ujmując to w języku tamtych czasów, „był czujny w sprawach walki klasowej” i na wszystko patrzył przez okulary ideologiczne. Większość personelu technicznego nie wiedziała, że ma zainstalowany na głównym komputerze program, który przejmuje wiadomości z bufora transmisji i odbioru i przechowuje te dane w zaszyfrowanym pliku. Dzięki temu Lei miał kopie wszystkiego, co wychodziło i przychodziło do bazy. Z takiej właśnie kopii dowiedział się o odebranej przez Czerwony Brzeg wiadomości od cywilizacji pozaziemskiej.

Po południu w dniu, w którym wysłałam wiadomość w stronę wschodzącego słońca, to znaczy w dniu, w którym dowiedziałam się w izbie chorych, że jestem w ciąży, Lei wezwał mnie do siebie.

Zobaczyłam na terminalu w jego gabinecie wiadomość z Trisolaris z poprzedniego wieczoru…

„Od otrzymania pierwszej wiadomości minęło osiem godzin – rzekł Lei. – Zamiast sporządzić raport, usunęłaś oryginał i być może zrobiłaś kopię. Zgadza się?”

Spuściłam głowę i nic nie odpowiedziałam.

„Znam twój następny ruch. Masz zamiar odpowiedzieć. Gdybym w porę tego nie odkrył, doprowadziłabyś do zagłady całej ludzkiej cywilizacji! Oczywiście nie mówię, że boimy się inwazji z gwiazd. Zakładając najgorsze, nawet gdyby miało do tego dojść, napastnicy z kosmosu na pewno utonęliby w oceanie sprawiedliwej wojny ludzkości!”

Wtedy uświadomiłam sobie, że Lei nie wie, że już odpowiedziałam. Kiedy umieszczałam wiadomość w buforze transmisji, nie użyłam regularnie wykorzystywanego sprzętu. Dzięki temu obeszłam na szczęście jego program monitorujący.

„Ye Wenjie, wiedziałem, że jesteś zdolna do czegoś takiego. Zawsze żywiłaś głęboką nienawiść do partii i ludu. Skorzystałabyś z każdej okazji, żeby się zemścić. Wiesz, jakie będą konsekwencje twoich działań?”

Oczywiście wiedziałam, więc skinęłam głową. Lei przez chwilę milczał, ale nie spodziewałam się tego, co potem powiedział.

„Ye Wenjie, ani trochę cię nie żałuję. Zawsze byłaś wrogiem klasowym i traktowałaś lud jako przeciwnika. Co innego Yang. Służyłem z nim wiele lat. Nie zniósłbym, gdyby przez ciebie zniszczono mu życie, i nie mogę pozwolić, żebyś zniszczyła życie jego dziecku. Jesteś w ciąży, prawda?”

Nie były to czcze spekulacje. W tamtej epoce, gdyby moje czyny zostały ujawnione, na pewno obciążyłyby też mego męża, bez względu na to, czy

miał z nimi coś wspólnego. Oczywiście trzeba też było wziąć pod uwagę moje nienarodzone dziecko.

„Na razie wiemy o tym tylko my dwoje – rzekł bardzo cicho Lei. – Trzeba zminimalizować skutki tego, co zrobiłaś. Udawaj, że nic się nie stało, i nigdy nie wspominaj o tym nikomu, włącznie z Yangiem. Ja się zajmę resztą. Wierz mi, Wenjie. Jeśli będziesz współpracowała, możesz uniknąć katastrofalnych skutków”.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Chciał być pierwszym człowiekiem, który odkrył cywilizację pozaziemską. To była rzeczywiście wspaniała szansa, żeby znaleźć się w podręcznikach.

Zgodziłam się. Potem wyszłam. Podjęłam już decyzję.

Wzięłam mały klucz francuski i poszłam do szafki modułu przetwarzającego dane przed odbiornikiem. Otworzyłam ją i ostrożnie poluźniłam wkręt przytrzymujący od dołu przewód uziemiający. Często musiałam dokonywać przeglądu sprzętu, więc nikt nie zwrócił uwagi na to, co robię, ale opór ziemi wzrósł z 0,6 do 5 omów i nagle zwiększyły się zakłócenia w odbiorniku.

Technik, który pełnił dyżur, pomyślał, że źródłem kłopotów jest przewód uziemiający, bo często się to zdarzało. Wydanie tej diagnozy było łatwe, ale nigdy by się nie domyślił, że usterka wystąpiła w górnej części przewodu, ponieważ była ona mocno przytwierdzona, a poza tym powiedziałam mu, że przed chwilą go sprawdziłam. Radarowy Szczyt miał niezwykłą cechę geologiczną – pokrywała go ponaddziesięciometrowa warstwa gliny o słabej przewodności. Jeśli przewód uziemiający nie był głęboko zakopany, opór gruntu był zbyt duży. Jednak z drugiej strony nie można go było zakopać za głęboko, ponieważ glina ma silne własności korodujące i po pewnym czasie przerdzewiałby cały jego środkowy odcinek. Jedynym rozwiązaniem było przewieszenie przewodu przez krawędź urwiska, tak by

jego koniec znajdował się pod gliną, i wkopanie go tam w skałę. Mimo to uziemienie nie było stabilne, a opór często za duży. Gdy pojawiały się takie kłopoty, zawsze miało to związek z częścią przewodu, która wchodziła w skałę. Osoba, której zlecono zadanie naprawy usterki, musiała wisieć na linach nad urwiskiem.

Dyżurny technik powiadomił ekipę remontową. Jeden z wchodzących w jej skład żołnierzy przywiązał linę do żelaznego słupa, a potem opuścił się na niej. Po półgodzinie, ociekając potem, wdrapał się z powrotem na skraj urwiska i powiedział, że nie mógł znaleźć usterki. Wyglądało na to, że trzeba będzie odłożyć kolejną sesję monitorowania. Powiadomiono o tym dowództwo bazy. Czekałam przy tym żelaznym słupie i wkrótce, tak jak przypuszczałam, przyszedł z tym żołnierzem Lei Zhicheng.

Muszę szczerze powiedzieć, że Lei był bardzo oddany swej pracy i wiernie wypełniał obowiązki nakładane w tamtej epoce na oficerów politycznych: stań się częścią mas i zawsze bądź na linii frontu. Może to wszystko było tylko na pokaz, ale jeśli tak, to był dobrym aktorem. Kiedy w bazie było do wykonania jakieś trudne i niebezpieczne zadanie, można było mieć pewność, że podejmie się tego Lei. Jedną z prac, które przeprowadzał najczęściej, była naprawa uziemienia. Chociaż nie wymagała szczególnych umiejętności technicznych, liczyło się w niej doświadczenie. Przyczyny usterek były różne: obluzowanie wskutek wystawienia na działanie powietrza połączenia, które trudno było odkryć, zbytnie wyschnięcie miejsca, gdzie przewód wchodził w urwisko, albo coś innego. Wszyscy żołnierze, którzy zgłosili się do tego zadania, byli nowicjuszami, żaden nie miał doświadczenia. Domyśliłam się więc, że najprawdopodobniej pojawi się Lei.

Włożył uprząż i trzymając się liny, przeszedł przez skraj urwiska, jakby w ogóle nie istniało. Pod jakimś pretekstem odprawiłam żołnierza, który go

przyprowadził, i zostałam na brzegu zbocza sama. Wyjęłam z kieszeni krótką piłkę do metalu, zrobioną z dłuższej, złamanej na trzy części, które potem zostały ponownie połączone. Dzięki temu później miało nie być widać, że lina została przecięta.

Akurat wtedy nadszedł mój mąż, Yang Weining.

Gdy wyjaśniłam mu, co się stało, wyjrzał za skraj urwiska. Potem powiedział, że zbadanie przewodu w miejscu, gdzie wchodzi w skałę, wymaga kopania i że to za dużo pracy dla jednej osoby. Chciał się opuścić na dół, żeby pomóc komendantowi, i włożył uprząż zostawioną przez tamtego żołnierza. Poprosiłam go, by użył innej liny, ale stwierdził, że ta, na której wisi Lei, jest gruba i mocna, więc łatwo wytrzyma ciężar dwóch ludzi. Nalegałam, więc powiedział mi, żebym przyniosła drugą linę. Kiedy tam wróciłam, zszedł już na dół. Wychyliłam głowę i zobaczyłam, że skończyli sprawdzać przewód i wspinają się z powrotem na górę. Pierwszy szedł Lei.

Nie mogłam liczyć na drugą szansę. Wyjęłam piłkę i przecięłam linę.

ŚLEDCZY: Chcę zadać pytanie, ale nie zaprotokołuję odpowiedzi. Jak się pani wtedy czuła?

ŻE: Byłam spokojna. Kiedy to robiłam, nie czułam nic. W końcu znalazłam cel, któremu mogłam się poświęcić. Nie obchodziło mnie, jaką ja czy inni zapłacimy za to cenę. Wiedziałam, że będzie to dla całej ludzkości niezwykle wysoka cena i że jest to dopiero bardzo skromny początek.

ŚLEDCZY: Dobrze. Proszę mówić dalej.

ŻE: Usłyszałam dwa czy trzy okrzyki zaskoczenia, a potem uderzenie ciał o skały u podnóża urwiska. Po chwili zobaczyłam, że płynący tam

strumień zabarwił się na czerwono… To wszystko, co mam o tym do powiedzenia.

ŚLEDCZY: Rozumiem. Oto protokół. Proszę go dokładnie sprawdzić i jeśli nie znajdzie pani błędów, podpisać.

26

Nikt nie żałuje

Śmierć Leia i Yanga potraktowano jako nieszczęśliwy wypadek. Wszyscy w bazie wiedzieli, że Ye i Yang byli szczęśliwym małżeństwem, więc nikt jej nie podejrzewał.

Do bazy przybył nowy komendant i wszystko wróciło do dawnego, spokojnego rytmu. Życie poczęte w łonie Ye rosło, czuła też, że zmienia się świat na zewnątrz.

Pewnego dnia dowódca plutonu ochrony poprosił Ye do wartowni przy wejściu do bazy. Gdy tam weszła, zaskoczył ją widok dwóch chłopców i dziewczynki, w wieku piętnastu czy szesnastu lat. Byli w starych kurtkach i czapkach z psiej skóry. Pełniący służbę wartownik powiedział, że przyszli z wioski Qijiatun. Słyszeli, że na Radarowym Szczycie są mądrzy ludzie, i chcieli zadać jej kilka pytań związanych z tym, czego się uczyli.

Ye zdziwiła się, że ośmielili się wejść na Radarowy Szczyt. Była to strefa wojskowa o ograniczonym dostępie i wartownicy mieli rozkaz strzelać do intruzów po jednym tylko ostrzeżeniu. Ujrzawszy jej zdumioną minę, wartownik wyjaśnił, że niedawno otrzymali wiadomość, iż klauzula bezpieczeństwa bazy została obniżona i pozwolono miejscowej ludności

podchodzić do niej, ale bez prawa wstępu na jej teren. Już poprzedniego dnia przyszło kilku chłopów, by sprzedać warzywa.

Jedno z dzieci wyjęło zniszczony licealny podręcznik fizyki. Ręce chłopca były brudne i popękane jak kora drzewa. Zadał z ciężkim północnowschodnim akcentem bardzo proste pytanie. Podręcznik mówił, że bezwładnie spadające ciało ma stałe przyspieszenie, ale zawsze osiągnie prędkość graniczną. Zastanawiali się nad tym przez kilka wieczorów, ale nie mogli tego zrozumieć.

– Przeszliście taki kawał drogi tylko po to, żeby o to zapytać? – zdziwiła się Ye.

– Pani nauczycielko, nie wie pani, że wznowili egzaminy? – zapytała z przejęciem dziewczynka.

– Egzaminy?

– Narodowe egzaminy wstępne na uczelnie wyższe! Kto ciężko pracuje i uzyska najlepsze wyniki, idzie na studia! Zaczęły się dwa lata temu. Nie wiedziała pani?

– Nie trzeba już mieć rekomendacji?

– Nie. Do egzaminów może przystąpić każdy. Nawet dzieci osób z pięciu czarnych kategorii[1].

Ye była zaszokowana. Ta zmiana napełniła ją mieszanymi uczuciami. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że dzieci nadal czekają. Szybko odpowiedziała na ich pytanie, wyjaśniając, że dzieje się tak wskutek oporu powietrza równoważącego siłę grawitacji. Potem powiedziała, że jeśli w przyszłości napotkają jakieś trudności w nauce, zawsze mogą się do niej zwrócić po pomoc.

Trzy dni później przyszło do niej siedmioro dzieci, oprócz trójki, która spotkała się z nią pierwsza, czworo z jeszcze dalej położonych wsi. Za

trzecim razem już piętnaścioro, a nawet nauczyciel z małomiasteczkowego liceum.

Z powodu niedostatku nauczycieli musiał uczyć fizyki, matematyki oraz chemii i przyszedł do niej po poradę. Był dopiero po pięćdziesiątce, ale twarz miał już usianą zmarszczkami. W obecności Ye zachowywał się bardzo nerwowo i co rusz upuszczał jakąś książkę. Ye usłyszała, jak po wyjściu z wartowni mówił uczniom:

– Dzieci, to *uczona*. Prawdziwa *uczona*!

Potem co kilka dni przychodziły do niej jakieś dzieci z prośbą o korepetycje. Czasami było ich tak dużo, że nie mieściły się w wartowni. Wtedy za pozwoleniem dowództwa ochrony bazy wartownicy prowadzili je do stołówki. Ye ustawiła tam małą tablicę.

Kiedy wyszła z pracy w wigilię chińskiego Nowego Roku 1980, było już ciemno. Większość personelu bazy wyjechała na trzydniowe święta i wszędzie panowała cisza. Ye wróciła do swojego pokoju. Kiedyś stanowił on dom jej i Yang Weininga, ale teraz było tam pusto, a jedynym towarzyszem było nienarodzone dziecko w jej łonie. Na zewnątrz zawodził zimny wiatr Wielkiego Chinganu, niosąc ze sobą słabe odgłosy ogni sztucznych odpalanych w wiosce Qijiatun. Owładnęło nią uczucie samotności, które ściskało ją niczym wielka dłoń, tak że miała wrażenie, iż staje się coraz mniejsza i znika w jakimś kącie Wszechświata…

Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła i zobaczyła wartownika, a za nim kilkanaście sosnowych pochodni migoczących w podmuchach wiatru. Trzymała je gromadka dzieci o zaczerwienionych z zimna twarzach. Z ich czapek zwisały sople lodu. Gdy weszły do pokoju, zdawało się, że wniosły ze sobą zimne powietrze. Najbardziej zmarznięci byli dwaj lekko ubrani chłopcy, którzy okryli kurtkami coś, co trzymali w ramionach. Gdy je

odwinęli, ukazał się garnek z parującą kiszoną kapustą i pierożkami z wieprzowiną.

W tamtym roku, sześć miesięcy po wysłaniu przez nią sygnału w stronę Słońca, Ye zaczęła rodzić. Ponieważ płód miał nieprawidłowe ułożenie, lekarz w bazie nie mógł sobie z tym poradzić i wysłał ją do szpitala w najbliższym mieście.

Był to jeden z najtrudniejszych dni w jej życiu. Strasznie cierpiała i straciła dużo krwi, a potem zapadła w śpiączkę. Widziała jak przez mgłę trzy powoli krążące wokół niej oślepiająco jasne słońca, które bezlitośnie smażyły jej ciało. Ten stan utrzymywał się przez pewien czas i myślała, że nadszedł chyba jej koniec i że znalazła się w piekle. Ogień buchający z trzech słońc będzie ją trawił przez całą wieczność. Była to kara za zdradę, której się dopuściła, zdradę przewyższającą wszystkie inne. Zdjął ją ogromny strach, nie o siebie, lecz o swoje nienarodzone dziecko – czy nadal było w jej łonie? A może już się urodziło i trafiło do tego piekła, by cierpieć razem z nią?

Nie wiedziała, ile czasu to trwało. Stopniowo trzy słońca odsunęły się dalej, potem nagle się skurczyły i zmieniły w krystaliczne latające gwiazdy. Powietrze wokół niej się ochłodziło, ból zelżał. W końcu się przebudziła.

Usłyszała obok siebie płacz. Obróciwszy z trudem głowę, zobaczyła różową i mokrą twarzyczkę noworodka.

Lekarz powiedział jej, że straciła ponad dwa tysiące mililitrów krwi. Z Qijiatun przybyły dziesiątki wieśniaków, by oddać dla niej krew. Wielu z nich było rodzicami dzieci, którym udzielała korepetycji, ale większości z nich nic z nią nie łączyło – słyszeli tylko o niej od tych dzieci i ich rodziców. Bez ich daru na pewno by umarła.

Po urodzeniu dziecka życie Ye się skomplikowało. Trudny poród nadwyrężył jej zdrowie. Nie mogła zostać z niemowlęciem w bazie zdana tylko na siebie, a nie miała rodziny, która mogłaby jej pomóc. Wtedy przyszło do dowództwa bazy stare małżeństwo z Qijiatun i powiedziało, że mogą zabrać ją wraz z dzieckiem do siebie i zaopiekować się obojgiem. Mężczyzna był niegdyś myśliwym i zbieraczem ziół stosowanych w tradycyjnej medycynie chińskiej. Kiedy wycięto okoliczne lasy, zajął się uprawą roli, ale ludzie z przyzwyczajenia nadal nazywali go Myśliwym Qi. Mieli dwóch synów i dwie córki. Córki wyszły za mąż i wyprowadziły się. Jeden z synów był w wojsku daleko od domu, drugi był żonaty i mieszkał z nimi. Synowa też niedawno urodziła dziecko.

Ye wciąż nie została zrehabilitowana politycznie, więc dowództwo bazy nie było pewne, czy może się zgodzić na proponowane rozwiązanie. Nie było jednak innego wyjścia i w końcu pozwoliło parze starych wieśniaków zabrać na saniach Ye i jej dziecko ze szpitala.

Mieszkała u nich przez ponad pół roku. Była taka słaba, że nie miała pokarmu dla dziecka. Przez ten czas karmiły je piersią mamki z wioski, najczęściej synowa Myśliwego Qi, Feng. Feng miała krzepką budowę kobiety z północnego wschodu. Codziennie jadła sorgo i chociaż karmiła dwoje dzieci, jej duże piersi były pełne mleka. Wszystkie kobiety, które karmiły Yang Dong, lubiły Ye i mówiły, że jej dziecko ma tak samo mądre spojrzenie jak jego matka.

Dom Myśliwego Qi stopniowo stał się miejscem zebrań mieszkanek wsi. Stare i młode, matrony i dzierlatki, lubiły tam wpaść, kiedy nie miały nic innego do roboty. Podziwiały Ye, były ciekawe jej życia, a ona odkryła, że mają wiele wspólnych, kobiecych tematów do przedyskutowania.

Siedziała z nimi, trzymając w ramionach Yang Dong, całymi dniami na podwórku otoczonym brzozowymi kołkami. Legiwał przy niej leniwy

czarny pies, obok bawiły się dzieci, kąpiąc się w ciepłych promieniach słońca. Jej uwagę przyciągały szczególnie kobiety z miedzianymi fajkami. Wydmuchiwały niespiesznie dym, który, przesączony światłem słonecznym, mienił się srebrem, podobnie jak delikatne włoski na ich pulchnych rękach. Któregoś dnia jedna z nich podała jej swoją długą fajkę, by pociągnęła z niej i – jak powiedziała – „poczuła się lepiej”. Ye zaciągnęła się tylko dwa razy i zakręciło się jej w głowie. Przez następnych kilka dni śmiały się z tego.

Natomiast mężczyznom miała niewiele do powiedzenia. Nie była w stanie pojąć spraw, którymi zajmowali się całymi dniami. Zrozumiała tylko tyle, że skoro władze poluzowały – jak się wydawało – trochę politykę, chcieliby uprawiać żeń-szeń, by zarobić parę groszy, ale nie mieli odwagi, żeby tego spróbować. Wszyscy traktowali ją z szacunkiem i bardzo uprzejmie się do niej odzywali. Na początku nie zwracała na to uwagi, ale gdy spostrzegła, że brutalnie biją żony i bez żadnego skrępowania flirtują z wdowami, mówiąc rzeczy, na których dźwięk się rumieniła, zdała sobie sprawę, jak cenny jest ich szacunek. Co parę dni któryś z nich przynosił do domu Qi zająca albo bażanta, a przy okazji dawał jej jakąś własnoręcznie zrobioną zabawkę.

Po latach Ye wydawało się, że tamten okres był fragmentem życia kogoś innego i przydryfował do niej jak piórko niesione falą. Przybrał w jej pamięci kształt cyklu obrazów, ale nie w stylu tradycyjnych chińskich dzieł malowanych tuszem i farbami wodnymi, lecz klasycznych europejskich obrazów olejnych. Na malowidłach chińskich jest mnóstwo pustych miejsc, a w życiu w Qijiatun takich miejsc nie było. Podobnie jak klasyczne obrazy olejne, pełne było żywych kolorów. Wszystko było ciepłe i intensywne: łóżka kang z rozłożonej na piecu grubej warstwy turzycy, tytoń Guandong i Mohe ubity w miedzianych fajkach, gęste i zawiesiste potrawy z sorgo,

destylowany z tej rośliny sześćdziesięcioprocentowy baijiu, wszystko to przepływało cicho i spokojnie jak potok na skraju doliny.

Najbardziej wryły się jej w pamięć wieczory i noce. Syn Myśliwego Qi – pierwszy mieszkaniec wioski, który wyjechał z niej, by zarabiać gdzie indziej – przebywał w mieście i sprzedawał grzyby, dzieliła więc pokój z jego żoną. We wsi nie było jeszcze elektryczności, siadały zatem przy lampie naftowej. Ye czytała, Feng dziergała na drutach. By lepiej widzieć, Ye mimowolnie coraz bardziej zbliżała głowę do lampy, wskutek czego często przypalała sobie grzywkę. W takich chwilach spoglądały na siebie i się uśmiechały. Oczywiście coś takiego nigdy nie przydarzyło się Feng. Miała bardzo dobry wzrok i mogła wykonywać swoje robótki nawet przy mdłym świetle paleniska. Ich dzieci, które nie miały nawet pół roku, spały obok nich na kangu. Ye uwielbiała patrzeć wtedy na nie. Jedynym dźwiękiem w pokoju był ich równy oddech.

Początkowo nie lubiła spać na ogrzewanym kangu i często źle się czuła, ale stopniowo przyzwyczaiła się do tego. Kiedy spała, śniło się jej, że sama jest małym dzieckiem i spoczywa w ciepłych objęciach osoby dorosłej. Ten sen był tak realistyczny, że budziła się ze łzami na twarzy – osobą, która ją trzymała, nie był jej ojciec, matka ani mąż. Nie wiedziała, kto to jest.

Pewnego razu odłożyła książkę i zobaczyła, że Feng trzyma tekstylny but, który akurat zszywała, i gapi się nieruchomo w płomień lampy. Gdy zdała sobie sprawę, że Ye na nią patrzy, zapytała:

– Siostro, jak myślisz, dlaczego gwiazdy nie spadają z nieba?

Ye uważnie się jej przyjrzała. Lampa naftowa była znakomitą artystką. Stworzyła obraz o wspaniałych kolorach, naniesionych śmiałymi pociągnięciami pędzla: Feng w narzuconej na plecy kurtce i czerwonym pasie, z oświetlonymi piersiami i krągłym, gładkim, nagim ramieniem. Najpiękniejsze części jej ciała mieniły się najjaskrawszymi barwami, resztę

skrywał mrok. Również tło było zamazane, wszystko rozpływało się w łagodnej ciemności. Jednak przy uważniejszym przyjrzeniu się widać było przyćmiony czerwony blask, którego nie rzucała lampa, lecz żarzący się węgiel drzewny na podłodze. Zimne powietrze na zewnątrz malowało już na szybach piękne lodowe wzory.

– Boisz się spadających gwiazd? – zapytała cicho Ye.

Feng roześmiała się i potrząsnęła głową.

– A czego tu się bać? Są takie małe.

Zamiast odpowiedzieć jak astrofizyk Ye rzekła tylko:

– Są bardzo, bardzo daleko. Nie mogą spaść.

Feng wystarczyła ta odpowiedź. Wróciła do swojej pracy. Ale Ye nie mogła już odzyskać spokoju. Odłożyła książkę, położyła się na ciepłym kangu i zamknęła oczy. Wszechświat otaczający ich małą chatkę zniknął jak część pokoju poza kręgiem światła lampy. W wyobraźni Ye zastąpiła go tym, co postrzegała Feng. Nocne niebo stało się czarną kopułą, wystarczająco dużą, by pokryć cały świat. Wewnętrzna powierzchnia tej kopuły była wysadzana niezliczonymi gwiazdami świecącymi srebrnym światłem, a żadna z nich nie była większa od lusterka na starym drewnianym stole obok łóżka. Świat był płaski i rozciągał się daleko we wszystkie strony, ale miał kres, gdzie spotykał się z niebem. Tę płaską powierzchnię pokrywały łańcuchy górskie, takie jak Wielki Chingan, i lasy, w których leżały małe wioski podobne do Qijiatun… Ten obraz zabawkowego Wszechświata uspokoił ją i powoli przeniósł się z jej wyobraźni w sen.

W tej górskiej wiosce w głębi Wielkiego Chinganu w końcu coś odtajało w sercu Ye. W skutej mrozem tundrze jej duszy pojawiło się jeziorko z topniejącego śniegu.

W końcu Ye wróciła z Yang Dong do bazy. Minęły kolejne dwa lata, w których czuła na przemian to spokój, to niepokój, i otrzymała zawiadomienie, że zarówno ona, jak i jej ojciec zostali zrehabilitowani. Wkrótce potem przyszedł list z Uniwersytetu Tsinghua, w którym poinformowano ją, że może od zaraz wrócić do nauczania. Do listu dołączono pewną sumę pieniędzy – wynagrodzenie należne jej ojcu po rehabilitacji. W końcu na zebraniach w bazie przełożeni zaczęli nazywać ją „towarzyszką”.

Ye przyjmowała te wszystkie zmiany ze spokojem, nie wykazując żadnych oznak ekscytacji czy wzruszenia. Nie interesował jej świat zewnętrzny, chciała pozostać w cichym, leżącym na uboczu Czerwonym Brzegu, ale ostatecznie, by zapewnić Yang Dong dobre wykształcenie, opuściła bazę, w której spodziewała się niegdyś spędzić resztę życia, i powróciła na swą Alma Mater.

Po wylocie z bazy wszędzie czuła powiew wiosny. Zimny wiatr rewolucji kulturalnej rzeczywiście ucichł i wszystko wracało do życia. Chociaż straszna epoka się skończyła, kraj był w ruinie, a niezliczone rzesze ludzi lizały rany. Mimo to widać było, że nastają nowe czasy. W uczelnianych kampusach pojawili się studenci z dziećmi, w księgarniach sprzedawano słynne dzieła, w fabrykach postawiono na postęp technologiczny, a badania naukowe otoczył nimb świętości. Nauka i technika były jedynymi kluczami do przyszłości; do tej pierwszej ludzie podchodzili ze szczerą wiarą uczniów szkoły podstawowej. Chociaż byli naiwni, trzymali się też twardo ziemi. Guo Moruo, przewodniczący Chińskiej Akademii Nauk, oświadczył na pierwszej Krajowej Konferencji Naukowców, że powróciła dla nich wiosna.

Czy wreszcie nastał kres szaleństwa? Czy naprawdę wracała racjonalność? Ye wielokrotnie zadawała sobie te pytania.

Do dnia wylotu z bazy Czerwony Brzeg nie dostała już ani jednej wiadomości z Trisolaris. Wiedziała, że będzie musiała czekać co najmniej osiem lat na odpowiedź z tamtego świata, a po opuszczeniu bazy nie miała żadnych możliwości otrzymania komunikatu od cywilizacji pozaziemskiej.

Była to tak ważna rzecz, a przecież zrobiła to sama. Napełniało ją to poczuciem nierzeczywistości. Z upływem czasu poczucie to stawało się coraz silniejsze. To, co się stało w bazie, wydawało się jej złudzeniem albo snem. Czy Słońce naprawdę mogło wzmacniać sygnały radiowe? Czy naprawdę wykorzystała je jako antenę dla wysłania w Wszechświat informacji o ludzkiej cywilizacji? Czy naprawdę dostała wiadomość z gwiazd? Czy naprawdę nastał kiedyś ten krwawo zabarwiony świt, gdy zdradziła całą ludzkość? A to podwójne morderstwo…

Ye starała się znieczulić pracą, by zapomnieć o przeszłości, i prawie jej się udało. Jakiś dziwny instynkt samozachowawczy sprawił, że przestała wspominać dawne dzieje, przestała myśleć o łączności, którą nawiązała niegdyś z inną cywilizacją. I tak w spokoju upływało jej życie.

W jakiś czas po powrocie na Uniwersytet Tsinghua Ye wzięła Yang Dong i pojechała zobaczyć się z matką, Shao Lin. Po śmierci męża Shao szybko wyszła z załamania nerwowego i nadal starała się przetrwać w zakamarkach polityki. Jej starania, by iść z duchem czasu i wykrzykiwać właściwe w danym momencie slogany, w końcu się opłaciły i w fazie, w której zaczęto głosić hasło „Wracajcie do szkół, kontynuujcie rewolucję”, znowu zaczęła uczyć[2]. I wtedy zrobiła coś, czego nikt się nie spodziewał. Wyszła za represjonowanego byłego wysokiego urzędnika Ministerstwa

Edukacji. W owym czasie stara kadra przebywała jeszcze w „oborach”, gdzie reedukowano ją przez pracę[3]. Było to częścią dalekosiężnego planu Shao. Wiedziała, że chaos nie będzie mógł trwać wiecznie. Młodzi buntownicy, którzy atakowali wszystko w polu widzenia, nie mieli doświadczenia w kierowaniu krajem. Wcześniej czy później musiały z powrotem dojść do władzy represjonowane i odsunięte na margines stare kadry.

Ta ryzykowna gra przyniosła efekty. Jeszcze przed końcem rewolucji kulturalnej jej mąż odzyskał stanowisko. Po Trzecim Posiedzeniu Plenarnym 11. Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin[4] dostał awans na wiceministra. W tej sytuacji wzrosła też szybko pozycja Shao Lin, tym bardziej że inteligenci znowu zaczęli się cieszyć względami władzy. Gdy została członkinią Chińskiej Akademii Nauk, rozstała się z dawną uczelnią i została mianowana prorektorem innego słynnego uniwersytetu.

W chwili, gdy zobaczyła ją Ye, matka była wzorem wykształconej kobiety, która wie, jak o siebie zadbać. Prześladowania, których doznała, nie zostawiły na niej ani śladu. Gorąco powitała Ye i Yang Dong, wypytywała córkę o to, jak się jej żyło przez te wszystkie lata, zachwycała się, że Yang Dong jest taka bystra, i drobiazgowo poinstruowała kucharkę, jak przygotować ulubione dania Ye. Wszystko odbywało się w atmosferze troskliwości, ale Ye wyczuła, że między nią i matką wznosi się niewidzialny mur. Unikały drażliwych tematów i żadna z nich ani razu nie wspomniała ojca Ye.

Po obiedzie Shao Lin z mężem odprowadzili je kawałek. Potem Shao Lin wróciła do domu, a jej mąż powiedział, że chce zamienić z Ye parę słów. W jednej chwili miły uśmiech wiceministra zastąpiła lodowata mina, jakby niecierpliwie zdjął on maskę.

– Będzie nam miło przyjmować cię wraz z dzieckiem w przyszłości, ale pod jednym warunkiem: nie próbuj wyrównywać dawnych rachunków. Twoja matka nie ponosi żadnej odpowiedzialności za śmierć twego ojca. Ona też była ofiarą. Twój ojciec trwał w niezdrowy sposób przy swoich przekonaniach i zabrnął w ślepą uliczkę. Zapomniał o odpowiedzialności za rodzinę, czym naraził na cierpienia ciebie i twoją matkę.

– Nie masz prawa mówić o moim ojcu – odparła Ye głosem przepełnionym złością. – To sprawa między moją matką i mną. Tobie nic do tego.

– Masz rację – rzekł chłodno mąż Shao Lin. – Przekazuję ci tylko wiadomość od matki.

Ye podniosła głowę i spojrzała na budynek zarezerwowany dla wyższych kadr. Widziała, że Shao Lin wygląda zza firanki. Pochyliła się, wzięła Yang Dong na ręce i bez słowa odeszła. Nigdy już tam nie wróciła.

Przez długi czas szukała informacji o czterech czerwonogwardzistkach, które zabiły jej ojca, i w końcu udało się jej odnaleźć trzy z nich. Wszystkie wysłano w późniejszym stadium rewolucji kulturalnej na wieś[5], skąd potem wróciły, ale żadna z nich nie miała zatrudnienia. Po zdobyciu ich adresów Ye napisała do każdej krótki list z prośbą o spotkanie na boisku, na którym zginął jej ojciec. Chciała z nimi tylko porozmawiać.

Ye nie odczuwała pragnienia zemsty. Zemściła się już na całej ludzkości, włącznie z tymi czerwonogwardzistkami, owego ranka w Czerwonej Bazie, kiedy wzeszło słońce. Chciała jednak usłyszeć, że te morderczynie żałują tego, co zrobiły, zobaczyć u nich choć trochę odzyskanych ludzkich uczuć.

Czekała na nie po południu, po zajęciach. Nie miała wielkiej nadziei, że przyjdą, ba, była prawie pewna, że się nie pokażą, ale w ustalonym czasie

zjawiły się na boisku.

Poznała je z daleka, bo wszystkie ubrane były w rzadko już spotykane zielone mundury. Gdy się zbliżyły, zdała sobie sprawę, że być może były to te same mundury, które miały na sobie podczas tamtego pamiętnego wiecu walki klas. Były tak sprane, że prawie straciły kolor, i połatane. Poza mundurami nic w tych liczących teraz po trzydzieści kilka lat kobietach nie przypominało tak walecznych tamtego dnia czerwonogwardzistek. Straciły nie tylko młodość, ale coś jeszcze.

Pierwsze wrażenie Ye było takie, że chociaż kiedyś wydawały się ulepione z tej samej gliny, teraz bardzo się od siebie różniły. Jedna tak się skurczyła i schudła, że mundur wisiał na niej. Była przygarbiona, jej włosy pożółkły. Druga rozrosła się tak, że nie mogła dopiąć guzików kurtki. Miała włosy w nieładzie i ponurą twarz, jakby trudy życia pozbawiły ją wszelkich oznak kobiecej subtelności. Trzecia zachowała resztki dawnego, młodzieńczego wyglądu, ale jeden z rękawów był pusty i luźno zwisał.

Trzy czerwonogwardzistki stały teraz przed nią rzędem, jak tamtego dnia przed Ye Zhetaiem, starając się odzyskać dawno zapomnianą godność. Ale ulotniła się demoniczna energia duchowa, która wtedy je przepełniała. Chuda miała minę myszki, twarz przysadzistej wyrażała tylko odrętwienie, jednoręka spoglądała w niebo.

– Myślałaś, że nie będziemy miały odwagi się pokazać? – zapytała prowokującym tonem przysadzista.

– Myślę, że powinnyśmy się spotkać. Trzeba zamknąć przeszłość – odparła Ye.

– Przeszłość jest zamknięta. Powinnaś o tym wiedzieć. – Głos chudej był piskliwy, jakby się czegoś bała.

– Miałam na myśli zamknięcie duchowe.

– A więc chcesz od nas usłyszeć, że żałujemy? – zapytała grupa.

– Nie sądzisz, że powinnyście?

– A kto okaże skruchę wobec nas? – zapytała jednoręka.

– Z nas czterech – rzekła przysadzista – trzy podpisały gazetkę wielkich hieroglifów w liceum przy Uniwersytecie Tsinghua. Rewolucyjne objazdy, wielkie zgromadzenia na placu Tiananmen, wojny pomiędzy frakcjami Czerwonej Gwardii, Pierwsza Czerwona Kwatera Główna, Druga Czerwona Kwatera Główna, Trzecia Czerwona Kwatera Główna, Komitet Zjednoczonej Akcji, Pikiety Zachodnie, Pikiety Wschodnie, Komuna Nowego Uniwersytetu Pekińskiego, Oddział Szturmowy Czerwonej Flagi. Wschód Jest Czerwony – przeszłyśmy wszystkie etapy historii Czerwonej Gwardii, od jej narodzin do śmierci.

– Podczas wojny studniowej na Tsinghua – podjęła wątek jednoręka – dwie z nas były w Korpusie Gór Jinggang, dwie we frakcji Czternastego Kwietnia. Rzuciłam się z granatem na domowej roboty czołg frakcji Gór Jinggang. Jego gąsienica zmiażdżyła mi rękę. Moja krew, mięśnie i kości zostały wciśnięte w ziemię. Miałam zaledwie piętnaście lat[6].

– Potem wysłano nas w dzicz! – Przysadzista wzniosła ręce. – Dwie do Shaanxi, dwie do Henanu, do najodleglejszych, ubogich zakątków kraju. Kiedy tam jechałyśmy, byłyśmy idealistkami, ale szybko nam przeszło. Po pierwszym dniu pracy w polu byłyśmy tak zmęczone, że nawet nie uprałyśmy ubrań. Leżałyśmy w chacie z dziurawym słomianym dachem, słuchałyśmy wycia wilków w nocy i stopniowo budziłyśmy się z marzeń. Utknęłyśmy w tych zapomnianych wioskach i nikt się nami nie przejmował.

Jednoręka patrzyła tępo na ziemię.

– Czasami na ścieżce przez jałowe wzgórza wpadałam na towarzysza lub wroga z czasów walk między frakcjami Czerwonej Gwardii. Patrzyliśmy na

siebie: takie same łachmany, taki sam pokrywający nas brud i krowie łajno. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Przysadzista spojrzała na Ye.

– Dziewczyną, która zadała twojemu ojcu śmiertelny cios, była Tang Hongjing. Utonęła w Żółtej Rzece. Nastąpiła powódź, która zabrała kilka owiec przeznaczonych dla brygady produkcyjnej. Wtedy sekretarz partii krzyknął do przysłanych tam studentów i uczniów: „Rewolucyjna młodzieży! Pora sprawdzić, na co was stać!”. Więc Hongjing i troje innych uczniów wskoczyło do rzeki, by ratować te owce. Była wczesna wiosna i na powierzchni nadal utrzymywała się cienka warstwa lodu. Zginęła cała czwórka, nie wiadomo, czy się utopili, czy przemarzli. Gdy zobaczyłam ich ciała… nie… nie mogę już, kurwa, o tym mówić.

Zakryła oczy i zaczęła płakać.

Chuda westchnęła i w jej oczach też pojawiły się łzy.

– Potem wróciłyśmy do miasta. No i co z tego? Nadal nic nie mamy. Przeniesiona na wieś młodzież nie ma po powrocie łatwego życia. Nie możemy znaleźć nawet najgorszej pracy. Nie mamy zatrudnienia, pieniędzy, żadnej przyszłości. Niczego.

Ye nie mogła znaleźć słów.

– Niedawno wszedł na ekrany film pod tytułem *Klon*. Nie wiem, czy go widziałaś. Pod koniec przed grobem czerwonogwardzistów, którzy zginęli podczas wojen frakcyjnych, stoją dorosły i dziecko. Dziecko pyta: „Czy oni są bohaterami?”. Dorosły odpowiada, że nie. „Wrogami?” – pyta dziecko. Dorosły odpowiada, że też nie. „No to kim?” – pyta znowu dziecko. „Historią” – odpowiada dorosły.

– Słyszałaś to? – Przysadzista machnęła z podnieceniem ręką przed Ye. – Historią! Historią! Teraz mamy nową epokę. Kto będzie o nas pamiętał? Kto, włącznie z tobą, pomyśli o nas? Wszyscy zupełnie o tym zapomną!

Czerwonogwardzistki odeszły, zostawiając Ye samą. Wiele lat temu, w deszczowe popołudnie, też stała tu sama, patrząc na zwłoki ojca. Ostatnia uwaga czerwonogwardzistki rozbrzmiewała bez końca echem w jej głowie…

W świetle zachodzącego słońca szczupła sylwetka Ye rzucała na ziemię długi cień. Mały promyk nadziei, że społeczeństwo może się zmienić na lepsze, który pojawił się w jej duszy, zniknął jak kropla rosy. Tak samo zniknęły bez śladu drobne wątpliwości, czy zdradzając ludzkość, postąpiła słusznie.

W końcu podjęła nieodwracalną decyzję: musi sprowadzić na Ziemię wyższą cywilizację z innego miejsca we Wszechświecie.

1 Do pięciu czarnych kategorii, ludzi, w których skierowane było ostrze rewolucji kulturalnej, zaliczano właścicieli ziemskich, bogatych rolników, kontrrewolucjonistów, „zły element” i prawicowców.

2 W początkowej fazie rewolucji kulturalnej, gdy starsi uczniowie i studenci stali się czerwonogwardzistami, zamknięto wszystkie szkoły. Wywołało to chaos, który pod koniec 1967 roku zmusił kierownictwo w Pekinie do skierowania do młodzieży prośby, by wróciła do szkół i kontynuowała rewolucję w bardziej kontrolowany sposób.

3 „Obory” były obozami pracy zakładanymi w pierwszych stadiach rewolucji kulturalnej przez fabryki, szkoły, miasta i inne jednostki, w których osadzano kontrrewolucyjne „potwory i demony” (reakcyjnych nauczycieli akademickich, prawicowców, członków pięciu czarnych kategorii i inne niewygodne osoby).

4 To posiedzenie zapoczątkowało politykę „reformy i otwarcia”. Uważa się, że wtedy przywódcą Chin został Deng Xiaoping.

5 W późniejszym okresie rewolucji kulturalnej wysyłano wykształconą młodzież miejską do pracy w położonych w rejonach górskich gospodarstwach rolnych. Wśród tak zwanej „młodzieży przeniesionej na wieś” było wielu dawnych czerwonogwardzistów, więc niektórzy komentatorzy uważają, że politykę tę wprowadził przewodniczący Mao, by usunąć z miast buntowników, którzy wymknęli się spod kontroli, i przywrócić tam porządek.

6 Studniowa wojna na Uniwersytecie Tsinghua była jedną z najbardziej zażartych wojen między frakcjami Czerwonej Gwardii. Toczyła się od 23 kwietnia do 27 lipca 1968 roku z użyciem różnej broni – karabinów, granatów, min, dział i tak dalej. Zginęło podczas niej osiemnaście osób, ponad 1100 zostało rannych, a ponad trzydzieści zostało kalekami.

27

Evans

Pół roku po powrocie na Uniwersytet Tsinghua Ye podjęła się ważnego zadania: opracowania planu budowy obserwatorium radioastronomicznego. Jeździła z grupą roboczą po całym kraju, szukając najlepszego miejsca na jego lokalizację. Chodziło o sprawy czysto techniczne. W odróżnieniu od tradycyjnej astronomii radioastronomia nie miała tak wielu wymagań co do stanu atmosfery i jej zanieczyszczenia, za to zakłócenia elektromagnetyczne musiały być jak najmniejsze. Sprawdzili wiele miejsc i w końcu wybrali najczyściejsze pod tym względem – odległy, pagórkowaty region na północnym zachodzie.

Lessowe wzgórza pokrywała skąpa szata roślinna. Za sprawą wyżłobień powstałych wskutek erozji zbocza wzgórz wyglądały jak stare, pomarszczone twarze. Po wybraniu kilku możliwych terenów pod budowę ekipa zatrzymała się na krótki odpoczynek w wiosce, której mieszkańcy nadal żyli w jaskiniach. Kierownik miejscowego gospodarstwa rolnego zorientował się, że Ye jest osobą wykształconą, i zapytał ją, czy potrafi mówić w obcym języku. Ye zapytała w jakim, na co odparł, że nie wie, ale jeśli zna jakiś, to pośle kogoś na szczyt wzgórza po Bethune’a, ponieważ załoga gospodarstwa musi z nim coś omówić[1].

– Bethune’a? – zdumiała się Ye.

– Nie znamy jego prawdziwego nazwiska, więc tak go nazywamy.

– Jest lekarzem?

– Nie. Sadzi drzewa na wzgórzach. Już od trzech lat.

– Sadzi drzewa? Po co?

– Mówi, że dla ptaków. Jakiegoś gatunku, który, jak mówi, prawie wyginął.

Zaciekawiło to Ye i jej kolegów. Poprosili kierownika gospodarstwa, żeby ich do niego zaprowadził. Powiódł ich ścieżką na szczyt małego wzgórza. Pokazał im miejsce, gdzie mieszkał obcokrajowiec. Ye pojaśniało przed oczami – wśród jałowych lessowych wzniesień widniało zbocze porośnięte zielonym młodnikiem. Wyglądało to tak, jakby ktoś ożywił stary, pożółkły obraz, przypadkowo chlusnąwszy na niego zieloną farbą.

Niebawem zobaczyli obcokrajowca. Poza jasnymi włosami oraz wytartymi dżinsami i kurtką, która przypominała kowbojską, niczym nie różnił się od miejscowych chłopów przez całe życie pracujących w polu. Nawet jego opalona skóra wyglądała tak samo. Nie wykazywał wielkiego zainteresowania gośćmi. Przedstawił się jako Mike Evans, nie mówiąc, skąd pochodzi, ale mówił po angielsku z wyraźnym północnoamerykańskim akcentem. Mieszkał w dwuizbowej chacie z suszonej na słońcu cegły, pełnej narzędzi do sadzenia drzew: kosturów, motyk, łopat, pił do przycinania gałęzi i tak dalej. Wszystkie były toporne i wyglądały na wyroby miejscowe. Wszechobecny na północnym zachodzie kurz pokrywał grubą warstwą proste łóżko i przybory kuchenne. Na łóżku leżał stos książek, w większości z dziedziny biologii. Ye zauważyła *Wyzwolenie zwierząt* Petera Singera. Jedyną oznaką nowoczesności było małe radio na baterie AA, które jednak podłączone było do akumulatora zewnętrznego. Stał tam też stary teleskop.

Evans przeprosił ich, że nie może im zaproponować nic do picia. Jakiś czas temu skończyła mu się kawa. Była woda, ale miał tylko jeden kubek.

– Może nam pan powiedzieć, co właściwie pan tutaj robi? – zapytał jeden z kolegów Ye.

– Chcę ratować.

– Ratować? Miejscowych? To prawda, że warunki środowiskowe tutaj…

– Dlaczego wszyscy tacy jesteście? – Evans nagle wpadł w furię. – Dlaczego trzeba ratować tylko ludzi? Dlaczego uważa się, że ratowanie innych gatunków nie jest ważne? Kto dał ludziom taką uprzywilejowaną pozycję? Nie, ludzie nie potrzebują ratunku. I tak już żyją dużo lepiej, niż na to zasłużyli.

– Słyszeliśmy, że chce pan uratować jakiś gatunek ptaków.

– Tak, jaskółkę. To podgatunek jaskółki północnowschodniej. Nazwa łacińska jest zbyt długa, więc nie będę wam zawracał nią głowy. Od czasów starożytnych te ptaki podążają co roku tymi samymi szlakami migracyjnymi, wracając tu z południa. Gniazdują tylko tutaj, ale ponieważ z roku na roku zmniejsza się obszar lasów, nie mogą znaleźć drzew, żeby zbudować gniazda. Kiedy je odkryłem, zostało nie więcej niż dziesięć tysięcy osobników. Jeśli ten trend będzie się utrzymywał, za pięć lat wyginą. Drzewa, które zasadziłem, stworzyły dla nich siedlisko, dzięki czemu ich populacja znowu wzrasta. Oczywiście muszę zasadzić jeszcze więcej i poszerzyć ten raj.

Evans pozwolił Ye i pozostałym spojrzeć przez teleskop. Zobaczyli kilka małych czarnych ptaków śmigających między drzewami.

– Niezbyt ładne, co? Oczywiście nie cieszą tak oczu tłumów jak panda wielka. Na tej planecie codziennie ginie jakiś gatunek, który nie przyciąga uwagi ludzi.

– Sam pan posadził te wszystkie drzewa?

– Większość. Najpierw wynajmowałem miejscowych, ale szybko skończyły mi się pieniądze. Sadzonki i nawadnianie sporo kosztują… ale wiecie co? Mój ojciec jest miliarderem. Jest prezesem międzynarodowej firmy naftowej, ale nie da mi ani grosza, a zresztą nie chcę jego pieniędzy.

Gdy Evans się wreszcie otworzył, wydawało się, że chce wylać wszystkie swoje żale.

– Kiedy miałem dwanaście lat, należący do firmy mojego ojca tankowiec o wyporności trzydziestu tysięcy ton osiadł na mieliźnie przy brzegu Atlantyku. Ponad dwadzieścia tysięcy ton ropy wyciekło do oceanu. Przebywaliśmy wtedy na wakacjach nieopodal tego miejsca. Gdy ojciec usłyszał o tym wypadku, pomyślał najpierw o tym, jak uniknąć odpowiedzialności za to, co się stało, i zminimalizować straty firmy. Tamtego popołudnia poszedłem obejrzeć ten piekielny brzeg. Morze pod grubym kleistym kożuchem ropy było czarne, gładkie, niemal bez fal. Również plażę pokrywała czarna breja. Razem z paroma innymi ochotnikami szukałem ptaków, które ocalały z tej katastrofy. W lepkiej mazi wyglądały jak rzeźby z asfaltu i tylko ich oczy świadczyły, że jeszcze żyją. Nadal prześladują mnie ich spojrzenia. Myliśmy je detergentem, starając się usunąć z nich ropę, ale było to bardzo trudne, bo wsiąknęła w ich pióra i jeśli tarło się zbyt mocno, wychodziły razem z nią… Do wieczora większość ptaków zdechła. Gdy siedziałem na tej czarnej plaży wyczerpany i umazany ropą i patrzyłem na słońce zachodzące nad morzem, wydawało mi się, że to koniec świata. Nie zauważyłem, kiedy podszedł do mnie ojciec. Zapytał, czy pamiętam szkielet małego dinozaura. Oczywiście pamiętałem. Został odkryty podczas wydobywania ropy i był prawie kompletny. Ojciec wydał dużo pieniędzy na kupienie go i umieszczenie na terenie naszej posiadłości. Potem rzekł: „Mike, mówiłem ci, jak wyginęły dinozaury. Na Ziemię spadła asteroida. Cały świat stał się jednym morzem

ognia, a potem na długo pogrążył się w ciemności i zimnie… Pewnej nocy obudziłeś się i powiedziałeś, że miałeś koszmarny sen. Śniło ci się, że znalazłeś się w tamtej strasznej epoce. Chciałem ci wtedy powiedzieć, że gdybyś rzeczywiście żył w kredzie, miałbyś szczęście. Dzisiejsze czasy są jeszcze gorsze. Tempo, w jakim obecnie giną gatunki żyjące na Ziemi, jest jeszcze szybsze, niż było wtedy. Teraz naprawdę mamy epokę masowej zagłady! A więc, dziecko, to, co widzisz, to drobiazg. To tylko nic nieznaczący epizod w nieuchronnym procesie. Możemy się obyć bez ptaków morskich, ale nie możemy się obyć bez ropy. Wyobrażasz sobie życie bez niej? Na ostatnie urodziny dałem ci to śliczne ferrari i obiecałem, że kiedy skończysz piętnaście lat, będziesz mógł nim jeździć. Bez ropy byłoby tylko kupą złomu. Teraz, jeśli zechcesz odwiedzić dziadka, możesz się dostać do niego moim prywatnym odrzutowcem, który w jakieś dziesięć godzin przewiezie cię na drugi brzeg oceanu. Bez ropy ponad miesiąc płynąłbyś do niego żaglowcem… Oto reguły gry cywilizacji: priorytetem jest zapewnienie ludziom przetrwania i wygodnego życia. Wszystkie inne sprawy są drugorzędne”. Ojciec pokładał we mnie wielkie nadzieje, ale obrałem inny kierunek. Przez długie dni wszędzie podążały za mną oczy tych ptaków. Gdy skończyłem trzynaście lat, ojciec zapytał mnie, kim chcę zostać, kiedy dorosnę. Odparłem, że zbawcą. Nie mierzyłem za wysoko, chciałem tylko ocalić jakiś gatunek bliski wymarcia. Mógł to być jakiś niezbyt piękny ptak, niepozorny motyl czy chrząszcz, którego nikt by nawet nie zauważył. Skończyłem biologię i stałem się specjalistą z zakresu ptaków i owadów. Dla mnie ocalenie jakiegoś gatunku ptaków czy owadów niczym nie różni się od ocalenia ludzkości. Podstawowym założeniem komunizmu wszechgatunkowego jest to, że każde życie jest tyle samo warte.

– Czego? – Ye nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Komunizmu wszechgatunkowego. To stworzona przeze mnie ideologia. Może ją pani nazwać wiarą. Jej osią jest przekonanie, że wszystkie gatunki na Ziemi są sobie równe.

– To nierealny cel. Rośliny uprawne też są żywymi organizmami. Jeśli ludzkość ma przetrwać, taka równość jest niemożliwa.

– Tak samo musieli myśleć właściciele niewolników. Nie zapominajmy o technice. Nadejdzie dzień, kiedy ludzie będą mogli wytwarzać sztuczną żywność. Zanim do tego dojdzie, powinniśmy stworzyć ideologiczne i teoretyczne podstawy tego ruchu. W istocie rzeczy komunizm wszechgatunkowy jest naturalną kontynuacją powszechnej deklaracji praw człowieka. Minęło dwieście lat od rewolucji francuskiej, a nie zrobiliśmy nawet kroku w kierunku realizacji tego ideału. Świadczy to o hipokryzji i egoizmie ludzi.

– Jak długo zamierza pan tu zostać?

– Nie wiem. Jako zbawca przygotowany jestem, by poświęcić temu zadaniu całe życie. To cudowne uczucie. Oczywiście nie spodziewam się, że mnie zrozumiecie.

Potem stracił zainteresowanie rozmową. Powiedział, że musi wracać do pracy, wziął łopatę i piłkę i wyszedł. Żegnając się z nimi, zerknął ponownie na Ye, jakby było w niej coś niezwykłego.

„Człowiek szlachetny, czysty, moralny, człowiek pozbawiony wulgarności” – jeden z kolegów Ye zacytował w drodze powrotnej zdanie z eseju przewodniczącego Mao *Wspomnienie o Normanie Bethunie*. Westchnął. – Są ludzie, którzy potrafią tak żyć.

Również pozostali wyrażali podziw i sprzeczne uczucia.

– Gdyby było więcej takich ludzi, choćby tylko trochę więcej, sprawy przybrałyby inny obrót – powiedziała Ye, jakby do siebie. Oczywiście nikt nie wiedział, co naprawdę ma na myśli.

Szef grupy roboczej skierował z powrotem rozmowę na ich zadanie.

– Myślę, że ze zbudowania tu obserwatorium nic nie wyjdzie. Przełożeni tego nie zaakceptują.

– Dlaczego? Z czterech możliwych miejsc tu jest najlepsze środowisko elektromagnetyczne.

– A co ze środowiskiem ludzkim? Towarzysze, nie skupiajmy się tylko na stronie technicznej. Spójrzcie, jaka tu jest bieda. Im biedniejsza wioska, tym chytrzejsi są jej mieszkańcy. Nie rozumiecie? Gdyby zlokalizowano tu obserwatorium, między jego personelem a miejscową ludnością doszłoby do konfliktów. Mogę sobie wyobrazić, że chłopi potraktowaliby je jako smakowite danie, z którego warto uszczknąć parę kąsków.

Propozycja zbudowania tam obserwatorium nie została przyjęta, a powód jej odrzucenia był właśnie taki, jak powiedział szef grupy roboczej.

Minęły trzy lata, podczas których Ye nie usłyszała już więcej o Evansie. Ale pewnego wiosennego dnia dostała od niego pocztówkę z jednym tylko zdaniem: „Proszę przyjechać i powiedzieć mi, co mam robić”.

Przez dzień i noc jechała pociągiem, a potem wiele godzin autobusem, zanim dotarła do wioski przycupniętej u podnóża wzgórz. Kiedy wspięła się na jedno z nich, znowu zobaczyła las. Zajmował mniej więcej taką samą powierzchnię jak przed trzema laty, ale ponieważ drzewa urosły, wydawał się dużo gęściejszy. Zauważyła jednak, że wcześniej był większy, ale nowe części wycięto.

Wyrąb trwał w najlepsze. Ze wszystkich stron padały drzewa. Cały las wydawał się liściem morwy zjadanym przez jedwabniki. Wyglądało na to, że przy obecnym tempie wycinki wkrótce zniknie. Drwale pochodzili z dwóch pobliskich wiosek. Za pomocą siekier i pił zwalali drzewo za

drzewem, a potem wyciągali je traktorami i wołami. Pracowników było tak wielu, że dochodziło między nimi do bójek.

Drzewa nie padały z wielkim hukiem, nie słychać też było jazgotu pił łańcuchowych, ale ten znany widok sprawił, że Ye poczuła ucisk w piersiach.

Ktoś do niej krzyknął – kierownik gospodarstwa rolnego, obecnie sołtys. Poznał ją. Gdy zapytała go, dlaczego wycinają las, odparł:

– Nie podlega ochronie prawnej.

– Jak to? Właśnie uchwalono ustawę leśną.

– Ale kto dał Bethune'owi pozwolenie na sadzenie tutaj drzew? Obcokrajowiec, który sadzi tutaj drzewa bez niczyjej zgody, nie jest chroniony przez prawo.

– Nie możecie tak do tego podchodzić. Sadził je na jałowych wzgórzach i nie wziął pod uprawę ani kawałka ziemi ornej. A poza tym nie mieliście nic przeciwko temu, kiedy zaczynał.

– To prawda. Nawet dostał za to nagrodę z powiatu. Początkowo chłopi planowali zacząć wycinkę lasu dopiero za parę lat – lepiej poczekać z zabiciem świni, aż się utuczy, prawda? Ale ci ze wsi Nange nie chcieli czekać i gdybyśmy się nie przyłączyli, nic byśmy nie dostali.

– Musicie natychmiast przerwać. Doniosę o tym władzom!

– Nie ma potrzeby. – Sołtys zapalił papierosa i wskazał w oddali ciężarówkę, na którą ładowano ścięte drzewa. – Widzicie? To z biura zastępcy sekretarza powiatowego do spraw leśnictwa. Są tu też ludzie z powiatowej komendy policji. Wywieźli więcej niż ktokolwiek inny! Mówię wam, te drzewa nie są chronione. Nie znajdziecie nikogo, kogo by obchodziły. A poza tym, towarzyszko, czy nie jesteście profesorem uniwersytetu? Co wam do tego?

Chata z suszonej na słońcu cegły wyglądała tak samo jak przed laty, ale w środku nie było Evansa. Ye odnalazła go w lesie. Uważnie przycinał gałęzie drzewa. Musiał to robić już od pewnego czasu, bo widać było, że jest wyczerpany.

– Może nie ma to sensu, ale nie dbam o to. Jeśli przestanę, załamię się. – Evans wyćwiczonym ruchem obciął krzywą gałąź.

Spojrzała na niego z troską.

– Jedźmy do władz powiatu. Jeśli oni nic z tym nie zrobią, pojedziemy do władz prowincji. Ktoś ich powstrzyma.

Evans przerwał i popatrzył na nią ze zdumieniem. Jego oczy błyszczały w sączącym się przez gałęzie świetle zachodzącego słońca.

– Ye, naprawdę pani myśli, że robię to dla tego lasu? – Roześmiał się i potrząsnął głową, po czym opuścił siekierę. – Gdybym chciał, mógłbym ich łatwo powstrzymać. Właśnie wróciłem z Ameryki. Dwa miesiące temu zmarł mój ojciec i odziedziczyłem większość jego majątku. Mój brat i siostra dostali tylko po pięć milionów. W ogóle się tego nie spodziewałem. Może w głębi serca wciąż mnie szanował. Może szanował moje ideały. Wie pani, ile mi zostawił, nie licząc majątku trwałego? Około czterech i pół miliarda dolarów. Z takimi pieniędzmi łatwo powstrzymałbym wyrąb i zasadził więcej drzew. Mógłbym zalesić wszystkie wzgórza w zasięgu wzroku, ale co by z tego przyszło? Wszystko, co tu pani widzi, to skutek biedy. Ale czy w bogatych państwach jest lepiej? Chronią własne środowisko, ale przenoszą zanieczyszczające je zakłady do biedniejszych krajów. Pewnie pani wie, że rząd amerykański odmówił podpisania protokołu z Kioto… Cała ludzkość jest taka sama. Dopóki ludzka cywilizacja będzie się rozwijać, będą wymierać jaskółki, które chcę ocalić, i wszystkie inne. To tylko kwestia czasu.

Ye siedziała w milczeniu, patrząc na promienie zachodzącego słońca wśród drzew i słuchając odgłosów pracy drwali. Wróciła myślami do czasów sprzed dwudziestu lat, do lasów Wielkiego Chinganu. Przeprowadziła tam kiedyś podobną rozmowę z innym mężczyzną.

– Wie pani, dlaczego tu przyjechałem? – ciągnął Evans. – Nasiona komunizmu wszechgatunkowego wykiełkowały dawno temu na Wschodzie.

– Ma pan na myśli buddyzm?

– Tak. Chrześcijaństwo skupia się na człowieku. Chociaż w arce Noego znalazły się wszystkie gatunki, nigdy nie miały takiego statusu jak człowiek. Natomiast buddyzm skupia się na ochronie wszystkich form życia. Dlatego przyjechałem na Wschód… Ale teraz wyraźnie widać, że wszędzie jest tak samo.

– To prawda. Ludzie wszędzie są tacy sami.

– Co mam teraz zrobić? Jaki postawić sobie cel? Mam cztery i pół miliarda dolarów i międzynarodową firmę naftową, ale co z tego? Ludzie na pewno zainwestowali ponad czterdzieści pięć miliardów dolarów na ratowanie gatunków, które znalazły się na skraju zagłady, na powstrzymanie degradacji środowiska naturalnego wydano już chyba dziesięć razy więcej, ale jaki jest tego sens? Cywilizacja nadal będzie niszczyła wszystkie formy życia na Ziemi oprócz ludzi. Cztery i pół miliarda dolarów wystarczy na zbudowanie lotniskowca, ale nawet gdybyśmy stworzyli ich tysiąc, nie położylibyśmy kresu ludzkiemu szaleństwu.

– Właśnie to chciałam ci powiedzieć, Mike. Ludzka cywilizacja nie jest już w stanie naprawić się o własnych siłach.

– A czy jest jakaś inna siła? Nawet jeśli Bóg kiedyś istniał, umarł dawno temu.

– Owszem, są inne siły.

Słońce zaszło, drwale odeszli. Las i lessowe wzgórza spowiła cisza. Ye opowiedziała Evansowi o Czerwonym Brzegu i Trisolaris. Evans słuchał w milczeniu, zdawały się też słuchać wzgórza i las. Kiedy Ye skończyła, na wschodzie wzeszedł jasny księżyc, w którego świetle gałęzie rzucały na ziemię cętkowany cień.

– Nie mogę uwierzyć w to, co mi powiedziałaś. To zbyt fantastyczne. Na szczęście mam środki finansowe, żeby to potwierdzić. Jeśli to prawda… – Evans wyciągnął do niej rękę i wyrzekł słowa, które musiał wypowiadać każdy nowy członek przyszłego RZT: – jesteśmy towarzyszami.

1 Norman Bethune (1890–1939) – kanadyjski chirurg, który podczas II wojny światowej walczył u boku chińskich komunistów z japońskimi najeźdźcami. Jako jeden z nielicznych ludzi Zachodu, który darzył sympatią komunistów, stał się bohaterem znanym zarówno ludziom starszym, jak i dzieciom.

28

Baza Drugi Czerwony Brzeg

Minęły trzy kolejne lata. Evans nie dawał znaku życia. Ye nie wiedziała, czy rzeczywiście stara się gdzieś uzyskać potwierdzenie jej opowieści, i nie miała pojęcia, jak mógłby to zrobić. Chociaż w skali Wszechświata cztery lata świetlne znaczyły tyle co nic, dla delikatnego życia była to niewyobrażalna odległość. Byłoby bardzo trudno dostrzec związek między źródłem i ujściem płynącej przez przestrzeń kosmiczną rzeki.

Pewnej zimy Ye otrzymała z pewnego pomniejszego uniwersytetu zachodnioeuropejskiego propozycję półrocznego zatrudnienia na stanowisku profesora wizytującego. Kiedy wylądowała na Heathrow, podszedł do niej młody człowiek. Zamiast odwieźć ją z lotniska, wrócił z nią na pas startowy i zaprowadził do helikoptera.

Siedząc w śmigłowcu wzbijającym się z rykiem silnika w mgliste powietrze nad Anglią, Ye doznała uczucia déjà vu. Wydawało się jej, że czas się cofnął. Przed laty, kiedy pierwszy raz leciała helikopterem, w jej życiu zaszła radykalna zmiana. Co los przyniesie jej teraz?

– Lecimy do bazy Drugi Czerwony Brzeg – zakomunikował jej towarzysz.

Śmigłowiec przeleciał nad linią brzegu i skierował się nad Atlantyk. Pół godziny później zszedł nad ogromny statek. Na jego widok Ye pomyślała o Radarowym Szczycie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo ów szczyt podobny był do statku. Ocean wyglądał niczym las w górach Wielkiego Chinganu, ale Czerwony Brzeg najbardziej przypominała jej wielka paraboliczna antena, wznosząca się nad pokładem jak okrągły żagiel. Sam statek, zmodyfikowany tankowiec o wyporności sześćdziesięciu tysięcy ton, był pływającą stalową wyspą. Evans zbudował na nim swoją bazę być może dlatego, że umożliwiało mu to znalezienie najbardziej dogodnej pozycji dla transmisji i odbioru wiadomości, a może po to, by uniknąć wykrycia. Później Ye dowiedziała się, że nazwał statek *Dniem Sądu Ostatecznego*.

Wysiadła ze śmigłowca i usłyszała znajome wycie wiatru owiewającego tnącą powietrze antenę. Ten dźwięk znowu zwrócił jej myśli ku przeszłości. Na szerokim pokładzie pod anteną stał gęsto zbity tłum. Było tam około dwóch tysięcy osób.

Podszedł do niej Evans.

– Korzystając z podanej przez ciebie częstotliwości i współrzędnych, odebraliśmy wiadomość z Trisolaris – powiedział uroczyście. – Potwierdziło się wszystko, o czym mi mówiłaś.

Ye skinęła spokojnie głową.

– Wielka flota trisolariańska już wyruszyła. Kieruje się w stronę Układu Słonecznego. Przybędą tu za czterysta pięćdziesiąt lat.

Ye zachowała spokój. Nic już nie mogło jej zdziwić.

Evans wskazał tłum za sobą.

– Patrzysz na pierwszych członków Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris. Naszym celem jest zaproszenie tu Trisolarian, by zreformowali naszą cywilizację i położyli kres szaleństwu i złości ludzi. Dzięki temu Ziemia

będzie mogła znowu stać się harmonijnie rozwijającym się, kwitnącym, bezgrzesznym światem. Nasze dążenia popiera coraz więcej ludzi i organizacja szybko rośnie w siłę. Mamy członków na całym świecie.

– Co mogę zrobić? – zapytała cichym głosem Ye.

– Zostaniesz główną komendantką Ruchu. To życzenie wszystkich bojowników RZT.

Ye przez kilka sekund milczała, po czym skinęła powoli głową.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Evans uniósł pięść i krzyknął do tłumu:

– Dość ludzkiej tyranii!

– Świat należy do Trisolarian! – odkrzyknęli jak jeden mąż bojownicy RZT przy wtórze bijących o burtę statku fal i wycia wiatru owiewającego antenę.

Tego dnia powstał formalnie Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris.

29

Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris

Najbardziej zaskakujące w Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris było to, że tak wiele osób przestało wiązać jakiekolwiek nadzieje z ziemską cywilizacją, znienawidziło i było gotowych zdradzić własny gatunek, a nawet postawiło sobie za cel likwidację całego rodzaju ludzkiego, włącznie z sobą i swoimi potomkami.

RZT nazwano organizacją szlachetnych duchem. Większość członków pochodziła z warstwy wykształconej, wielu należało do elity finansowej i politycznej. RZT próbował też zwerbować osoby z niższych klas społecznych, ale te starania spełzły na niczym. Prostym ludziom brakowało przenikliwości i możliwości pojmowania, które pozwalały osobom gruntownie wykształconym dostrzec ciemną stronę ludzkości. Co więcej, fakt, że osiągnięcia współczesnej nauki i filozofii nie wpłynęły na ich myślenie, sprawiał, iż wciąż instynktownie identyfikowali się oni ze swoim rodzajem. Zdrada całej ludzkości była dla nich czymś niewyobrażalnym. Natomiast elity intelektualne były inne – w większości zaczęły już

wcześniej patrzeć na świat z pozaludzkiego punktu widzenia. Tak oto w ludzkiej cywilizacji zrodziło się silne poczucie wyobcowania.

RZT rozrastał się z oszałamiającą szybkością, ale o jego sile decydowała nie tylko liczba członków. Większość z nich miała wysoką pozycję społeczną, a zatem władzę i wpływy.

Jako komendantka główna Ye była tylko przywódczynią duchową. Nie uczestniczyła w konkretnych działaniach organizacji, nie wiedziała, że tak bardzo się rozrosła, nie była nawet pewna, ilu dokładnie liczy członków.

Początkowo RZT nie wzbudzał specjalnego zainteresowania rządów państw, na których terenie się rozwijał. Pragnąc zdobyć jak najwięcej zwolenników, działał półjawnie. Wiedział, że sprzyja ma konserwatyzm i brak wyobraźni władz. Nikt w resortach żadnego kraju nie traktował poważnie proklamacji RZT. Uważano go za jeszcze jedno skrajne ugrupowanie, które głosi bzdurne hasła, a z powodu wysokiej pozycji społecznej jego członków obchodzono się z nim ostrożnie. Służby bezpieczeństwa niektórych państw dostrzegły RZT dopiero wtedy, kiedy przystąpił do tworzenia własnych sił zbrojnych, i zaledwie dwa lata temu zaczęły się z nim skutecznie rozprawiać.

W RZT nie było jednomyślności. Z powodu różnic opinii powstały w nim złożone układy i sojusze, które utworzyły dwie główne frakcje.

Jedną z nich byli adwentyści, najczystszy, najbardziej fundamentalistyczny nurt w RZT, skupiający przeważnie wyznawców Evansowskiego komunizmu wszechgatunkowego. Stracili oni zupełnie nadzieję na możliwość poprawy ludzkiej natury, a źródłem ich pesymizmu była masowa zagłada różnych gatunków fauny i flory, spowodowana przez współczesną cywilizację. Typowym przykładem adwentystów był Evans. Później powodem ich nienawiści do rodzaju ludzkiego przestał być stosunek ludzi do środowiska naturalnego i toczone przez nich wojny, na

pierwszy plan wysunęły się inne kwestie. Dawali jej wyraz na bardziej abstrakcyjnym, filozoficznym poziomie. Chociaż później wyobrażano ich sobie inaczej, większość z nich była realistami i nie wiązała zbytnich nadziei z obcą cywilizacją, której służyli. Ich zdrada wynikała z rozpaczy i nienawiści do rodzaju ludzkiego. Ideą przewodnią adwentystów były słowa Mike'a Evansa: „Nie wiemy, jaka jest cywilizacja pozaziemska, ale wiemy, jacy są ludzie".

Frakcja redempcjonistów pojawiła się długo po powstaniu RZT. Miała charakter religijny, bo jej członkowie byli wyznawcami kultu Trisolaris. Cywilizacja pozaziemska miała niewątpliwie wielki urok dla osób wykształconych, którym łatwo przychodziło snucie wspaniałych fantazji na jej temat. Ludzie są z natury naiwni, trudno więc było im oprzeć się czarowi bardziej rozwiniętej, obcej cywilizacji. Wprawdzie nie jest to zbyt dobre porównanie, ale można powiedzieć, że ludzka cywilizacja była jak naiwny młodzieniec idący samotnie przez pustynię Wszechświata, który nagle dowiedział się o istnieniu potencjalnej kochanki, i mimo że nigdy nie widział ani jej twarzy, ani figury, zaczął snuć o niej fantazje. Im bardziej złożone stawały się te wyobrażenia, tym większym uczuciem pałali redempcjoniści do cywilizacji trisolariańskiej i tym bardziej bałwochwalczy przybierało to charakter. Alfa Centauri stała się dla nich czymś w rodzaju Olimpu, siedziby bogów, i tak narodziła się wiara trisolariańska. W przeciwieństwie do wyznawców innych religii czciciele Trisolaris wielbili coś, co naprawdę istniało. Od innych religii różniła się także tym, że to nie oni, lecz ich Pan znalazł się w sytuacji krytycznej i od nich zależało jego zbawienie.

Głównym środkiem propagowania kultury trisolariańskiej była gra *Trzy ciała*. RZT włożył wiele wysiłku w jej opracowanie. Miał w tym podwójny cel: po pierwsze, głoszenie wiary trisolariańskiej, po drugie, zapuszczenie

macek w dolne warstwy społeczne i zdobycie młodszych członków z klasy średniej i niższej.

Gra przedstawiała kulturę i historię Trisolarian w formie składającej się z elementów zaczerpniętych z historii społeczeństw ludzkich, by nie zrazić początkujących uczestników. Gdy gracz doszedł do pewnego poziomu i zaczynał doceniać cywilizację trisolariańską, RZT nawiązywał z nim kontakt, badał jego nastawienie i w końcu werbował tych, którzy zdali egzamin. Gra nie zdobyła wielkiej popularności, ponieważ wymagała zbyt dużej wiedzy i intensywnego myślenia, a większość młodych miłośników gier komputerowych nie miała cierpliwości albo zdolności odkrywania szokującej prawdy za pozornie prostą fasadą. Przyciągała głównie intelektualistów.

Większość tych, którzy stali się redempcjonistami, poznała cywilizację trisolariańską dzięki *Trzem ciałom*, można więc powiedzieć, że to ta gra była ich kolebką.

Chociaż redempcjoniści odnosili się do Trisolarian z religijną czcią, nie żywili tak skrajnych uczuć do ludzkiej cywilizacji jak adwentyści. Ich najwyższym celem było ocalenie Pana. By umożliwić mu dalsze istnienie, gotowi byli złożyć w ofierze część swego świata, ale uważali, że idealnym rozwiązaniem byłoby znalezienie sposobu na to, żeby Pan nadal żył w układzie gwiezdnym Trisolaris, a Ziemia uniknęła inwazji. Sądzili, że udałoby się to dzięki rozwiązaniu problemu trzech ciał. Trzeba przyznać, że być może nie było to tak naiwne przekonanie, jak się wydaje. Sami Trisolarianie myśleli tak przez wiele eonów. Próby rozwiązania tego problemu były wątkiem, który przewijał się przez setki ich cywilizacji. Zabrali się do tego redempcjoniści, którzy mieli dogłębną wiedzę matematyczną i fizyczną, i nie ustali w wysiłkach, nawet gdy stwierdzili, że w postaci, w jakiej się go przedstawia, problem ten jest matematycznie

nierozwiązywalny, ponieważ stało się to religijnym rytuałem. Mimo że w szeregach redempcjonistów znajdowało się wielu pierwszorzędnych matematyków i fizyków, badania w tej dziedzinie nie przyniosły żadnych godnych uwagi wyników. Trzeba było kogoś takiego jak Wei Cheng, geniusza bez żadnych związków z RZT i wiarą trisolariańską, by przypadkowo dokonać przełomu, z którym redempcjoniści wiązali wielkie nadzieje.

Adwentyści byli zawsze bardzo skonfliktowani z redempcjonistami i uważali, że są oni największym zagrożeniem dla RZT. Nie było to bezpodstawne, gdyż dopiero dzięki pewnym redempcjonistom, którzy mieli poczucie obowiązku wobec ludzkości, rządy stopniowo poznały wstrząsającą prawdę o buntownikach z RZT. Obie frakcje były równie silne, a ich siły zbrojne tak się rozrosły, że groziło to wybuchem wojny. Ye Wenjie położyła na szali cały swój autorytet i reputację, by załagodzić spory, ale nie w pełni jej się to udało.

Gdy ruch zaczął ogarniać szersze rzesze, pojawiła się trzecia frakcja: ocalałych. Kiedy potwierdzono wiadomość o istnieniu floty inwazyjnej obcych, naturalnym ludzkim pragnieniem stało się przetrwanie wojny. Oczywiście do wojny miało dojść nie wcześniej niż za czterysta pięćdziesiąt lat, więc nie wpłynęłaby ona w żaden sposób na życie współczesnych, ale wiele osób żywiło nadzieję, że nawet jeśli ludzie ją przegrają, ich potomkom uda się przetrwać. Pomogłaby im w tym służba najeźdźcom z Trisolaris. W odróżnieniu od pozostałych dwóch frakcji ocalali pochodzili na ogół z klas niższych, w większości ze Wschodu (zwłaszcza z Chin). Ich liczba była mała, ale szybko rosła. W miarę propagowania kultury trisolariańskiej mogli stać się siłą, której w przyszłości nie można by było lekceważyć.

Do szybkiego rozwoju RZT przyczyniły się trzy zjawiska: wyobcowanie, które było skutkiem wad ludzkiej cywilizacji, tęsknota i uwielbienie dla bardziej rozwiniętej cywilizacji oraz pragnienie ludzi, by ich potomkowie uszli z życiem z nieuniknionej wojny. Gdy odkryto RZT, buntownicy byli już wszędzie.

Cywilizacja pozaziemska znajdowała się wówczas nadal w głębi kosmosu, w odległości ponad czterech lat świetlnych. Jedyną rzeczą, którą przesłała na Ziemię, była transmisja radiowa.

Tak oto teoria Billa Matthewsa o kontakcie jako symbolu doczekała się mrożącego krew w żyłach potwierdzenia.

30

Dwa protony

ŚLEDCZY: Za chwilę rozpoczniemy dzisiejsze przesłuchanie. Mam nadzieję, że będzie pani odpowiadała tak samo chętnie jak ostatnim razem.

YE WENJIE: Wie pan już tyle samo co ja, a teraz ja muszę się dowiedzieć od pana wielu rzeczy.

ŚLEDCZY: Co to, to nie. Przede wszystkim jaka była treść tych wiadomości przesłanych z Trisolaris na Ziemię, które przejęli i zatrzymali dla siebie adwentyści?

YE: Nie mam pojęcia. Są bardzo dyskretni. Wiem tylko tyle, że przejęli część wiadomości.

ŚLEDCZY: Zmieńmy temat. Czy po zmonopolizowaniu łączności z Trisolaris przez adwentystów zbudowała pani trzecią bazę Czerwony Brzeg?

YE: Miałam taki plan. Ale skonstruowaliśmy tylko odbiornik, a potem prace zostały przerwane. Rozebraliśmy sprzęt i bazę.

ŚLEDCZY: Dlaczego?

YE: Dlatego, że nie było już żadnych wiadomości z Alfa Centauri. Na żadnej częstotliwości. Sądzę, że już to sprawdziliście.

ŚLEDCZY: Owszem. Innymi słowy, co najmniej cztery lata temu Trisolaris postanowiła zakończyć wszelkie kontakty z Ziemią. Tym ważniejsze są wiadomości przejęte przez adwentystów.

YE: Zgoda. Ale naprawdę nie mogę o tym powiedzieć nic więcej.

ŚLEDCZY (po kilku sekundach milczenia): Wobec tego spróbujmy znaleźć jakiś temat, na który może pani powiedzieć więcej. Mike Evans okłamał panią, tak?

YE: Może pan tak to ująć. Nigdy nie wyjawił mi swoich najskrytszych myśli. Mówił tylko, że czuje się odpowiedzialny za los innych gatunków na tej planecie. Nie zdawałam sobie sprawy, że to poczucie odpowiedzialności wzbudziło w nim tak wielką nienawiść do rodzaju ludzkiego, że postawił sobie za cel jego zniszczenie.

ŚLEDCZY: Spójrzmy na obecny skład RZT: adwentyści chcieliby zniszczyć rękami obcych rodzaj ludzki, redempcjoniści czczą ich cywilizację jak boga, ocalali chcą zdradzić ludzkość, by zapewnić dzięki temu przetrwanie swoim potomkom. Żadna z tych frakcji nie dąży do realizacji pani pierwotnego celu – wykorzystania obcej cywilizacji dla naprawy ludzkości.

YE: Wznieciłam płomień, ale straciłam nad nim kontrolę.

ŚLEDCZY: Zamierzała pani usunąć adwentystów z RZT i zaczęła nawet wcielać w życie ten plan. Główną bazą i centrum dowodzenia adwentystów jest *Dzień Sądu Ostatecznego* i tam zwykle przebywają Mike Evans oraz inni przywódcy tej frakcji. Dlaczego nie zaatakowała pani najpierw tego statku? Większość sił zbrojnych redempcjonistów jest pani wierna, powinna więc mieć pani wystarczającą siłę ognia, by go zatopić lub przejąć.

YE: Z powodu wiadomości od Pana, które przechwycili. Są one przechowywane w bazie Drugi Czerwony Brzeg, w komputerze na *Dniu*

Sądu Ostatecznego. Gdybyśmy zaatakowali ten statek, a adwentyści zorientowali się, że ich przegrana jest pewna, usunęliby je. Te wiadomości są dla nas zbyt ważne, byśmy mogli zaryzykować ich utratę. Dla redempcjonistów byłoby to coś takiego jak utrata Biblii dla chrześcijan albo Koranu dla muzułmanów. Myślę, że macie z tym taki sam problem. Adwentyści trzymają te wiadomości jak zakładnika i dlatego *Dzień Sądu Ostatecznego* pozostawiono do tej pory w spokoju.

ŚLEDCZY: Ma pani dla nas jakąś radę?

YE: Nie.

ŚLEDCZY: Pani też nazywa Trisolaris „Panem”. Czy znaczy to, że podobnie jak redempcjoniści żywi pani do tej cywilizacji religijne uczucia? Jest pani wyznawczynią wiary trisolariańskiej?

YE: Ależ skąd! To tylko taki nawyk… Nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać.

ŚLEDCZY: Wróćmy do tych przechwyconych wiadomości. Może nie zna pani dokładnie ich treści, ale na pewno słyszała pani jakieś pogłoski o niektórych szczegółach.

YE: Pewnie tylko bezpodstawne.

ŚLEDCZY: Na przykład?

YE: …

ŚLEDCZY: Czy Trisolaris przekazała adwentystom jakieś technologie, bardziej zaawansowane, niż współczesne technologie stworzone przez ludzi?

YE: To niemożliwe, bo taka technologia mogłaby wpaść w wasze ręce.

ŚLEDCZY: I jeszcze jedno, ostatnie, a przy tym najważniejsze pytanie: Czy do tej pory Trisolaris przysyłała na Ziemię tylko fale radiowe?

YE: Niemal na pewno.

ŚLEDCZY: Niemal?

YE: Obecna cywilizacja trisolariańska dysponuje statkami, które mogą lecieć z prędkością jednej dziesiątej prędkości światła. Dokonała tego skoku technologicznego kilkadziesiąt lat temu, licząc w latach ziemskich. Przedtem ich maksymalna prędkość wynosiła około jednej tysięcznej prędkości światła. Małe sondy, które wysłali na Ziemię, nie pokonały nawet połowy odległości stamtąd do nas.

ŚLEDCZY: Wobec tego mam jeszcze jedno pytanie. Skoro trisolariańska flota może lecieć z prędkością jednej dziesiątej prędkości światła, potrzebowałaby tylko czterdziestu lat, by dotrzeć do Układu Słonecznego. Dlaczego więc twierdzi pani, że zajmie jej to ponad czterysta lat?

YE: Tutaj jest pies pogrzebany. Trisolariańska flota składa się z niewiarygodnie ogromnych statków kosmicznych. Nadanie takiemu statkowi przyspieszenia to powolny proces. Jedna dziesiąta prędkości światła to ich maksymalna prędkość, ale nie mogą z nią długo lecieć, bo muszą zwolnić przed Ziemią. Poza tym źródłem napędu ich statków jest anihilacja materii w zetknięciu z antymaterią. Każdy statek ma przed sobą duże pole magnetyczne, które zbiera jak lejek cząsteczki antymaterii z przestrzeni. To powolny proces i dopiero po długim czasie jest ich tyle, by nadać statkowi przyspieszenie, i to na krótko. A zatem odbywa się to zrywami, pomiędzy którymi występują długie okresy gromadzenia paliwa. Dlatego czas, którego potrzebuje trisolariańska flota na dotarcie do Układu Słonecznego, jest dziesięciokrotnie dłuższy niż czas lotu małej sondy.

ŚLEDCZY: Co pani miała na myśli, mówiąc wcześniej „niemal”?

YE: Mówimy o prędkości światła w pewnym kontekście. Poza tym kontekstem nawet ludzie mogą rozpędzić pewne obiekty do prędkości światła.

ŚLEDCZY (po chwili milczenia): Przez „kontekst” rozumie pani skalę makro? W skali mikro ludzie używają już akceleratorów cząstek elementarnych, które rozpędzają je do prędkości bliskiej prędkości światła. To te cząstki ma pani na myśli, mówiąc „obiekty”, prawda?

YE: Ma pan rozległą wiedzę.

ŚLEDCZY (wskazując na słuchawkę w uchu): Mam wsparcie najwybitniejszych uczonych na świecie.

YE: Tak, miałam na myśli cząstki elementarne. Sześć lat temu Trisolarianie rozpędzili jądra dwóch atomów wodoru do prędkości bliskiej prędkości światła i wystrzelili je w kierunku Układu Słonecznego. Te jądra, czyli protony, dotarły przed dwoma laty do naszego układu, a potem do Ziemi.

ŚLEDCZY: Dwa protony? Wysłali tylko dwa protony? To tak, jakby niemal nic nie wysłali.

YE (ze śmiechem): Pan też powiedział „niemal”. To granica ich możliwości. Mogą rozpędzić do prędkości światła tylko coś tak małego jak proton. A więc z odległości czterech lat świetlnych są w stanie wysłać tylko dwa protony.

ŚLEDCZY: Na poziomie makroskopijnym dwa protony to nic. Nawet pojedyncza rzęska bakterii zawiera kilka miliardów protonów. Jaki to ma sens?

YE: Te protony tworzą zamek.

ŚLEDCZY: Zamek? Co one zamykają?

YE: Drogę postępu ludzkiej nauki. Przez te dwa protony w ciągu czterystu pięćdziesięciu lat, które pozostały do przybycia floty trisolariańskiej, nasza nauka nie dokona żadnego istotnego postępu.

ŚLEDCZY: To… zbyt nieprawdopodobne. Jak to możliwe?

YE: Nie wiem. Naprawdę. W oczach Trisolarian nie jesteśmy zapewne nawet prymitywnymi dzikusami. Może dla nich jesteśmy zwykłymi insektami.

Gdy Wang Miao i Ding Yi wychodzili z centrum dowodzenia walką, gdzie przysłuchiwali się przesłuchaniu, była już prawie północ.

– Wierzy pan w to, co powiedziała Ye? – spytał Wang.

– A pan?

– Ostatnio zdarzyło się wiele niewiarygodnych rzeczy. Ale żeby dwa protony miały powstrzymać postęp całej naszej nauki? To wydaje się…

– Skupmy się przede wszystkim na jednym. Trisolarianie wystrzelili na Ziemię z odległości czterech lat świetlnych dwa protony i oba trafiły w cel! Niewiarygodna precyzja! Między ich układem gwiezdnym i naszym jest wiele przeszkód: pył międzygwiezdny i tak dalej. W dodatku cały Układ Słoneczny i Ziemia się poruszają. To jest precyzyjniejsze trafienie niż z Ziemi w komara na Plutonie. Strzelec ma niewyobrażalne umiejętności.

Gdy Wang usłyszał słowo „strzelec”, zadrżało mu serce.

– Jak pan sądzi, co to oznacza?

– Nie wiem. Jak pan sobie wyobraża cząstki elementarne, takie jak neutron i proton?

– Praktycznie są to punkty, chociaż mają budowę wewnętrzną.

– Na szczęście moje wyobrażenie jest bardziej zbliżone do rzeczywistości. – Ding odrzucił niedopałek papierosa i wskazał go palcem. – Co to jest pana zdaniem?

– Filtr papierosa.

– Dobrze. Jak wygląda z tej odległości?

– Praktycznie jak punkt.

– Owszem. – Ding podniósł filtr i rozerwał go. Ukazał się pożółkły, gąbczasty materiał. Do nozdrzy Wanga dotarł zapach palonej smoły. – Jeśli pan go rozwinie, przekona się pan, że jego powierzchnia absorpcyjna jest równie duża jak powierzchnia salonu. – Ponownie wyrzucił filtr. – Pali pan fajkę?

– Ani fajki, ani papierosów. Całkowicie rzuciłem palenie.

– W fajkach stosuje się filtry innego rodzaju. Jeden kosztuje trzy juany. Ma mniej więcej taką samą średnicę jak filtr papierosa, ale jest dłuższy – rurka z bibułki wypełniona węglem aktywnym. Po wysypaniu jej zawartość wygląda jak kupka czarnych drobin przypominających mysie odchody. Jednak dzięki temu, że jest w nich dużo małych porów, powierzchnia absorpcyjna tych drobin ma wielkość kortu tenisowego. Dlatego węgiel aktywny ma tak silne właściwości wchłaniania różnych substancji.

– Do czego pan zmierza?

– Gąbka czy węgiel aktywny w filtrze są trójwymiarowe, ale ich powierzchnia wchłaniania jest dwuwymiarowa. Pokazuje to, że w małej strukturze wielowymiarowej może się znajdować duża struktura o mniejszej liczbie wymiarów. Bóg jest skąpy, więc podczas Wielkiego Wybuchu dał światu makroskopowemu tylko trzy wymiary przestrzenne oraz wymiar czasowy. Nie znaczy to jednak, że nie istnieją struktury o większej liczbie wymiarów. W mikroskali – mówiąc bardziej precyzyjnie, w sferze kwantów – jest siedem innych wymiarów, a zatem jeśli dodać do tego cztery wymiary w skali makro, okazuje się, że cząstki elementarne istnieją w jedenastowymiarowej czasoprzestrzeni.

– I co z tego?

– Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że zdolność do zapanowania nad wymiarami w mikroskali i do wykorzystywania ich jest ważną oznaką postępu technologicznego cywilizacji. Wykorzystywać cząstki elementarne

bez czerpania pożytku z mikrowymiarów zaczęli już nasi włochaci przodkowie, gdy nauczyli się rozpalać ogniska w jaskiniach. Kontrolowanie reakcji chemicznych to nic innego jak manipulowanie cząstkami bez brania pod uwagę wymiarów w mikroskali. Oczywiście dokonaliśmy postępu, bo po ogniskach pojawiły się silniki parowe, a potem generatory. Teraz nasza zdolność manipulowania mikrocząstkami w skali makro osiągnęła szczyt – mamy komputery i nanomateriały – ale dokonaliśmy tego bez odkrycia wielu mikrowymiarów. Z punktu widzenia wyżej rozwiniętej cywilizacji ogniska nie różnią się zasadniczo od komputerów i nanomateriałów. Te wszystkie wynalazki mieszczą się na tym samym poziomie. Właśnie dlatego taka cywilizacja uważa nas za zwykłe insekty i sądzę, że niestety, ma rację.

– Może pan wyrażać się jaśniej? Co to wszystko ma wspólnego z tymi dwoma protonami? Co w końcu mogą one zrobić po dotarciu na Ziemię? Jak powiedział śledczy, jedna rzęska bakterii może zawierać kilka miliardów protonów. Nawet gdyby te dwa protony zamieniły się całkowicie w energię na koniuszku mojego palca, poczułbym najwyżej coś podobnego do ukłucia igłą.

– Nic by pan nie poczuł. Nawet gdyby po trafieniu w bakterię zamieniły się całkowicie w energię, prawdopodobnie nic by ona nie poczuła.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Nic. Nic nie wiem. Co może wiedzieć insekt?

– Ale jest pan fizykiem wśród insektów. Wie pan więcej niż ja. Ma pan przynajmniej pewne pojęcie, o co chodzi z tymi protonami. Błagam pana, niech mi pan powie, bo nie będę mógł zasnąć.

– Jeśli powiem panu więcej, to naprawdę nie zmruży pan oka. Niech pan o tym zapomni. Po co się martwić? Powinniśmy się nauczyć podchodzić do tego filozoficznie, tak jak Wei Cheng i Shi Qiang, i po prostu jak najlepiej

wykonywać swoje obowiązki. Chodźmy się napić, a potem pójdźmy spać, jak przystoi dobrym insektom.

31

Operacja „Guzheng”

– Nie bój się – powiedział Shi Qiang do Wanga, który siedział obok niego. – Już nie promieniuję. W ostatnich dniach wyprali mnie od zewnątrz i od wewnątrz jak worek po mące. Nie chcieli zaprosić cię na to spotkanie, ale nalegałem. Założę się, że tym razem to my będziemy ważni.

Z tymi słowami Shi podniósł z popielniczki niedopałek cygara, zapalił go i głęboko się zaciągnął. Kiwnął głową i powoli wydmuchał dym w twarze osób siedzących po drugiej stronie stołu. Jedną z nich był pierwotny właściciel cygara, pułkownik Stanton z amerykańskiego Korpusu Piechoty Morskiej. Obdarzył Shi pogardliwym spojrzeniem.

Na spotkaniu było więcej zagranicznych oficerów, wszyscy w mundurach. Po raz pierwszy w historii ludzkości siły zbrojne wszystkich krajów miały tego samego wroga.

– Towarzysze – zaczął generał Chang – wszyscy z grubsza orientujemy się w sytuacji. Albo, jak ująłby to obecny tu Da Shi, mamy takie same informacje. Zaczęła się wojna między ludźmi i obcymi. Z najeźdźcami z Trisolaris staną twarzą w twarz dopiero nasi potomkowie za czterysta pięćdziesiąt lat. Na razie jeszcze naszymi przeciwnikami są ludzie. Jednak w istocie rzeczy tych zdrajców należy traktować jako wrogów

pochodzących spoza ludzkiej cywilizacji. Nigdy wcześniej nie mieliśmy takiego nieprzyjaciela. Obecny cel militarny jest bardzo jasny: musimy przejąć wiadomości z Trisolaris przechowywane na *Dniu Sądu Ostatecznego*. Mogą one być bardzo ważne dla naszego przetrwania. Na razie nie zrobiliśmy nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia załogi. Statek nadal żegluje swobodnie po Atlantyku. Powiadomił władze Kanału Panamskiego, że za cztery dni chcą tamtędy przepłynąć. To dla nas wielka szansa, która może się już nie powtórzy. W tej chwili centra dowodzenia na całym globie opracowują plany operacji, a za dziesięć godzin centrala wybierze jeden z nich i zacznie wcielać w życie. Celem dzisiejszego zebrania jest omówienie możliwych planów działania i przekazanie centrali jednej, dwóch lub trzech najlepszych propozycji. Liczy się czas, więc musimy pracować szybko. Proszę mieć na uwadze, że plan musi dawać gwarancję jednej rzeczy – bezpiecznego przejęcia wiadomości z Trisolaris. *Dzień Sądu Ostatecznego* to przebudowany tankowiec. Zarówno w jego nadbudówce, jak i we wnętrzu dokonano wielkich zmian. Ponoć nawet członkowie załogi korzystają z map, kiedy wchodzą do części, których nie znają. Oczywiście my wiemy jeszcze mniej o rozkładzie pomieszczeń na statku. Nie mamy nawet pewności, gdzie znajduje się centrum komputerowe, nie wiemy, czy wiadomości z Trisolaris są przechowywane na serwerach w tym centrum i ile jest ich kopii. Możemy osiągnąć cel tylko w jeden sposób – opanować z zaskoczenia cały statek. Najtrudniej będzie nie dopuścić do tego, by wróg usunął te wiadomości podczas naszego ataku. Zniszczenie danych byłoby bardzo łatwe. Wróg nie skorzysta z konwencjonalnych metod, bo moglibyśmy odzyskać informacje za pomocą znanej technologii. Ale gdyby usunęli dysk twardy, byłoby po wszystkim. Zajęłoby im to nie więcej niż dziesięć sekund. A zatem musimy unieszkodliwić wszystkich wrogów w pobliżu miejsca przechowywania

danych w ciągu dziesięciu sekund od chwili, gdy zorientują się, że stali się celem ataku. Ponieważ nie wiemy, gdzie trzymają te dane ani ile mają kopii wiadomości, musimy w bardzo krótkim czasie zlikwidować wszystkich wrogów na *Dniu Sądu Ostatecznego*. Jednocześnie nie możemy za bardzo uszkodzić jego wyposażenia, zwłaszcza komputerowego. Reasumując, jest to bardzo trudne zadanie, zdaniem niektórych niewykonalne.

– Uważamy – rzekł oficer Japońskich Sił Samoobrony – że jedyną szansą na sukces jest umieszczenie na *Dniu Sądu Ostatecznego* szpiegów. Jeśli dowiedzą się, gdzie przechowywane są informacje z Trisolaris, mogą tuż przed naszą akcją zabezpieczyć ten rejon albo przenieść nośnik gdzie indziej.

Ktoś zapytał:

– Śledzenie *Dnia Sądu Ostatecznego* zawsze było zadaniem wywiadu NATO i CIA. Mamy tam szpiegów?

– Nie – odparł rzecznik NATO.

– Wobec tego gówno mamy – powiedział Shi.

Większość zebranych spojrzała na niego z irytacją.

– Skoro naszym celem jest likwidacja całego personelu w pomieszczeniach zamkniętych bez uszkodzenia znajdującego się tam sprzętu – rzekł pułkownik Stanton – powinniśmy użyć pioruna kulistego.

Ding Yi potrząsnął głową.

– Istnienie tej broni jest tajemnicą poliszynela. Nie wiemy, czy na statku nie ma tarcz magnetycznych, które przed nią chronią. A nawet jeśli nie ma, to taka broń może faktycznie zabić wszystkich, którzy tam się znajdują, ale nie od razu. Poza tym jeśli na statek wtargnie piorun kulisty, może przez jakiś czas wisieć w powietrzu, zanim wyzwoli energię. Może to trwać od mniej więcej dziesięciu sekund do minuty. Będą mieli dość czasu, by zorientować się, że zostali zaatakowani, i zniszczyć dane.

– A bomba neutronowa? – zapytał Stanton.

– Panie pułkowniku, powinien pan wiedzieć, że to nic nie da! – zauważył rosyjski oficer. – Promieniowanie spowodowane bombą neutronową nie zabije od razu. Wróg będzie miał aż nadto czasu, by zorganizować takie zebranie jak to, w którym teraz uczestniczymy.

– Można by też użyć gazu paraliżującego – powiedział oficer NATO. – Tyle że rozpylenie go po całym statku trochę potrwa, więc i to nie spełnia wymogów postawionych przez generała Changa.

– Wobec tego jedynym wyjściem jest użycie bomb wstrząsowych i infradźwięków – stwierdził pułkownik Stanton.

Pozostali czekali, aż rozwinie temat, ale nie powiedział nic więcej.

– W policji korzystamy z takich zabawek – powiedział Shi. – Faktycznie mogą pozbawić przytomności osoby znajdujące się w zamkniętym budynku, ale tylko w jednym albo dwóch pomieszczeniach. Macie bomby wstrząsowe, które mogą porazić ludzi na całym tankowcu?

Stanton potrząsnął głową.

– Nie. Zresztą nawet gdybyśmy mieli, taki ładunek wybuchowy na pewno uszkodziłby sprzęt na statku.

– A infradźwięki? – zapytał ktoś.

– To broń, która nadal jest w fazie eksperymentalnej i nie może być użyta w walce. Poza tym ten statek jest bardzo duży. Prototypy, które mamy, mogłyby co najwyżej spowodować, że ludzie, którzy na nim są, dostaliby mdłości i zawrotów głowy.

– Ha! – Shi zgasił niedopałek cygara, który był teraz wielkości orzecha. – Powiedziałem już, że gówno mamy, ale wciąż o tym gadamy. Pamiętajmy, co powiedział generał: „Liczy się czas”! – Uśmiechnął się chytrze do tłumaczki, ślicznej dziewczyny w stopniu podporucznika, której nie

podobał się jego język. – Niełatwo to przetłumaczyć, prawda, towarzyszko? Powiedz w przybliżeniu, o co mi chodzi.

Ale wydawało się, że Stanton go zrozumiał. Wskazał na niego świeżym cygarem, które właśnie wyjął.

– Za kogo się uważa ten policjant, że może do nas mówić w ten sposób?

– A za kogo pan się uważa? – zapytał Shi.

– Pułkownik Stanton jest ekspertem z zakresu operacji specjalnych – wyjaśnił oficer NATO. – Brał udział we wszystkich większych operacjach od czasu wojny wietnamskiej.

– Wobec tego pozwólcie, że powiem, kim ja jestem. Ponad dwadzieścia lat temu oddział zwiadowczy pod moim dowództwem przeniknął kilkadziesiąt kilometrów za linie wietnamskie i przejął dobrze chronioną elektrownię wodną. Uniemożliwiliśmy Wietnamczykom wysadzenie tamy i zalanie drogi ataku naszej armii. Oto, kim jestem. Pokonałem wroga, który kiedyś pokonał was.

– Dość tego! – Generał Chang walnął pięścią w stół. – Nie wyciągaj tu nieistotnych spraw. Jeśli masz jakiś plan, to go przedstaw.

– Sądzę, że nie musimy tracić czasu na wysłuchiwanie tego policjanta – rzekł z pogardą pułkownik Stanton i zapalił cygaro.

Nie czekając na przetłumaczenie jego słów, Shi podskoczył.

– „Pao-li-si”. Słyszałem to już dwukrotnie. Patrzy pan z góry na policję, tak? Jeśli mówi pan o zrzuceniu kilku bomb i rozbiciu tego statku w drobny mak, to cóż, wy, wojskowi, jesteście w tych sprawach ekspertami. Ale jeśli mówi pan o wydostaniu stamtąd czegoś tak, by tego nie uszkodzić, to – bez względu na to, ile ma pan gwiazdek na ramieniu – nie może się pan równać ze zwykłym złodziejem. Musi pan podejść do tego nieszablonowo. NIESZABLONOWO! Nigdy nie będzie pan tak dobry jak przestępcy, mistrzowie nieszablonowego myślenia. Wie pan, jacy są dobrzy?

Zajmowałem się kiedyś sprawą kradzieży wagonu z jadącego pociągu – przestępcom udało się go odczepić od reszty i ponownie połączyć cały skład tak, że nikt nic nie zauważył. A pociąg cały czas był w ruchu i dotarł do stacji docelowej. Jedynymi narzędziami, których użyli, były zwój drutu i kilka stalowych haków. To oni są prawdziwymi ekspertami od operacji specjalnych. A ktoś taki jak ja, kto od ponad dziesięciu lat bawi się z nimi w kotka i myszkę, dostał od nich najlepszą szkołę.

– Powiedz, jaki masz plan, albo się zamknij! – rzekł generał Chang.

– Jest tutaj tak wielu ważnych ludzi, że nie myślałem, że mogę zabrać głos. Poza tym bałem się, panie generale, że znowu mnie pan nazwie gburem.

– Jesteś wcieleniem gburowatości. Dość tego! Opowiedz o swoim nieszablonowym planie.

Shi wziął pióro i narysował na stole dwie równoległe krzywe.

– To kanał. – Postawił między liniami popielniczkę. – A to *Dzień Sądu Ostatecznego*. – Sięgnął przez stół i wyjął pułkownikowi Stantonowi z ust dopiero co zapalone cygaro.

– Nie jestem już dłużej w stanie tolerować tego idioty! – krzyknął Stanton i wstał.

– Da Shi, wynoś się stąd! – powiedział generał Chang.

– Proszę mi dać minutę. Zaraz skończę. – Wyciągnął rękę do pułkownika Stantona.

– Czego pan chce? – zapytał zaskoczony Stanton.

– Niech mi pan da jeszcze jedno.

Po chwili wahania pułkownik wyjął drugie cygaro z pięknego drewnianego pudełka i podał je Shi. Tamten przycisnął dymiący koniuszek pierwszego cygara do blatu stołu tak, że stanęło ono na brzegu Kanału

Panamskiego. Spłaszczył koniec drugiego cygara i umieścił je na drugim brzegu kanału.

– Ustawimy na brzegach kanału dwa filary i rozepniemy między nimi mniej więcej co pół metra wiele równoległych, cienkich włókien. Te włókna powinny być wykonane ze stworzonego przez profesora Wanga nanomateriału o nazwie „latające ostrze”.

Kiedy Shi Qiang skończył, wstał i odczekał kilka sekund. Potem podniósł ręce i powiedział do oszołomionych zebranych:

– To wszystko.

Odwrócił się i wyszedł.

Wydawało się, że sala zamarła. Wszyscy siedzieli nieruchomo jak kamienne posągi. Nawet szum komputerów jakby przycichł.

Po długiej chwili ktoś przerwał wreszcie milczenie:

– Profesorze Wang, czy latające ostrze ma rzeczywiście postać włókien?

Wang kiwnął głową.

– Przy obecnym stanie naszej techniki tworzenia połączeń molekularnych możemy uzyskać jedynie włókno. Ma ono grubość około jednej setnej ludzkiego włosa… Oficer Shi dowiedział się o tym ode mnie przed zebraniem.

– Ma pan wystarczającą ilość tego materiału?

– Jaką szerokość ma kanał? I jak wysoki jest ten statek?

– W najwęższym miejscu kanał ma sto pięćdziesiąt metrów. *Dzień Sądu Ostatecznego* ma trzydzieści jeden metrów wysokości i zanurzenie około ośmiu metrów.

Wang popatrzył na cygara na stole i wykonał w myśli obliczenia.

– Chyba mam dosyć.

Znowu nastąpiła długa cisza. Wszyscy starali się dojść do siebie.

– A jeśli sprzęt, na którym są dane z Trisolaris, też zostanie poszatkowany?

– To raczej niemożliwe.

– Nawet gdyby został poszatkowany – powiedział specjalista od komputerów – to niewielki kłopot. Włókna są niezwykle ostre, więc powierzchnie przecięć byłyby bardzo gładkie. Przy tym założeniu będziemy mogli odzyskać większość danych, bez względu na to, czy przechowywane są na dyskach twardych, dyskach optycznych czy w układach scalonych.

– Ma ktoś lepszy pomysł? – Chang rozejrzał się wokół stołu. Nikt się nie odezwał. – Dobrze. A więc skupmy się na tym i opracujmy szczegóły.

Pułkownik Stanton, który cały czas milczał, wstał.

– Zawołam funkcjonariusza Shi.

Generał Chang dał mu znak, żeby usiadł.

– Da Shi! – krzyknął.

Shi wrócił, uśmiechając się do wszystkich szeroko. Podniósł cygara ze stołu. Zapalone włożył do ust, drugie wepchnął do kieszeni.

– Czy kiedy nadpłynie *Dzień Sądu Ostatecznego*, te filary zdołają wytrzymać siłę naporu na włókna? Może one też zostaną pocięte?

– To łatwo rozwiązać – rzekł Wang. – Mamy małą ilość latającego ostrza w postaci arkuszy. Możemy nimi obwiązać filary w miejscach, gdzie zostaną przywiązane włókna.

Potem dyskusja toczyła się głównie między oficerami marynarki i specjalistami od nawigacji.

– *Dzień Sądu Ostatecznego* ma maksymalną wielkość dopuszczającą go do wejścia do kanału i głębokie zanurzenie, będziemy więc musieli rozważyć założenie włókien pod powierzchnią wody.

– To będzie bardzo trudne. Uważam, że jeśli nie mamy dość czasu, nie powinniśmy się tym przejmować. W tych częściach statku, które są pod

wodą, znajdują się silniki, paliwo i balast, co powoduje duży hałas, drgania i zakłócenia. To niekorzystne warunki dla centrów komputerowych i podobnych urządzeń. Natomiast w częściach nawodnych gęściejsza sieć włókien da lepsze rezultaty.

– A zatem najlepiej będzie zastawić pułapkę w jednej ze śluz. *Dzień Sądu Ostatecznego* jest zbudowany zgodnie ze specyfikacjami dla panamaxów, co znaczy, że ma szerokość trzydziestu jeden metrów, więc może zmieścić się w śluzie mierzącej trzydzieści dwa metry. Musimy przygotować włókna tylko trzydziestodwumetrowej długości i maksymalnie zmniejszyć odległość między nimi. Dzięki temu łatwiej też będzie wznieść filary i rozpiąć między nimi włókna, zwłaszcza pod wodą.

– Nie. Sytuacja koło śluz jest zbyt nieprzewidywalna. Poza tym statek muszą przeciągnąć przez śluzę cztery „muły”, elektryczne lokomotywy. Poruszają się bardzo wolno, a załoga w śluzie jest bardzo czujna. Próba pocięcia statku w tym czasie zostanie prawdopodobnie odkryta.

– A Most Ameryk przy śluzie Miraflores? Jego podpory można wykorzystać jak filary dla rozpięcia włókien.

– Nie. Odległość między podporami jest zbyt duża. Nie mamy tyle latającego ostrza.

– To zamyka sprawę. Miejscem operacji będzie najwęższa część Przekopu Gaillarda, która ma sto pięćdziesiąt metrów szerokości. Dodajmy trochę miejsca dla filarów… powiedzmy, że będzie to sto siedemdziesiąt metrów.

– Jeśli taki ma być plan, to najmniejsza odległość między włóknami będzie wynosić pięćdziesiąt centymetrów. Nie mam materiału na gęściejszą sieć.

– Innymi słowy, musimy zadbać, by statek przepłynął tamtędy w dzień – rzekł Shi, wypuszczając kłąb dymu.

– Dlaczego?

– W nocy załoga będzie spać, co znaczy, że wszyscy będą leżeć. Pięćdziesiąt centymetrów między włóknami to wówczas za dużo. Za to w dzień wystarczy, nawet jeśli będą siedzieli czy kucali.

Kilka osób się roześmiało. Zebrani byli w ciężkim stresie, więc trochę się odprężyli, czując zapach krwi.

– Jest pan prawdziwym demonem – zwróciła się do Shi przedstawicielka ONZ.

– Czy nic się nie stanie osobom postronnym? – zapytał Wang drżącym głosem.

– Gdy statek przechodzi przez śluzy, na pokładzie jest około dziesięciu robotników zajmujących się linami, ale za śluzą wszyscy schodzą na ląd – odparł oficer marynarki wojennej. – Przez całe osiemdziesiąt dwa kilometry załodze będzie musiał towarzyszyć pilot, więc jego trzeba będzie poświęcić.

– I pewnie nie cała załoga *Dnia Sądu Ostatecznego* wie, do czego naprawdę służy ten statek – dodał oficer CIA.

– Profesorze – rzekł generał Chang – niech się pan nie zadręcza takimi myślami. Informacje, które musimy zdobyć, dotyczą przetrwania ludzkiej cywilizacji. Ktoś musi to zrobić.

Po zakończeniu zebrania pułkownik Stanton postawił przed Shi Qiangiem piękne pudełko cygar.

– Kapitanie, to najlepsze, co może zaoferować Hawana. Są pańskie.

Cztery dni później, Kanał Panamski, Przekop Gaillarda

Wang miał wrażenie, jakby nie był w obcym kraju. Wiedział, że na zachodzie jest piękne jezioro Gatun, a na wschodzie wspaniały Most Ameryk i stolica. Nie miał jednak możliwości obejrzenia żadnej z tych atrakcji.

Przed dwoma dniami przyleciał samolotem bezpośrednio z Chin na lotnisko wojskowe Tocumen w Panamie, a stamtąd śmigłowcem dotarł do strefy kanału. Trwały prace budowlane nad poszerzeniem kanału, wskutek czego las tropikalny po obu jego brzegach był przerzedzony i upstrzony dużymi spłachciami żółtej ziemi. Jego kolor wydawał się Wangowi znajomy. Również sam kanał nie wyróżniał się niczym szczególnym, być może dlatego, że był w tym miejscu taki wąski. W ubiegłym wieku tę jego część wykopało motykami sto tysięcy ludzi.

Wang i pułkownik Stanton siedzieli na fotelach wypoczynkowych pod markizą w połowie zbocza. Obaj byli w luźnych, kolorowych koszulach, z panamskimi kapeluszami na boku, i wyglądali jak turyści.

Poniżej, na obu brzegach kanału, leżały płasko na ziemi dwudziestometrowe stalowe słupy. Połączone były ze sobą rozpiętymi pięćdziesięcioma bardzo mocnymi włóknami nanometrycznymi, z których każde miało długość stu pięćdziesięciu metrów. Włókna na prawym brzegu przywiązane były do stalowych drutów. Dzięki temu były na tyle luźne, że opadły na dno pod wpływem przywiązanych do nich ciężarków. Takie ustawienie pozwalało bezpiecznie przepłynąć innym statkom. Na szczęcie ruch w kanale nie był tak duży, jak Wang sobie wyobrażał. Średnio przepływało tamtędy każdego dnia około czterdziestu dużych jednostek.

Każdy słup osadzony był na mechanicznym zawiasie. Stalowe liny miały zostać naciągnięte, a włókna rozpięte dopiero po przejściu ostatniego statku przed *Dniem Sądu Ostatecznego*.

Dzięki podobieństwu tej struktury do starożytnej chińskiej lutni operacji nadano kryptonim „Guzheng”. Tak więc tnąca sieć włókien została nazwana „cytrą”.

Pół godziny wcześniej *Dzień Sądu Ostatecznego* wpłynął z jeziora Gatun do Przekopu Gaillarda.

Stanton zapytał Wanga, czy był już wcześniej w Kanale Panamskim. Wang odpowiedział, że nie.

– Ja byłem tu w 1990 – rzekł Stanton.

– Na wojnie?

– Tak, to była jedna z tych wojen, które nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia. Pamiętam tylko, jak stałem przed ambasadą watykańską, a zatrzymanemu Noriedze grano *Nowhere to Run* Marthy and the Vandellas. Nawiasem mówiąc, to był mój pomysł.

Przez kanał pod nimi powoli przepływał lśniąco biały francuski żaglowiec. Po zaścielonym zielonym dywanem pokładzie przechadzało się leniwie kilkoro pasażerów.

– Drugi punkt obserwacyjny melduje: przed celem nie ma innych statków – zaskrzeczało walkie-talkie Stantona.

– Podnieść cytrę – wydał rozkaz pułkownik.

Na obu brzegach pojawiło się kilka osób w kaskach. Wyglądali na pracowników obsługi. Wang wstał, ale pułkownik pociągnął go z powrotem na krzesło.

– Profesorze, niech się pan nie martwi. Wiedzą, co mają robić.

Wang patrzył, jak ludzie na prawym brzegu szybko podnoszą stalowe druty przymocowane do włókien i przywiązują je do filaru. Potem powoli podniesiono oba filary do pionu. Dla niepoznaki umieszczono na nich znaki nawigacyjne i wskaźniki głębokości wody. Robotnicy pracowali bez pośpiechu, jakby wykonywali swoją stałą, nudną pracę. Wang spojrzał na

przestrzeń między filarami. Wydawało się, że nic tam nie ma, ale była tam już śmiercionośna cytra.

– Cel jest cztery kilometry od cytry – powiedział głos w walkie-talkie.

Stanton wrócił do rozmowy z Wangiem:

– Drugi raz przyjechałem do Panamy w 1999 roku, żeby wziąć udział w ceremonii przekazania kanału. Dziwne, ale kiedy dotarliśmy do siedziby dyrekcji, flaga została już opuszczona. Pewnie rząd USA postanowił zrobić to dzień wcześniej, by uniknąć wstydu, jakim byłoby jej opuszczenie w obliczu tłumu… Myślałem wtedy, że jestem świadkiem historii, ale teraz wydaje się to mało ważne.

– Cel trzy kilometry od cytry.

– Tak, mało ważne – mruknął Wang.

W ogóle nie słuchał Stantona. Reszta świata przestała dla niego istnieć. Całą uwagę skupił na *Dniu Sądu Ostatecznego*, który jeszcze się nie pokazał. Słońce, które wstało nad Atlantykiem, opadało teraz nad Pacyfik. Kanał mienił się złotym światłem. Obok stała milcząca cytra. Dwa stalowe filary były ciemne, nie odbijał się od nich blask słońca i wyglądały na starsze od samego kanału.

– Cel dwa kilometry od cytry.

Zdawało się, że Stanton nie usłyszał głosu dobiegającego z walkie-talkie.

– Kiedy się dowiedziałem, że w kierunku Ziemi zmierza obca flota, doznałem jakiejś amnezji – kontynuował. – To takie dziwne. Nie mogę sobie przypomnieć wielu rzeczy z przeszłości. Nie pamiętam wielu szczegółów wojen, w których brałem udział. Jak już powiedziałem, wydają się one takie nieważne. Po poznaniu prawdy każdy staje się duchowo nową osobą i postrzega świat inaczej. Tak sobie myślę: jaka byłaby dzisiaj nasza cywilizacja, gdyby dwa tysiące lat temu, a nawet wcześniej, ludzkość

dowiedziała się, że za kilka tysięcy lat przybędzie tu obca flota inwazyjna? Profesorze, może pan to sobie wyobrazić?

– Ach, nie – odparł Wang zdawkowo, bo myślami był gdzie indziej.

– Cel półtora kilometra od cytry.

– Profesorze, sądzę, że będzie pan Gaillardem nowej ery. Czekamy na wybudowanie przez pana nowego Kanału Panamskiego. Właśnie takim kanałem będzie pana dźwig kosmiczny. Połączy Ziemię z Kosmosem, tak jak Kanał Panamski połączył dwa oceany.

Wang wiedział, że pułkownik gada byle co, by pomóc mu znieść trudne chwile. Był mu za to wdzięczny, ale nic to nie dawało.

– Cel kilometr od cytry.

Pojawił się *Dzień Sądu Ostatecznego*. W świetle słońca zachodzącego za wzgórza jego ciemna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle złotych fal kanału. Był większy, niż Wang sobie wyobrażał. Wyglądał jak jeszcze jeden szczyt wciśnięty nagle między wzgórza. Chociaż Wang wiedział, że kanał może przyjmować statki o wyporności 70 tysięcy ton, widok takiego olbrzyma na tak wąskiej drodze wodnej robił niesamowite wrażenie. Kanał pod nim zdawał się nie istnieć. Statek wyglądał jak góra sunąca po ziemi. Kiedy oczy Wanga przywykły do światła, zobaczył, że *Dzień Sądu Ostatecznego* jest czarny jak smoła, ale nadbudówkę ma białą. Ogromna antena została usunięta. Słyszał ryk silników, któremu towarzyszył łoskot fal wznoszonych przez zaokrąglony dziób i rozbijających się o brzegi kanału.

Gdy zmniejszyła się odległość między *Dniem Sądu Ostatecznego* i groźną cytrą, Wangowi zaczęło szybciej bić serce, a jego oddech stał się płytki. Chciał uciec, ale czuł się taki słaby, że nie panował nad mięśniami. Nagle ogarnęła go ogromna nienawiść do Shi Qianga. „Jak ten sukinsyn mógł wpaść na taki pomysł? Przedstawicielka ONZ miała rację – to

demon!” Ale to uczucie szybko minęło. Wang pomyślał, że pewnie byłoby lepiej, gdyby miał Shi przy boku. Wprawdzie pułkownik Stanton go zaprosił, ale generał Chang nie udzielił na to zgody, mówiąc, że jest on bardziej potrzebny w obecnym miejscu. Wang poczuł na ramieniu dłoń pułkownika.

– Profesorze, to wszystko przejdzie.

Dzień Sądu Ostatecznego był teraz pod nimi i przepływał przez cytrę. Gdy jego dziób znalazł się w płaszczyźnie pomiędzy dwoma stalowymi filarami, która zdawała się pusta, Wangowi zjeżyły się włosy na głowie. Ale nic się nie stało. Ogromny kadłub statku nadal sunął powoli między filarami. Kiedy przesunął się do połowy, Wang zaczął wątpić, czy naprawdę między filarami rozciągnięte są nanowłókna.

Wkrótce jednak pewien drobiazg uśmierzył te obawy. Wang zauważył, że cienka antena na górze nadbudówki łamie się i spada w dół. Zaraz potem pojawił się drugi znak świadczący o obecności nanowłókien, na którego widok Wang omal się nie załamał. Szeroki pokład *Dnia Sądu Ostatecznego* był prawie pusty, jeśli nie liczyć jednego członka załogi zmywającego wężem pachołki na statku. Z punktu, w którym się znajdował, Wang widział wszystko bardzo wyraźnie. W chwili, gdy ta część statku wsunęła się między filary, mężczyzna zesztywniał, a wąż wyleciał mu z ręki i pękł na dwa kawałki, z których chlusnęła woda. Mężczyzna stał przez kilka sekund, po czym upadł, a gdy jego ciało zetknęło się z pokładem, rozpadło się na dwie połowy. Górna zaczęła pełznąć przez kałużę krwi na kikutach rąk. Dłonie zostały równo odcięte.

Po przejściu rufy między filarami statek płynął dalej z tą samą prędkością i wszystko wydawało się normalne, ale wtedy Wang usłyszał, że silniki zaczynają dziwnie jęczeć, a potem wydawać chaotyczne dźwięki. Brzmiały one tak, jakby ktoś wrzucił klucz francuski – dużo kluczy – do wirnika

ogromnego motoru. Wiedział, że jest to skutek przecięcia obracających się części silnika. Rozległ się ostry zgrzyt rozdzieranej blachy i na boku rufy *Dnia Sądu Ostatecznego* pojawiła się dziura wybita przez duży kawał metalu. Oderwana część wypadła za burtę, wzbijając słup wody. Stało się to bardzo szybko, ale Wang zdążył poznać, że to fragment wału korbowego.

Z wyrwy wydobywał się gęsty obłok pary. *Dzień Sądu Ostatecznego*, który płynął tuż przy prawym brzegu, zaczął skręcać, ciągnąc za sobą ogon dymu. Po chwili uderzył w lewy brzeg. Ogromny dziób rozciął wzgórze jak wodę, we wszystkie strony runęły fale ziemi. Jednocześnie statek, niczym chleb pokrojony na kromki, zaczął się rozpadać na części. Było ich ponad czterdzieści, każda o grubości pół metra. Górne zsuwały się szybciej i *Dzień Sądu Ostatecznego* rozsypał się jak talia kart. Przemieszczając się koło siebie, metalowe części wydawały przenikliwe dźwięki, jakby niezliczone olbrzymie palce drapały o szkło.

Gdy ucichł ten nieznośny hałas, *Dzień Sądu Ostatecznego* leżał na brzegu niczym sterta talerzy rozsypanych przez nieuważnego kelnera, przy czym te, które były na górze, upadły najdalej. Pocięte kawałki wydawały się miękkie jak tkanina i szybko ulegały deformacji, przybierając skomplikowane kształty, w których trudno się było dopatrzeć części należących kiedyś do statku.

Ze zbocza wzgórza zbiegli żołnierze i Wang zdumiał się, że aż tylu ich kryło się w pobliżu. Wzdłuż kanału nadciągnęła z rykiem silników eskadra śmigłowców, zatrzymała się nad szczątkami *Dnia Sądu Ostatecznego* i zaczęła zrzucać duże ilości piany i proszku gaśniczego na powierzchnię wody, którą pokrywała teraz opalizująca warstwa oleju. Szybko opanowano pożar i z trzech helikopterów zjechali na linach poszukiwacze.

Pułkownik Stanton już odszedł. Wang wziął lornetkę, którą tamten zostawił na kapeluszu. Powstrzymując drżenie rąk, patrzył na *Dzień Sądu*

Ostatecznego, poszatkowany przez latające ostrze na kawałki. Szczątki statku pokryte były teraz pianą gaśniczą, ale ich część była nadal odkryta. Wang widział gładkie jak szkło krawędzie przecięć. Odbijało się w nich czerwone światło zmierzchu. Widział też na tej lustrzanej powierzchni ciemną czerwoną plamę i nie był pewien, czy to krew.

Trzy dni później

ŚLEDCZY: Rozumie pani cywilizację trisolariańską?

YE WENJIE: Nie. Dostaliśmy bardzo skąpe informacje. Nikt oprócz Mike’a Evansa i kilku innych członków kierownictwa adwentystów, którzy przejęli te wiadomości, nie ma o nich rzeczywistej, szczegółowej wiedzy.

ŚLEDCZY: To dlaczego ma pani nadzieję, że potrafią udoskonalić ludzi?

YE: To, że mogą pokonać taką odległość, żeby przybyć na nasz świat, dowodzi, że ich nauka osiągnęła bardzo wysoki poziom rozwoju. Społeczeństwo z tak wysoko rozwiniętą nauką musi mieć wysokie standardy moralne.

ŚLEDCZY: Uważa pani, że wniosek, który pani z tego wyciąga, jest naukowy?

YE: …

ŚLEDCZY: Pozwoli pani, że zgadnę: pani ojciec był pod bardzo silnym wpływem pani dziadka, który uważał, że tylko nauka pozwoli ocalić Chiny. A pani była pod bardzo silnym wpływem ojca.

YE (westchnąwszy głęboko): Nie wiem.

ŚLEDCZY: Uzyskaliśmy już wszystkie wiadomości od Trisolarian przechwycone przez adwentystów.

YE: Och… co się stało z Evansem?

ŚLEDCZY: Zginął podczas operacji przejęcia *Dnia Sądu Ostatecznego*, ale położenie jego ciała wskazało nam, gdzie znajdują się komputery z kopiami wiadomości od Trisolarian. Na szczęście wszystkie były zapisane w samointerpretującym się szyfrze używanym w Czerwonym Brzegu.

YE: Było tam dużo danych?

ŚLEDCZY: Tak, około 28 gigabajtów.

YE: To niemożliwe. Łączność międzygwiezdna jest bardzo niewydajna. Jak mogli przekazać tyle danych?

ŚLEDCZY: Najpierw też tak myśleliśmy. Ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna – przekroczyła nasze najbardziej fantastyczne wyobrażenia. I co pani na to? Proszę, niech pani przeczyta ten fragment przejętych danych, a wtedy zobaczy pani, jak się ma rzeczywistość cywilizacji trisolariańskiej do pani pięknych fantazji.

32

Słuchacz

Dane przesłane przez Trisolarian nie zawierały opisu ich wyglądu. Ludzie mieli ich ujrzeć dopiero ponad czterysta lat później, więc czytając wiadomości od nich, Ye mogła tylko wyobrażać ich sobie jako istoty człekopodobne.

Posterunek nasłuchowy 1379 istniał już od ponad tysiąca lat. Takich posterunków na Trisolaris było więcej, wszystkie miały szukać możliwych sygnałów inteligentnego życia we Wszechświecie. Początkowo każdy z nich obsługiwały setki słuchaczy, ale kiedy technologia się rozwinęła, służbę pełnił już tylko jeden. Zawód słuchacza oznaczał marną karierę. Chociaż mieszkali oni w placówkach, w których była utrzymywana stała temperatura, a układy wspomagania gwarantowały przetrwanie bez potrzeby odwadniania się w erach chaosu, ich życie upływało tylko w tych ciasnych miejscach. Ery stabilności nie napełniały ich tak wielką radością jak pozostałych mieszkańców planety.

Słuchacz na posterunku 1379 spojrzał przez małe okienko na świat Trisolaris. Była noc ery chaosu. Gigantyczny księżyc jeszcze nie wzeszedł,

większość ludzi pozostawała w stanie odwodnienia. Nawet rośliny instynktownie się odwodniły i zmieniły w leżące na ziemi bezlistne kupy suchych włókien. W świetle gwiazd ziemia wyglądała jak olbrzymia płyta zimnego metalu.

W takich chwilach był najbardziej samotny. W głębokiej ciszy środka nocy Wszechświat wydawał się tym, którzy nasłuchiwali jego odgłosów, bezbrzeżnym pustkowiem. Tym, czego słuchacz na posterunku 1379 najbardziej nie lubił, był widok fali powoli pełznącej przez ekran, wizualny zapis nic nieznaczących dźwięków, które odbierał z przestrzeni kosmicznej. Uważał, że ta niekończąca się fala jest abstrakcyjnym obrazem Wszechświata – z jednej strony łączyła się z bezkresną przeszłością, z drugiej z bezkresną przyszłością, a w środku były tylko przypadkowe wzniesienia i spadki, bez życia, bez żadnego schematu, szczyty i doliny niczym nierówne ziarna piasku. Cała krzywa wyglądała jak jednowymiarowa pustynia powstała z wszystkich drobin tego piasku ułożonych w rzędzie, martwa i tak długa, że widok ten stawał się nie do zniesienia. Można było podążać wzdłuż niej w przód lub w tył, jak długo się chciało, ale nigdy nie doszłoby się do końca.

Jednak tego dnia słuchacz zobaczył coś dziwnego. Nawet specjalistom trudno było orzec, kiedy fala niesie informacje. Ale słuchacz znał już tak dobrze szum Wszechświata, że od razu się zorientował, iż w fali poruszającej się teraz przed jego oczami jest coś dodatkowego. To wznosząca się, to opadająca cienka krzywa zdawała się mieć duszę. Był pewny, że ten sygnał radiowy jest modulowany przez istoty inteligentne.

Podbiegł do innego terminala i sprawdził komputerową ocenę rozpoznawalności sygnału: czerwona 10. Przedtem żaden sygnał radiowy odebrany przez stację nasłuchu nie otrzymał nawet oceny wyższej niż niebieska 2. Czerwona ocena oznaczała, że prawdopodobieństwo, iż

transmisja zawiera inteligentne informacje, wynosi ponad 90 procent. Czerwona 10 była przypadkiem szczególnym – oznaczała, że odebrany przekaz zawiera układ samodekodujący! Komputer pracował pełną mocą. Odkrył układ samodekodowania i z powodzeniem wykorzystał go do szybkiego ukończenia deszyfracji.

Słuchacz otworzył dokument końcowy i po raz pierwszy Trisolarianin zapoznał się z przekazem z innego świata.

> Po przeczytaniu niniejszej wiadomości powinniście w ogólnych zarysach zrozumieć cywilizację na Ziemi. Dzięki wytężonej pracy i kreatywności rodzaj ludzki stworzył wspaniałą cywilizację, która rozkwitła wieloma różnymi kulturami. Zaczęliśmy też rozumieć prawa rządzące światem przyrody i rozwojem ludzkich społeczeństw. Cenimy wszystko, co osiągnęliśmy.
>
> Ale nasz świat ma nadal wady. Istnieje nienawiść, tak samo jak uprzedzenia i wojna. Z powodu konfliktu między siłami produkcji i stosunkami produkcji podział bogactwa jest bardzo nierówny i duża liczba ludzi żyje w nędzy i niedoli.
>
> Ludzkie społeczeństwa usilnie starają się usunąć te trudności i rozwiązać problemy, przed którymi stoją, dążąc do lepszej przyszłości dla ziemskiej cywilizacji. Kraj, który wysłał tę wiadomość, realizuje przedsięwzięcie, które jest częścią tych starań. Dążymy do zbudowania społeczeństwa idealnego, w którym w pełni szanować się będzie pracę i wartość każdego członka ludzkiej społeczności, w którym w pełni zaspokojone będą materialne i duchowe potrzeby każdego, dzięki czemu ziemska cywilizacja może się stać jeszcze doskonalsza.
>
> Mamy jak najlepsze zamiary i nie możemy się doczekać nawiązania kontaktu z innymi cywilizowanymi społecznościami we Wszechświecie. Nie możemy się doczekać chwili, kiedy zaczniemy wspólnie działać na rzecz stworzenia lepszego życia w tym rozległym Wszechświecie.

Oszołomiony, przejęty i zdezorientowany słuchacz wciąż wpatrywał się w falę na ekranie. Do anteny nadal napływał strumień informacji ze

Wszechświata. Dzięki samointerpretującemu się kodowi komputer tłumaczył je w czasie rzeczywistym i wiadomość natychmiast pokazywała się na ekranie.

Przez następne dwie godziny trisolariańskie słuchacz dowiedział się o istnieniu Ziemi, świata, który miał tylko jedno słońce i zawsze trwał w erze stabilności. Dowiedział się o ludzkiej cywilizacji, która zrodziła się w raju, gdzie wiecznie panował łagodny klimat.

Transmisja z Układu Słonecznego dobiegła końca. Komputer deszyfrujący pracował bez celu. Na posterunku znowu słychać było tylko szum Wszechświata.

Ale słuchacz był pewien, że to, czego doświadczył, nie było snem. Wiedział też, że wiadomość, na którą cywilizacja trisolariańska czekała od eonów, dotarła do kilku tysięcy innych placówek nasłuchowych rozsianych po całej planecie. Dwieście cykli cywilizacji pełzło przez ciemny tunel i oto teraz dojrzało promyk światła na jego końcu.

Jeszcze raz przeczytał wiadomość z Ziemi. Unosił się w myślach nad nigdy niezamarzającymi niebieskimi oceanami, nad zielonymi lasami i polami, rozkoszował się ciepłym światłem słońca i pieszczotą chłodnej bryzy. „Cóż za wspaniały świat! Raj, o którym marzyło dwieście cykli cywilizacji, naprawdę istnieje!”

Dreszczyk podniecenia minął i zostało tylko poczucie straty i przygnębienie. Podczas długiej samotności słuchacz nieraz zadawał sobie pytanie: „Nawet jeśli pewnego dnia dotrze tu wiadomość od cywilizacji pozatrisoliarańskiej, co mi to da?”. Jego samotne i skromne życie nie zmieni się ani na jotę.

„Ale mogę to przynajmniej posiadać w moich snach…” I pogrążył się we śnie. Żyjąc w surowym otoczeniu, Trisolarianie wykształcili umiejętność

łatwego zapadania w sen i łatwego budzenia się. Trisolarianin mógł zasnąć w kilka sekund.

Ale nie przyśnił mu się sen, jakiego chciał. Owszem, pojawiła się w nim niebieska Ziemia, ale jej piękne kontynenty zaczęły płonąć pod bombami zrzucanymi przez ogromną flotę międzygwiezdną. Niebieskie oceany zagotowały się i wyparowały…

Obudził się z tego koszmaru i ujrzał ogromny księżyc, który dopiero wzeszedł i którego cienki, zimny promyk przenikał przez małe okno. Spojrzał na zamarzniętą ziemię za oknem i zaczął robić podsumowanie swego samotnego życia. Przeżył już sześćset tysięcy trisolariańskich godzin. Przewidywana długość życia mieszkańca planety wynosiła od siedmiuset do ośmiuset tysięcy trisolariańskich godzin. Oczywiście większość traciła zdolność do produktywnej pracy dużo wcześniej. Wtedy odwadniano ich siłą, a suche włókna, które z nich pozostały, wrzucano w płomienie. Trisolarianie nie tolerowali próżniaków.

Teraz jednak słuchacz dostrzegł inną możliwość. Nie można powiedzieć, że przyjęcie wiadomości od innej cywilizacji nie wywarłoby wpływu na jego życie. Po jej potwierdzeniu Trisolaris na pewno zredukowałby liczbę placówek nasłuchowych. A taka jak ta, na której się znajdował, przestarzała, znalazłaby się wśród pierwszych przeznaczonych do zamknięcia. Zostałby bez pracy. Miał bardzo specjalistyczne umiejętności, na które składały się pewne rutynowe operacje i prace konserwacyjne. Byłoby mu bardzo trudno dostać inną pracę, a gdyby nie znalazł jej w ciągu pięciu tysięcy trisolariańskich godzin, zostałby przymusowo odwodniony i spalony.

Jedynym sposobem uniknięcia tego losu było związanie się z osobą płci przeciwnej. Gdyby do tego doszło, materiał organiczny ich ciał zostałby stopiony w jedno. Dwie trzecie tego materiału stałoby się paliwem dla

reakcji biochemicznej, która całkowicie odnowiłaby komórki pozostałej jednej trzeciej i stworzyła nowe ciało. Potem podzieliłoby się ono na trzy do pięciu małych ciałek – ich dzieci. Te odziedziczyłyby niektóre wspomnienia rodziców, stały się ich kontynuacją i cykl życia zacząłby się od nowa. Jeśli wziąć jednak pod uwagę niską pozycję społeczną słuchacza, miejsce pracy na odludziu i zaawansowany wiek, to czy zainteresowałaby się nim jakaś przedstawicielka płci przeciwnej?

Przez ostatnich kilka lat słuchacz zadawał sobie miliony razy pytanie: „Czy do tego sprowadza się całe moje życie?”. I miliony razy odpowiadał na nie: „Tak, do tego. Wszystkim, co masz w tym życiu, jest niekończąca się samotność w ciasnym pomieszczeniu tej placówki nasłuchowej”.

Nie mógł utracić tamtego raju, nawet jeśli istniał on tylko w jego snach.

Wiedział, że w skali Wszechświata, z powodu braku dostatecznie długiej linii pomiaru, nie można było określić odległości źródła transmisji radiowej na niskiej częstotliwości jedynie na podstawie kierunku, z którego dotarła. Źródło mogło mieć dużą moc, ale być bardzo daleko, albo małą moc i być blisko. W tamtej stronie znajdowały się miliardy gwiazd, z których każda świeciła na tle morza innych leżących w różnych odległościach od niej. Nie wiedząc, jak daleko jest źródło, nie można było określić jego dokładnych współrzędnych.

„Odległość. Najważniejsza jest odległość”.

W rzeczywistości istniał łatwy sposób ustalenia odległości źródła transmisji. Wystarczyło tylko odpowiedzieć na wiadomość i gdyby druga strona przesłała szybko następną, Trisolarianie mogliby określić odległość na podstawie czasu jej podróży tam i z powrotem i prędkości światła. Pozostawało tylko pytanie, czy druga strona by odpowiedziała. A może nie spieszyliby się z odpowiedzią i Trisolarianie nie byliby w stanie ustalić, jak długo była w drodze. Jednak skoro źródło wysłało wieść w kosmos, było

bardzo prawdopodobne, że odpowiedź Trisolarian spotkałaby się z odzewem. Słuchacz był pewien, że rząd trisolariański wydał już rozkaz, by przesłać wiadomość na ów odległy świat i nakłonić go do odpowiedzi. Może już została wysłana. Jeśli tak się stało, słuchacz miał wyjątkową szansę nadać blask swemu skromnemu życiu.

Podbiegł do ekranu i utworzył na komputerze krótką, prostą wiadomość. Polecił komputerowi, by ją przetłumaczył na język, w którym nadano wiadomość z Ziemi. Potem skierował antenę w stronę, skąd przybyła. Klawisz z napisem NADAWANIE był czerwonym prostokątem. Zawisły nad nim palce słuchacza.

Los cywilizacji trisolariańskiej zależał teraz od tych szczupłych palców.

Słuchacz bez wahania wcisnął klawisz. Fala radiowa o dużej mocy poniosła tę krótką wiadomość, wiadomość, która mogła ocalić inną cywilizację, w ciemność przestrzeni kosmicznej.

Ten świat otrzymał wysłaną przez was wiadomość.

Jestem pacyfistą. Wasza cywilizacja ma szczęście, że odebrałem ją pierwszy. Ostrzegam: Nie odpowiadajcie! Nie odpowiadajcie!! Nie odpowiadajcie!!!

Po waszej stronie są miliony gwiazd. Jeśli nie odpowiecie, mój świat nie zdoła ustalić źródła transmisji.

Ale jeśli odpowiecie, od razu zostaniecie zlokalizowani. Wasza planeta stanie się celem inwazji. Wasz świat zostanie podbity!

Nie odpowiadajcie! Nie odpowiadajcie!! Nie odpowiadajcie!!!

Nie wiemy, jak wyglądała oficjalna rezydencja princepsa Trisolaris, ale możemy być pewni, że miała grube mury chroniące go przed kapryśną pogodą. Nasuwa się przypuszczenie, że była piramidą jak w grze *Trzy ciała*. Zgodnie z innym przypuszczeniem została zbudowana pod ziemią.

Przed pięcioma trisolariańskimi godzinami princeps otrzymał raport o wiadomości wysłanej przez cywilizację pozatrisolariańską. Dwie godziny później dotarł do niego drugi raport: posterunek nasłuchowy 1379 wysłał w kierunku źródła tego przekazu ostrzeżenie.

Po pierwszym raporcie nie skakał z ekstazy, po drugim nie pogrążył się w depresji. Nie czuł nawet złości ani urazy. Wszystkie te emocje – a także inne, jak strach, smutek, radość, przeżywanie piękna i tak dalej – były czymś, czego cywilizacja trisolariańska starała się unikać i co eliminowała. Sprawiały one bowiem, że jednostka i społeczeństwo były słabe duchem, i nie pomagały przetrwać w surowym środowisku tego świata. Stanami psychicznymi potrzebnymi Trisolarianom były spokój i odrętwienie. Historia ponad dwustu minionych cykli cywilizacji dowiodła, że największe szanse na przetrwanie miały te z nich, które uczyniły te dwa stany sednem swojej duchowości.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał princeps słuchacza z posterunku 1379.

– Żeby nie zmarnować sobie życia – odparł spokojnie słuchacz.

– Ostrzeżenie, które wysłałeś, może przekreślić szanse na przetrwanie naszej cywilizacji.

– Ale daje taką szansę cywilizacji ziemskiej. Princepsie, pragnienie naszej cywilizacji, by posiąść przestrzeń życiową, jest jak pragnienie człowieka, który długo przymierał głodem, tak samo bezbrzeżne. Nie możemy dzielić Ziemi z ludźmi z tamtego świata. Możemy tylko zniszczyć ziemską cywilizację i całkowicie zawładnąć tamtym układem słonecznym… Mam rację?

– Tak. Ale istnieje jeszcze jeden powód, by ją zniszczyć. Ziemianie są wojowniczym, bardzo niebezpiecznym gatunkiem. Jeśli postaramy się współistnieć z nimi na jednej planecie, szybko poznają naszą technologię. W takim stanie rzeczy nie mogłaby się rozwijać ani nasza, ani ich

cywilizacja. Pozwól, że zapytam: chcesz ocalić Ziemię, a nie czujesz żadnej odpowiedzialności za własny gatunek?

– Mam dość Trisolaris. Nasze życie sprowadza się tylko do walki o przetrwanie.

– Co w tym złego?

– Oczywiście nic. Istnienie jest warunkiem wszystkiego innego. Ale nie może być tak, że wszystko podporządkowuje się przetrwaniu. Chcemy zapewnić przetrwanie całej cywilizacji, a jednostkę mamy za nic. Tego, kto nie może już pracować, skazuje się na śmierć. W społeczeństwie trisolariańskim panuje skrajny autorytaryzm. W prawie obowiązuje tylko jedna zasada: winny albo niewinny. Winnych czeka śmierć, niewinnych się uwalnia. Dla mnie najbardziej nieznośne są dwa aspekty: duchowa monotonia i odwodnienie. Wszystko, co może prowadzić do duchowej słabości, uznawane jest za zło. Nie mamy literatury, sztuk, obce jest nam dążenie do piękna i radości. Nie możemy mówić nawet o miłości… Czy takie życie ma sens, princepsie?

– Również na Trisolaris istniała kiedyś taka cywilizacja, do jakiej wzdychasz. Były wolne, demokratyczne społeczeństwa, które zostawiły bogate dziedzictwo kulturalne. To, co o tym wiesz, to tylko drobny ułamek. Większość tych osiągnięć została ukryta i zakazano ich przedstawiania, bo ten typ cywilizacji okazał się najsłabszy i najmniej trwały ze wszystkich cykli. Wystarczyła era umiarkowanego chaosu, by ją zniszczyć. Spójrz na ziemską cywilizację, którą chcesz ocalić. Społeczeństwo zrodzone w cieplarnianych warunkach wiecznej wiosny nie przetrwałoby nawet miliona trisolariańskich godzin, gdyby zostało przeniesione tutaj.

– Być może ten kwiat jest delikatny, ale wspaniały. Cieszy się wolnością i pięknem życia w raju.

– Jeśli trisolariańska cywilizacja posiądzie w końcu ten świat, my też będziemy mogli stworzyć sobie takie życie.

– Wątpię. Stalowy duch Trisolarian przeniknął do wszystkich komórek naszych ciał i skrzepnął. Naprawdę myślisz, że może ponownie stopnieć? Jestem zwykłym człowiekiem z nizin społecznych. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Żyłem samotnie, bez majątku, bez miłości i bez nadziei. Jeśli zdołam ocalić odległy, piękny świat, w którym się zakochałem, moje życie nie będzie zmarnowane. Oczywiście dzięki temu dostałem też szansę zobaczenia cię, princepsie. Gdybym tego nie zrobił, taki człowiek jak ja mógłby jedynie podziwiać cię w telewizji. Pozwól mi zatem powiedzieć, że czuję się zaszczycony.

– Jesteś bez wątpienia winny. Jesteś największym przestępcą na przestrzeni wszystkich cykli cywilizacji trisolariańskiej. Ale zrobimy wyjątek od prawa: jesteś wolny.

– Dlaczego?

– W twoim przypadku odwodnienie i spalenie byłoby karą zupełnie niewspółmierną do winy. Jesteś stary, więc nie będziesz mógł być świadkiem zniszczenia ziemskiej cywilizacji, ale zadbam przynajmniej o to, byś wiedział, że nie zdołasz jej ocalić. Chcę, byś żył do dnia, w którym straci ona wszelką nadzieję. Możesz odejść.

Po odejściu słuchacza z posterunku 1379 princeps wezwał konsula odpowiedzialnego za system monitorowania. Do niego też nie czuł złości. Potraktował sprawę jako rutynową.

– Jak mogłeś dopuścić tak słabego i złego człowieka do układu monitorowania?

– Princepsie, w układzie monitorowania zatrudnione są setki tysięcy osób. Dokładne prześwietlenie ich wszystkich jest bardzo trudne. W końcu przez większość życia ten człowiek wykonywał bez zarzutu swoje obowiązki na posterunku nasłuchowym 1379. Oczywiście ponoszę odpowiedzialność za ten poważny błąd.

– Ilu innych jest w jakimś stopniu odpowiedzialnych za tę wpadkę?

– Według moich wstępnych obliczeń około sześciu tysięcy na wszystkich szczeblach.

– Wszyscy są winni.

– Tak.

– Odwodnić całe sześć tysięcy i spalić na głównym placu stolicy. Ty możesz posłużyć za podpałkę.

– Dziękuję, princepsie. Przynajmniej trochę uspokoi to moje sumienie.

– Przed wykonaniem tego wyroku zapytam jeszcze o jedno: jak daleko może dotrzeć to ostrzeżenie?

– Posterunek nasłuchowy 1379 jest małym obiektem, niedysponującym dużą mocą nadawczą. Maksymalny zasięg wysłanej stamtąd wiadomości może wynosić dwanaście milionów godzin świetlnych (około tysiąca dwustu lat świetlnych).

– To wystarczająco daleko. Masz jakieś sugestie na temat tego, co powinna teraz zrobić cywilizacja trisolariańska?

– Może wysłać na tamten świat starannie ułożoną wiadomość, która skusiłaby jego mieszkańców do odpowiedzi?

– Nie. To mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Ostrzeżenie jest przynajmniej bardzo krótkie. Możemy tylko mieć nadzieję, że je zignorują albo nie zrozumieją jego treści. Dobrze, możesz odejść.

Po wyjściu konsula princeps wezwał dowódcę trisolariańskiej floty.

– Ile potrwałoby zakończenie przygotowań do wysłania pierwszej fali szturmowej?

– Flota jest w ostatniej fazie budowy, ale potrzebujemy jeszcze co najmniej sześćdziesięciu tysięcy godzin, by statki były gotowe.

– Wkrótce przedstawię Zgromadzeniu Konsulów plan do zatwierdzenia. Po zakończeniu budowy flota powinna natychmiast wyruszyć w tamtym kierunku.

– Princepsie, przy częstotliwości, na której nadano tę wiadomość, nie można dokładnie ustalić nawet strony, gdzie znajduje się źródło transmisji. Flota może lecieć najwyżej z prędkością jednej setnej prędkości światła. Poza tym ma w rezerwie tylko tyle mocy, by wytracić prędkość zaledwie raz, wskutek czego nie może prowadzić poszukiwań na dużym obszarze. Jeśli odległość do celu nie będzie znana, flota wpadnie w końcu w otchłań kosmosu.

– Spójrz na trzy słońca koło nas. Zewnętrzna warstwa jednego z nich może w każdej chwili zacząć się rozszerzać i pochłonąć tę planetę. Nie mamy wyboru. Musimy podjąć tę grę.

33

Sofon

Osiemdziesiąt pięć tysięcy trisolariańskich godzin (około 8,6 ziemskiego roku) później

Princeps zwołał nadzwyczajne zebranie wszystkich konsulów. Było to bardzo niezwykłe. Musiało się wydarzyć coś ważnego.

Dwadzieścia tysięcy godzin wcześniej wyruszyła w kosmos trisolariańska flota. Jej dowództwo znało w przybliżeniu kierunek natarcia, ale nie odległość do celu. Mógł on się znajdować miliony lat świetlnych od Trisolaris, a nawet na drugim końcu galaktyki. Mając przed sobą bezkresne morze gwiazd, członkowie ekspedycji nie żywili wielkich nadziei, że uda im się go znaleźć.

Zebranie konsulów odbyło się pod monumentalnym wahadłem. (Gdy Wang Miao czytał o tym epizodzie, stanęła mu przed oczami jak żywa scena z sesji ONZ w grze *Trzy ciała*. W rzeczywistości wahadło było jednym z nielicznych obiektów, które naprawdę istniały na Trisolaris).

Fakt, że princeps wybrał na zebranie akurat to miejsce, wprawił wielu jego uczestników w zakłopotanie. Era chaosu jeszcze się nie skończyła. Nad horyzontem wzeszło właśnie małe słońce, które w każdej chwili mogło

zajść. Było zimno, więc wszyscy konsulowie mieli na sobie szczelnie zapięte, elektrycznie ogrzewane ubrania. Ogromne metalowe wahadło kołysało się majestatycznie w mroźnym powietrzu, rzucając na ziemię długi cień niczym wolno kroczący olbrzym, który sięgał głową nieba. Princeps wszedł pod czujnym okiem tłumu na podstawę monumentu i przesunął czerwoną dźwignię.

Odwrócił się do konsulów i powiedział:

– Właśnie odciąłem dopływ prądu do wahadła. Pod wpływem oporu powietrza wkrótce się zatrzyma.

– Ale dlaczego, princepsie? – zapytał jeden z konsulów.

– Wszyscy znamy historyczne znaczenie wahadła. Ma hipnotyzować Boga. Jednak dla naszej cywilizacji lepiej będzie obudzić Go teraz, bo wiemy, że mamy Jego błogosławieństwo.

Wszyscy milczeli, zastanawiając się nad znaczeniem słów princepsa. Po trzech ruchach wahadła ktoś zapytał:

– Czyżby Ziemia odpowiedziała?

Princeps kiwnął głową.

– Tak. Pół godziny temu otrzymałem wiadomość. Była to odpowiedź na wysłane na nią ostrzeżenie.

– Tak szybko! Od tamtej chwili minęło zaledwie osiemdziesiąt tysięcy godzin, a to znaczy… to znaczy…

– To znaczy, że znajduje się ona tylko czterdzieści tysięcy godzin świetlnych od nas.

– Czy to nie jest gwiazda, która leży najbliżej nas?

– Tak. Właśnie dlatego powiedziałem, że mamy Boże błogosławieństwo.

Zebranych ogarnęła ekstaza, ale ponieważ nie mogli wyrazić, co czują, tłum sprawiał wrażenie wulkanu, który może lada chwila wybuchnąć.

Princeps wiedział, że byłoby niebezpiecznie pozwolić na taki wybuch, wylał więc na zebranych kubeł zimnej wody.

– Wydałem już naszej flocie rozkaz, by skierowała się w stronę tej gwiazdy. Ale nie wygląda to wcale tak różowo, jak się wam wydaje. Z tego, co wiemy, flota leci na pewną śmierć.

Konsulowie ucichli.

– Czy ktoś rozumie, dlaczego doszedłem do takiego wniosku?

– Ja – odparł konsul do spraw nauki. – Wszyscy dokładnie przestudiowaliśmy pierwsze wiadomości z Ziemi. Najbardziej godna uwagi jest historia tej cywilizacji. Spójrzmy na fakty: przejście od gospodarki zbieracko-łowieckiej do rolniczej zajęło ludziom ponad sto tysięcy ziemskich lat. Przejście od gospodarki rolniczej do epoki przemysłowej kilka tysięcy lat. Ale z epoki przemysłowej do epoki atomu tylko dwieście. Potem, zaledwie po kilkudziesięciu latach, wkroczyli w epokę informacyjną. Ta cywilizacja posiada przerażającą zdolność przyspieszania swojego rozwoju! Takiej zdolności nie miała żadna z ponad dwustu cywilizacji trisolariańskich, włącznie z naszą. We wszystkich postęp naukowy i technologiczny dokonywał się w stałym albo malejącym tempie. Na naszym świecie przejście do każdej nowej epoki technologicznej wymaga mniej więcej tyle samo czasu.

– Jest faktem – podjął wątek princeps – że wobec tego stale zwiększającego się tempa za cztery miliony pięćset tysięcy godzin, kiedy nasza flota dotrze do Ziemi, poziom rozwoju tej cywilizacji znacznie przewyższy nasz! Flotę czeka długa i żmudna podróż, a przy tym musi ona przelecieć przez dwa pasy pyłu międzygwiezdnego. Najprawdopodobniej do Układu Słonecznego dotrze tylko połowa statków, a reszta przepadnie po drodze. A wtedy nasza flota stanie przed potężną ziemską cywilizacją całkowicie bezbronna. To nie jest wyprawa wojenna, lecz kondukt żałobny!

– Ale jeśli to prawda, princepsie – rzekł konsul do spraw wojskowych – to konsekwencje będą jeszcze bardziej przerażające…

– Tak. Łatwo można je sobie wyobrazić. Ujawnimy położenie Trisolaris. Ziemska flota międzygwiezdna przeprowadzi kontratak, by wyeliminować zagrożenie z naszej strony w przyszłości. Jest bardzo możliwe, że nasza cywilizacja zostanie zniszczona przez ludzi na długo przed pochłonięciem tej planety przez powiększone słońce.

Świetlana przyszłość nagle stała się ponura. Zebrani milczeli.

– Musimy zahamować postęp naukowy na Ziemi – oświadczył princeps. – Na szczęście zaczęliśmy opracowywać plany, gdy tylko dostaliśmy stamtąd pierwsze wiadomości. Teraz odkryliśmy sprzyjające warunki dla realizacji tych planów – odpowiedź, którą otrzymaliśmy, wysłał zdrajca ludzkości. Mamy zatem podstawy, by wierzyć, że w ziemskiej cywilizacji jest wiele takich wyobcowanych z niej sił, które musimy w pełni wykorzystać.

– To wcale nie jest takie łatwe, princepsie. Komunikacja z Ziemią jest bardzo powolna. Wymiana zdań trwa ponad osiemdziesiąt tysięcy godzin.

– Ale pamiętaj, że wiedza o istnieniu pozaziemskich cywilizacji wstrząśnie całym ziemskim społeczeństwem, tak jak nami wiedza o nich, i że wywrze na nie głęboki wpływ. Mamy powody, by przypuszczać, że siły wyobcowane z ziemskiej cywilizacji połączą się i rozwiną.

– Co mogą zrobić? Dokonać sabotażu?

– Skoro wiadomość stąd dociera tam dopiero po czterdziestu tysiącach godzin, tradycyjna taktyka militarna nie wchodzi w grę, bo po każdym ciosie zdążą się podnieść. Jest tylko jeden sposób na to, by skutecznie powstrzymać rozwój ziemskiej cywilizacji i rozbroić ją w tak długim okresie – unicestwić jej naukę.

– Nasz plan koncentruje się na podkreślaniu szkodliwych dla środowiska skutków rozwoju naukowego i na zademonstrowaniu ludności Ziemi nadprzyrodzonej mocy – oznajmił konsul do spraw nauki. – Oprócz akcentowania negatywnych konsekwencji postępu nauki postaramy się też wywołać serię „cudów", by stworzyć iluzoryczny Wszechświat, którego nie da się wyjaśnić zgodnie z naukową logiką. Jeśli te iluzje będą się utrzymywać przez dłuższy czas, trisolariańska cywilizacja może się tam stać przedmiotem kultu religijnego. Wtedy wśród ich intelektualistów myślenie nienaukowe zdominuje naukowe, co doprowadzi do upadku całej nauki.

– A jak będziemy dokonywać tych cudów?

– Kluczowe znaczenie dla uznania czegoś za cud ma to, by nie spostrzeżono, że jest to sztuczka. Może to wymagać przekazania tym wyobcowanym siłom na Ziemi pewnych technologii znacznie przewyższających obecne technologie stworzone przez ludzi.

– To zbyt ryzykowne! Wiadomo, kto ostatecznie uzyska kontrolę nad tymi technologiami? To igranie z ogniem.

– Oczywiście trzeba zbadać, jakie konkretne technologie trzeba by przekazać, by umożliwić im dokonywanie cudów…

– Zaczekaj chwilę, konsulu do spraw nauki – powiedział konsul do spraw wojskowych i wstał. – Princepsie, jestem zdania, że ten plan raczej nie powstrzyma rozwoju ziemskiej nauki.

– Lepsze to niż nic – zaprotestował konsul do spraw nauki.

– Niewiele – stwierdził pogardliwie konsul do spraw wojskowych.

– Zgadzam się z twoim zdaniem – rzekł princeps. – Ten plan tylko w niewielkim stopniu przeszkodzi ludziom w rozwoju nauki. Musimy wykonać decydujące posunięcie, które całkowicie ją zdusi i zatrzyma na obecnym poziomie. Skupmy się na najważniejszej kwestii. Cały postęp

technologiczny zależy od rozwoju nauk podstawowych, które zajmują się badaniem głębokiej struktury materii. Jeśli nie będzie postępu w tej dziedzinie, nie dojdzie do żadnego wielkiego przełomu w pozostałych naukach ani w technologii. Oczywiście nie jest to specyficzne dla cywilizacji ziemskiej. Dotyczy to wszystkich innych, które zamierzamy podbić. Rozpoczęliśmy prace nad tym, zanim jeszcze otrzymaliśmy wiadomość od pierwszej cywilizacji pozatrisolariańskiej, ale ostatnio je przyspieszyliśmy. Spójrzcie wszyscy w górę. Co to jest? – Princeps wskazał na niebo.

Konsulowie podnieśli głowy. Zobaczyli tam metalicznie błyszczący w świetle słońca krąg.

– To dok do budowy drugiej floty kosmicznej?

– Nie. To duży akcelerator cząstek, jeszcze w budowie.

– Zrezygnowaliśmy z planu budowy drugiej floty kosmicznej. Wszystkie środki przeznaczyliśmy na projekt Sofon.

– Na projekt Sofon?

– Tak. Nie wie o tym ponad połowa zebranych tutaj. Proszę teraz konsula do spraw nauki, by ich w to wprowadził.

– Wiedziałem o tym planie, ale nie sądziłem, że prace nad jego realizacją posunęły się już tak daleko – powiedział konsul do spraw przemysłu.

– Ja też wiedziałem o tym planie, ale myślałem, że to bajka – dodał konsul do spraw kultury i edukacji.

– Ujmując to prosto, celem projektu Sofon jest przekształcenie protonu w superinteligentny komputer[1].

– To fantazja naukowa, o której słyszała większość z nas – rzekł konsul do spraw rolnictwa – ale czy to wykonalne? Wiem, że fizycy potrafią już manipulować dziewięcioma z jedenastu wymiarów w mikroświecie, ale nie

jestem w stanie wyobrazić sobie, jak mogą wsunąć do wnętrza protonu miniaturowe szczypce, by zbudować tam obwody scalone w dużej skali.

– To jest oczywiście niemożliwe. Scalone mikroobwody można wyżłobić tylko w skali makro i to na dwuwymiarowej płaszczyźnie. Tak więc musimy rozwinąć proton w dwóch wymiarach.

– Rozwinąć dziewięciowymiarową strukturę w dwóch wymiarach? Jak dużą miałaby powierzchnię?

– Bardzo dużą, jak się przekonasz – rzekł z uśmiechem konsul do spraw nauki.

Czas płynął i minęło kolejnych sześćdziesiąt tysięcy godzin trisolariańskich. Dwadzieścia tysięcy godzin po zakończeniu budowy ogromnego akceleratora cząstek w przestrzeni kosmicznej nad planetą miało się zacząć na orbicie synchronicznej wokół Trisolaris dwuwymiarowe rozwijanie protonu.

Był piękny dzień ery stabilności. Niebo było wyjątkowo czyste. Podobnie jak w owym dniu przed osiemdziesięcioma tysiącami godzin trisolariańskich, kiedy wyruszyła flota na podbój Ziemi, patrzyła w nie cała ludność planety, skupiając wzrok na gigantycznym pierścieniu. Pod wahadłem ponownie stanął princeps ze wszystkimi konsulami. Wahadło już od dawna się nie kołysało i jego serce wisiało niczym głaz między wysokimi filarami.

Konsul do spraw nauki wydał rozkaz rozwinięcia protonu. Wokół pierścienia unosiły się trzy sześciany – generatory termojądrowe, które zasilały akcelerator. Ich podobne do skrzydeł radiatory stopniowo się rozżarzyły mdłym czerwonym światłem. Tłum patrzył z oczekiwaniem na akcelerator, ale wydawało się, że nic się tam nie dzieje.

Jedną dziesiątą godziny trisolariańskiej później konsul do spraw nauki przyłożył słuchawkę do ucha i z uwagą nasłuchiwał. Potem powiedział:

– Princepsie, niestety rozwijanie się nie powiodło. Zredukowaliśmy o jeden wymiar za dużo i proton stał się jednowymiarowy.

– Jednowymiarowy? Stał się linią?

– Tak. Nieskończenie cienką. Teoretycznie powinna mieć długość około tysiąca pięciuset godzin świetlnych.

– Wydaliśmy środki przeznaczone na budowę drugiej floty kosmicznej, żeby otrzymać taki wynik? – powiedział konsul do spraw wojskowych.

– Przy dokonywaniu eksperymentów naukowych trzeba się liczyć z możliwością pomyłek. Przecież to pierwsza próba rozwinięcia protonu.

Rozczarowany tłum się rozszedł, ale nie był to koniec eksperymentu. Początkowo myślano, że jednowymiarowy proton pozostanie na zawsze na synchronicznej orbicie wokół Trisolaris, ale wskutek tarcia spowodowanego przez wiatr słoneczny kawałki tej nici zaczęły spadać do atmosfery. Sześć trisolariańskich godzin później wszyscy zauważyli w powietrzu dziwne błyski, zapalające się i gasnące pajęcze nitki. Mieszkańcy planety wkrótce dowiedzieli się z wiadomości, że były to opadające na ziemię pod wpływem grawitacji szczątki jednowymiarowego protonu. Mimo że nić była nieskończenie cienka, wytwarzała pole, które odbijało światło widzialne. Po raz pierwszy zobaczono materię, która nie składała się z atomów – jedwabiste nitki były małymi kawałkami protonu.

– Te nici są takie denerwujące. – Princeps co i rusz tarł ręką twarz. Stał z konsulem do spraw nauki na szerokich schodach prowadzących do Centrum Rządowego. – Cały czas czuję swędzenie.

– To odczucie czysto psychologiczne. Wszystkie te nici razem wzięte mają masę jednego protonu, niemożliwe więc, by wywierały jakikolwiek

wpływ na świat makroskopowy. Nie mogą nikomu wyrządzić krzywdy. Zupełnie jakby nie istniały.

Ale z nieba spadało coraz więcej nitek i robiło się od nich coraz gęściej. Bliżej ziemi powietrze było pełne drobnych iskierek. Słońce i gwiazdy wydawały się otoczone srebrzystymi aureolami. Nitki przywierały do wszystkich, którzy wychodzili na zewnątrz, i ciągnęły się za nimi niczym roje świetlików. Kiedy Trisolarianie wracali do domów, linie te migotały w świetle lamp. Gdy tylko ktoś się poruszył, promienie odbijające się od nitek rysowały różne wzory w prądach powietrznych, które przeciął. Mimo że jednowymiarową nić widać było tylko w świetle i nie można było poczuć jej dotyku, irytowała mieszkańców planety.

Zalew jednowymiarowych nici trwał przez ponad dwadzieścia trisolariańskich godzin. Wreszcie ustał, ale bynajmniej nie dlatego, że wszystkie nici opadły na ziemię. Miały masę, chociaż niewyobrażalnie małą, więc w polu grawitacji osiągały takie same przyspieszenie jak normalna materia. Gdy jednak znalazły się w atmosferze, dostawały się w prądy powietrzne, które nie pozwalały im osiąść na ziemi. To, że po rozwinięciu protonu w jednym wymiarze bardzo zmniejszyła się siła jądrowa wewnątrz protonu, osłabiło nić, która stopniowo rozpadła się na tak malutkie kawałki, że odbijane przez nie światło stało się niewidzialne. Trisolarianie myśleli, że nitki zniknęły, ale ich kawałki będą już zawsze unosić się w powietrzu nad ich planetą.

Pięćdziesiąt trisolariańskich godzin później podjęto drugą próbę rozwinięcia protonu w dwóch wymiarach. Tuż po jej rozpoczęciu tłum zgromadzony na ziemi zobaczył coś dziwnego. Gdy radiatory generatorów termojądrowych rozżarzyły się do czerwoności, koło akceleratora pojawiło

się kilkanaście olbrzymich obiektów. Wszystkie miały postać regularnych brył geometrycznych: kul, czworościanów, sześcianów, stożków i tak dalej. Ich powierzchnie miały różne zabarwienie, ale po bliższym przyjrzeniu się widać było, że w istocie rzeczy są bezbarwne, tyle że mają doskonałe właściwości odbijające, i tym, co widzieli zgromadzeni na dole, były obrazy powierzchni ich planety.

– Udało się? – spytał princeps. – Czy to proton rozwinięty w dwóch wymiarach?

– Niestety, princepsie, znowu niepowodzenie – odparł konsul do spraw nauki. – Właśnie otrzymałem raport z centrum kontroli akceleratora. Zostawiono o jeden wymiar za dużo i rozwinięto proton w przestrzeni trójwymiarowej.

Wciąż pojawiały się w dużych ilościach ogromne bryły geometryczne, a ich formy stawały się coraz bardziej różnorodne. Były wśród nich torusy, krzyże, a nawet coś, co wyglądało jak wstęga Möbiusa. Wszystkie te bryły odpływały od akceleratora. Około pół godziny później pokrywały już ponad połowę nieba, jakby gigantyczne dziecko rozsypało klocki na firmamencie. Światło odbijające się od ich powierzchni było dwa razy jaśniejsze od światła padającego na ziemię, ale jego intensywność stale się zmieniała. Cień wielkiego wahadła to pojawiał się, to znikał i kołysał się z boku na bok.

Potem wszystkie te bryły zaczęły ulegać deformacji i stopniowo tracić regularne kształty, jakby topniały pod wpływem gorąca. Deformacja przyspieszała, a bryły były coraz bardziej złożone. Obiekty na niebie nie przypominały już dziecięcych klocków, ale rozczłonkowane ciało olbrzyma i wywleczone z niego wnętrzności. Ponieważ ich kształty nie były już regularne, odbijane przez nie światło stało się łagodniejsze, natomiast zabarwienie jeszcze bardziej niesamowite i nieprzewidywalne.

Uwagę widzów na ziemi przyciągały zwłaszcza trzy z tej bezładnej masy trójwymiarowych obiektów. Z początku dlatego, że były do siebie bardzo podobne, ale potem mieszkańcy Trisolaris rozpoznali je i owładnęło nimi przerażenie.

To były oczy! (Wprawdzie nie wiemy, jak wyglądają oczy Trisolarian, ale jesteśmy pewni, że każda inteligentna istota reagowałaby bardzo silnie na przedstawienie oczu).

Jednym z nielicznych, którzy zachowali spokój, był princeps.

– Jak złożona może być budowa cząstki elementarnej? – zapytał konsula do spraw nauki.

– To zależy od tego, ile wymiarów bierzemy pod uwagę. Jeśli jeden, jest ona tylko punktem – tak właśnie zwykli Trisolarianie wyobrażają sobie cząstki. Wewnętrzna budowa cząstki zaczyna się ukazywać, kiedy oglądamy ją w dwóch albo w trzech wymiarach. Widziana w czterech wymiarach cząstka elementarna jest ogromnym światem.

– Użycie słowa „ogromny” dla opisu takiej cząstki elementarnej jak proton wydaje mi się niewłaściwe.

Konsul puścił mimo uszu uwagę princepsa i ciągnął:

– Kiedy przechodzimy do większej liczby wymiarów, złożoność i liczba struktur w cząstce radykalnie wzrasta. Porównania, które zaraz przeprowadzę, nie będą dokładne, ale powinny dać ci pewne pojęcie o ich skali. Cząstka widziana w siedmiu wymiarach dorównuje złożonością naszemu układowi gwiezdnemu oglądanemu w trzech wymiarach, w ośmiu jest ogromna jak Droga Mleczna. W dziewięciu jej wewnętrzne struktury i złożoność są równe całemu Wszechświatowi. Jeśli chodzi o jeszcze większą liczbę wymiarów, naszym fizykom nie udało się dotąd tego zbadać, więc na razie nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie stopnia jej złożoności.

Princeps wskazał ogromne oczy nad planetą.

– Czy to świadczy, że w mikrokosmosie zamkniętym w nierozwiniętym protonie kryje się inteligentna forma życia?

– Nasza definicja „życia” prawdopodobnie nie przystaje do wielowymiarowego mikrokosmosu. Możemy jedynie powiedzieć, że Wszechświat zawiera w sobie inteligencję czy mądrość. Uczeni od dawna zakładają taką możliwość. Byłoby dziwne, gdyby tak złożony i ogromny świat nie wykształcił czegoś podobnego do inteligencji.

– Dlaczego te bryły zmieniły się w patrzące na nas oczy?

Princeps spojrzał na piękne, na pozór prawdziwe oczy w przestrzeni kosmicznej, dziwnie przyglądające się planecie.

– Może chcą tylko zademonstrować swoją obecność.

– Mogą tu spaść?

– Absolutnie nie. Możesz być spokojny, princepsie. Zresztą nawet gdyby spadły, masa wszystkich tych ogromnych struktur razem wziętych równa jest tylko masie jednego protonu i – podobnie jak ta jednowymiarowa linia poprzednim razem – w żaden sposób nie wpłynie na nasz świat. Musimy się po prostu przyzwyczaić do tego dziwnego widoku.

Tym razem jednak konsul się mylił.

Tłum zauważył, że oczy poruszają się szybciej niż pozostałe bryły geometryczne na niebie i zbierają w jednym miejscu. Wkrótce spotkało się i połączyło w całość dwoje oczu. Dołączało do nich coraz więcej pozostałych. W końcu wszystkie stopiły się w jedno, tak duże, że zdawało się przedstawiać spojrzenie Wszechświata na Trisolaris. Jego tęczówka była jasna i czysta, a w środku znajdował się obraz słońca. Mieniło się wszystkimi kolorami tęczy. Wkrótce te barwy zblakły i stopniowo zniknęły, i oko pokryło się bielmem. Potem zaczęło się deformować, aż straciło kształt oka i stało się idealnym kołem. Gdy zaczęło się kręcić, Trisolarianie

zdali sobie sprawę, że nie jest płaskie, lecz wypukłe, jak odcięty kawałek kuli.

Konsul do spraw wojskowych, który przyglądał się powoli wirującemu ogromnemu obiektowi na niebie, zrozumiał nagle, co się dzieje, i krzyknął:

– Princepsie i wy wszyscy, zejdźcie szybko do podziemnego schronu! – Wskazał w górę. – To jest…

– Paraboliczne lustro – dokończył spokojnie princeps. – Wyślij siły obrony kosmicznej, by je zniszczyły. Zostaniemy tutaj.

Paraboliczne lustro skupiało promienie słońca i kierowało je na powierzchnię Trisolaris. Początkowo plama światła była bardzo duża i temperatura w miejscu, gdzie padało, była znośna. Światło przesuwało się po ziemi, szukając celu. Lustro najwyraźniej odkryło Stolicę, największe miasto na Trisolaris, i plama światła zaczęła się do niej zbliżać. Wkrótce promienie padły na miasto.

Osoby stojące pod wahadłem zobaczyły tylko wielki blask na niebie, który usunął wszystko w cień. Towarzyszyła mu fala straszliwego żaru. Świetlna plama nad miastem skurczyła się, gdy paraboliczne lustro zaczęło bardziej skupiać promienie słoneczne. Jego blask stał się tak silny, że nikt nie mógł na nie patrzeć, a w miejscu, gdzie zatrzymała się plama odbijającego się od niego światła, gwałtownie wzrosła temperatura. Kiedy żar stał się nie do zniesienia, skraj plamy przesunął się obok wahadła i wszystko wokół pociemniało. Minęła chwila, nim wzrok tłumu ponownie przystosował się do normalnego światła.

Gdy zebrani podnieśli głowy, ich wzrok przyciągnął świetlisty słup w kształcie odwróconego stożka, sięgający od nieba do ziemi. Jego podstawę tworzyło lustro w przestrzeni kosmicznej, a czubek wbijał się w centrum Stolicy, zamieniając wszystko, co tam było, w zgliszcza. W górę zaczęły się wzbijać obłoki dymu, a trąby powietrzne, które powstały

wskutek różnicy temperatur, uniosły do nieba tumany kurzu, wirując i tańcząc wokół świetlnego stożka…

W różnych częściach lustra pojawiły się ogniste niebieskie kule, które różniły się kolorem od odbijającego się od niego światła. Były to wybuchy głowic jądrowych wystrzelonych przez korpus obrony kosmicznej. Działo się to poza atmosferą, więc na powierzchnię nie docierały odgłosy tych eksplozji. W lustrze powstały duże dziury, a potem cała jego powierzchnia zaczęła pękać i wreszcie rozpadła się na dziesiątki kawałków.

Śmiercionośny stożek zniknął i jasność światła na Trisolaris powróciła do normalnego poziomu. Przez chwilę wszystkim wydawało się, że jest ciemno jak podczas księżycowej nocy. Pozbawione już inteligencji kawałki lustra nadal się odkształcały i wkrótce nie można ich było odróżnić od innych brył geometrycznych w przestrzeni.

– Co się stanie podczas następnego eksperymentu? – zwrócił się princeps z drwiącą miną do konsula do spraw nauki. – Rozwiniecie proton w czterech wymiarach?

– Nawet gdyby tak się stało, princepsie, to nie ma powodów do obaw. Proton rozwinięty w czterech wymiarach będzie dużo mniejszy. Jeśli korpus obrony kosmicznej będzie gotowy do ataku na jego czterowymiarową projekcję, może go tak samo zniszczyć jak ten.

– Oszukujesz princepsa! – rzekł rozwścieczony konsul do spraw wojskowych. – Nie wspomniałeś o rzeczywistym zagrożeniu. A jeśli proton zostanie rozwinięty w wymiarze zerowym?

– W zerowym? – Princeps był wyraźnie zaciekawiony. – Czy nie byłby to punkt niemający żadnych wymiarów?

– Tak, osobliwość! W porównaniu z nim nawet proton byłby nieskończenie duży. W tej osobliwości zawierałaby się cała masa protonu,

a jej gęstość byłaby nieskończona. Jestem pewien, princepsie, że wyobrażasz sobie, co by to było.

– Czarna dziura?

– Princepsie, pozwól, że wyjaśnię – wtrącił się konsul do spraw nauki. – Wybraliśmy do rozwinięcia w dwóch wymiarach proton zamiast neutronu właśnie dlatego, by uniknąć takiego ryzyka. Gdybyśmy rzeczywiście rozwinęli proton w wymiarze zerowym, jego ładunek zostałby przeniesiony do nierozwiniętej czarnej dziury. Moglibyśmy ją pochwycić i zapanować nad nią za pomocą pola elektromagnetycznego.

– A jeśli nie uda wam się jej znaleźć albo zapanować nad nią? – zapytał konsul do spraw wojskowych. – Wtedy wyląduje na ziemi, wchłonie wszystko, co napotka, i zwiększy swoją masę. Potem przeniknie do jądra planety i w końcu wchłonie całą Trisolaris.

– Gwarantuję, że nigdy do tego nie dojdzie! Dlaczego zawsze wszystko mi utrudniasz? Jak powiedziałem, to eksperyment naukowy…

– Dość! – rzekł princeps. – Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że następnym razem się uda?

– Prawie stuprocentowe! Princepsie, uwierz mi, proszę. Dzięki tym dwóm niepowodzeniom opanowaliśmy już zasady rządzące rozwijaniem cząstek elementarnych atomu w makroprzestrzeni o małej liczbie wymiarów.

– Dobrze. Musimy podjąć to ryzyko, by zapewnić cywilizacji trisolariańskiej przetrwanie.

– Dziękuję!

– Ale jeśli znowu nas zawiedziecie, ty i wszyscy naukowcy pracujący nad projektem Sofon zostaniecie uznani za winnych.

– Tak, oczywiście, wszyscy będziemy winni.

Gdyby Trisolarianie się pocili, konsul do spraw nauki byłby zlany zimnym potem.

Usunięcie trójwymiarowych szczątków rozwiniętego protonu z orbity synchronicznej było dużo łatwiejsze niż usunięcie pozostałości jednowymiarowej nici. Małym statkom kosmicznym udało się odciągnąć materię protonu od Trisolaris i zapobiec przedostaniu się jej do atmosfery. Obiekty te, niektóre wielkie jak góry, nie miały prawie żadnej masy. Były niczym ogromne, srebrzyste bańki mydlane, które bez trudu przesunęłoby nawet małe dziecko.

Po tej operacji princeps zapytał konsula do spraw nauki:

– Czy w wyniku tego eksperymentu zniszczyliśmy jakąś cywilizację w mikrokosmosie?

– W każdym razie był to byt obdarzony inteligencją. Poza tym, princepsie, zniszczyliśmy cały ten mikrokosmos. W większej liczbie wymiarów ten miniaturowy wszechświat jest ogromny i prawdopodobnie istniała w nim więcej niż jedna forma inteligencji czy cywilizacji, oprócz tych, które nie mogły wyrazić się w makroprzestrzeni. Oczywiście w wielowymiarowej przestrzeni w takiej mikroskali ta inteligencja czy cywilizacja może przybrać formę przekraczającą naszą wyobraźnię. To coś zupełnie odmiennego od tego, do czego przywykliśmy. I prawdopodobnie już wcześniej była wielokrotnie niszczona.

– Tak?

– Ile protonów rozszczepili fizycy w akceleratorach w długiej historii postępu naukowego? Ile neutronów i elektronów? Pewnie nie mniej niż sto milionów. Każde ich zderzenie było prawdopodobnie końcem cywilizacji i inteligencji w mikrokosmosie. W istocie rzeczy w każdej sekundzie musi dochodzić do zniszczenia jakichś wszechświatów. Weźmy na przykład rozpad neutronów. Promieniowanie kosmiczne przenikające do atmosfery

może zniszczyć tysiące takich miniaturowych wszechświatów… Chyba nie bolejesz nad tym?

– Zdumiewasz mnie. Muszę natychmiast powiadomić konsula do spraw propagandy i polecić mu, by co jakiś czas przedstawiał ten fakt naukowy całemu światu. Mieszkańcy Trisolaris muszą zrozumieć, że niszczenie cywilizacji jest powszechnym zjawiskiem i że dochodzi do tego w każdej sekundzie.

– Po co? Chcesz ich skłonić do tego, by ze spokojem podchodzili do możliwości zniszczenia naszej cywilizacji?

– Nie. Chcę, by ze spokojem podchodzili do zagłady ziemskiej cywilizacji. Bardzo dobrze wiesz, że po ogłoszeniu naszej polityki wobec Ziemian zrodziła się fala bardzo groźnego pacyfizmu. Dopiero co odkryliśmy, że takich osób jak słuchacz z posterunku 1379 jest więcej. Musimy mieć kontrolę nad takimi sentymentalistami i eliminować ich.

– To przede wszystkim skutek ostatnich wiadomości otrzymanych z Ziemi. Twoje przewidywania się spełniły – ruch osób wyalienowanych na Ziemi rzeczywiście rośnie w siłę. Zbudowali nowy ośrodek transmisyjny, nad którym mają pełną kontrolę, i zaczęli przesyłać nam mnóstwo informacji o swojej cywilizacji. Muszę przyznać, że cieszy się ona dużym uznaniem na Trisolaris. W uszach naszych rodaków brzmi to jak niebiańska muzyka. Ziemski humanizm może sprowadzić wielu z nich na złą drogę. Trisolariańska cywilizacja stała się już obiektem kultu na Ziemi. To samo może się stać z ziemską cywilizacją na Trisolaris.

– Wskazałeś na wielkie zagrożenie. Musimy ściśle kontrolować przepływ informacji, zwłaszcza kulturalnych, z Ziemi do ogółu społeczeństwa.

Trzydzieści trisolariańskich godzin później zaczęła się trzecia próba rozwinięcia protonu w dwóch wymiarach. Tym razem przystąpiono do niej w nocy. Z ziemi nie można było dostrzec pierścienia akceleratora. Jego położenie pokazywał tylko czerwony blask radiatorów reaktorów termojądrowych. Krótko po uruchomieniu akceleratora konsul do spraw nauki ogłosił sukces.

Ludność Trisolaris patrzyła w niebo. Początkowo nie było na nim nic widać, wkrótce jednak pojawił się cudowny widok. Niebo podzieliło się na dwie części. Układ gwiazd na jednej z nich nie pasował do układu na drugiej, jakby położono jedno zdjęcie na drugim, przy czym mniejsze nakładało się na większe. Na granicy między nimi załamywała się Droga Mleczna. Mniejsza część usianego gwiazdami firmamentu była okrągła i szybko rozszerzała się na normalne nocne niebo.

– Ta konstelacja jest widoczna z półkuli południowej! – powiedział konsul do spraw kultury i edukacji, wskazując na rozrastający się okrągły fragment nieba.

Gdy mieszkańcy Trisolaris wytężali wyobraźnię, by pojąć, w jaki sposób gwiazdy, które można było zobaczyć tylko z półkuli południowej, nałożono na widok z półkuli północnej, stało się coś jeszcze bardziej zdumiewającego: na skraju rozszerzającego się fragmentu nieba znad półkuli południowej pojawiła się część ogromnego globu. Miał on brązowawe zabarwienie i wyłaniał się pasek po pasku, jak na ekranie z bardzo wolnym tempem odświeżania. Wszyscy znali ten glob – widać na nim było wyraźne zarysy kontynentów. Zanim ukazał się w całej okazałości, zajmował już jedną trzecią nieba. Można było dostrzec więcej szczegółów: zmarszczki łańcuchów górskich pokrywające brązowawe kontynenty, chmury rozproszone nad nimi niczym płaty śniegu…

– To nasza planeta! – wyrwało się komuś.

Istotnie nad głowami tłumu pojawiła się druga Trisolaris. Potem niebo pojaśniało. W poszerzającym się kręgu nocnego nieba widzianego z półkuli południowej obok drugiej Trisolaris ukazało się drugie słońce. Było to ewidentnie to samo słońce, które teraz świeciło nad tamtą półkulą, ale wydawało się o połowę mniejsze.

– To lustro – domyślił się ktoś w końcu.

Ogromne lustro, które pojawiło się nad Trisolaris, było protonem rozwiniętym w dwóch wymiarach, płaszczyzną geometryczną bez głębi.

Gdy zakończono eksperyment, całe niebo zakryło odbicie nocnego nieba nad półkulą południową. Nakładały się na nie odbicia Trisolaris i słońca. A potem niebo tuż nad horyzontem zaczęło się deformować, a odbicia gwiazd rozciągały się i skręcały, jakby topniały. Odkształcanie postępowało od brzegów lustra do jego środka.

– Princepsie, protonowa płaszczyzna zagina się pod wpływem siły przyciągania naszej planety – oznajmił konsul do spraw nauki. Wskazał liczne kręgi światła na rozgwieżdżonym niebie. Wyglądało to tak, jakby po półkolistym sklepieniu przesuwały się snopy świateł latarek. – To promienie elektromagnetyczne wysyłane z ziemi w celu ustawienia krzywizny poddanej sile grawitacji płaszczyzny. Naszym celem jest całkowite owinięcie nią Trisolaris. Potem promienie te będą podtrzymywać ją niczym szprychy. Dzięki temu nasza planeta stanie się stołem laboratoryjnym, na którym będziemy mogli przystąpić do żłobienia obwodów elektronicznych na powierzchni protonowej płaszczyzny.

Owijanie Trisolaris dwuwymiarową protonową powłoką zajęło dużo czasu. Zanim deformacja odbicia doszła do obrazu planety w zenicie, zniknęły wszystkie gwiazdy, ponieważ protonowa płaszczyzna, zakrzywiona po jej drugiej stronie, zupełnie je zasłoniła. Pod tę powłokę nadal przenikało trochę światła, w którym widać było zmieniony nie do

poznania w tym gabinecie krzywych luster obraz Trisolaris. Jednak w końcu, kiedy odcięto dostęp ostatnim promieniom słońca, wszystko pogrążyło się w najciemniejszej nocy w całych dziejach Trisolaris. Gdy grawitacja i promienie elektromagnetyczne zrównoważyły wzajemnie swoją siłę, protonowa płaszczyzna utworzyła wokół planety gigantyczną powłokę.

Zrobiło się strasznie zimno. Powłoka odbijała całe światło słoneczne. Temperatura spadła do takiego poziomu jak podczas pojawienia się trzech latających gwiazd, które zniszczyły wiele wcześniejszych cykli cywilizacji. Większość mieszkańców planety została odwodniona i złożona w przechowalniach. Na dużej części pogrążonej w ciemnościach powierzchni zaległa grobowa cisza. Na niebie migotały tylko słabe światełka w miejscach, gdzie promienie podtrzymywały protonową membranę. Od czasu do czasu można było zobaczyć nieliczne inne światełka na orbicie synchronicznej – to statki kosmiczne ryły na membranie układy scalone.

Jako że materiałem nie była materia składająca się z atomów, lecz materia jednego protonu, prawa rządzące układami scalonymi w mikroskali były zupełnie inne od tych, do których trzeba się było stosować przy produkcji układów konwencjonalnych. Złącza p-n tych układów tworzono, lokalnie skręcając silne oddziaływania jądrowe na powierzchni protonowej płaszczyzny, a linie przewodzące zrobione były z mezonów, które przenosiły te oddziaływania. Ponieważ płaszczyzna ta (w formie rozwiniętej w przestrzeni makro) była bardzo duża, duże były też obwody. Ich linie miały grubość włosa, można więc było zobaczyć je gołym okiem. Podczas lotu blisko protonowej membrany widziało się rozległą płaszczyznę składającą się ze złożonych układów scalonych. Całkowita ich

powierzchnia była dziesięć razy większa od powierzchni kontynentów na Trisolaris.

Rycie układów było ogromnym wyczynem inżynieryjnym. Wykonanie tego dzieła zajęło statkom kosmicznym ponad piętnaście tysięcy trisolariańskich godzin. Następnych piętnaście tysięcy godzin trwało usuwanie błędów w oprogramowaniu, w końcu jednak nadeszła chwila pierwszej próby sofonu.

Wielki ekran w ukrytym głęboko pod ziemią Centrum Kontroli Sofonu pokazywał postęp długiego autotestu. Potem przystąpiono do ładowania systemu operacyjnego. Wreszcie na pustym niebieskim ekranie ukazał się napis: „Mikrointeligencja 2.1 załadowana. Sofon Jeden gotowy do wykonywania poleceń”.

– Narodził się sofon – powiedział konsul do spraw nauki. – Obdarzyliśmy proton mądrością. To najmniejsza forma sztucznej inteligencji, jaką możemy stworzyć.

– Ale teraz wygląda na największą – zauważył princeps.

– Jeśli zwiększymy liczbę wymiarów tego protonu, stanie się bardzo mała.

Konsul do spraw nauki wprowadził do terminala pytanie:

>Sofon Jeden, czy sterowniki wymiarów są gotowe?
Tak. Sofon Jeden może w każdej chwili rozpocząć regulację wymiarów.
>Zwiększ liczbę wymiarów do trzech.

Po wydaniu tego polecenia dwuwymiarowa membrana, która spowijała Trisolaris, zaczęła się szybko kurczyć, jakby gigantyczna ręka odsunęła zasłonę ze świata. Po chwili ziemię zalało światło słońca. Proton zwinął się z dwóch wymiarów do trzech i stał się olbrzymią kulą, mniej więcej wielkości księżyca, na orbicie synchronicznej. Sofon znajdował się po

ciemnej stronie planety, ale światło odbijające się od jego lustrzanej powierzchni zmieniło noc w dzień. Powierzchnia Trisolaris była nadal zimna, więc tłum w Centrum Kontroli mógł obserwować te zmiany tylko na ekranie.

Zadanie wykonane. Sofon Jeden czeka na dalsze polecenia.

>Zwiększ liczbę wymiarów do czterech.

Gargantuiczna kula w przestrzeni skurczyła się do wielkości latającej gwiazdy. Po tej stronie planety znowu zapadła noc.

– Kula, którą teraz widzimy, nie jest całym sofonem, princepsie. To tylko jego rzut w przestrzeni trójwymiarowej. W rzeczywistości jest on gigantem w przestrzeni czterowymiarowej, a nasz świat jest przy nim jak cienka trójwymiarowa kartka papieru. Gigant stoi na niej i to, co widzimy, jest tylko śladem jego stopy na papierze.

Zadanie wykonane. Sofon Jeden czeka na dalsze polecenia.

>Zwiększ liczbę wymiarów do sześciu.

– Jak duży jest sześciowymiarowy proton? – zapytał princeps.

– Ma promień wielkości około pięćdziesięciu jednostek – odparł konsul do spraw nauki.

Zadanie wykonane. Sofon Jeden czeka na dalsze polecenia.

>Sofon Jeden, widzisz nas?

Tak. Widzę Centrum Kontroli, wszystkich w środku i narządy w środku każdego z was, a nawet narządy w waszych narządach.

– Co on mówi? – Princeps był oszołomiony.

– Kiedy sofon obserwuje trójwymiarową przestrzeń z przestrzeni sześciowymiarowej, jest to tak, jakbyśmy patrzyli na obrazek w przestrzeni dwuwymiarowej. Oczywiście widzi nasze wnętrza.

>Sofon Jeden, wejdź do Centrum Kontroli.

– Może przejść przez ziemię? – zapytał princeps.

– Nie przechodzi przez nią w sensie dosłownym. Raczej wchodzi tu z przestrzeni wielowymiarowej. Może wejść do każdego zamkniętego pomieszczenia na naszym świecie. To też podobne jest do relacji między nami, istotami trójwymiarowymi, i dwuwymiarową płaszczyzną. Możemy z łatwością wejść do każdego narysowanego na ziemi koła, podnosząc nogi, natomiast żadna istota dwuwymiarowa nie mogłaby tego zrobić bez przerywania tego koła.

Akurat w chwili, gdy konsul do spraw nauki skończył mówić, w środku Centrum Kontroli pojawiła się unosząca się w powietrzu kula o lustrzanej powierzchni. Princeps podszedł do niej i przyjrzał się swemu zniekształconemu odbiciu.

– To jest proton? – zapytał zdumiony.

– To tylko sześciowymiarowe ciało protonu rzutowane w przestrzeń trójwymiarową.

Princeps wyciągnął rękę. Gdy zobaczył, że nie sprzeciwia się temu konsul do spraw nauki, dotknął protonu. To bardzo lekkie dotknięcie odepchnęło kulę na znaczną odległość.

– Jest bardzo gładka. Chociaż ma masę tylko jednego protonu, czułem pewien opór – powiedział zaskoczony princeps.

– To opór powietrza.

– Możesz zwiększyć liczbę jego wymiarów do jedenastu i sprawić, by stał się tak mały jak normalny proton?

Zaledwie princeps to powiedział. Konsul do spraw nauki krzyknął do sofonu głosem zabarwionym trwogą:

– Uwaga! To nie jest polecenie!

Sofon Jeden rozumie.

– Princepsie, jeśli zwiększymy liczbę jego wymiarów do jedenastu, stracimy go na zawsze. Gdy sofon skurczy się do wielkości normalnej cząstki elementarnej, jego czujniki wewnętrzne i porty wejścia–wyjścia staną się mniejsze od długości fali promieniowania elektromagnetycznego. Znaczy to, że nie będzie mógł rozpoznawać makroświata i odbierać naszych poleceń.

– Ale w końcu musimy go zmniejszyć do wielkości cząstki elementarnej.

– Tak, ale musimy poczekać na skonstruowanie Sofonu Dwa, Sofonu Trzy i Sofonu Cztery. Być może wiele sofonów będzie mogło utworzyć system rozpoznawania makroświata poprzez oddziaływania kwantowe. Załóżmy na przykład, że jądro ma dwa protony. Oba będą na siebie oddziaływały i wykonywały pewne określone ruchy. Weźmy spin – może kierunek spinu jednego z nich będzie musiał być przeciwny niż ruchu drugiego. Jeśli te dwa protony wydobędzie się z jądra, ich ruchy pozostaną takie same bez względu na to, jak bardzo będą od siebie oddalone. Kiedy z tych protonów zrobi się sofony, stworzą w oparciu o te oddziaływania system wzajemnego rozpoznawania. Układ ten można dostosować do dowolnej wielkości, dzięki czemu może on odbierać fale elektromagnetyczne o dowolnej częstotliwości i w ten sposób rozpoznawać makroświat. Oczywiście oddziaływania kwantowe niezbędne dla

stworzenia takiego układu sofonów są bardzo skomplikowane. To jest wyjaśnienie przez analogię.

Następne trzy protony udało się rozwinąć w dwóch wymiarach przy pierwszej próbie. Konstruowanie każdego z tych sofonów trwało o połowę krócej niż pierwszego. Po uzyskaniu Sofonu Dwa, Sofonu Trzy i Sofonu Cztery również próba utworzenia układu ich rozpoznawania kwantowego zakończyła się sukcesem.

Princeps i wszyscy konsulowie przyszli ponownie pod wahadło. Nad ich głowami unosiły się cztery sofony zredukowane do sześciu wymiarów. W kryształowej, lustrzanej powierzchni każdego z nich odbijał się obraz wschodzącego słońca, przypominający trójwymiarowe oczy, które kiedyś ukazały się w przestrzeni kosmicznej.

>Układ sofonów, zwiększcie liczbę wymiarów do jedenastu.

Po wydaniu tego polecenia cztery lustrzane sofony zniknęły.

– Princepsie – rzekł konsul do spraw nauki – Sofon Jeden i Sofon Dwa zostaną wystrzelone w kierunku Ziemi. Opierając się na dużej wiedzy zgromadzonej w swoich mikroobwodach, rozumieją naturę przestrzeni kosmicznej. Mogą czerpać energię z próżni i mknąć przez przestrzeń z prędkością światła. Może się wydawać, że jest to pogwałcenie prawa zachowania energii, ale sofony tylko „pożyczają” energię ze struktury próżni. Zwrócą ją, chociaż dopiero w dalekiej przyszłości, kiedy protony – obecnie sofony – się rozpadną. Wtedy koniec świata będzie już bliski. Po dotarciu na Ziemię pierwszym zadaniem sofonów będzie zlokalizowanie akceleratorów cząstek używanych przez ludzi w badaniach fizycznych

i ukrycie się w nich. Na poziomie rozwoju, na którym znajduje się ziemska nauka, podstawową metodą badania głębokiej struktury materii jest przyspieszanie cząstek naładowanych i zderzanie ich z innymi wybranymi cząstkami. Po rozbiciu tych cząstek ludzie analizują wyniki eksperymentu, starając się znaleźć odzwierciedlenie głębokiej struktury materii. Substancja zawierająca te cząstki jest tarczą strzelecką, a cząstki przyspieszone kulami. Ale wnętrze bombardowanej substancji jest prawie w całości próżnią. Przypuśćmy, że atom ma rozmiary stadionu. Jego jądro jest wtedy jak orzech wiszący w powietrzu w środku tego teatru, a zatem rzadko dochodzi do zderzeń. Często trzeba przez długi czas strzelać cząstkami naładowanymi, zanim któraś w końcu trafi w tarczę. Prowadzenie tego rodzaju eksperymentów to jak szukanie w letniej ulewie kropli o kolorze odmiennym od innych. Otwiera to przed sofonem pole do działania. Może on zająć miejsce cząstki, która jest celem, i przyjąć uderzenie. Dzięki wysokiej inteligencji układ kwantowego rozpoznawania sofonów może w bardzo krótkim czasie precyzyjnie określić drogi, którymi będą się poruszać cząstki przyspieszane, i przesunąć sofony w odpowiednie miejsca. Wskutek tego kilka miliardów razy wzrasta prawdopodobieństwo, że „kula” trafi w sofon zamiast w cząstkę, która jest prawdziwym celem. Po zbombardowaniu sofon może celowo podać błędne i chaotyczne wyniki. A zatem nawet jeśli przypadkiem zostanie trafiona właściwa cząstka, ziemscy fizycy nie będą w stanie odróżnić poprawnych wyników od błędnych.

– Czy zderzenie nie zniszczyłoby również sofonu? – zapytał konsul do spraw wojskowych.

– Nie. Gdy sofon zostanie rozbity na kilka kawałków, powstają z nich nowe sofony, jak dwa magnesy po rozłamaniu jednego na pół, przy czym cały czas są ze sobą splątane kwantowo. Nawet jeśli możliwości

poszczególnych części takiego rozbitego sofonu będą dużo mniejsze niż całego pierwotnego sofonu, to pod wpływem programu samonaprawczego części te będą ku sobie dążyły i ponownie się połączą. Ten proces potrwa tylko mikrosekundę, a zacznie się dopiero po pozostawieniu przez te części błędnych wyników w komorze pęcherzykowej albo na czułej błonie filmowej.

– Czy ziemscy naukowcy nie mogliby znaleźć sposobu wykrycia sofonów, a następnie uwięzienia ich w silnym polu magnetycznym? – zapytał ktoś. – Protony mają ładunek dodatni.

– To niemożliwe. By odkryć sofony, ludzie musieliby najpierw dokonać przełomu w swoich badaniach głębokiej struktury materii. A jak to zrobią, skoro do tego czasu ich akceleratory cząstek zostaną zamienione w kupę złomu? Myśliwy został już oślepiony przez zwierzynę, którą chce złowić.

– Ludzie mogą się uciec do brutalnej siły – zauważył konsul do spraw przemysłu. – Mogą zbudować wiele akceleratorów szybciej, niż my zdołamy zbudować sofony. Wtedy przynajmniej część akceleratorów na Ziemi nie zostanie zinfiltrowana przez sofony i może podać prawdziwe wyniki.

– To jeden z najbardziej interesujących aspektów projektu Sofon! – Konsula do spraw nauki wyraźnie podekscytowało to pytanie. – Konsulu do spraw przemysłu, nie musisz się obawiać, że tworzenie dużej liczby sofonów zrujnuje naszą gospodarkę. Nie ma takiej potrzeby. Moglibyśmy zbudować jeszcze kilka, ale niezbyt wiele. Prawdę mówiąc, wystarczą tylko te dwa, bo każdy sofon jest wielozadaniowy.

– Wielozadaniowy?

– To żargon z czasów starożytnych komputerów seryjnych. Wtedy jednostka centralna komputera mogła wykonywać w danym czasie tylko jedno polecenie, ale ponieważ pracowała szybko, z punktu widzenia istot

tak powolnych jak my komputer mógł realizować kilka programów jednocześnie. Jak wiesz, sofony poruszają się z prędkością bliską prędkości światła. Powierzchnia Ziemi to dla nich mała przestrzeń. Gdyby patrolowały ją z taką prędkością, to z punktu widzenia ludzi istniałyby równocześnie we wszystkich akceleratorach i niemal równocześnie wytwarzałyby błędne wyniki. Według naszych obliczeń każdy sofon może kontrolować ponad dziesięć tysięcy akceleratorów. Zbudowanie takiego akceleratora zajmuje ludziom cztery do pięciu lat, wydaje się więc nieprawdopodobne, by przy ich gospodarce i dostępnych środkach mogli je produkować masowo. Oczywiście mogą na przykład zwiększyć odległości między akceleratorami, umieszczając je na różnych planetach swojego układu planetarnego. To faktycznie uniemożliwiłoby sofonom wykonywanie wielu zadań równocześnie, ale w potrzebnym im do tego czasie my możemy skonstruować jeszcze dziesięć sofonów. Będzie ich coraz więcej w tamtym układzie planetarnym. Wszystkie razem nie będą miały wielkości nawet jednej miliardowej części bakterii, ale sprawią, że ziemscy fizycy nigdy nie zdołają dotrzeć do tajemnic ukrytych w strukturze materii. Ludzie nigdy nie uzyskają dostępu do mikrowymiarów i ich zdolność manipulowania materią pozostanie ograniczona do mniej niż pięciu wymiarów. Od tej pory, bez względu na to, czy minie cztery i pół miliona, czy czterysta pięćdziesiąt miliardów godzin, nie dokonają żadnego zasadniczego przełomu w swojej technologii. Pozostaną na zawsze w tym prymitywnym stadium rozwoju. Ziemska nauka została zamknięta jak w więzieniu, a zamek jest tak mocny, że ludzie nigdy nie zdołają wydostać się stamtąd o własnych siłach.

– Wspaniale! Wybacz mi, proszę, wcześniejszy brak szacunku dla projektu Sofon. – Głos konsula do spraw wojskowych zabrzmiał szczerze.

– W rzeczywistości są w tej chwili na Ziemi tylko trzy akceleratory o mocy wystarczającej dla osiągnięcia wyników, które mogą doprowadzić do przełomu, a więc po dotarciu tam Sofon Jeden i Sofon Dwa nie będą miały dużo do roboty. Aby w pełni wykorzystać ich możliwości, damy im dodatkowe zadania. Mogą na przykład stać się głównym środkiem realizacji planu cudów.

– Sofony mogą tworzyć cuda?

– Tak, dla ludzi. Każdy wie, że cząstki o dużej energii mogą naświetlić błonę filmową. To jeden ze sposobów, w jakie prymitywne ziemskie akceleratory pokazywały pojedyncze cząstki. Przechodząc przez błonę filmową, sofon naładowany do wysokiej energii zostawia na niej mały naświetlony punkt. Jeśli przechodzi przez tę błonę wielokrotnie tam i z powrotem, może łączyć te punkty tak, że tworzą litery, cyfry, a nawet obrazy, niczym haft. Dzieje się to bardzo szybko, dużo szybciej niż naświetlanie błony przez ludzi podczas robienia zdjęć. Poza tym siatkówka ludzkiego oka jest podobna do siatkówki w oku Trisolarianina, dzięki czemu sofony mogą korzystać z tej samej techniki pokazywania liter, cyfr i obrazów… A jeśli te małe cuda zdołają zdezorientować i przestraszyć zwykłych ludzi, to wielki cud śmiertelnie przerazi ich naukowców, którzy nie stoją na wyższym poziomie rozwoju niż insekty. Otóż za sprawą sofonów w ich oczach zacznie świecić promieniowanie kosmiczne.

– Przeraziłoby to także naszych naukowców. Jak można tego dokonać?

– W bardzo prosty sposób. Napisaliśmy już program, który pozwala sofonowi rozwinąć się w trzech wymiarach. Po rozwinięciu ta wielka płaszczyzna może się owinąć wokół Ziemi. Oprogramowanie to może też sprawić, że membrana ta stanie się przezroczysta, a stopień jej przejrzystości można dostosować do częstotliwości promieniowania tła kosmicznego… Oczywiście, rozwijając się i zwijając, sofony mogą

dokonywać jeszcze bardziej niezwykłych „cudów”. Nadal opracowujemy oprogramowanie, które to umożliwi. Te „cuda” wytworzą nastrój, który skieruje ludzką myśl naukową na fałszywą drogę. W ten sposób plan cudów skutecznie zahamuje rozwój ziemskiej nauki również w innych dziedzinach niż fizyka.

– Ostatnie pytanie: dlaczego nie wysyłacie na Ziemię wszystkich skonstruowanych już sofonów?

– Splątanie kwantowe działa na odległość. Nawet gdybyśmy umieścili te cztery sofony na przeciwległych końcach Wszechświata, natychmiast wyczułyby siebie nawzajem i wciąż istniałyby między nimi powiązania tworzące z nich układ kwantowy. Zatrzymując Sofony Trzy i Cztery tutaj, umożliwimy im natychmiastowe odbieranie informacji przesyłanych przez Sofony Jeden i Dwa, dzięki czemu będziemy monitorowali Ziemię w czasie rzeczywistym. Poza tym układ sofonów pozwoli nam komunikować się w czasie rzeczywistym z siłami wyalienowanymi z ziemskiej cywilizacji.

Słońce, które niedawno wzeszło, zniknęło niezauważenie za horyzontem i na Trisolaris zaczęła się kolejna era chaosu.

Kiedy Ye Wenjie czytała wiadomości z Trisolaris, w centrum dowodzenia walką trwało następne ważne zebranie poświęcone wstępnej analizie danych przejętych na *Dniu Sądu Ostatecznego*.

– Towarzysze, musicie zdawać sobie sprawę, że sofony prawdopodobnie śledzą już przebieg naszych rozmów – powiedział przed zebraniem generał Chang. – Od tej pory nie będziemy już mieli żadnych tajemnic.

Gdy to mówił, otoczenie było nadal znajome. Na zaciągniętych zasłonach kołysały się cienie drzew, ale w oczach zebranych świat nie był już taki sam jak wcześniej. Czuli na sobie spojrzenie wszechobecnych oczu.

Nie mogli się przed nim nigdzie ukryć. Uczucie to nie opuści ich przez resztę życia, nie uciekną przed nim również ich potomkowie. Trzeba będzie wielu, wielu lat, by ludzie w końcu przyzwyczaili się do tej sytuacji.

Trzy sekundy po wygłoszeniu przez generała Changa tej uwagi Trisolarianie po raz pierwszy skomunikowali się z ludźmi spoza RZT. Potem zakończyli wszelkie kontakty z adwentystami. Do końca życia uczestników zebrania nie przesłali już na Ziemię żadnej wiadomości.

Wszyscy obecni w centrum dowodzenia zobaczyli tekst w swoich oczach, tak jak Wang Miao widział odliczanie. Wiadomość pojawiła się zaledwie na dwie sekundy, a potem znikła, ale wszyscy ją zrozumieli. Było to tylko jedno zdanie:

Jesteście insektami!

1 W języku chińskim słowa oznaczające proton, *zhizi*, i sofon, *zhizi*, są kalamburem.

34

Insekty

Kiedy Shi Qiang stanął w drzwiach, Wang Miao i Ding Yi byli już bardzo pijani. Widok Shi podekscytował ich obu. Wang wstał i objął go za ramiona.

– Ach, funkcjonariuszu Da Shi… – Ding, który nie mógł nawet prosto stanąć, znalazł kieliszek, postawił go na stole i napełnił. – Twoje nieszablonowe myślenie nic nie pomogło. Bez względu na to, czy będziemy patrzyli na te wiadomości, czy nie, za czterysta lat wynik będzie taki sam.

Shi usiadł przed stołem bilardowym i spojrzał na nich chytrze.

– Naprawdę jest tak, jak mówicie? Wszystko skończone?

– Oczywiście.

– Nie możecie korzystać z akceleratorów i badać struktury materii, ale czy to znaczy, że wszystko skończone?

– Mmm… a jak myślisz?

– W technologii wciąż dokonuje się postęp. Akademik Wang stworzył właśnie ze swoimi ludźmi nanomateriał…

– Wobec tego wyobraź sobie starożytne królestwo. W jego technologii dokonuje się postęp. Wynajduje się lepsze miecze, noże, włócznie i tak

dalej. Może nawet uda się wynaleźć samopowtarzalną kuszę, która będzie sypać bełtami jak karabin maszynowy…

Shi kiwnął ze zrozumieniem głową.

– Ale jeśli mieszkańcy tego królestwa nie będą wiedzieli, że materia składa się z cząsteczek i atomów, nigdy nie stworzą rakiet i satelitów – powiedział. – Ogranicza ich poziom ich nauki.

Ding poklepał go po ramieniu.

– Zawsze uważałem, że funkcjonariusz Shi jest bystry. Chodzi o to, że…

Wang przejął pałeczkę.

– Badanie głębokiej struktury materii jest podstawą podstaw wszystkich nauk ścisłych. Jeśli nie będzie postępu w tej dziedzinie, wszystko inne – ujmę to w twój sposób – jest gówno warte.

Ding wskazał na Wanga.

– Akademik Wang będzie zajęty przez resztę życia, będzie nadal udoskonalał swoje miecze, noże i włócznie. A co, kurwa, ja mam robić? Kto to, do diabła, wie?

Rzucił pustą butelkę na stół i wziął bilę bilardową, by ją rozbić.

– To dobre! – Wang podniósł swój kieliszek. – Jakoś przeżyjemy resztę życia, a potem nastanie dekadencja i zepsucie! Jesteśmy insektami! Insektami, które zostaną unicestwione! Ha, ha…

– Właśnie! – Również Ding podniósł kieliszek. – Mają o nas tak niskie mniemanie, że nawet nie starają się ukryć przed nami swoich planów, mówiąc wszystko adwentystom. Przed insektami nie trzeba chować butelki z płynem owadobójczym. Wznieśmy toast za insekty! Nigdy nie przypuszczałem, że koniec świata będzie taki miły. Niech żyją insekty! Niech żyją sofony! Niech żyje koniec świata!

Shi potrząsnął głową i wypił. Ponownie potrząsnął głową.

– Banda głupich cip!

– Czego chcesz? – Ding spojrzał na niego pijanym wzrokiem. – Myślisz, że uda ci się podnieść nas na duchu?

Shi wstał.

– Chodźmy.

– Dokąd?

– Znaleźć coś, co podniesie was na duchu.

– Proszę bardzo, kolego. Siadaj i napij się.

Shi wziął obu pod ręce i wyciągnął.

– Chodźmy. Jeśli musicie, weźcie ze sobą alkohol.

Na dole wsiedli do jego samochodu. Gdy ruszyli, Wang spytał bełkotliwie, dokąd jadą.

– Do mojej wioski – odparł Shi. – Niedaleko stąd.

Wyjechali z miasta i popędzili na zachód autostradą łączącą Pekin z Shijiazhuangiem. Gdy znaleźli się w prowincji Hebei, Shi zjechał z autostrady, zatrzymał auto i wyciągnął z niego pasażerów.

Było popołudnie i słońce świeciło tak jasno, że Ding i Wang zmrużyli oczy. Przed nimi rozciągały się pola pszenicy Niziny Chińskiej.

– Po co nas tutaj przywiozłeś? – zapytał Wang.

– Żeby popatrzeć na insekty.

Shi zapalił jedno z cygar, które dał mu pułkownik Stanton, i wskazał nim pola.

Wang i Ding zauważyli teraz, że pola pokrywa chmara szarańczy. Po każdym kłosie pełzało kilka owadów. Roiło się też od nich na ziemi, która wyglądała jak gęsty, falujący płyn.

– Tutejszych rolników nęka plaga szarańczy? – Wang zmiótł owady z kawałka ziemi na brzegu pola i usiadł.

– Jak burze piaskowe. Zaczęło się to dziesięć lat temu, ale obecny rok jest najgorszy.

– I co z tego? Da Shi, teraz nic nie ma znaczenia – rzekł Ding nadal bełkotliwym głosem.

– Chcę zapytać was tylko o jedno: czy przepaść technologiczna między ludźmi i Trisolarianami jest głębsza niż między szarańczą a ludźmi?

Pytanie podziałało na obu naukowców jak kubeł zimnej wody. Gdy patrzyli na szarańczę, ich twarze przybrały uroczysty wyraz. Zrozumieli, co Shi Qiang miał na myśli.

– Popatrzcie na te insekty. Dzieli je od nas dużo większy dystans niż nas od cywilizacji trisolariańskiej. Ludzie od dawna robią, co w ich mocy, by je wyplenić: stosują przeróżne trucizny, robią opryski, hodują ich naturalnych wrogów, wyszukują i niszczą ich jaja, modyfikują je genetycznie, by się nie rozmnażały, palą, topią… w każdym domu jest rozpylacz ze środkiem owadobójczym, pod każdym biurkiem leży packa na muchy. Ta wojna trwa od początku ludzkiej cywilizacji, ale jej wynik jest nadal niepewny. Te owady nie dały się zlikwidować. Nadal żyją między niebem i ziemią, a ich liczba nie zmniejszyła się od czasów sprzed pojawienia się człowieka. Trisolarianie, którzy uważają ludzi za insekty, zapomnieli – jak się zdaje – o jednym fakcie: insekty nie zostały nigdy pokonane.

Mała czarna chmura zakryła słońce i rzuciła na ziemię przesuwający się cień. Nie była to zwykła chmura, lecz obłok szarańczy. Gdy lądowała na polach, trzej mężczyźni znaleźli się pod żywym prysznicem i poczuli godność życia na Ziemi. Ding Yi i Wang Miao wylali wino z dwóch butelek, które ze sobą przywieźli, w toaście za insekty.

– Dziękuję ci, Da Shi. – Wang wyciągnął do niego rękę.

– Ja też dziękuję – rzekł Ding i ujął drugą dłoń funkcjonariusza.

– Wracajmy – powiedział Wang. – Mamy dużo roboty.

35

Ruiny

Nikt nie wierzył, że Ye Wenjie zdoła się wspiąć na Radarowy Szczyt o własnych siłach, ale zrobiła to. Po drodze nie pozwoliła nikomu sobie pomóc, tylko odpoczęła parę razy w opuszczonych posterunkach wartowniczych. Bezlitośnie zużywała swoją siłę życiową, siłę, której nie mogła już odzyskać.

Kiedy poznała prawdę o cywilizacji trisolariańskiej, zamilkła. Rzadko się odzywała, ale wyraziła jedno życzenie – chciała odwiedzić ruiny bazy Czerwony Brzeg. Po całodziennej wędrówce we mgle widok jasnego słońca na zachodzie i czystego błękitnego nieba sprawił, że poczuła się, jakby znalazła się na innym świecie. Chmury wyglądały ze szczytu jak srebrzystobiałe morze, a podnoszenie się i opadanie fal tego morza – jak abstrakcyjne przedstawienie rozciągających się pod nimi gór Wielkiego Chinganu.

Nie było ruin, które wyobrażali sobie zwiedzający, zanim tam przybyli. Bazę rozebrano tak dokładnie, że na szczycie został tylko skrawek wysokiej trawy. Fundamenty i drogi zapadły się w ziemię i całość sprawiała wrażenie uroczyska. Zdawało się, że nigdy nie istniała tam żadna baza.

Ale Ye wkrótce coś odkryła. Podeszła do wysokiej skały, odgarnęła spowijający ją bluszcz i odsłoniła zardzewiałą płytę. Dopiero teraz ci, którzy jej towarzyszyli, pojęli, że skała była w rzeczywistości dużą metalową płytą.

– To była podstawa anteny – powiedziała Ye.

Pierwsza wiadomość z Ziemi, którą odebrała cywilizacja pozaziemska, została wysłana przez tę antenę na Słońce, a potem, wzmocniona przez nie, w cały Wszechświat.

Obok podstawy znaleźli małą kamienną tabliczkę, całkowicie schowaną w trawie. Widniał na niej napis:

Tu znajdowała się baza Czerwony Brzeg (1968–1987)
Chińska Akademia Nauk, 21.03.1989.

Tabliczka była tak mała, że wydawała się nie tyle upamiętnieniem bazy, ile próbą zapomnienia o niej.

Ye podeszła do krawędzi urwiska. Tutaj pozbawiła kiedyś własnoręcznie życia dwóch żołnierzy. Nie patrzyła nad morze chmur jak pozostali, lecz utkwiła wzrok w jednym punkcie w dole. Tam, pod chmurami, znajdowała się mała wioska o nazwie Qijiatun.

Serce Ye biło z wysiłkiem, jak struna instrumentu, która ma za chwilę pęknąć. Przed jej oczami pojawiła się czarna mgła. Ostatkiem sił stanęła prosto. Zanim wszystko spowije ciemność, chciała zobaczyć zachód słońca z Czerwonego Brzegu.

Słońce, które powoli zanurzało się w morzu chmur nad zachodnim horyzontem, zdawało się topnieć. Rozpłynęło się w chmurach i zalało całe niebo wspaniałą, krwawą czerwienią.

– To zachód ludzkości – szepnęła Ye.

Pełen spis osób

(Zgodnie z chińskimi zasadami najpierw podaje się nazwisko)

Rodzina Ye

Ye Zhetai – fizyk, profesor Uniwersytetu Tsinghua

Shao Lin – fizyczka, żona Ye Zhetaia

Ye Wenjie – astrofizyczka, córka Ye Zhetaia, członkini załogi bazy Czerwony Brzeg, odkrywczyni Trisolaris, później komendantka Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris

Ye Wenxue – siostra Ye Wenjie, czerwonogwardzistka

Baza Czerwony Brzeg

Bai Mulin – reporter „Wiadomości Wielkiej Produkcji”, który dał Ye Wenjie do przeczytania egzemplarz *Milczącej wiosny*

Cheng Lihua – komunistyczna aktywistka, która przesłuchiwała Ye Wenjie

Lei Zhicheng – komisarz polityczny bazy

Yang Weining – główny inżynier bazy, kiedyś student Ye Zhetaia, a później mąż Ye Wenjie

Yang Dong – fizyczka zajmująca się teorią strun, córka Ye Wenjie i Yang Weininga

Feng – przyjaciółka Ye Wenjie podczas jej pobytu w Qijiatun

Walka z RZT

Ding Yi – fizyk teoretyk, chłopak Yang Dong

Wang Miao – specjalista z zakresu nanomateriałów, wynalazca „latającego ostrza”, człowiek, który rozwiązał zagadkę gry *Trzy ciała*

Li Yao – żona Wang Miao

Dou Dou – syn Wang Miao

Shi Qiang – policyjny detektyw o przydomku Da Shi, który zaprzyjaźnił się z Wang Miao

Chang Weisi – generał brygady Chińskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej

Pułkownik Stanton – oficer amerykańskiego Korpusu Piechoty Morskiej, dowódca operacji „Guzheng”

Wei Cheng – geniusz matematyczny, który stworzył podejście stochastyczne do gry *Trzy ciała*

Shen Yufei – fizyczka japońska, żona i patronka Wei Chenga, członkini Granic Nauki; zapoznała Shi Qianga z grą *Trzy ciała*

Pan Han – biolog, członek Granic Nauki, który nawoływał do powrotu do życia na wsi

Sha Ruishan – astronom, student Ye Wenjie

Mike Evans – syn potentata naftowego, założyciel Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris

Posłowie autora

Głęboko wryła mi się w pamięć pewna noc z dzieciństwa. Stałem przy stawie gdzieś w powiecie Luoshan w prowincji Henan, gdzie od pokoleń żyli moi przodkowie. Obok mnie stało wiele osób, zarówno dorosłych, jak i dzieci. Patrzyliśmy na czyste niebo, po którym powoli przesuwała się mała gwiazdka.

Był to pierwszy chiński sztuczny satelita, Dongfanghong I (Wschód Jest Czerwony I), a działo się to 25 kwietnia 1970 roku. Miałem wtedy siedem lat.

Było to trzynaście lat po wystrzeleniu Sputnika i dziewięć po wyruszeniu z Ziemi pierwszego kosmonauty. Zaledwie tydzień wcześniej powrócił z niebezpiecznej wyprawy na Księżyc Apollo 13.

Wtedy jednak nie wiedziałem o tym. Kiedy patrzyłem na tę sunącą po ciemnym firmamencie gwiazdkę, moje serce przepełniały bezbrzeżna ciekawość i nieopisana tęsknota. Równie głęboko jak te uczucia wrył mi się w pamięć głód. W owym czasie region, w którym znajdowała się moja wioska, był bardzo biedny. Głód był stałym towarzyszem każdego dziecka. Mogłem się uważać za szczęśliwca, bo miałem na nogach buty. Większość stojących obok mnie przyjaciół była bosa, stopy niektórych z nich były pokryte niegojącymi się ranami po odmrożeniach z poprzedniej zimy. Przez szpary w ścianach rozpadających się, krytych słomianymi strzechami chałup za mną przesączało się słabe światło lamp naftowych – elektryczność doprowadzono tam dopiero w latach osiemdziesiątych.

Stojący obok dorośli mówili, że satelita nie jest jak samolot, ponieważ leci poza Ziemią. Kurz i dym nie zanieczyszczały jeszcze wówczas powietrza i rozgwieżdżone niebo było doskonale widoczne, zwłaszcza Droga Mleczna. Myślałem, że gwiazdy nie znajdują się dużo dalej niż ten mały satelita, i wyobrażałem sobie, że leci między nimi. Martwiłem się nawet, że może się zderzyć z którąś z nich, gdy przelatywał przez ich szczególnie gęste skupisko.

Nie było ze mną rodziców, bo pracowali w kopalni węgla oddalonej o tysiąc kilometrów, w prowincji Shanxi. Kilka lat przedtem, kiedy byłem jeszcze młodszy, kopalnia ta stała się sceną walk między różnymi frakcjami czerwonogwardzistów. Pamiętałem odgłosy strzałów w środku nocy, przejeżdżające ulicami ciężarówki pełne mężczyzn z czerwonymi opaskami na ramionach, ściskających w dłoniach karabiny… Ale byłem wtedy za mały, więc nie jestem pewien, czy są to rzeczywiste wspomnienia, czy obrazy, które sobie później stworzyłem. Jedno wiem jednak na pewno – ponieważ w kopalni było zbyt niebezpiecznie, a rewolucja kulturalna wywarła wpływ na moich rodziców, nie mieli wyboru i odesłali mnie do swej rodzinnej wioski w Henanie. Kiedy zobaczyłem Dongfanghong I, mieszkałem tam już od ponad trzech lat.

Minęło jeszcze kilka lat, zanim zrozumiałem, jaka odległość dzieliła tego satelitę od gwiazd. Byłem wtedy zagorzałym czytelnikiem książek popularnonaukowych z serii zatytułowanej „Sto tysięcy dlaczego”. Z tomu o astronomii dowiedziałem się o pojęciu roku świetlnego. Wiedziałem już, że światło pokonuje w ciągu sekundy odległość równą siedmiu i pół długościom równika, a zatem jakiż straszny dystans można przebyć, lecąc z taką prędkością przez cały rok! Wyobraziłem sobie promień światła mknący z prędkością 300 tysięcy kilometrów na sekundę przez cichą i zimną przestrzeń kosmiczną. Starałem się ogarnąć wyobraźnią ten

mrożący krew w żyłach bezmiar i czułem ogromny podziw i strach, a jednocześnie euforię jak po zażyciu narkotyku.

Uświadomiłem sobie, że mam szczególny talent: wymiary i byty, które przekraczają możliwości ludzkiego postrzegania zmysłowego – zarówno w skali mikro, jak i makro – i które innym wydają się tylko abstrakcyjnymi liczbami, przybierały w moim umyśle konkretne formy. Mogłem ich dotykać i czuć je jak drzewa i kamienie. Nawet dzisiaj, gdy wzmianki o mającym 15 miliardów lat świetlnych promieniu Wszechświata i „strunach" o wiele rzędów wielkości mniejszych od kwarków wprawiają wielu ludzi w oszołomienie, pojęcia roku świetlnego czy nanometru nadal wywołują w moim umyśle wspaniałe, żywe obrazy i wzbudzają we mnie niewysłowione, niemal religijne uczucie nabożnego lęku. Nie wiem, czy w porównaniu z większością ludzi, którzy nie mają takich doznań, mam to traktować jako szczęście czy nieszczęście, ale jestem pewien, że to dzięki nim stałem się najpierw miłośnikiem, a później twórcą literatury fantastycznonaukowej.

W tym samym roku, w którym pojęcie roku świetlnego wywołało mój podziw, okolice mojej wioski nawiedziła powódź (zwana wielką powodzią z sierpnia 1975 roku). Jednego dnia w rejonie Zhumadian w prowincji Henan spadło rekordowych 1005 milimetrów deszczu. Przerwanych zostało pięćdziesiąt osiem tam różnej wielkości, jedna po drugiej, i w tym potopie zginęło 240 tysięcy osób. Wróciłem do wioski tuż po opadnięciu wody i zobaczyłem tłumy uchodźców z zalanych terenów. Myślałem, że oglądam koniec świata.

Tak oto satelita, głód, gwiazdy, lampy naftowe, Droga Mleczna, walki frakcji podczas rewolucji kulturalnej, lata świetlne, powódź, te wszystkie pozornie niepowiązane ze sobą rzeczy, stopiły się w jedno i ukształtowały

wczesny okres mojego życia, a także książki fantastycznonaukowe, które dzisiaj piszę.

Jako twórca dzieł należących do tego gatunku literackiego, który zaczynał jako jego miłośnik, nie stosuję go jako zawoalowanego sposobu krytykowania obecnej rzeczywistości. Uważam, że największym urokiem tej literatury jest tworzenie licznych wymyślonych światów. Zawsze byłem zdania, że największe i najpiękniejsze dzieła w historii ludzkości nie zostały stworzone przez wędrownych bardów, dramaturgów czy powieściopisarzy, lecz przez naukę. Snute przez nią opowieści są wspanialsze, głębsze, dziwniejsze, bardziej zawiłe, fascynujące, niesamowite, tajemnicze, a nawet emocjonujące niż opowieści literackie. Tylko te cudowne historie są zamknięte w chłodnych równaniach, których większość z nas nie potrafi czytać.

W porównaniu z Wielkim Wybuchem bledną stworzone przez różne ludy i religie mity o stworzeniu; licząca trzy miliardy lat historia ewolucji życia od samopowielających się molekuł do cywilizacji obfituje w zwroty akcji i romanse, z którymi nie może się równać żaden mit ani epos, a jest jeszcze poetycka wizja przestrzeni i czasu zawarta w teorii względności, niesamowity świat mechaniki kwantowej… Wspaniałe opowieści nauki mają nieodparty urok. Używając siły wyobraźni, staram się tylko tworzyć za pośrednictwem fantastyki naukowej moje własne światy i ukazywać poezję natury, snuć romantyczne legendy o człowieku i Wszechświecie.

Nie mogę jednak uciec od rzeczywistości, tak jak nie mogę uciec przed moim cieniem. Rzeczywistość odciska na każdym z nas nieusuwalne piętno. Każda epoka nakłada tym, którzy w niej żyją, niewidzialne kajdany i mogę tylko tańczyć w krępujących mnie łańcuchach. W fantastyce naukowej ludzkość często opisuje się jako kolektyw. W niniejszej książce ludzkość staje w obliczu katastrofy i wszystkie postawy, jakie przyjmuje

wobec swego istnienia i groźby zagłady, mają źródło w rzeczywistości, której doświadczam. Literatura fantastycznonaukowa jest cudowna, gdyż może w pewnych hipotetycznych miejscach akcji przekształcać to, co w naszej rzeczywistości jest złe i ponure, w to, co dobre i jasne, i odwrotnie. To właśnie staram się robić w tej książce (i dwóch tomach, które są jej kontynuacją), ale bez względu na to, jak bardzo wyobraźnia wykrzywia rzeczywistość, pozostaje ona tutaj niezmieniona.

Zawsze uważałem, że inteligencja pozaziemska będzie największym źródłem niepewności co do przyszłości ludzkości. Inne wielkie zmiany, takie jak zmiana klimatu i klęski ekologiczne, postępują w pewnym tempie, co daje nam czas na przystosowanie się do nich, natomiast do kontaktu między ludźmi i obcymi może dojść w każdej chwili. Być może gwiaździste niebo, na które patrzymy, nawet za dziesięć tysięcy lat pozostanie puste, ale może jutro po przebudzeniu zobaczymy na orbicie statek obcych wielkości Księżyca. Pojawienie się inteligencji pozaziemskiej zmusi ludzkość do stawienia czoła Innym. Dotychczas nie mieliśmy nigdy odpowiednika we Wszechświecie. Pojawienie się obcych, a nawet sama wiedza o ich istnieniu, wywrze trudny do przewidzenia wpływ na naszą cywilizację.

Między naiwnością i dobrocią, jaką ludzie przejawiają wobec Wszechświata, a ich stosunkiem do bliźnich jest dziwna sprzeczność. Na Ziemi mogą wyruszyć na inny kontynent i bezmyślnie zniszczyć cywilizacje, które tam zastaną, ale gdy patrzą na gwiazdy, stają się sentymentalni i wierzą, że jeśli istnieje inteligencja pozaziemska, to stworzone przez nią cywilizacje muszą przestrzegać uniwersalnych, szlachetnych zasad moralnych, i że różnorodne formy życia muszą się kierować równie powszechnym, oczywistym kodeksem postępowania.

Uważam, że powinno być dokładnie odwrotnie – obdarzmy życzliwością, którą okazujemy gwiazdom, członków naszego rodzaju na Ziemi i budujmy zaufanie i zrozumienie pomiędzy różnymi ludami i cywilizacjami, które składają się na ludzkość, zachowujmy natomiast ostrożność wobec Wszechświata rozciągającego się poza Układem Słonecznym i bądźmy gotowi przypisywać jak najgorsze intencje obcym, którzy być może istnieją gdzieś w przestrzeni kosmicznej. Jest to bez wątpienia najbardziej odpowiedzialna postawa, jaką może przyjąć tak krucha cywilizacja jak nasza.

Cixin Liu, 28 grudnia 2012 roku

Spis treści

PROBLEM TRZECH CIAŁ

Główne osoby występujące w książce

Część I. Milcząca wiosna

1. Lata szaleństwa
2. Milcząca wiosna
3. Czerwony Brzeg I

Część II. Trzy ciała

4. Granice Nauki
5. Partia bilarda
6. Strzelec i farmer
7. Trzy ciała: Król Wen z dynastii Zhou i długa noc
8. Ye Wenjie
9. Wszechświat migocze
10. Shi Qiang
11. Trzy ciała: Mo Zi i ogniste płomienie
12. Czerwony Brzeg II

13. Czerwony Brzeg III
14. Czerwony Brzeg IV
15. Trzy ciała: Kopernik, wszechświatowa piłka nożna i dzień trzech słońc
16. Problem trzech ciał
17. Trzy ciała: Newton, von Neumann, pierwszy cesarz i syzygia trzech słońc
18. Spotkanie
19. Trzy ciała: Einstein, wahadło i Wielkie Rozdarcie
20. Ekspedycja

Część III. Zachód ludzkości

21. Ziemscy rebelianci
22. Czerwony Brzeg V
23. Czerwony Brzeg VI
24. Rebelia
25. Śmierć Lei Zhichenga i Yang Weininga
26. Nikt nie żałuje
27. Evans
28. Baza Drugi Czerwony Brzeg
29. Ruch na rzecz Ziemskiej Trisolaris
30. Dwa protony
31. Operacja „Guzheng”
32. Słuchacz
33. Sofon
34. Insekty
35. Ruiny

Pełen spis osób

Posłowie autora

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł: 三体
Autor: 刘慈欣
Copyright © 2006 by 刘慈欣 (Liu Cixin)
Polish translation rights authorized by China Educational Publications Import & Export Corporation Ltd.
All Rights Reserved

B&R Book Program

Tytuł wydania angielskiego: *Three-Body Problem*
(przekład z chińskiego: Ken Liu)

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Konsultacja naukowa przekładu: prof. Sławomir Breiter

Ilustracja na okładce: Stephan Martiniere

Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Problem trzech ciał, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-798-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl